

# CZARNA SERIA

KRYMINAL



# Åke Edwardson

Dom na końcu świata

Jeden z najbardziej interesujących szwedzkich pisarzy!  
Jedenasty tom kryminalnej serii o komisarzu Eriku Winterze

lesiojot

# Åke Edwardson

Dom na końcu świata

przełożyła Inga Sawicka

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2014

...love supreme, a love supreme,  
a love supreme, a love supreme...  
John Coltrane, *A Love Supreme*

*Dla Rity*

LICZYŁ JUŻ KAMIENIE NA PROMENADZIE. Zaczęło się tydzień wcześniej, właściwie przed Bożym Narodzeniem. Jeden kamień dwa trzy cztery pięć dwadzieścia sto. Wydawały się większe, gdy słońce zaczynało chylić się ku brzegom Maroka po drugiej stronie morza, gdy jego cień wyginał się nad nadmorską promenadą, do falochronów na wschodzie. Znów zaczynał liczyć kamienie.

Czas wracać do domu.

Las od razu przechodził w pustynię. Nadal nosił karabin, wciąż ten sam – Husqvarna – z którego zastrzelono dwadzieścia dzikich zwierząt, może sto. Szedł przez miasto. To było jego miasto. Tam był u siebie. Tam był myśliwym pełną gębą. Brakowało mi tego – powiedział do mężczyzny, którego minął przed Nordstan<sup>1</sup>. Mężczyzna miał na sobie skórzaną kurtkę, czapkę, rękawice, grube buty. A więc była zima. Wskazał na karabin. W nikogo nie mierzył, po prostu szedł ulicami i trzymał broń przed sobą. „Fajnie, że wróciłeś!”, zawołał mężczyzna. „Udanego polowania. Bestii jest tu aż nadto!”. Słyszał krzyki dobiegające z przepaści, przed nim, z tyłu i po bokach. Boże, jak mi tego brakowało. Krzyczał, nie przestawał krzyczeć, dopóki Angela nim nie potrząsnęła. Wtedy wrócił do rzeczywistości.

Właściwie to nie była zima. Tam w ogóle miało nie być zimno, o to właśnie chodziło.

– Styczeń, idealna pora na powrót do Göteborga – powiedziała. – Rewelacyjna pogoda.

---

<sup>1</sup> Nordstan – galeria handlowa w centrum Göteborga (wszystkie przypisy tłumaczkii)

- Wiem – odparł. – Dlatego chcę zaczekać do lutego.
- Bez różnicy, też będzie do dupy – powiedziała. Nie uśmiechała się. Nie było w tym nawet cienia żartu. – Co cię tak ciągnie do powrotu, te koszmarne sny?
- Tak.
- Eriku, powinieneś z kimś porozmawiać.
- Rozmawiam z tobą.
- Zachowujesz się czasem jak mały uparty chłopiec.
- Wszyscy nosimy w sobie kolejne etapy swojego życia – odparł.
- Ale nie musimy wszystkich uzewnętrzniać.
- Angelo, jesteśmy tu od dwóch lat. Ja... ja nie wiem...
- Moglibyśmy poczekać do lata. Czy nie o to chodzi? Żeby nie wracać do Göteborga w styczniu?
- W lutym.
- Cojones, Eriku.
- Przeklinasz po hiszpańsku. Jesteś w swoim żywiole.
- Zgadza się. Dokładnie o tym rozmawiamy.
- Cojones – powiedział.
- Lilly spytała kilka dni temu, co to znaczy. I jeszcze co znaczy conjo.
- I co jej powiedziałaś?
- Prawdę.
- Wy, lekarze, nie macie cienia delikatności.
- Bo za dużo się napatrzyliśmy – odparła. – Ty też za dużo się napatrzyłeś.
- Wiem. Tylko że... ja już nie mogę. To nie narkotyk. Chodzi o co innego.
- Boże drogi.
- Zresztą Bergen jest gorsze. Bergen zimą to najgorsze miasto na świecie.
- Co ma do tego Bergen? Jak się tam znaleźliśmy?
- Odbylem podróż w wyobraźni.
- Więc mam się cieszyć, że nie pojedę do Bergen? Że zamiast tego pojedę do miasta, które zimą jest ździebko lepsze od Bergen?
- Właśnie, masz się cieszyć jak cholera – odparł.

Siedzieli na balkonie. Było już późno. Dziewczynki spały. Elsa zasnęła przed chwilą, a Lilly wiele godzin temu. Nie słyszały szumu rozciągającego się w dole starego miasta. Winter też nie słyszał. Na tym między innymi miało polegać ich nowe życie. Mieli się wtopić w hiszpańskie miasto. Po jaką cholere miałby wracać do dawnego życia na północy, do śmierci na północy?

– Jeszcze jestem na to za młody – powiedział. – Za młody na emeryturę. Wiesz, że kiedyś byłem najmłodszym komisarzem w szwedzkiej policji kryminalnej?

– Chyba gdzieś o tym czytałam.

Podniósł kieliszek do ust. Wino miało smak żelaza i ziemi. Lokalne, z tych tańszych, ale i tak lepsze od win z północy. Ziemia w Andaluzji jest czerwienista.

– I chcesz odejść jako jeden z najstarszych?

– Nie wiem. Chyba nie.

– Teraz jest jeszcze niebezpieczniej niż za czasów twojej młodości.

– Wciąż jestem młody.

– Przestępczość w Göteborgu osiągnęła światowy poziom. Za czasów twojej młodości tak nie było.

Nie odpowiedział. Miała rację. W ciągu ostatnich piętnastu lat wykonywania swojego tak zwanego zawodu wiele razy był bliski śmierci. Tak zwanego powołania. Zawsze było bardzo niebezpiecznie. W tym rzecz. Wypił łyk wina. Nie czuł się pijany. W kraju, w którym wino leje się bez końca, nie można się upić.

– Nie wiem dlaczego – powiedział. – Wiem tylko, że jeszcze z tym nie skończyłem.

– Nie zamierzam zrzędzić. Nigdy tego nie robiłam.

– To prawda.

– Dwa lata temu o mało nie utonąłeś w basenie – powiedziała.

– Nie zapomniałem o tym.

– Co będzie następnym razem?

– Nie będzie następnego razu.

– Jak mam to rozumieć?

– Chcesz jeszcze wina? – Sięgnął po butelkę, drugą tego wieczoru.

– Ja nie jadę – powiedziała. – Ja i dziewczynki nie pojedziemy. Elsa musi dokończyć drugą klasę.

– Oczywiście.

– A może i trzecią.

– Oczywiście.

– Wciąż nie możesz wydorosnąć. – Wstała i wyszła do pokoju. Nie zamknęła za sobą balkonu.

Patrzył, jak idzie po kamiennej podłodze. Przyjemnie chodzić boso po tej podłodze, pomyślał, zwłaszcza odkąd założyliśmy ogrzewanie podłogowe. Ludzie myśleli, że zwariowaliśmy.

Nasłuchiwał odgłosów nocy. Nie było wśród nich żadnego, którego by nie znał. W uszach miał szum, ale przyzwyczyił się, taka ścieżka dźwiękowa towarzysząca myślom.

Wstał i poszedł do pokoju Lilly. Kamienna podłoga była chłodna, ale nie zimna. Nigdy nie była zimna. Lilly pochrapywała. Odwrócił ją delikatnie na bok i poszedł do pokoju Elsy. Niewyraźnie wymamrotała coś przed sen, ale nie dosłyszał. Wyszedł. Na dworze już zapowiadał się świt. Otworzył balkon i wyszedł. Pachniało igliwem, piaskiem, kamieniami, solą i benzyną, jakby las, pustynia, morze, miasto i góry stanowiły jedną całość. Wrócił do pokoju, ale nie zamknął drzwi balkonowych. Na stoliku przed kanapą leżała okładka do CD, Pharoah Sanders, Save Our Children. Słuchali tego wieczorem. Jazz z Afryki. Ocalcie nasze dzieci. Przeszył go dreszcz, jak od wiatru od Morza Śródziemnego. Wiedział, że gdy wróci na północ, stanie się coś potwornego, coś, czego jeszcze nigdy nie przeżył. Przyciągało go. Czekало na niego.



TO BYŁO DROBNE OGŁOSZENIE w rubryce zwierzęta: mały pies, małe ogłoszenie. Coś o tym, że to szczenię rasy mieszanej. Zadzwoił, odebrała kobieta. Podala adres. Nie bardzo wiedział, gdzie to jest, ale nie spytał. Gdzieś w południowej części miasta, można sprawdzić. Nie miał GPS-a, ale na końcu Żółtych Stron są mapki poszczególnych dzielnic. Pytanie, jak długo tam pozostaną. Wkrótce wszystko będzie zapisywane w wersji cyfrowej. Nie narzekał, bo nie ma sensu narzekać, biadolić, nikt się tym nie przejmuje. Tylko idioci narzekają.

Powiedziała, że zadzwonił jako pierwszy. Dziwne, można by przypuszczać, że telefony będą się urywały. Ludzie nie mają nic innego do roboty, ale wiele osób nie lubi mieszkańców, on też. Chociaż pies to jednak co innego. Jeśli teraz przyjedzie, będzie miał pierwszeństwo.

Nic o tym nie powiedział Liv.

– Pojadę na Frölunda targ<sup>2</sup>, potrzebny mi śrubokręt gwiazdkowy.

Samo mu się tak powiedziało. Miał całe mnóstwo śrubokrętów gwiazdkowych, w samochodzie też. Coś trzeba było powiedzieć. Uwierzyła. W sprawie narzędzi miał ostatnie słowo.

– Nie potrzeba nic do domu? – spytała.

– Nie wiem.

– Sprawdzę – powiedziała.

Słyszał, jak idzie do kuchni i otwiera lodówkę. Znów zgrzytnęły drzwi. Pewnie, kto by się zajmował, chociaż akurat teraz się przejął. Po powrocie naoliwi zawiasy. Może nawet któryś wymieni. Ma odpowiednie narzędzia.

– Mógłbyś kupić jeden kefir i jedno mleko! – zawołała.

Do Frölunda targ po jeden kefir i jedno mleko, pomyślał. A on się nawet nie wybiera w tamtą stronę.

– Okej – odparł.

---

2 Plac i jednocześnie centrum handlowe w Göteborgu.

– Mógłbyś wypożyczyć jakiś film! – zawołała.

Nie odpowiedział.

– Słyszałeś?

– Nie jestem głuchy. A co byś chciała?

– Żeby nie było żadnego okropieństwa.

Nad Nässet<sup>3</sup> krążyło kilka mew. W bladym słońcu wydawały się czarne jak kruki. Wisiało nad szkierami, wątle i nieśmiało jak dwudziestopięciowatowa żarówka. Ale zawsze, chociaż to zima. Niebo było matowe i mgliste. Mało śniegu. Suche drogi, nie ma co narzekać. Spojrzał na siebie we wstecznym lusterku.

– Nie narzekam – powiedział.

Skręcił w stronę Billdal, potem w prawo, w kierunku wysp Amund. Ze wzniesienia zobaczył morze. Zatoka wyglądała jak obraz: czerń, biel, trochę żółci i błękitu.

To musi być w pobliżu Stora Amundö. Zaparkował koło placu, na którym zimowały jachty. Na tablicy napis: „MARINA AMUNDÖ”. Był tu już, wiele razy. Przyjrzał się mapie. To niedaleko. Minął duży parking i ruszył wąską drogą. Domy stały tak, jakby się ukrywały przed morzem, każdy osobno. Było to wciąż miasto, ale jednak co innego. Odgłosy miasta tam już nie dochodziły. Więcej lasu niż morza, ale pachniało morzem. Jeszcze raz sprawdził adres. Numer się zgadzał, to ten dom, drewniany, zbudowany dość niedawno. Musiał być drogi, chociaż na taki nie wyglądał. Na skrzynce, starodawnej, z zielonego plastiku, nie było nazwiska. Podobała mu się, bo te nowe, blaszane, na zamek, są groteskowe, wielkie jak domy letniskowe i jeszcze z daszkami. Nacisnął przycisk. W domu rozbrzmiał sygnał przypominający raczej ryk wiertarki niż dzwonek. Usłyszał głosy, chyba dzieci. Szczekanie psa. Dobrze trafił. Kobieta wyglądała na mniej więcej tyle lat, ile jej dał, sądząc po głosie. Nie była ani młoda, ani stara. Miała na sobie koszulę i dzinsy. Jego wzrok przyciągnęły czerwone skarpetki. Na wysokości jej kolan zobaczył małą twarzyczkę i oczy. Patrzyły na niego tak, jak się patrzy na kogoś niebezpiecznego, wstrętnego. Tak pomyślał.

Szczeniak biegał mu koło nóg. Mały łeppek. Zdziwiły go długie

---

3 Nässet – dzielnica mieszkaniowa na półwyspie o tej samej nazwie.

łapy, ale kompletnie się nie znał na psach.

– Pan Christian... Runstig? – spytała.

– Tak. Pani Sandra?

Przytaknęła.

– A to Lassie – powiedział i kiwnął głową na szczeniaka. Pies pobiegł w głąb przedpokoju. Bawił się.

– Ona się nie nazywa Lassie – zaprotestowała mała twarzyczka.

– Żartowałem – powiedział. – A jak się nazywa?

Dziecko nie odpowiedziało. Twarzyczka zniknęła. Usłyszał kroczyki na podłodze, cichutkie, jakby spadały liście. Oczy ma wyobraźni zobaczył liście niesione wiatrem nad podłogą przez przedpokój i dalej przez wszystkie pokoje.

– Dzieciom jest przykro – powiedziała kobieta.

– Rozumiem – odparł. Tak mu się wydawało. Wiedział, że dzieci lubią psy, może nawet wszystkie zwierzęta. Lubienie zwierząt leży w naturze dzieci. Niektóre wyrrywają nogi muchom, ale to mniejszość. Lepiej lubić zwierzęta niż ludzi. Zwierzęta zawsze są niewinne.

– Jest u nas dopiero od tygodnia – odezwała się. – Ale już drugiego dnia dostałam wysypki.

Nie widział żadnej wysypki, ale to pewnie prawda, dlaczego nie?

– To przykre – zgodził się.

W głębi rozległ się krzyk dziecka. Chyba bardzo małego.

– Mała się obudziła – powiedziała kobieta.

– Ile... państwo mają dzieci?

– Troje. – Kobieta spojrzała za siebie, potem znów na niego.

– Nigdy nie przypuszczałam, że mogę mieć alergię na sierść. W każdym razie psią. Albo akurat tego psa.

Wydawało mu się, że się uśmiechnęła.

– Nie sposób tego przewidzieć – odparł.

– Jak byłam młodsza, nic takiego się nie działo. O ile mi wiadomo, nigdy nie byłam na nic uczulona.

Psiak wybiegł na schodki, potem wpadł z powrotem do domu. Mały, ale z dużym ozorkiem. Gdzieś czytał, że ten wystający ozór ma coś wspólnego z oddychaniem. Człowiek nie mógł

być dla niego aż tak ważny, żeby miał wywalać na niego język.

– To mieszanka labradora z border collie – powiedziała. – Podobno border collie nie uczulają, ale może to chodziło o pudle.

Zaśmiał się.

– Dla mnie rasa jest bez znaczenia – powiedział.

– Mam nadzieję, że pan... że państwo ją polubią.

Za nim ulicą przejechał jakiś samochód. Nie obejrzał się za siebie. Odgłos wskazywał na to, że samochód odjechał w stronę morza. Prószył rzadki śnieg. Padał z pustego i bezbarwnego już nieba.

– To będzie niespodzianka dla żony – powiedział.

– W takim razie oby się nie okazało, że ma alergię.

– Wiem, że nie ma.

– Proszę, niech pan wejdzie.

– To nie potrwa długo – powiedział.

WINTER PRZESZEDŁ PRZEZ PRÓG, którego właściwie nie było. Budynek policji został zmodernizowany, dostosowany do nowych czasów. Sporo się wydarzyło w ciągu tych dwóch lat. Jego miejsce na parkingu znikło w jakiejś dziurze. Po prostu zbrodnia. Tu kiedyś był dom jego mercedesa. Padał śnieg. Zakrył krater, i bardzo dobrze.

Jadąc na górę, spojrzał na swoją twarz w lustrze. W chłodnym świetle windy wyglądała na postarzałą. Zobaczył na niej groźną zapowiedź starości. Na razie tylko zapowiedź, tak jak powinno być. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat ma się taką twarz, na jaką się zasługuje. W lustrze widział ściany windy. Wyglądała jak cela, jak zwiastun tego, co go czeka. Wy, którzy wchodzicie. Lustro wyglądało na nowe. Był przy zdejmowaniu starego. Pewien zatrzymany zranił się, czy raczej próbował się zranić. Ale teraz ktoś postanowił inaczej, ktoś próżny. Bez niepokoju o przeszłość. Może to Halders.

Ściany wydziału te same co dawniej, chociaż nazwa się zmieniła: wydział zabójstw, WZ. Miały nieokreślony kolor kojarzący się z domem towarowym albo z izbą tortur. Boże, jak on nienawidził tego koloru bez koloru. Między innymi dlatego zostawił to całe gówno. Powód błahy, ale znaczący. Pozostałe powody zostawił na dnie basenu w Nueva Andalucia.

Ale tu jest przyszłość. To jego decyzja, on tu decyduje. To jego ściany, jego korytarze, jego pokój, jego widok z okna. Jego grupa. Jego myśliwi. Zapukał do otwartych drzwi salki konferencyjnej. Siedzący przy stole odwrócili się do niego. Większość znał, dzięki Bogu.

– Syn marnotrawny – odezwał się Fredrik Halders. Podszedł i uściskał go. To, że Halders kogoś uściskał i że tym kimś był mężczyzna, mogło mieć związek z przebudową gmachu. Tu i ówdzie nastąpiło jakieś poluzowanie, twarde stało się miękkie.

– Gdyby był synem marnotrawnym, który zbłądził, toby go tu nie było – powiedziała Aneta Djanali. Ona też wstała.

– Witamy w KGB – powiedział Halders, cofając się kilka kroków. – Albo w GRU. Zresztą cały budynek ma dostać nową nazwę. Zgadnij jaką.

– Łubianka? – spróbował Winter.

– Zgadłeś! – Halders cofnął się jeszcze o krok. – Wiesz, Eriku, myślałem, że bardziej utyjesz.

Pierwszym świadkiem był Robert Krol. Już kilka godzin po odkryciu zbrodni opowiedział Winterowi, co się wydarzyło, kiedy jak co dzień przed południem spacerował dróżkami prowadzącymi w dół, do morza, a potem na wzgórze i ścieżką koło domów.

Od godziny znów padał śnieg, takie same wielkie płatki jak kilka dni wcześniej. Wcale mu się to nie podobało. Skoro nie spadł do sylwestra, i potem też, to mogłoby tak już zostać, bo wkrótce i tak będzie wiosna, prawda? Ziemia nie tęskni za tą bielą, skoro nawet w grudniu jej nie było. Dzieciom może się podobać, ale przecież to Göteborg, tutejsze dzieci są przyzwyczajone do tego, że zimą nie ma śniegu. Dla tych, co chcą na niego popatrzeć, są góry. On nie musi. Jego kolory to zieleń i błękit. Po placu zabaw przy skrzyżowaniu ścieżki rowerowej z Amundövikslinga, przy której mieszkał, biegały dzieci. Kilko wdrapywało się na wieżę. Wyglądała jak mostek kapitański na statku. W każdym razie jemu przypominała mostek. Nawiązywała do otoczenia: z jednej strony zatoka, z drugiej morze.

Na drodze, którą szedł, było pełno błota pośniegowego. Ślady kół skręcały raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby kierowca miał promile we krwi. Pomyślał sobie: jak dobrze, że włożył kalosze. Inne buty po takim spacerze byłyby zupełnie zniszczone. Śnieg wciąż padał, ale płatki były teraz mniejsze i twardsze. Zrobiło się zimniej. Zresztą czuł wiatr przez kurtkę. Temperatura spadła z szybkością zrzuconego z góry kamienia. Zamarzające koleiny w śniegu wyglądały jak brudne fale, zasty-

głę w drodze na ład.

Ze skrzynki na listy przed domem Sandry wystawało kilka gazet. Stary typ, bez zamka. Zmoczone, zaśnieżone, wyglądały bardzo smętnie. Zauważył je, gdy schodził w dół, do mostu Amundö. Podeszedł, żeby je wcisnąć do skrzynki, ale nie dało się. Były sztywne od mrozu. W skrzynce już była jakaś gazeta. I poczta. Trzy gazety z trzech dni. Sandra mogła wyjechać z dziećmi, może do Jovana. Pewnie już ma mieszkanie, a nie ciągle te hotele. Chyba mu mówiła, jak kiedyś wpadli na siebie – kiedy to było? – że zamieszkał na stałe w Sztokholmie. Nie wyglądała na zachwyconą, ale kto by się cieszył w jej sytuacji? Pamięta wszystko, co się wydarzyło, i to, co było niedawno, i to, co pół wieku temu. Wszystko pamięta.

Od trzech dni przychodził tam każdego przedpołudnia, a jej volvo 70 cały czas stało. Nigdy nie wprowadzała samochodu do garażu, gdy była w domu sama z dziećmi. Pewnie nie ma odwagi. Kobiety raczej boją się wjeżdżać samochodem do garażu. Pewnie mają jakiś problem z oceną odległości albo ze zmysłem orientacji. Z czego to wynika? Samochód stał tak od dawna. Był na nim i stary, i nowy śnieg. Jak się dostała do miasta? Chyba przez te trzy dni musiała robić jakieś zakupy? Z trojgiem dzieci bez samochodu nie sposób się stąd wydostać. Rozejrzał się. Wszedł na posesję, podeszedł do drzwi i zadzwonił. Słyszał, jak dzwonek odbija się między ścianami jak echo. Można by sądzić, że dom jest większy niż w rzeczywistości, jakby go zbudowano z kamienia, a nie z drewna. Zadzwonił ponownie. Nikt nie otwierał, nie było słyhać kroków. Jeszcze raz nacisnął dzwonek. Był zimny, jeszcze trochę, a palec by mu przymarzł. Obejrzał się za siebie. Dzwonek brzmiał jakoś martwo. Wydało mu się, że słyszy krzyk. W środku krzyczało dziecko. Zawołał:

– Halo, Sandra! Halo! Jest tam kto?!

On i Irma nie mają dzieci. Wrócił do domu tak szybko, jak mu pozwalało kolano. Wiedział, że ona czeka na niego w domu, zawsze będzie czekać. Śnieg przestał padać, zrobiło się zimno, cholernie zimno.

– Zadzwoni na policję! – zawołał głośno, stojąc w przedpo-

koju. Zimno wpadło za nim przez otwarte drzwi jak północny wiatr. Zawołał jeszcze raz.

Centrala wysłała do Amundövik radiowóz. Wiadomo było tylko tyle, że w zamkniętym domu prawdopodobnie jest niemowlę. Inspektor Vedran Ivankovic dotarł pod wskazany adres, przeciskając się między zwałami śniegu i fińskimi sankami, które ktoś zostawił przed furtką.

– Jak na wsi – powiedziała Paula Nykvist, wskazując na starodawne sanki. – Prawdziwa idylla.

– Bo to jest wieś – odparł Ivankovic. – Taka mała wioska.

– Tam ktoś stoi. – Paula Nykvist kiwnęła głową do Roberta Krola. Czekał przed domem. Chodził tam i z powrotem. Miał siwą brodę i spiczastą dzianinową czapkę. – Wygląda jak stary wilk morski.

Zaparkowali i wysiedli.

– Jest w tym coś dziwnego – powiedział Krol, podchodząc. Lekko kulał. – Dziecko krzyczy. Mają w domu niemowlę i ta mała krzyczy, ale nikt nie otwiera.

Paula Nykvist kiwnęła głową. Podeszła bliżej. Dom wyglądał na duży i mały jednocześnie. Była akurat najjaśniejsza pora dnia, a mimo to wydawało się, jakby tonął w mroku, w ciemnościach zimowej nocy. To zła ciemność, pomyślała. Już kilka razy byłam w takiej sytuacji i wyczuwam zło, jeszcze zanim spojrzę mu prosto w twarz.

– Drzwi są zamknięte na klucz – powiedział Krol. – Sprawdziłem. Nikt nie otwiera.

Ivankovicowi i Pauli Nykvist też nikt nie otworzył.

Zaczekali, aż sygnał dzwonka ucichnie.

– Słyszę dziecko – powiedziała Paula.

Poczuła lęk. Nie bała się, ale czuła lęk. Nie bała...

– Samochód nie był ruszany od co najmniej trzech dni – powiedział wilk morski. – I nikt nie wyjmował poczty ze skrzynki.

Znów usłyszała krzyk niemowlęcia. Chyba trochę słabszy, pomyślała, z tamtej strony. Podeszła do okna, kilka kroków



wlewo od drzwi. To stamtąd dobiegał krzyk. Starła szron z szyby i zajrzała. Niedaleko okna stało łóżeczko, dostrzegła w nim jakiś ruch. Pokój musi być na lewo od przedpokoju.

– Wchodzimy! – zawołała do kolegi.

Otwarcie zamka zabrało Ivankovicowi piętnaście długich sekund.

Weszli. Pierwszy Ivankovic, za nim Paula. Poszła prosto do pokoju dziecka. Wyjęła je z łóżka, w którym było mokro i gorąco, i zimno, wszystko naraz, jak najgorzej.

Ivankovic już w przedpokoju poczuł zapach, jakby ten zapach rzucił się na niego od drzwi w głębi domu. Wiedział, co to za smród, ale musiał się upewnić. Poszedł dalej i zobaczył zwłoki. Zadzwoił na komendę. Wiadomość przekazano dalej, powinna już dotrzeć do WZ. Paula przyszła z lewej, z czymś na rękach. Za nią szedł stary. Coś mówił.

Winter i Ringmar jechali samochodem na południe. Śnieg wciąż padał. Kąpielisko Askim wyglądało jak jedno wielkie białe pole, a morze jak nieruchoma biała masa. Na środku pola stał samotnie rower. Coś mu przypominał, ale nie mógł sobie uprzytomnić co.

– Wieczorami, gdy dzieci były małe, czasem przyjeżdżaliśmy tu na rowerach – powiedział Ringmar, patrząc na rower, na pole i stare budynki należące do kąpieliska. – W tamtych czasach wieczory często były piękne. – Odwrócił się do Wintera. – Myślałeś o tym? Że wtedy zawsze były piękne wieczory?

Światła się zmieniły i Winter ruszył. Pomyślał, że kiedyś nie było tam świateł. Wyjazd na obwodnicę Säröleden z parkingów kąpieliska był koszmarny. Powinni byli częściej jeździć na rowerach. Ringmar ma rację. Ale Ringmar jest o dwieście lat starszy, więcej zrobił w życiu. Winter ma to wszystko jeszcze przed sobą. Za rok Bertil przejdzie na emeryturę, a może dopiero za dwa. Albo za dziesięć. Bertil jest mocniejszy od samego życia, będzie trwał wiecznie.

– Wieczory były piękne – powtórzył Ringmar. – Imigranci sobie gotowali i na całej plaży pachniało pieczonym mięsem.

Przynosili własne ruszty.

– Pamiętam – powiedział Winter. – Pięknie pachniało.

– Nie wiem, jak jest teraz – ciągnął Ringmar. – Może już tu nie przychodzą.

– Latem możemy przyjechać tu na rowerach – zaproponował Winter. Jechał dalej, na południe.

– Lepiej samochodem. Jakoś nie chce mi się jechać rowerem tak daleko – odparł Ringmar.

– Samochodem to już nie to samo, Bertilu. Zresztą jesteś w lepszej formie niż ja.

Ringmar nie odpowiedział.

– Nie podoba mi się to, co wkrótce będę oglądał – powiedział po chwili.

Z lewej minęli pływalnię. Kiedyś Ringmar woził tam Moę i Martina na naukę pływania. Gdy dzieci były na basenie, robił przebieżkę: koło kościoła, nad trasą, potem w dół do kąpieliska Hovås, koło starego dworca i z powrotem. To był inny świat, drugi koniec znajomego świata, w którym żył obecnie. Wtedy też miał wrażenie, jakby biegł przez obcy świat. Inaczej pachniało. Przypominało mu o tym, że Göteborg to wielkie miasto. Potem dzieci przestały chodzić na pływalnię, ale i tak przyjeżdżał tu kilka razy w tygodniu i robił tę samą rundkę. Rozumiał, że to forma terapii, chociaż nie wiedział, co leczy. Zrozumiał później, gdy nie miał już żony i syna, a córkę tylko z rzadka. Zastanawiał się wtedy, czy zabiegać się na śmierć, jak stary kłusak, który ma dość całego tego gówna. Czasami wciąż się nad tym zastanawiał, chociaż wcale nie chciał. Autodestrukcyjna autoterapia.

Winter zjechał z trasy i skręcił koło starego budynku Kodaka. Przypomniało mu się, jak z Angelą i dziećmi jeździli na skałki Stora Amundö, żeby się kąpać i opalać. Tutaj wszystko przypominało mu o dzieciach. To, co go czekało, też wiązało się z dziećmi, tyle wiedział od tych z radiowozu.

Dlatego wrócił. Już od pierwszego dnia pracy w nowym wcieleniu. Witamy w domu, panie Winter.

Policjanci czekali na ulicy przed domem razem ze starszym mężczyzną. Gdy wysiadali, chyba akurat coś im wyjaśniał. Kiedy zobaczył Wintera i Ringmara, podszedł kilka kroków na krzywych nogach.

– Dziecko jest u mojej żony – powiedział.

– Karetka w drodze – powiedziała Paula Nykvist. – Powinna już być. To pilne. Niedobrze jest.

– Żona pana Krola podaje dziecku płyny – wyjaśnił Ivankovic, wskazując głową na Krola.

– Jest pielęgniarką, to znaczy była. Wie, co robić.

Ale Winter ich nie słuchał. Nasłuchiwał czego innego. Miało to związek z tym, na co teraz patrzył: dom, samochód na podjeździe, droga, w tle skały, drzewa, wiatr i śnieg, biały śnieg przykrywający wszystko jak stary koc.

W uszach miał krzyk, przedzierający się przez szum w uszach, zagłuszający wszystko. Ten krzyk miał tam pozostać, tylko tam, był jak czarny krąg wokół tego domu na końcu świata. Teraz widział tylko dom. Pokrywający go miejscami śnieg nagle stał się czarny. Jakby dom stał na dnie krateru, do którego wpadł wiatr, żeby już nigdy nie wzlecieć do góry.

Odwrócił się do Ivankovica.

– Ile ciał widziałeś?

– Dwa albo trzy. Nie jestem pewien.

– Gdzie?

– Trudno powiedzieć.

– Czy ta kobieta mieszkała tu sama z dziećmi?

– Zdaje się, że mąż czasowo mieszka gdzie indziej.

– Dlaczego? – spytał Winter, mówiąc raczej do siebie. Nikt jeszcze nie znał odpowiedzi. Dlaczego? Zakres pytania jest zbyt szeroki. Zawsze to przekłete dlaczego. Pojawia się przedwcześnie i tak trudno na nie odpowiedzieć. Nie da się, to jak pytanie pochodzące od Boga.

– Jovan pracuje... gdzie indziej – powiedział Krol.

– Ma na imię Jovan?

– Tak. Manpower<sup>4</sup>.

– Facet nazywa się Jovan Manpower? – spytał Ringmar.

---

<sup>4</sup> Manpower – globalna firma zajmująca się pośrednictwem pracy.

Krol spojrzal na niego, jakby byl niespelna rozumu.

– Wejdzimy przez garaż – powiedzial Winter, ruszajac przed siebie.

Drzwi garażu nie były domknięte, zacięły się od mrozu. Winter szarpnął je dłońmi w rękawiczkach i pociągnął. Powoli ustąpiły. W środku panował mrok. W głębi dojrzał jeszcze jedne drzwi i poszedł tam po betonowej posadzce. Za plecami słyszał oddech Bertila. Szli w milczeniu. Drzwi prowadziły do małego przedpokoju. Winter zobaczył jeszcze jedne drzwi. Cisza aż dzwoniła w uszach. Podeszedł i otworzył. Jeszcze jeden przedpokój, większy i widniejszy. Od razu poczuł ten zapach, odór śmierci. Na całym świecie nie ma nic, co dałoby się z tym porównać.

Zobaczył maleńki bucik. Na podłodze leżała rękawiczka, tuż obok jego buta. Bertil też ją zauważył. Przechodząc przez próg, zatrzymał się. Odwrócił się i bez słowa spojrzął na Wintera. Winter odruchowo stanął koło niego i zajrzał do pokoju, zapewne salonu: kanapa, dwa fotele, płaski telewizor, regał z książkami, witryna z porcelaną i szkłem, na sofie para dzinsów, na stoliku kilka guzików, jakby udawały pionki do gry w jakąś grę towarzyską, na podłodze podarta bluzka, zmasakrowane ciało, częściowo przykryte czymś w rodzaju pledu. Bertil poruszył ręką, wskazał coś lufą pistoletu. Żaden z nich nic nie mówił, poruszali się bardzo ostrożnie. Winter wiedział, że w uszach musi mu szumieć naprawdę głośno, ale nie słyszał tego. Wszystko przesłoniła adrenalina. Skupił się na patrzeniu, patrzeniu, teraz, nie wtedy, gdy wszystko zostanie stąd zabrane, oznaczone, przeanalizowane, zdejmą ślady DNA, prześwietlą i poddadzą obdukcji. Tylko teraz ma szansę stworzyć sobie obraz na podstawie pierwszych wrażeń, nie jakiejś rekonstrukcji, powtórki, tylko ostrego obrazu. Sprawca opowie mu, co się tutaj stało, w jakiej kolejności i jak. W tym obrazie chodzi raczej o to, czego brakuje, niż o to, co jest.

– Sypialnia – powiedział. Odwrócił się i podeszedł do ostatnich drzwi. Były otwarte. Pierwszym, co zobaczył, było martwe

światło. Usiłowało się wdrzeć z zewnątrz przez jedyne okno. Próba równie beznadziejna jak próba przywrócenia życia kobiecie i dziecku leżącym na podwójnym łóżku, które wypełniało znaczną część pokoju. Oboje nie żyli od wielu dni, tyle wiedział o technice kryminalistycznej. A ten, który pozbawił ich życia, zrobił to gruntownie.

– Rany boskie – odezwał się zza jego pleców Bertil. Wyraził jego własne myśli.

Winter nie odpowiedział.

– To bije wszelkie rekordy – stwierdził Ringmar.

– Tylko nie rekordy.

– Duszę się – powiedział Ringmar.

Od okna dobiegał jakiś odgłos. W pierwszej chwili Winter pomyślał, że ktoś puka, ale to ptak stuknął dziobem. Chciał się dostać do środka. Może się przyjaźnił z dziewczynką leżącą na łóżku. Nie wlatuj tutaj. Widział zarys maleńkiej sylwetki ptaszka za szybą. Przypominało to teatr cieni. Nigdy tu nie wlatuj.

Łóżko było posłane, ciała leżały na narzucie, głowy nie sięgały poduszek. Kobieta leżała w dziwnie wygiętej pozycji, jakby ćwiczyła jogę. Nic jej nie pomoże ta joga, chyba że na tamtym świecie. Winter czuł w dłoni chłód pistoletu. Broń była równie bezsensowna jak światło dnia z początku lutego. Choćby nie wiadomo ile razy wystrzelił ze swojego sig sauera, dla tych martwych ludzi nic to nie zmieni. A czy on potrafi coś zmienić? Przecież po to wrócił do domu. Tęsknił za domem. Za pracą, za pościgiem. Ten, który właśnie się zaczął, będzie największy ze wszystkich dotychczasowych.

Psina, na razie jeszcze bezimienna, patrzyła na niego wzrokiem wyrażającym wszystko albo nic. Niewiele inteligencji czy choćby pamięci. Wątpił, żeby pies pamiętał coś po zaledwie kilku dniach, jeśli w ogóle. Nie znał się na psach. Liv też nie, ale ucieszyła się, gdy przyprowadził nowego domownika.

– Jak ona się wabi?

– Musimy jej wymyślić imię.

– Czy to nie dziwne?  
– Nie powiedzieli, jak się wabi.  
– Żeby się tylko nie okazało, że mam alergię – powiedziała Liv.

– Wziąłem ją na próbę, na pięć dni.  
– Tak się umówiliście?  
– Tak. Kobieta ma alergię. Okazało się, kiedy już wzięli psiaka.

– No to nie wezmą jej z powrotem. – Liv pogładziła szczeniaka po szyi. – Nie muszą. Zostaniesz u nas, kochana. – Podniosła wzrok. – Przyszła do nas w styczniu. Nazwiemy ją Jana<sup>5</sup>.

– Gdyby była kotem, nazwalibyśmy ją Jama<sup>6</sup>.

– Cha, cha. – Poklepała suczkę po pyszczku. – Witamy w domu, Jana. – Spojrzała na niego. – Droga była?

– Nie. Czteryście koron, cena raczej symboliczna. Ta pani powiedziała, że głównie po to ją wyznaczyła, żeby nie dzwonił jacyś wariaci, którzy akurat przeczytali ogłoszenie.

Wstał z krzesła.

– Zapomniałem o zakupach.

– Nie szkodzi – odparła. – I tak nie mam dziś ochoty nic oglądać.

– Potrzebny mi nowy śrubokręt gwiazdkowy. Stary się zniszczył.

Po domu kręcili się technicy. W białych ubraniach wyglądali jak Marsjanie. Winter widział ich z zewnątrz, z zaśnieżonego trawnika, na którym stał. Wszystko było znajome i obce zarazem. Usłyszał krzyk, spojrzał w górę i ujrzał czarne ptaki wlatujące nad morzem. Wyglądały jak sieć rozpięta pod niebem. Dobry odruch: jak najszybciej odlecieć z tego piekła.

Bertil patrzył w inną stronę. Winter zobaczył Haldersa i Anetę, właśnie wysiedli z nieoznakowanego samochodu. No i dobrze. Będą wszyscy razem, aż to się skończy, bo będzie ściagał tego skurwiela choćby na drugim końcu świata. Szczera

---

<sup>5</sup> Styczeń to po szwedzku *januari*.

<sup>6</sup> Jama – miauczeć.

myśl, banalna, ale skomplikowana.

– Fuck, co tu się stało? – spytał Halders.

– Dwoje dzieci, kobieta – odparł Ringmar. – Wydaje się, że od noża.

– Kuchennego?

– Nie wiem.

Halders się rozejrzył. Nic mu się tam nie podobało. Nigdy nie lubił ślepych uliczek. Przedmieścia, miasteczka willowe i idylle to ślepe uliczki. Nie lubił ani miejsc zbrodni, ani samych zbrodni. Właściwie nie lubił wszelkiej przemocy, choć dla wielu było to tajemnicą. Generalnie niewiele lubił poza własnymi dziećmi, Anetą i ludźmi, z którymi pracował.

– Przeżyło niemowlę – mówił dalej Ringmar.

– Czyżby ojciec rodziny postanowił skarcić swoich bliskich przy użyciu kuchennego narzędzia? – Halders napotkał spojrzenie Anety. – To nie było pytanie – powiedział. – Ani stwierdzenie.

Ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że właśnie to jest pytanie. Najoczywistsze. Odpowiedź też. Banalna, złożona i prawdziwa.

– Podobno jest w Sztokholmie – powiedział Winter. – Zajmuje się jakimiś szkoleniami. Jeszcze się do niego nie dodzwoniliśmy.

Z domu wyszedł Torsten Öberg, szef wydziału techniki kryminalistycznej, a właściwie zastępca, ale nikt nie wiedział, jak się nazywa jego przełożony. Ściągnął kosmiczne nakrycie głowy i maseczkę.

– Minęło kilka dni – powiedział. – Może trzy, a może więcej. Ten zapach nie jest przyjemny. Zobaczymy. Jak dotąd zauważyłem u kobiety ślady po jedenastu ciosach. Kilka z nich mogło być śmiertelnych.

– A dzieci? – spytała Aneta.

– Ten sam koszmar – odparł Öberg i głośno odetchnął. – Ale bez przemocy seksualnej, na ile mogę teraz ocenić.

– Tylko morderstwo – stwierdziła Aneta Djanali. Cóż tu dodać. Tylko morderstwo.

– Ale dlaczego tyle tych ciosów? – powiedział Ringmar, jakby do siebie.

Öberg wzruszył ramionami, ale nie obojętnie. Zobaczymy. Jeszcze wszystko ustalimy.

– To może być bardzo ważne – powiedział Halders. – Torsten, znalazłeś nóż?

– Nie, jeszcze nie.

– To ten sam?

– Jaki ten sam?

– Wiesz przecież.

– W tej chwili jeszcze nic nie wiem.

Winter spojrzał na Öberga. Ciekaw był, czy Torsten to powie, bo było coś jeszcze. Nie chodziło o to, że niechętnie dzielił się informacjami. Trzymał je dla siebie, bo jeszcze nie uporządkował obrazów w głowie. To jeszcze przyjdzie i dotyczy to wszystkich, którzy tu są, w tym miejscu, pod tym bezlitosnym niebem. Wszyscy obejrzą zdjęcia. Winter i Ringmar już widzieli, jak było naprawdę.



NAD ZATOKĄ ZAPADŁA CISZA. Gęsta. Jakby przez docięnięcie zamieniła się w beton, który przykrył wszystko, łącznie z nim. Niebo było dachem, niechcianym i całkiem zbędnym.

W Hiszpanii niebo zmierzało do innych układów planetarnych. Na północy ukrywało wszystko, co jest na tym świecie. Świat zaczynał się i kończył tam, gdzie właśnie stał.

Ruszył po szarym piasku, czuł wiatr wiejący z południowego zachodu. Przed chwilą dał nad jego działką położoną piętnaście kilometrów dalej na południe, nad plażą należącą tylko do nich, do jego rodziny, nad ich własnym kawałkiem brzegu. Mógł tam w kilka sekund wrzucić do morza kamienie, które potrzebowały dziesięciu milionów lat, żeby się wydostać z wody.

Cisza panująca w domu była gorąca i lepka. Patrzył na wszechobecną biel za oknem. Śnieg przestał padać, a potem znów zaczął. Na dworze nie dostrzegł żadnego ruchu. Zapadał zmierzch. Spojrzał na zegarek. Trzecia. Był tam od trzech godzin. Trzy godziny w domu na końcu świata. Pokoje wypełniła śmierć i jej odór. Wszystko wokół nosiło jeszcze ślady życia, ale ten czas minął. Trzy dni minionego czasu, może trochę dłużej, może krócej.

Wszedł do pokoju, który wciąż pachniał życiem. Dało się stamtąd dojrzeć szkiery na morzu. Łóżeczko stało blisko okna. Nagle rozjaśniło je odchodzące światło.

Dlaczego to dziecko zostało oszczędzone? Przypadek? A może przeciwnie – albo jeszcze gorzej: wystawione na długie, samotne konanie, bez możliwości zrozumienia czegokolwiek poza bólem, głodem, chłodem, gorącem, nieumiejące nic powiedzieć ani nic zapamiętać. Widziała go? Czy mała widziała mordercę? Czy wziął ją na ręce? A może jej nie zauważył?

Dziewczynka miała na imię Greta. Dzięki imieniu była osobą, w odróżnieniu od tamtych, którzy stali się tylko czymś wspomnieniem.

Technicy Torstena zabrali z pokoju łóżeczko i całą resztę. Winter miał zaufanie do Torstena. Ślady materialne mają znaczenie decydujące, są ważniejsze od przyznania się. Ludzie potrafią się przyznać do wszystkiego, puszczają wodze fantazji i dają się zaprowadzić do piekła.

Obszedł dookoła łóżeczko, miał je przed oczami. Wszedł tu wtedy, gdy dziecka już nie było – było u pani Krol – ale wszystko inne zostało, pościel, to, co leżało na podłodze... właśnie, co tam leżało?

Co ja wtedy widziałem? Coś miękkiego, jakiegoś pluszaka. Elsa i Lilly miały takie, sam kupowałem. Takie, którymi nie można się udusić. Leżał w tamtym kącie. Teraz jest u techników. Dlaczego ta przytulanka tam leżała? Greta nie mogła jej tam rzucić. Dlaczego leżała w tym odległym kącie?

Co zobaczył w łóżeczku?

A czego nie?

Co widziałem?

Zobaczyłem, że czegoś nie widzę. Czego?

Już wiedział, czego nie zobaczył. Ani na podłodze, ani na łóżeczku, nigdzie.

Wyjął iPhone'a i wybrał skrócony numer Öberga. Wybrzmiały trzy sygnały, zanim odebrał.

– Torsten, jestem w domu koło Amundön. Zabraliście stąd jakiś smoczek?

– Smoczek? Musiałbym sprawdzić. Przeglądam teraz wszystko. Jak wiesz, nie zajmowałem się pokojem dzieci.

– Wiem. Byli tam Lisbeth i Mario, prawda?

– Tak. Dowiem się. Lisbeth jest na miejscu. Zaraz ją spytam.

– Dziękuję.

Torsten nie pytał. Winter nie musiał nic wyjaśniać. Nie było to potrzebne. Nasłuchiwał odgłosów z zewnątrz, ale wokół panowała zimowa cisza. W głowie mu szumiało. Przeszedł kilka kroków po pustej podłodze.

– Eriku?

- Tak, słucham.
  - Nie ma smoczka.
  - Jesteście pewni?
  - Kurwa, a co ty myślisz?
  - Przepraszam.
  - Nie było żadnego smoczka. Ale chyba powinien być?
  - Może mała ssła kciuk – powiedział Winter. – Lilly tak robiła. Jeśli mam być szczery, czasem wciąż to robi. Mowy nie było o smoczku.
  - Eriku, będziesz musiał spytać ojca.
  - Odpowie, że dziecko miało smoczek – odparł Winter.
  - W takim razie...
  - Już sam nie wiem. Ale prawdopodobnie morderca zabrał smoczek.
  - Czekaj – powiedział Öberg. – Przyszła Lisbeth.
- Winter słyszał ich w tle.
- Znaleźliśmy kilka nowych smoczków w szufladzie w kuchni – powiedział Öberg do słuchawki. – Nieużywanych. Czyli jednak mała ssła smoczek, chyba że zostały po tamtych dzieciach.
  - Ten skurwiel zabrał smoczek. Dotykał go. Wiedział, że go dotykał, dlatego go zabrał.
  - To możliwe. A dlaczego dotykał?
  - Bo uspokajał dziecko.

Winter stał w dużym pokoju i patrzył przez okno, inside looking out, pomyślał. To może być Marsalisa. Już wiedział, do czego są podobne skałki nad domem. Do dwumasztowca, kamiennego żaglowca oddzielonego od swojego morza.

Chłopiec był częściowo przykryty kocem, czy raczej pledem. Dlaczego? Bo morderca nie chciał już na niego patrzeć? Winter przykucnął przy narysowanym na podłodze obrysie zamordowanego dziecka. Chłopczyk miał na imię Erik, wciąż ma tak na imię, pomyślał. Miał pięć lat. Wszędzie – na ścianach, szafkach – były jego zdjęcia: sam, z młodszą siostrzyczką, ze starszą siostrą, która miała na imię Anna. Ma na imię Anna, poprawił się

w myślach.

Ale nie wchodził jeszcze do drugiej sypialni.

W przedpokoju stanął przed drzwiami wejściowymi. Nie nosiły śladów włamania. Ludzie Torstena zauważyliby, to zawsze widać.

Odwrócił się. Na podłodze zostały ślady: ktoś ciągnął ciało. Ktoś wszedł, kobieta stała tam, tam, któreś z dzieci tam, może oboje. Doszło do szamotaniny, stawiała opór. Chociaż może nie od razu. Albo wcale. Coś takiego można zrobić po fakcie, morderca mógłby to zaaranżować z zimną krwią. Wystylizować, pomyślał. Teraz wszystko się stylizuje. Po fakcie można zrobić większość rzeczy, ale nie wszystko. W przedpokoju jest krew, bo zaczęło się już tu. Te ślady opowiedzą swoją historię. Torsten ma w zespole dwóch specjalistów od interpretowania plam krwi. Plamy mogą wiele powiedzieć o sprawcy, o premedytacji i tak dalej. Rozpryski o tym, w którą stronę, z której strony. Kolejność – miłe słowo – kierunek, liczba ciosów. Ten skurwiel przyszedł tu z własnym narzędziem. Potem już samo poszło.

Krew na krew, pomyślał, krew na krew.

Zadzwo niła komórka.

– Tak?

– Jeszcze tam jesteś?

– Tak.

– I jak ci się wydaje? – spytał Ringmar.

– Dlaczego pytasz?

W słuchawce zapadła cisza. Dlaczego zadaję takie pytania? Dlaczego tak mówię? Nie pamiętam, jak było w poprzednim wcieleniu. Muszę się na nowo nauczyć rozmawiać z Bertilem. Wrócić do naszej metody, do wolnych skojarzeń. Chyba miałem za dużo słońca.

– Wydaje mi się, że on ich znał. Albo odwrotnie, że ona znała mordercę.

– W jakim sensie?

– Był znajomym.

– Na ile bliskim?

– Wystarczająco.

– A dlaczego nie czekał?

- Bo żądza mordu objawiła się już w przedpokoju.
- Żądza mordu?
- Sama mu otworzyła?
- Tak.

Winter wrócił do pokoju dzieci. Wyjrzał przez okno. Widział dróżkę prowadzącą do ulicy, domy, samochody, białe pola, skały, niebo, morze, wszystko.

- Wszystko widział – powiedział.
- Co takiego? Widział wszystko w domu?
- Coś jest z tym oknem – dodał Winter.
- Z którym?
- W pokoju dzieci. Tam gdzie było niemowlę.
- Widział niemowlę? Z zewnątrz?
- Wszystko widział – powtórzył Winter, ale jakby z innego miejsca w pokoju, jakby nie słyszał własnego głosu. Sam nie wiedział, co znaczą jego słowa, ale dowie się, był tego pewien.

Angela zadzwoniła o wpół do dziesiątej. Właśnie zamknął drzwi balkonowe. W pokoju zrobiło się zimno, całkiem przyjemnie. Dolał sobie whisky Springbank, dwudziestkijedyński, ale tylko na dwa palce. Rozgrzał się w środku, ale z wierzchu pozostał zimny.

- Co robisz?
- Tak sobie rozmyślałam o zmierzchu.
- Zmierzch trwa już od sześciu godzin, prawda?
- Stale jest zmierzch.
- Mówiłam ci, gdy nas zostawiałeś. Opuszczałeś.
- Miałaś rację.
- Piłeś?
- Cztery palce.
- Wydajesz się przygaszony.
- Mhm...
- Ciężki był pierwszy dzień w pracy? Opowiesz?
- Lepiej nie.
- Takie to straszne?
- Jeszcze gorzej.

- Nie wiem, co ci powiedzieć.
- Dziewczynki już śpią?
- Tak. Elsa zasnęła pół godziny temu. Siv przed chwilą pojechała do domu.
- Ile palców wypila moja kochana mamusia?
- Cha, cha.
- Jesteś pewna, że Elsa śpi?
- Tak. Chciałeś z nią porozmawiać?
- Tak.
- Obudzić ją?
- Nie, nie.
- Czy to ma jakiś związek z tym, co się dziś stało? Że chciałbyś usłyszeć jej głos?

Nie odpowiedział. Na Vasaplatsen ktoś coś krzyknął. Zabrzmiało to jak krzyk, ale równie dobrze mógł to być śmiech, pijak, którzy z prędkością światła pędził gdzieś, do jakiegoś miejsca między niebem a piekłem.

- Eriku, co się stało?
- Właśnie tego muszę się dowiedzieć.

\* \* \*

Zamknął oczy, wyciągnął ręce nad głową. Próbował się odprężyć, zagłębić w łóżko, odwrócić wzrok od obrazów pod powiekami, poczuć, jak znika twardość, zastępuje ją miękkość, a potem sen bez snów. W uszach miał szum morza. Narastał i opadał, nie czekając na siódmą falę, nie przejmując się rytmem. Za dnia było dobrze, wieczorami najczęściej też, ale kiedy zasypiał, a ta chwila nigdy nie chciała przyjść, szum przechodził w zawrodoenie. A nie chciał wstawać, żeby zażyć tabletkę imovane albo lergiganu, albo wypić jeszcze jedną whisky. Po prostu chciał uciec w sen od tego szumu, tego życia w szaleństwie, przez słabych zwanego tinnitusem. Nazwał to oczywistością, może nawet koniecznością: trwające od kilku lat bóle głowy w końcu eksplodowały, o dziwo wtedy, gdy już było po wszystkim. Lekarze, między innymi Angela, gratulowali mu, że nie cały mózg został unicestwiony wskutek nienaprawialnego udaru. Tak to nazwali? Nienaprawialny? Brak części zamien-

nych.

Przekręcił się na łóżku. Szum przycichł, jakby morze się cofnęło. Ale nigdy nie cofnie się całkowicie. Wiedział to, przecież tyle lat gnał przez życie najszybszym pasem, na baku pełnym adrenaliny, więc kiedy mu się skończyła, oszalał, przynajmniej na chwilę, na dziesięć minut. Stał nad basenem w Nueva Andalucia – że też akurat tam – i patrzył, jak pewien człowiek próbuje się utopić, a drugi usiłuje ratować życie mordercy, a on, Winter, jest pusty w środku, totalnie pusty, i na widok wyciągających się do niego rąk – niebezpieczeństwo? ratunek? – odruchowo, pozarozumowo podaje mu swoją. Został wciągnięty do wody, jakby przybity do krzyża, woda trysnęła mu do głowy, wypełniając pustkę. Było wystarczająco dużo wody, takiej błękitnej, sztucznej, więc zmiękł i opadł na dno, potem powoli przepłynął pod ciałami szalejącymi, kipiącymi na powierzchni, dotarł do drabinki i dźwignął się na górę, myśląc tylko o tym, że ani razu nie chciał odetchnąć. Ból poczuł dopiero wtedy, gdy musiał wciągnąć do płuc hiszpańskie nocne powietrze. Było chłodne, a woda w basenie była nagrzana słońcem. Czuł się w tej wodzie jak w objęciach.

Raptem znalazł się w innym miejscu, jak zawsze obcym. Zasnął i od razu zaczął śnić. Szedł za cieniem, bardzo wyraźnym w skośnym, długim słonecznym świetle, dłuższym od wszystkiego innego. Cień został przelamany w połowie, gdy zniknął za fasadą domu. Była biała jak ekran w kinie, nic się tam nie ruszało. Minął ścianę, skręcił za róg i zobaczył cień w postaci idealnego rowu przecinającego pole aż do morza, jak poprzeczna linia, poszedł wzdłuż niej, a ona powoli się od niego oddalała. Przy głowie, jeśli to była głowa, cień zniknął w wodzie, potem ciągnął się przez morze jak poczerniona linia na falach, dzieląc morze na pół, a on stał na brzegu i słyszał szum, tylko ten szum. Odwrócił się, ktoś wołał. Zobaczył rękę machającą z okna. Pokazywała coś. Zobaczył wiele rąk, które coś wskazywały, chyba morze, i wtedy znów się odwrócił, a cień właśnie wracał, ale tym razem nie był sam.

O!

Rzucił się na łóżku, jak od uderzenia.

Wyskoczył, jakby chciał uciekać, bo częściowo tkwił jeszcze we śnie. Widział opadające go cienie. Jedną z ich głów.

O!

Przeszył go dreszcz, jakby przez mieszkanie przeszedł podmuch wiatru. Był nagi. W głowie głośno mu szumiało. Zegar na stoliku nocnym wskazywał trzecią. Spał dwie godziny. Chyba śnił przez cały ten czas. Czyżby to wszystko działo się tak wolno? Od czego się zaczęło? Czy stało się coś jeszcze? Był jeszcze gdzieś? Czy to było nad morzem?

Szum w kranie brzmiał prawie tak samo jak ten w jego głowie. Stał i patrzył na wodę. W końcu nalał do szklanki i wypił. Ciągle miał w pamięci machające ręce. Ostrzegały przed czymś, był tego pewien, ale było coś jeszcze. Gdy się odwrócił, rozpoznał dom, to był dom w Amundövik. Ktoś machał z okna na piętrze. To była ta pierwsza ręka, powiewała pod samym dachem, jak flaga. Przecież na piętrze nic się nie stało. Było spokojnie, czysto, kontrast był niemal nieprzyzwoity. Ludzie Torstena oczywiście tam byli, ale koszmar nie dotarł na górę po siedemnastu stopniach schodów. Policzył je. Piekło rozegrało się na parterze.

Odstawił szklankę na marmurowy blat. Piętro. Tam coś jest. Nie sprawdził dokładnie, nie posłuchał. Nie zrozumiał.

Wrócił do sypialni i szybko się ubrał. Kiedy zapinał koszulę, usłyszał szczekanie ze snu, bardzo wyraźnie, dopiero teraz, jakby potrzebowało czasu, żeby się przedrzeć przez pokłady świadomości. Samotny pies, samotne szczekanie. Skąd mu się to wzięło? Mieli psa? Czy Marsowie mieli psa? Czy Torsten mówił coś o tym? Tyle tego było. Czy spytali męża, Jovana Marsa? Ma dziś przyjechać ze Sztokholmu. Wczoraj nie udało się z nim skontaktować.

Zadzwoił do Egila Tornera, ojca Sandry. Zaczął od kondolencji, czy jak to zwą. Jak zwykle nie wyszło mu najlepiej.

– Chciałbym z panem porozmawiać – powiedział.



- Właśnie rozmawiamy – odparł Torner.
- Ale nie tak.
- Nie dam rady.
- Kto mógł zrobić coś takiego? – spytał Winter.
- Nikt – odpowiedział Torner. – Próbuję sobie wmówić, że to się nie stało. Nie ma sensu, żeby pan mnie teraz przesłuchiwał. To się nie stało.
- Wyślę kogoś, żeby panu pomógł – odparł Winter.
- Mowy nie ma. Nie utopię się w morzu, ale w tej chwili nie mogę myśleć, nie jestem w stanie.

Jana głośno szczekała nad wodą, nad Skallvik. Tu cię nikt nie usłyszysz, pomyślał. Koło Skallvik nikt nie usłyszysz twój szczekania, ha!<sup>7</sup>

Puste, bezludne szkiery w zatoce mieniły się w promieniach słońca matowym złotem. Gdy doszli nad brzeg morza, włożyli okulary słoneczne. Nawet lutowe słońce może razić w oczy.

– No, biegnij! – zawołał do szczeniaka. – Możesz pobiegać! – Pokazał palcem na skały. – Tam!

Psiak spojrział na niego podejrzliwie. Kto wie, co taki pies może wiedzieć. Pewnie niewiele. Po kilku dniach nic nie pamięta. Gdzieś o tym czytał. Po pewnym czasie pies przestaje tęsknić. To może być kwestia kilku dni. Może z ludźmi jest podobnie. Wszystko inne jest grą, udawaniem. Nie znosił udawania. Wszystko powinno być takie, jak jest naprawdę, pomyślał. Pochylił się, podniósł gałązkę i rzucił w stronę skał. Spojrzenie psa podążyło po łuku za lecącą gałązką.

– Biegnij, Jana! Przynieś!

Jana się nie ruszyła. Odwróciła łepkę w stronę zatoki i znów zaszcekała. Nic tam nie było. A może było, ale widoczne tylko dla zwierzęcia. Czy są rzeczy, które dostrzegają tylko zwierzęta? Czy zwierzęta pamiętają rzeczy, które tylko one widziały?

Ruszył. Pies wreszcie zrozumiał, bo szedł obok, a właściwie podbiegał i podskakiwał jak dziecko.

Namawiał Liv, żeby poszła z nimi aż do skał. Dobrze ci zrobi,

---

<sup>7</sup> W dosłownym tłumaczeniu Skallvik znaczy zatoka szczekania.

przekonywał. Wyjdiesz na świeże powietrze.

- Jestem zmęczona – odparła.
- I właśnie dlatego powinnaś.
- Zimno jest.
- To luty! Słońce świeci!
- Nie. Idźcie sami.

Idźcie sami, jakby mieli zostawić ją samą w domu jako resztę rodziny. Idźcie sami. Cokolwiek by zrobił, ona i tak nie wyjdzie z domu. Jeśli to depresja, to trzeba to leczyć, ale ona nie chce. Co roku zimą jest to samo. Za ciemno, za zimno. I właśnie dlatego powinna teraz wyjść. Akurat jest słońce.

- Słońce świeci! – powtórzył.
- Christian, głowa mnie boli – powiedziała. – Jutro wyjdę.
- Liv, słońca może nie być przez następnych kilka tygodni.
- Jutro. Czytałam, że będzie ładnie przez dobrych kilka dni.
- Więc jutro wyjdiesz?
- Tak.
- Obiecujesz?
- Obiecuję.

Wiedział, że ta obietnica jest nic niewarta. Jutro będzie inny dzień, przyniesie inne problemy. Teraz jest tylko on i Jana. I tak pozostanie.

Szczeniak odskoczył kawałek. Zaczął się przyzwyczajać. Może skały nie wydają mu się już tak groźne.

– Prawda, jak tu ładnie! – zawołał. Odwrócił się. Wydawało mu się, że dojrzał na pysku kundla uśmiech. To dobrze. Uśmiech zawsze jest dobry, u wszystkich stworzeń.

– Więc morderca uśmierca rodzinę i zabiera ze sobą psa – powiedział Halders.

– Psa?

– Tam był pies. Mieli psa. Torsten tak powiedział, zanim wrócił do wydziału. Nawet ja potrafię rozpoznać sierść psa, tak powiedział. Chociaż miał pewne wątpliwości. Mógł do nich przyjść ktoś z psem.

– Morderca przyszedł z psem?

– Torsten da znać, kiedy będą wyniki. Nie było aż tyle tych śladów.

– Ta sprawa robi się coraz gorsza – zauważyła Aneta.

– Więc może morderca przyszedł z psem i wymordował rodzinę.

– Nie całą – zwróciła mu uwagę Aneta. – Nie wymordował całej rodziny.

– To jeszcze gorzej – stwierdził Halders.

– Co masz na myśli?

Nie odpowiedział od razu. Leżeli w łóżku, dostatecznie szerokim dla nich obojga. Nie byli małżeństwem, ale to było ich łóżko. Kiedyś ten dom należał do niego i Margarety, ale teraz był ich, a Magda i Hannes byli ich dziećmi. Tak się stało. Chcesz mieć dziecko, Aneto? – spytał pewnego razu. Może był pijany. Już mam dwoje, odparła. A właściwie troje, dodała po chwili.

Halders wstał z łóżka i podszedł do okna. Światła milionowego miasta pokrywały całą przestrzeń, od leżącego poniżej Lunden aż do morza kilkadziesiąt kilometrów dalej. W ubiegłym roku liczba ludności aglomeracji Göteborga przekroczyła milion, i to z nawiązką, a zatem mieszkali teraz w wielkim mieście na rzadko zaludnionych peryferiach świata. Kiedy przyjechał tu jako młody policjant, w mieście był jeden jedyny koń, saloon, hotel i jedna ulica. Ależ szybko poszło. Miasto nadal znajdowało się na końcu świata, ale zapelnili je wszyscy ci ludzie. Skąd oni się wzięli? Nie wszyscy się tutaj urodzili. I nie wszyscy tutaj umrą, pomyślał, odwracając się.

– Chodzi o to, że zostawił dziecko, żeby umarło – powiedział. – To jeszcze gorzej.

– Tego nie wiemy – odparła i również wstała z łóżka. Stała obok niego i wyjrzała przez wielkie okna. – Może nie wiedział o tej malutkiej. Była w innym pokoju.

– To myślenie życzeniowe – zauważył, ale powiedział to miękko.

Oboje byli nadzy. Położyła mu dłoń na ramieniu. Czwarta rano. Jeszcze przez prawie pięć godzin będzie ciemno. Wtedy będą w innym mieście niż to nocne i już nie będzie tak pięknie.

- Nadal jest sezon światła – powiedział.
- Sezon światła elektrycznego.
- Niektórzy wolą je od naturalnego – powiedział.
- Położymy się jeszcze? – spytała.
- On wiedział o dziecku.

Nic na to nie odpowiedziała.

- Jeśli nie dlatego zostawił dziecko, żeby umarło, to po co?
- Nie rozumiem, Fredriku.
- K o m u ją zostawił?
- Musisz mi to wytłumaczyć. Chociaż nie wydaje mi się, żebym miała siłę o tym rozmawiać. Chcę pospać jeszcze kilka godzin.

- Nie możesz zasnąć, prawda? Oboje nie możemy. Dlaczego?
- Okej, okej.
- Czy ten potwór wiedział, że ktoś zauważy dziecko? Zanim będzie za późno?

– Nie wiem – odparła.

– Ja też nie.

– Może wiedział, że jej mąż zadzwoni?

– Że mąż zadzwoni? Skąd mógł wiedzieć?

Nie odpowiedziała.

– Albo że przyjdzie do domu – powiedział Halders. – Może morderca liczył na to, że jej mąż wróci do domu jeszcze tego samego dnia. Jak zwykle. Codziennie wracał do domu.

– Przecież nie wracał – odparła. – Przecież w tygodniu nie mieszkał w domu.

– Morderca o tym wiedział? Czy nie wiedział?

Na to też nie odpowiedziała. Ale już się domyślała, do czego on zmierza.

– Może wiedział, że jej męża nie ma – powiedział. – Ale na pewno liczył się z tym, że zadzwoni do domu, bo dzwonił codziennie, gdy go nie było. Tym razem nikt nie odbierał, więc już pierwszego wieczoru by się zaniepokoił. Zacząłby sprawdzać, co się stało. I dowiedziałby się. Już pierwszego wieczoru.

– Ale nie zadzwonił – powiedziała Aneta.

– Właśnie. – Halders złapał ją za rękę. Nie zadzwonił.

Winter spotkał się z Jovanem Marsem w swoim gabinecie. Mars mógł wybrać miejsce. Rano przyjechał ze Sztokholmu i pojechał do małej. Nie pozwolili mu zobaczyć zwłok przed sekcją. Niemowlę miało wkrótce zostać zawiezione do jego siostry, do Hagen. Winter dobrze znał tamte strony. Wychował się tam. W ich dawnym domu rodzinnym mieszkała teraz jego siostra. Do przystani Långedrag dojeżdżało się rowerem w dziesięć minut, czasem w siedem. Od wielu lat tego nie robił, ale niedługo zrobi.

Mars miał nieruchome spojrzenie, jakby patrzył do środka.

Był to jeden z tych szczególnie trudnych momentów.

Winter przyniósł kawę. Stała na stole przed Marsem i stygła. Winter też nie pił, nie chciał zaczynać pierwszy.

– Pokłóciliśmy się – powiedział Mars z wciąż tym samym niewidzącym spojrzeniem. – Pokłóciliśmy, kiedy w ostatni weekend przyjechałem do domu – dodał i rozplakał się.

– O co się pokłóciliście? – spytał Winter.

– A jakie to ma znaczenie? – Mars podniósł wzrok i spojrzał mu w oczy.

Winter pomyślał, że jest od niego dziesięć lat młodszy. Znał wszystkie jego dane, obejrzał dużo zdjęć. Teraz w ogóle nie przypominał człowieka, którym był przedtem. Jego włosy wyglądały, jakby wiatr przylepił mu je do czaszki. Oczy bez blasku, ale najwięcej o jego stanie emocjonalnym mówiło ciało. Siedział na fotelu, jakby to było krzesło elektryczne, jakby został posadzony siłą, wbrew swojej woli, co w pewnym sensie było zgodne z rzeczywistością.

– Może nie ma to znaczenia – odparł Winter. – Ale i tak spytam. Będę pytał o wiele rzeczy. Niektóre pytania wydadzą się panu głupie. Proszę o wybaczenie.

– O wybaczenie?

– O co się pokłóciliście?

– Zwykle sprawy.

– Co to są zwykle sprawy?

Mars nie odpowiedział. Znów to samo puste spojrzenie.

– Co to są zwykle sprawy? – powtórzył Winter.

– Chciał pan powiedzieć: co to były te zwykłe sprawy?

Po raz pierwszy spojrział tak, jakby był obecny w tym pokoju, w gabinecie Wintera. To był jego gabinet od czasu, kiedy – chyba – szesnaście lat temu został komisarzem. Zresztą jakie to ma znaczenie? I tak nigdy nie czuł się tam u siebie. W pierwszym odruchu przyniósł wieżę Panasonic. Do tej pory stała na podłodze, wciąż to samo badziewie, ten sam Coltrane razem z tym wszystkim, co się tu przetoczyło jak lód albo ogień, ale i tak nie zrobiło z tego pokoju jego drugiego domu. Oszałałby, gdyby tak było. Ale jeszcze nie oszałał.

– Nie chciała, żebym pracował w Sztokholmie – wyjaśnił Mars.

Winter skinął głową.

– Ja też nie chciałem – dodał Mars.

– To dlaczego? – spytał Winter.

– Co dlaczego?

Mars spoglądał teraz zupełnie inaczej. Wcześniej Winter nie widział u niego tego spojrzenia. U innych tak. Kiwnął głową, tylko tyle. To była kwestia tu i teraz. Za chwilę może być po wszystkim. Z tego, co wiedzieli, nie miał niezbitego alibi. Sztokholm nie leżał na drugim końcu świata, tylko po drugiej stronie Szwecji.

– Dlaczego nie zmieniłem pracy? – Mars machnął ręką. – Co pan wie o sytuacji na rynku pracy? O możliwościach wyboru?

Winter nie odpowiedział. To on jest od zadawania pytań. Trzeba się do tego w końcu zabrać.

– W Göteborgu nie ma pracy? – spytał.

– Nie takiej jak moja.

– Rekrutuje pan ludzi. W Göteborgu też są ludzie, których można rekrutować.

– Nic pan nie rozumie – powiedział Mars.

– Czego nie rozumiem?

– Jak to działa.

– A jak działa?

– Tak, że muszę prowadzić działalność również gdzie indziej.

– Mars wstał. – Już nie mam siły.

– Proszę, żeby pan usiadł – powiedział Winter.

- To rozkaz?
  - Proszę o współpracę – odparł Winter.
  - W takim razie niech mi się pan postara o sznur – powiedział Mars.
  - Słucham?
  - Żebym się mógł powiesić – odparł Mars. – To będzie współpraca.
  - Dlaczego chce się pan powiesić?
  - Też pytanie!
  - Muszę pytać.
  - Mam wrażenie, jakby pan nie zrozumiał, co się stało – stwierdził Mars.
  - Ma pan dziecko.
  - Chce pan powiedzieć, że jedno zostało, tak?
  - Greta.
- Mars nadal stał, jakby sam decydował o sobie. Spojrzał na Wintera z góry. Winter nadal siedział naprzeciwko fotela, w którym on siedział chwilę wcześniej. Wstawienie fotela to też był pomysł Wintera.
- Nie lubię pana – powiedział Mars. – Świnia z pana.

WINTER PATRZYŁ NA ŚPIĄCĘ DZIECKO. Towarzyszyło mu wiele różnych uczuć, ale najsilniejsza była ulga, nie radość. W głowie miał szum. To przez to zimno. Na pewno. Stres nasilający się podczas nocy polarnej. Nerwy kłębiące się w tyle głowy.

Zdążył zmarznąć, gdy parkował na starym ohydnyim parkingu przed szpitalem Sahlgrenska. Zepsuło się ogrzewanie w siedzeniu mercedesa. Było mu zimno, gdy wysiadł z samochodu i ruszył w stronę oblodzonego chodnika. Pesymista doczepiłby do butów kolce antypoślizgowe. I chodziłby z kijami, pomyślał. Zmierzamy do grobu, podpierając się kijami. Kijów używał, tylko kiedy jeździł na nartach. Dawno temu, w innym wcieleniu.

Na małej buzi malował się spokój. Greta. Ona wiedziała tylko tyle, że była straszliwie głodna i spragniona, nic więcej. Tu było bezpiecznie. Wkrótce otworzy oczy, zacznie obserwować wszystko wokół i będzie się uczyła żyć.

Winter wyszedł z pokoju i poszedł korytarzem do recepcji. Kobieta siedząca przed monitorem podniosła wzrok. Wydała mu się znajoma. Nie było jej, gdy przyszedł. Może to pielęgniarka, ale nie. Mógł ją widzieć, gdy przyjeżdżał po Angelę po pracy. Albo gdy przywozili ofiary przestępstw i przestępców, ludzi dobrych i ludzi złych.

– Zastąłem Arnego Johnssona? – spytał.

– Przepraszam?

– Niech pani nie przeprosza. Jestem umówiony z doktorem Johnssonem.

– Kto pyta?

– Ja.

– Kim pan jest?

– To ja – powiedział, sięgając do wewnętrznej kieszeni palta. Pokazał legitymację.



– Aha – odparła. – Dziecko.

Kiwnął głową.

– Mógłby pan być uprzejmiejszy – powiedziała. Nie miała nazwiska, nie miała plakietki na piersi. Może była w jego wieku. Trudno powiedzieć. Może była przystojna.

Doktor Johnsson przyjął go w swoim gabinecie, czy jak to nazwać: segregatory, papiery, komputer, telefon, biurko. Przypominał mizerny gabinet Wintera. Winter już tam kiedyś był. Jak wszędzie w Göteborgu. Kiedyś pił z Johnssonem whisky.

– Stan dziecka jest dobry – powiedział Johnsson.

– Na to wygląda.

– Jest dobry. Ale niewiele brakowało.

– Ile?

– Jeśli minęły dwie doby, odkąd jadła, to niewiele. Jeśli trzy doby – to cud. Dłużej by nie wytrzymała.

– Więc ile dni?

– Nie potrafimy tego stwierdzić. Przyjrzymy się uważnie wynikom badań, ale i tak trudno to określić. Wydaje mi się, że nie mogło to być więcej niż dwie doby. Teraz można powiedzieć tylko tyle, że była odwodniona.

– Tyle sam widziałem – odparł Winter.

– A co mówi wasz lekarz sądowy?

– Niewiele więcej niż ty.

– Myślałem, że zaszliście dalej.

– Zajdziemy. Może nawet przy tej sprawie. Wezwaliśmy eksperta sądowego, entomologa.

– Doktora od owadów – powiedział Johnsson. Wstał. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, do tego stopnia, że jego sylwetka odcinała pokój od bladego światła zza okna.

– O tej porze roku też jest taka możliwość – odparł Winter. – Owady mogą żyć w domu w stanie uśpienia. Budzi je zapach rozkładających się zwłok. Zaczynają w nich składać jaja.

– Interesujące. To oczywiście możliwe.

– Zobaczymy.

– Chyba macie inne punkty zaczepienia, żeby określić, kiedy to się stało? Nie tylko stan dziecka? – spytał Johnsson.

– W skrzynce na listy były gazety z trzech dni. Plus kilka

innych rzeczy.

– Dziecko nie mogło być bez picia od trzech dni. To niemożliwe.

– Rzekłeś.

– Jeśli morderstwa dokonano wcześniej niż trzy dni przed jego odkryciem...

Winter zobaczył w oczach przyjaciela błysk. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, w tyle głowy poczuł znajomy chłód.

– On wrócił – dokończył Winter. – Wrócił, żeby utrzymać dziecko przy życiu.

Johnsson nic nie powiedział. Patrzył na Wintera, na jego twarz, a może na czoło, jakby chciał się przekonać, jak działa jego umysł.

– Boże, dopomóż – dodał Winter.

– Tobie pomaga?

– Gdzie byśmy byli bez jego pomocy?

– Poczekaj z tym zaklinaniem, dopóki się nie dowiesz więcej – powiedział Johnsson. – Na przykład od tego doktora od insektów.

Ale Winter już miał w głowie ten obraz, miał go pod powiekami, coś tak koszmarnego musiało być prawdą.

– A temperatura w domu? – spytał Johnsson.

– Co takiego?

– Chyba temperatura w domu jest dla was jakimś wskaźnikiem, chyba mówi coś o tym, kiedy... to się stało?

– Ten temat mamy opanowany, Arne.

– Ja tylko głośno myślę.

Winter zobaczył przelatujące za oknem dwa czarne ptaki. Były bardzo blisko. Obserwowały go. Powiedziały coś do siebie i znikły w przestworzach.

– Dlaczego zostawił dziecko? – mówił Winter. – Zostawił... przy życiu.

– Teraz ty głośno myślisz?

– Tak. Cały czas się nad tym zastanawiam.

– Nie byłem tam z tobą. Musiałbym mieć... obraz sytuacji, żeby się zastanowić. Zresztą nie mam twojej wyobraźni.

– Może to było jego dziecko – rzucił Winter.

– Dziecko mordercy?

Nie odpowiedział. Johnsson już się nie odzywał. Znów usiadł. Winter widział słońce między dwoma budynkami szpitala. Takie mizerne i wystraszone, jakby się bało pokazać.

– Jego własne dziecko – powtórzył Winter po chwili.

– A tamtych dwoje?

Winter próbował przypomnieć sobie twarz Jovana Marsa. Wyrażała tysiące różnych uczuć, złość była tylko jednym z nich.

– Nie jego.

– To nie były jego dzieci? – spytał Johnsson.

– To zostaje między nami – zastrzegł Winter.

– Oczywiście.

– To nie on – powiedział Winter. – On nie jest mordercą.

– Jesteś tego pewien?

– Nie.

– Ma alibi?

– Nie. Przynajmniej do tej pory, może nigdy nie będzie miał.

Między innymi o tym teraz mówimy.

– W takim razie dlaczego uważasz, że to nie on?

– Bo nazwał mnie świnią – odparł Winter.

Tym razem nie zabrał Jany. Niech się lepiej poznają w domu, Liv i Jana. Liv zaczęła rozumieć, że to jej pies. On nie ma z tym nic wspólnego, teraz już nie. Wszystko było z myślą o niej, chodziło mu tylko o nią.

Zaparkował dość daleko, na Grevegårdsvägen. Początkowo zamierzał pojechać do Frölunda torg, ale pomyślał, że pewnie da się wypożyczyć film na Opaltorget, chociaż nie znosił tego miejsca. Czy ktoś je w ogóle może lubić? Na tyle, żeby powiedzieć to głośno? Cha, cha, może i tak, ale na pewno nie on.

Chciał wypożyczyć kilka filmów wojennych. Pojawiło się kilka nowych, chyba dobrych, chociaż nie zapamiętał tytułów. Nieważne, przypomni sobie, gdy je zobaczy. Łatwo poznać, czy film jest dobry, czy zły. Wystarczy spojrzeć na okładkę, na twarze aktorów. Widać po nich, czy czują, że zagrali w dobrym, czy w złym filmie. Nie ma to nic wspólnego z recenzjami, raczej

przeciwnie. Filmów, które miały dobre recenzje, prawie nigdy nie oglądał. Były śmiertelnie nudne. Tylko pedały uwielbiaają takie filmy i nienawiiidzą filmów wojennych, które i tak nie mają dobrych recenzji. Zresztą pedały i tak nie oglądają filmów wojennych. Poza tym nie znam żadnego pedała, pomyślał, i nie poznam. Uwolnić Opaltorget od pedałów, pomyślał i prawie się zaśmiał. Uwolnić od wszelkich nietutejszych, na przykład gangi młodzieżowe są jeszcze gorsze od pedałów. No nie, ale jeśli się dobrze zastanowić, to straszna zaraza, może nawet gorsza, bo pedały nie krążą w grupach, żeby spuszczać łomot ludziom, to gangi im spuszczaają łomot, ale to nie wszystko, widziałem, sły-  
szalem i czytałem o tym, i bardzo mi się to nie podoba. Watahy złotej młodzieży z willowych osiedli w Önnered.

Wściekł się na samą myśl o tym. Watahy tych prawicowych łobuzów wałęsają się, demolują plac i całe Önnered i całe Näset, a jak im się nie przeszkodzi, zdemolują całe miasto, potem prowincję, potem kraj i wreszcie cały świat, kurwa! Tak właśnie będzie. Wojna będzie. Może to by nie było takie złe, pomyślał, stając na środku placu. Może tak byłoby najlepiej. Poszedłbym na tę wojnę, Z największą ochotą, bo byłaby to prawdziwa wojna, do czegoś by prowadziła.

Tam się kręci kilku gówniarzy. Dlaczego nie są w szkole? Przecież jeszcze pora lekcji. Pewnie w ogóle nie chodzą do szkoły, ha, dzisiejsza szkoła to żart. Czego oni się tam uczą? Gdyby miał dzieci, dopilnowałby, żeby się uczyły! Siedziałby razem z nimi na lekcjach, codziennie przychodziłby do szkoły i pilnował, żeby się nie opuszczały. A kiedy wracałyby do domu, nie pozwoliłby im przesiadywać przy komputerze, chyba żeby miały coś wyszukać do lekcji. Już on by tego dopilnował.

Gdyby miał dzieci, wychowałby ich na ludzi, najlepszych na całym świecie. Dopiąłby tego, zawsze to wiedział.

Gdyby ona dała mu dzieci. Pomyślał o tym na tym obrzydliwym placu i aż zacisnął pięści. Nic dziwnego. Przygryzł wargi, jak wtedy, gdy bardzo się na coś wściekał. Tak teraz wściekł się na myśl o tej cholernej... a on dał jej pieska, taki jest dobry, chociaż nie dała mu dzieci, ani jednego, tymczasem świat jest pełen dzieciaków, które biegają bez żadnego dozoru, dziecia-

ków bez przyszłości, bez sensu.

Zacisnął powieki, a gdy je otworzył, nijakie słońce właśnie zaczynało się zniżać za kościołem. Stał przed tablicą ogłoszeń. Jak się tam znalazł? Na lewo był sklep mięsno-wędliniarski, Kaprifolkött<sup>8</sup>, też mi nazwa, może chcą przyciągnąć wegetarian, ekologiiiczne kotlety, nie ma końca tym wariactwom.

Kiedys był tu sklep z kasetami wideo, Videokullen albo Videoknuten, czy coś w tym rodzaju, ale już od ładnych kilku lat go nie ma. Zupełnie zapomniał. Wszedł do Willys, ale tam mieli gówniane filmy, takie stare, że już wszystkie widział. Oferują same filmy drugiego sortu, bo myślą, że mieszkają tam ludzie drugiego sortu, i w dziewięćdziesięciu procentach mają rację: Willys jest dla ludzi drugiego sortu. Tutaj mieszkają szumowiny z różnych tak zwanych kultur. Z gazet wynikałoby, że wszystkie czarnuchy mieszkają w Angered i Hjällbo, ale niektórzy zagnieździli się i tutaj, mój Boże, wystarczy spojrzeć na tę tablicę ogłoszeń, NABOŻEŃSTWO PO ARABSKU, czyli trzeba umieć po arabsku, żeby iść na nabożeństwo, chyba o to chodzi. To mówi wszystko o tym, jak daleko to zaszło.

Na placu zrobiło się prawie ciemno, słońce zachodziło nad Tynnered. Niebo wyglądało, jakby cała zachodnia część Göteborga stała w ogniu. To jeszcze przyjdzie, był o tym przekonany, całe miasto zapłonie, to po prostu musi nastąpić. A wtedy on będzie daleko stąd, w pierwszym szeregu, i będzie walił z kałasznikowa do wszystkiego, co się rusza. Nikt nie będzie wiedział, skąd ten ogień. To będzie terror, prawdziwy terror. Terror jest wtedy, gdy nikt nie rozumie, co się dzieje. Właśnie tego im trzeba, i bambusom, i tym bucom z klas wyższych. Kulka w łeb zrobiłaby z nich ludzi.

Ruszył w stronę kawiarni na rogu, Le Pain Français, merci merci masziner pedale, ale ja jestem ponadto.

Na ścianie kościoła był duży napis. Wciąż dało się go odczytać w tym ginącym świetle: „GDYBY BÓG BYŁ, O CO BYŚ GO ZAPYTAŁ?”. Cholernie dobre pytanie. Spytałby Go, czy kiedykolwiek miał maszynkę do golenia. Nie, głupie pytanie. Spy-

---

8 Kaprifolkött – w dosłownym tłumaczeniu byłoby to mięso z wiciokrzewu.

talby, co bierze, na pewno coś mocnego. Wygląda na to, że Kościół już nie jest pewien, czy Bóg istnieje. „Gdyby Bóg był...” – do tego doszło. On napisałby: „O CO SPYTAŁBYŚ PANA BOGA?”. Po prostu, ale oni pewnie boją się zdrzeć z innymi kulturami i innymi bogami. Może powinien do nich napisać, prosić o zmianę napisu na „GDYBY BYLI BOGOWIE, O CO BYŚ ICH ZAPYTAŁ?”. Ale mogliby to potraktować poważnie. Nie zdziwiłby się, gdyby poszli za jego radą, ha!

Szedł przez plac, do samochodu, który zaparkował kilkaset metrów dalej. Przyjemnie się szło. Zimno mu nie przeszkadzało, rozpiął nawet kurtkę pod szyją. Zrobiło mu się ciepło, wręcz gorąco.

– Uważaj, żebyś nie zamarznął, staruchu pierdolony!

To ta grupka przed Willys. Spojrzał w ich stronę. Nie widział twarzy, białe czy czarne. To nie miało znaczenia, nie tym razem.

– Pierdolony staruch! – krzyknął ktoś inny. Na pewno właśnie tak krzyknął.

Zrobił kilka kroków w ich stronę. Było ich czterech, może pięciu łobuzów, nieważne. Wszyscy w czapkach, kapturach, rękawiczkach, pikowanych kurtkach. Boją się zimna, boją się wszystkiego.

– Coś ty o mnie powiedział? – spytał, patrząc na dymek swojego oddechu. Wygląda jak gaz unoszący się z wulkanu, pomyślał. Ja jestem wulkanem, mogę wybuchnąć w każdej chwili.

Jeden z tych gnojków ruszył w jego stronę.

– Spieprzaj stąd, dziadu jeden! Spieprzaj! Jesteś chory na głowę!

– Ja tu mieszkam – powiedział.

– Ostatnio jakoś nie było cię widać.

– Co to ma do rzeczy?

– Siedziałeś w wariatkowie?

Już nie ma domów wariatów, pomyślał. Pomyłeńcy chodzą wolno po ulicach i placach. Teraz podchodzą do niego, wszyscy. Na placu chyba nie ma innych ludzi. Zupełnie jakby nagle zro-

biła się północ, wszystkie światła zgasły. Może i jest północ, nie po raz pierwszy krążył godzinami jak we śnie. Czasem było to przyjemne, niemal podniecające, jak teraz. Podniecające. Ten najbardziej wysunięty do przodu podniósł rękę, jakby chciał uderzyć, zrobił krok, powiedział coś bez znaczenia. Znaczenie ma to, pomyślał, zaciskając dłoń na trzonku noża, który jakby sam wysunął się z pochwy przy pasku. Trzonek dobrze leży w dłoni. Teeeeraz zrobię krok, już zrobiłem, znów unosi rękę, dziękuję bardzo, ale jest zdziwiony, tak, ty łachudro, to jest nóż, prosto w płuco, w serce, to jeszcze nie boli, może nigdy nie bolało, za szybko to idzie, za bardzo boli, za szybko. Łobuz stojący obok dostał niezły cios w brzuch i już padał na asfalt, miękki fajny asfalt, pozostali zniknęli, zwali za róg, Willy został sam z tymi kupami gówna na asfalcie, coś mówili, staruchu? Już nie jest tak fajnie jak przedtem, co? Fajnie, jest fajnie, po prostu super, może najfajniejsza chwila w życiu! Odwrócił się i poszedł, już nic nie słyszał, nie widział, szedł ulicą, mógł być kimkolwiek, każdy mógł tamtędy iść, wsiadł do samochodu, ktokolwiek, ruszył, pojechał, był wszędzie, był wszystkim. Objężdżając rondo Åkered, znów pomyślał o Bogu, o co by Go zapytał, spytałby: Boże, czy mi wybaczysz? I właśnie to zrobił.

W blasku księżyca samochód firmy ochroniarskiej bielił się na śniegu, niezbyt dyskretnie, ale może skutecznie.

Facet wysiadł z samochodu, gdy Winter zaparkował. Winter o mało nie poślizgnął się na lodzie. Pokazał legitymację.

– Nie masz kolców? – spytał facet. Może żartował. W każdym razie tak to zabrzmiało.

– Kolce noszę wtedy, gdy prowadzę w kasku – odparł Winter.

– Twardziel z ciebie. A gdybyś musiał kogoś gonić? – spytał ochroniarz. – Gdybyś na przykład musiał biec? – Był stosunkowo niewysoki, w barach miał prawie tyle samo wzrostu. Winter domyślał się, że pod futrzaną czapką ma ogoloną głowę. Czapka nadawała mu rosyjski wygląd. Pogoda też była rosyj-

ska. Postanowił, że następnego dnia kupi sobie futrzaną czapkę, jeśli znajdzie naprawdę ładną. Może w Ströms. Mundurowa jest nie do przyjęcia. Jeśli ma dużo czasu spędzać na dworze, będzie potrzebował ciepłej bielizny, ale bielizna już nie musi być taka ładna.

– W tej chwili nie planuję pościgu – odparł Winter.

– Pelle – powiedział facet, wyciągając rękę w rękawiczce.

– Erik.

Podali sobie ręce.

– Tu jest spokój. – Ochroniarz spojrział na dom. – Co za cholerna... sprawa. Nigdy nie słyszałem o czymś takim. Godzinę temu przechodził jakiś gość. Powiedział, że co wieczór tędy chodzi. Sąsiad. Powiedział, że nazywa się Krol, bo spytałem. Robert Krol.

– Tak, poznałem go.

– Tak samo jak jeden holenderski piłkarz – powiedział Pelle.

Winter kiwnął głową. Rzeczywiście był w Holandii jeden Krol, Ruud Krol, grał w pierwszych mistrzostwach świata, które śledził z prawdziwym zainteresowaniem, w 1974 roku w Niemczech Zachodnich. Miał wtedy czternaście lat i marzył o karierze zawodowca.

– Gadał jak nakręcony – dodał Pelle.

– Co mówił?

– Nie przesłuchaliście go?

– Tylko raz. Wczoraj – odparł Winter i spojrział na dom. Wydawał się czarny, przerażający. Może nie dla kogoś, kto nic nie wiedział. Ale okoliczni mieszkańcy musieli wiedzieć.

– Wszystkich tutejszych przesłuchaliśmy.

– Powiedział, że to on zaalarmował policję – ciągnął ochroniarz.

Winter nie odpowiedział. Patrzył w okna domu. W blasku księżyca były takie jasne, jakby w pokojach się paliło.

– Może roznosiciel gazet – powiedział Pelle.

– Co?

– Roznosiciel gazet powinien był zaalarmować. Przesłuchaliście go?

– Jeszcze nie. Jesteś tu sam?



– Kurde, nie. Sören się gdzieś tu kręci. Wydawało mu się, że coś zobaczył.

Winter czekał na ciąg dalszy. Mogło to znaczyć cokolwiek. Przecież dopiero co powiedział, że jest spokojnie. I na to wyglądało.

– Jakiś cień za domem – ciągnął Pelle. – Poszedł sprawdzić.

– Co za cień?

– Nie wiem.

– Kiedy to było?

Ochroniarz poświecił na zegarek.

– Pół godziny temu.

– Nie powinien już wrócić?

– Powinien, masz rację. – Ochroniarz spojrział na swoją komórkę. – Nie odezwał się.

Kamienie opadły bezgłośnie na dno. Woda pod pomostem była jak rzeczka, jak mały Golsztrom. Obciążył kurtkę kamieniami i kilka razy owinął drutem. Zawsze dobrze mieć drut w bagażniku. Jeden rękaw jakby pomachał na pożegnanie. To była świetna kurtka, już jej żałował. Ale była poplamiona. Zobaczył to, gdy wsiadł do samochodu i zapalił światło. Kilka plam, nawet nie czerwonych, tylko czarnych. Na dnie, tam gdzie opadła, też wszystko było czarne. Nie wypłynie przez miliony lat.

Zapiął kurtkę. Tak, miał jeszcze jedną. W bagażniku woził dużo rzeczy, pół garażu. Przydawały się. Więcej z nich pożytku tutaj niż tam.

Morze było nieruchome aż po czerniejący horyzont. Ta linia mogła być niebem albo ziemią. Szkiery w zatoce nie poruszyły się od miliardów lat, dziś też tego nie zrobią. Zatoka była skuta lodem aż po Ränneskär i jeszcze dalej. Mógłby przejść piechotą aż do tego kawałka, gdzie lód stykał się z niebem. Spytałby Boga, stanęliby twarzą w twarz.

Trzy żaglówki wmarzły w lód przy pomoście. Niedobrze, co to za ludzie zostawiają tak łódki na zimę? Piękne, drogie łódki. Gdyby do niego należały... Gdyby były jego.

Z restauracji nad pomostem dochodziły różne odgłosy: piosenka o Janssonie, chłopcu okrętowym. Kiedyś nawet zachodził tam na piwo, ale nie z Liv, to nie dla niej.

Odwrócił się, jacyś ludzie schodzili po schodach. Ktoś się zaśmiał, śmiech odbił się od lodu i rozszedł po zatoce. Nie było echa, niebo nigdy nie daje echa.

Dwie pary. Szły w jego stronę, na pomost. W rękach kieliszki, lekko ubrani, w samych garniturach, sukienkach. Ich oddechy przybierały kształt dymków z komiksów, gadu-gadu, paplali do siebie, nie słyszał słów. Chyba zmierzali aż na koniec pomostu, tam gdzie on. Cofnął się kilka kroków od brzegu.

Winter ruszył z powrotem, w stronę morza. Słyszał, jak ochroniarz coś mówi. Odwrócił się. Z komórką przy uchu machnął ręką. To oni nie używają zestawów głośnomówiących? Walkie-talkie? Krótkofalówek?

Stał na moście do Stora Amundö. Jego komórka nie miała tam zasięgu, nawet na numery alarmowe.

Wyspa mieniła się w świetle księżyca. Czarne sylwetki, jedne ostre, inne miękkie. Jak większość mieszkańców Göteborga chodził po wszystkich tych ścieżkach. Po przeciwnej stronie było kąpielisko, głównie dla dzieci, bo dorośli kąpali się przy skałkach. Między skałkami wysuniętymi najdalej na północ była nawet drabina. Ostatnim razem, gdy tam stanął, była zardzewiała. Nawet nie tak dawno temu. Wszystkie drabiny prowadziły wtedy do nieba. Chciałby, żeby nadal tak było. Piekli wtedy kielbaski na maleńkiej plaży nad zatoczką, dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie stał. Była zima, jak teraz, styczeń albo luty, i zimno jak dziś. Lilly i Elsa nazbierały patyczków wyrzuconych przez morze. Chciały je zabrać do domu, wysuszyć i wystrugać z nich ludziki. Morze wyglądało tak, jakby gruby lód zaległ aż po krańce archipelagu. Upiekł te kielbaski prawie na węgiel, wtedy są najsmaczniejsze. To był przepiękny dzień, niebo błękitne i nieskończone otuliło całą ziemię.

W tym momencie zobaczył światelko na wyspie po prawej. Na pewno w pobliżu przejścia do kąpieliska. Przesuwało się

tam i z powrotem – latarka. Zapalała się i gasła. Może to ten drugi ochroniarz, Sören? Po co błąka się po wyspie? Na parkingu po tej stronie mostu nie było ani samochodów, ani ludzi. Wiedział, że okoliczni mieszkańcy wciąż są w szoku po morderstwach, jak po tsunami. Siedzą w domach ze swoimi myślami albo próbują o tym rozmawiać.

Światelko przesuwalo się teraz na południe, przez łąki, na których latem pasły się konie. Ten, kto trzymał latarkę, powinien go dostrzec. Stał na środku mostu. Lód pod spodem trzeszczał.

Czy powinien pójść za tym światelkiem? To byłoby chyba bardzo głupie. Poczłł dreszcz na karku, jakby od obcej dłoni. Znów to napięcie. Nie sądził, żeby to, co właśnie obserwował, zdarzało się codziennie. Przycisnął rękę do ciała i łokciem wymacał sig sauera. Zapewniał poczucie bezpieczeństwa. Czasem myślał sobie, że przyjemnie byłoby prowadzić niewinne życie, bez broni, ale teraz potrzebne mu było poczucie bezpieczeństwa, które zapewniał pistolet. Gdyby prowadził niewinne życie, nie stałby na końcu świata przy minus czternastu stopniach i nie śledziłby słabego snopu światła, który mógł pochodzić z niczego i być w drodze donikąd. Donikąd było za nim. Patrzył w mroczną przyszłość.

– Halo?! – zawołał. – Halo!

Światło zgasło.

– Halo! – zawołał jeszcze raz. Podał nazwisko, powiedział, kim jest, powtórzył nazwisko.

Światło się zapaliło, zaczęło się szybko zbliżać. Winter źle ocenił odległość, w ciemności nie było to łatwe.

Ochroniarz wszedł na most i zgasił latarkę.

– Więc to ty – powiedział Winter. – Sören.

– Rozmawiałaś z Pellem?

– Tak. Już się zaczął niepokoić.

– Nie sądzę. Ale nie mogłem się do niego dodzwonić. Coś się dzisiaj dzieje z tą wyspą, chyba że wysiadł maszt przekaźnikowy.

– Ja mam to samo – powiedział Winter. – Dlaczego tam poszedłeś?

– Wydawało mi się, że widziałem kogoś koło domu, od tyłu. Później, jak skręciłem za róg, miałem wrażenie, jakby ktoś szedł drogą, a gdy przyszedłem tutaj, ten ktoś przeszedł przez most.

– Jesteś pewien?

– Nie.

– Dlaczego poszedłeś na wyspę?

– Mówiłem już, wydawało mi się, że kogoś widziałem. Zrobiłem jedno okrażenie, może niepełne.

– Ale nikogo nie było?

– W każdym razie ja nikogo nie widziałem. – Odwrócił się, spojrzał na wyspę. – Jeśli nawet ktoś tam był, mógł łatwo wrócić, kiedy byłem po tamtej stronie – powiedział, wskazując na północną część wyspy.

– Wiedział, że tam jesteś? Na wyspie?

– Nie mam pewności.

– Co wzbudziło twoje podejrzenia?

– Nie wiem, czy aż podejrzenia, ale coś tam było.

– Człowiek?

– Tak myślę. Nie sędzę, żeby zwierzę. – Zaśmiał się. – W każdym razie nie łoś. Może sarna. Ale raczej nie.

– Jeśli ktoś się kręci koło domu, to jest to poważna sprawa – powiedział Winter. – Bardzo.

– Zrobiłem, co mogłem – odparł Sören.

Winter znów spojrzał na wyspę.

– Pewien jesteś, że ktoś szedł tym mostem? Na wyspę?

– Na pewno coś tam było – powtórzył Sören. – Co robimy?

Winter przestępował z nogi na nogę. Za długo stał i miał za lekkie buty. Poczul, że mu zimno, i to jak cholera. Jakby miał ujemną temperaturę w nogach, aż do szpiku. Przydałaby się czapka. Czul, że całe ciepło uchodzi z niego przez głowę, jak z komina. Zrobił kilka kroków tam i z powrotem. Z jakiegoś powodu nie zabijał rąk dla rozgrzewki. Tam już nie ma wyspy, pomyślał, tylko kawałek lądu otoczony lodem. Teraz on też jest lądem, można po nim przejść. Kto zechce, może przejść suchą nogą cały odcinek na północ do Långedrag albo na południe do Särö. W świetle księżyca lód wyglądał jak asfalt, wiatr zwał

śnieg, morze było autostradą, tak samo dla złych i dla dobrych.

– Przyprowadzę samochód do mostu – powiedział w końcu.

– Nie ma sensu biegać po wyspie. Jeśli ktoś przejdzie przez most, zobaczymy go. Obserwujcie też lód.

– Znaczący nikogo nie przepuszczać przez most! – podsumował ochroniarz.

Winter nie odpowiedział.

Garnitury i sukienki patrzyły na lód, albo na wodę, bo akurat tam była. Taki strumyk pod pomostem. Jego paczka przesunęła się pod lód, daleko stąd.

Ktoś się zaśmiał. Zachowywali się, jakby go nie widzieli. Jakby go nie było, jakby był niewidzialny. Jakby byli właścicielami pomostu i restauracji, całego Önnered i całego zachodu.

Znów ktoś coś powiedział. Nie słuchał, chciał odejść, odwrócił się.

Patrzyli na niego.

Widzicie mnie? Przyjrzyjcie się uważnie. To ja. To naprawdę ja.

– Cześć – odezwał się jeden z nich.

Skinął głową w odpowiedzi. Wystarczy skinienie, i tak odchodzi. Teraz już było mu zimno, za długo stał bez ruchu.

– Trzymasz tu łódkę? – spytał ten sam palant. Stał w tym swoim garniturze, z kieliszkiem w ręku. Oczywiście nie było mu zimno. Takim nigdy nie jest zimno.

– Trzymałem – odparł i ruszył.

– Jakbym cię kiedyś tu widział – ciągnął wodolejca. – Trzymałeś łódkę przy pomoście B, co?

Nie odpowiedział. Ten idiota mówi o kim innym. To nie mógł być on, nie przy pomoście B.

– Może napijesz się wina? – spytała jedna z kobiet. Zobaczył, że trzyma butelkę. Mają więcej kieliszków? Jakoś nie widział. Planują tu jakieś spotkanie? Ci z klas wyższych mogą urządzać spotkania gdziekolwiek, wszędzie mogą imprezować. Widzieli go z okien restauracji? Czy gdyby chciał się napić, miałyby dla niego dodatkowy kieliszek? Odchodząc, właśnie o tym myślał.

Na Vasaplatsen rozległo się głucho dudnienie tramwaju. Winter już zdążył na nowo przyzwyczać się do tego odgłosu. Pokoje odzyskały dawny zapach. Czuł się tak, jakby nigdy nie wyjeżdżał.

Odtajał w kąpielni. Na brzegu wanny postawił szklanę i na dwa palce glenfarclas cask strength, sześćdziesiąt procent. Diabelski, najlepszy napój.

Powoli zanurzył się w ukropie. Skóra na jądrach zmarszczyła się, wyglądały jak włoskie orzechy na żarzących się węglach. Tak powinno być zawsze.

Wystawił stopy nad powierzchnię. Palce u nóg wciąż miał białe i sine, jak u prawdziwego kibica śledzącego wszystkie lutowe mecze towarzyskie IFK<sup>9</sup> rozgrywane na zaśnieżonym boisku. Tylko że teraz IFK nie ma w Göteborgu, są na obozie treningowym na Costa del Sol, a on jest tu, jako jedyny.

Wytarł rękę w ręcznik leżący obok wanny, na mozaikowej podłodze, i wybrał skrócony numer na Costa del Sol.

– Zimno mi – powiedział, gdy odebrała. – Włazłem do wrzątku, ale i tak mi zimno.

– Pretensje miej do siebie.

– Jest gorzej, niż myślałem.

– Z czym? Z pogodą czy ze sprawą?

– Z jednym i drugim.

– Co się dzieje?

– Czekamy na Torstena, na wyniki badań, wiesz. Pukamy do sąsiadów. Przesłuchujemy. Jutro znów będę rozmawiał z ojcem.

– O mój Boże.

– Mamy między innymi problemy z określeniem czasu zbrodni.

– Czy ma to coś wspólnego z jej mężem?

– Zawsze ma.

– Naprawdę go podejrzewasz?

– Zawsze podejrzewa się męża. Teraz mogę myśleć, co chcę,

---

9 IFK Göteborg – pierwszoligowa drużyna piłkarska.

to i tak nie ma znaczenia na przyszłość. Najbliższa rodzina jest zawsze podejrzana. Jako pierwsza.

- Straszny jest ten świat.
- To arogancki typ – powiedział. – Co świadczy na jego korzyść.
- Przecież on musi być w ciężkim szoku.
- Nie wiem.
- W takim razie musisz sobie znaleźć kogoś innego, żeby o tym rozmawiać.
- Pewnie masz rację.
- Zazwyczaj potrafisz okazać zrozumienie.
- Tak, ale w tej sprawie jest coś, co mnie uwiera.
- Co takiego?
- To dziecko, które przeżyło.
- Chyba nie chcę o tym rozmawiać – powiedziała.
- No to stawiamy kropkę – odparł.
- Też mi się tak wydaje. Przynajmniej na dziś.
- Przyjadę na weekend.
- Nie obiecuj na wyrost, Eriku.
- W Marbelli też mogę myśleć.
- Zacznieś myśleć t u t a j?
- Cha, cha – powiedział.
- Żartowałam.
- A ja się zaśmiałem.

Szum w uszach nie ustawał. Nie chciało się wstać, nie chciał wziąć tabletki, było mu zimno. Mimo to wstał, wysikał się, umył ręce, poszedł do kuchni, wypił szklanek wody, wyjrzał przez okno na podwórze. Wszędzie ciemność, nikt nie czuwał, był sam.

Mogę spróbować pomyśleć. Usiadł w fotelu w dużym pokoju, natychmiast wstał, podszedł do wieży, nastawił A Love Supreme i znów usiadł.

Otworzyła mordercy. Sandra mu otworzyła. Dlaczego? Znała go? Może nie znała, ale był to ktoś budzący zaufanie?

Ktoś w mundurze?

Osoba... urzędowa?

Sąsiad?

Budzący zaufanie?

To tu i teraz. Już nie wróci. To ten czas: dni, noce. Włączył lampę podłogową i sięgnął po leżącą na stoliku przed kanapą książkę. Dziś jest początek. Będzie sobie słuchał A Love Supreme i czytał książkę Ashleya Kahna o powstawaniu tego arcydzieła. Muzyka już mu pomagała. Meditations Coltrane'a towarzyszyły koszmarom związanym z inną sprawą, a może raczej on towarzyszył muzyce. Teraz Coltrane śpiewał a love supreme, a love supreme, a love supreme. To nie była piosenka, raczej komunikat, coś, o czym wiedział tylko on, John Coltrane, ale to też był błąd:

Album A Love Supreme spotkał się z tak silną reakcją słuchaczy, że ludzie zaczęli postrzegać Coltrane'a jako nadczłowieka. Uważam, że to niesprawiedliwe i niesłuszne. Coltrane był takim samym człowiekiem jak każdy z nas, z tą różnicą, że był gotów więcej ćwiczyć i zrobić wszystko, żeby w swojej dziedzinie być najlepszym. Prawdziwą wartością osiągnięć Coltrane'a jest to, że dokonał ich jako człowiek.

Był takim samym człowiekiem jak ty i ja. Winter położył książkę na podłodze. Był człowiekiem, oto czego dokonał Coltrane. Gotów był zrobić wszystko, żeby być najlepszym w swojej dziedzinie.

Ktoś się zaśmiał, gdy przechodził przez przedpokój, który nie miał końca. Najpierw dziecko, potem mężczyzna, potem znów dziecko. Ktoś śmiał się bez przerwy. Spotkał kobietę, zatkała uszy rękami. Wychodziła, teraz pobiegła. On pobiegł w przeciwną stronę, w stronę śmiechu, ktoś się śmiał coraz głośniej, kilkoro dzieci. Ktoś z tyłu zawołał, odwrócił się, jakaś postać podniosła rękę, na palcu coś się kręciło, nie mógł dojrzeć co. W przedpokoju rozległ się głos: zapomniałeś o tym, ale nie znał tego głosu ani tej rzeczy, która nie przestawała się kręcić.



W STAREJ SALCE KONFERENCYJNEJ zebrało się ściśle grono wydziału dochodzeniowego. Byłoby zupełnie tak jak dawniej, gdyby nie to, że po przebudowie Winter już nie widział areny Nya Ullevi. I już nie zobaczy. Brakowało mu tego widoku. Już nigdy nie będzie mógł wbić wzroku w jeden punkt, zaczepić myśli o zaokrąglony narożnik Ullevi i dać jej zawisnąć, aż albo spadnie na asfalt, albo poszybuje pod niebo. Co za cholerny widok. Spojrzał na niebo. Było błękitne jak lód, niezwykle jak na zimowy Göteborg, błękitne jak obietnica. Wyciągnął rękę i dotknął okna. Nie wiedział, po co to robi. Nie mógł przestać myśleć o tym, co mu się śniło minionej nocy. Kiedy się obudził, jeszcze się bał.

Ze wstępnego raportu z obdukcji Sandry Mars wynikało, że miała w pochwie resztki spermy. Do stosunku mogło dojść kilka dni wcześniej, ślady pozostają w pochwie dość długo.

– Czy ona miała kochanka? – dobiegł go z tyłu głos Haldera. Winter się odwrócił.

– Nie znaleźliśmy oznak gwałtu – odezwał się Ringmar. – Rano rozmawiałem z Torstenem. Owszem, jest sperma, ale... poza tym wszystko w porządku.

– W porządku? – powiedziała Aneta Djanali.

– Przecież wiesz, co mam na myśli.

– Nie podoba mi się, że Fredrik od razu zaczyna mówić o kochanku. Tak naprawdę niczego nie jesteśmy pewni.

– Nie zauważyłaś znaku zapytania? – spytał Halder.

– Mam teraz wypatrywać znaków? Masz dymki nad głową?

Winter, niczym dowódca, podniósł rękę jak uczeń, tę samą, która dotknęła okna.

– Wiadomo, że resztki spermy mogą się utrzymywać przez kilka dni – powiedział. – W tej kwestii nie da się powiedzieć nic więcej, w każdym razie nie teraz. Jovan Mars mówi, że nie było go w domu od dziesięciu dni. To jego słowa, dowodów nie ma.

– Po co miałby kłamać? – spytał Halders.

Ktoś się zaśmiał.

– Właśnie założyliśmy, że była z kimś innym – powiedział Winter, nie odpowiadając wprost. – Z mordercą?

– Chodzi ci o to, że odbyli stosunek za obopólną zgodą, a potem ją zamordował? – spytała Aneta. – Zaraz potem?

– To hipoteza.

– Albo była z kimś, kto nie ma nic wspólnego z morderstwem – uzupełnił Ringmar.

– Z morderstwami – zauważyła Aneta.

– Tak, z morderstwami. Na przykład z kimś, kto bezpośrednio nie miał nic wspólnego z morderstwami, ale ona miała z nim romans.

– Jeśli miała – powiedziała Aneta.

– Właśnie to musimy rozstrzygnąć w pierwszej kolejności – powiedział Winter. – Czy miała kogoś. Kto to jest? Gdzie jest? I – w takim razie – dlaczego się nie odezwał?

– Dobrze pytanie – zauważył Halders. – Na to jest tylko jedna odpowiedź.

Winter kiwnął głową. Zrobiło mu się gorąco, jakby go brała gorączka. Musiał wyjść z tego pokoju, wyjść na słońce, pojechać gdzieś.

– Że morderca i kochanek to jedna i ta sama osoba – powiedział Ringmar.

W wydziale technicznym panował ruch. To tu jest samo centrum postępowania, nie w kuźni myśli wydziału zabójstw, pomyślał Winter. Zobaczył Öberga i podniósł rękę na powitanie.

– Sergiej nie wierzy w hipotezę na podstawie numerów gazet w skrzynce – powiedział Öberg. – Podchodzi do niej z ostrożnym sceptycyzmem.

– Ledwo zdążył zbadać ciała.

– Zobaczył, co swoje.

– Jaja owadów?

– Było trochę.

Sergiej Bodvarsson, entomolog sądowy, wyrobił sobie markę po obu stronach Półwyspu Kolskiego. Mówił z islandzkim akcentem. Tak samo nazywał się chyba pewien ekspert wulkanolog? Winter nie spytał.

– Więc mogli nie żyć od co najmniej trzech dni?

– Może.

– Kiedy się dowiemy?

– Może nigdy, Eriku. Ale możesz przyjąć takie założenie.

– Już to zrobiłem. Niemowlę przeżyło.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że ktoś tam przychodził ją karmić.

– Po morderstwie?

– Tak. Rozmawiałem z Johnssonem z kliniki uniwersyteckiej Sahlgrenska.

Öberg podrapał się w krótko przyciętą bródkę. Był starszy od Wintera o pięć, może siedem lat. Zbliżał się do słodkiej sześćdziesiątki.

– W Stanach koledzy mają specjalne trupie farmy – powiedział.

– Już to sobie wyobrażam.

– Pierwsza mucha przylatuje do zwłok w niewiele sekund po śmierci – podkreślił Öberg.

– A ile sekund minęło w tym wypadku?

– Bardzo, bardzo dużo.

– Da się zidentyfikować odciski palców na zwłokach?

– To trudne, jak wiesz.

– Tam jest sporo różnych przedmiotów – powiedział Winter.

– W tej chwili zajmuję się łóżkiem.

– Łóżkiem – powtórzył Winter.

– Analiza DNA potrwa jeszcze kilka dni. Na wyniki LCN<sup>10</sup> musisz poczekać trochę dłużej.

– Wiem. – Odruchowo dotknął ramienia Öberga. – Chodzi mi o łóżko. Facet na mgnienie oka stracił tam kontrolę nad sobą. Jeśli coś jest, to właśnie tam.

– Mamy jeszcze ubranka dziecka – zauważył Öberg.

---

<sup>10</sup> LCN – Low Copy Number, technika profilowania śladowych ilości DNA.

– W ogóle wszystko mamy – odparł Winter.

Po pasach przechodziła kobieta z psem na smyczy. Pies był duży. Winter nie znał tej rasy, nigdy nie miał i nie będzie miał psa. Ktoś, kto nie ma alergii, zapewne się jej nabawi, jeśli będzie trzymać w domu psa.

Patrzył za nim. Sierść w kolorze złota.

Z tyłu zabrzmiał klakson.

– Zielone – powiedział Ringmar. – Znaczy można jechać.

Ruszył. Myślał o psie. Tym drugim. Jaki on jest? Gdzie on jest? Uśpiony? Zakopany?

Torsten nie znalazł innych śladów psa, tylko sierść. Żadnej krwi, nic.

– Sprzedała go – powiedział, gdy byli na wysokości Masthuggstorget.

– Co?

– Sprzedała psa – powtórzył Winter. – Dlatego go nie ma.

– Chyba że morderca zabrał go ze sobą – odparł Ringmar.

– To się nie zgadza.

– Tak samo jak się nie zgadza to, że zostawił przy życiu jedno dziecko – zauważył Ringmar.

– Nie zgadza się, ale w innym sensie – powiedział Winter. – Mogła go sprzedać. Znaczy psa.

– Jak?

– Dała ogłoszenie. Najczęściej tak się robi.

– Ale kiedy?

– Trzeba przepytac sąsiadów, kiedy ostatnio widzieli psa. Można też sprawdzić gazety. „GP”<sup>11</sup>. Cofnąć się o tydzień, może dwa.

– Okej.

– Nie mówiliśmy mediom, że był jakiś pies – powiedział Winter. – Bertilu, widziałeś, żeby gazety coś o tym pisały?

– Nie.

– Ale jeśli ktoś kupił tego psa, to musiał czytać o morder-

---

<sup>11</sup> GP” – „Göteborgs-Posten”, druga pod względem nakładu gazeta w Szwecji.

stwach albo słyszeć o nich w telewizji, więc na pewno się domyślił – ciągnął Winter.

– Chodzi ci o to, że powinien się z nami skontaktować – powiedział Ringmar. – Przecież wiesz równie dobrze jak ja, że ludzie tak nie robią. Okej, zacznijmy od ogłoszenia.

– Jeśli okaże się, że było ogłoszenie, możemy poprosić kupca o kontakt – odparł Winter. Wjechał pod górę, na Stigbergsleden, i zaparkował na dziesięciominutowym parkingu przed Bengans.

– Nie jedziemy na Amundön? – zdziwił się Ringmar.

– Zaraz wracam – powiedział Winter.

Poszedł do działu z muzyką klasyczną i jazzem. Kupił płytę i wrócił po pięciu minutach.

– Nie mam nic w samochodzie – powiedział, włączając silnik. – Rano zapomniałem zabrać.

Zjeżdżając na Djurgårdsgatan, wsunął płytę do odtwarzacza.

Zabrzmiały dźwięki gitary. Hiszpańskiej.

– Zacząłeś słuchać flamenco? – spytał Ringmar.

Już byli na Oscarsleden. W świetle słońca suwnica bramowa po drugiej stronie rzeki wyglądała jak skorpion.

– To nie flamenco.

– A co?

– Jazz. Gra Ulf Wakenius. Jest stąd, tak samo jak Lars Jansson.

Jechali obwodnicą Säröleden na południe. W ostrym słońcu cienie wyglądały zupełnie jak latem. Silny odbłask lodu na morzu z prawej mógłby oślepić nieosłonięte okularami oczy. Promienie załamywały się w jego czarnych szklach. Jechali i coraz głośniej szumiało mu w głowie. Wczoraj wieczorem osłabł na chwilę. Tylko alkohol na to pomaga. Byłe nie za dużo, i tylko glenfarclas i springbank. Gdy odwracał głowę w prawo, towarzyszyło temu tst-tst-tst, jakby z opóźnieniem, i było w tym coś błyskawicznego, jak gad, język węża, tst-tst-tst, tak było, odkąd uszkodził sobie potylicę. Powolne ruchy też nie pomagały. Z czasem podobno wszystko miało się samoistnie naprawić, ale równie dobrze mogło to nastąpić dopiero w następnym wcieleniu.

Gdy podjechali pod dom, stał tam już Robert Krol. Policyjna taśma puściła w kilku miejscach. Zwisły smętne kawałki, jakby wstępne dochodzenie już się zakończyło albo jakby na zawsze pozostało nieukończone.

– Wygląda, jakby nikt się niczym nie przejmował – powiedział Winter.

– Sprawdzę, czy ochroniarze Securitasu mają w samochodzie więcej taśmy. Kiedyś dostali od nas trochę – powiedział Ringmar i ruszył do samochodu ochroniarzy. Nikogo w nim nie było. Może poszli zrobić rekonesans na wyspie.

Dom jako jedyny stał w cieniu. I tak już miało pozostać. Stał w samym środku cienia. Gdy go kiedyś rozbiorą, ziemia pod spodem będzie czarna.

– Sąsiedzi są roztrzęsieni – powiedział Krol, spoglądając na dom.

– Rozumiem ich – odparł Winter.

– Boją się, że on tu wróci.

– Pan też się boi?

– Nie, ja nie. Ale inni. Kobiety i dzieci na przykład, no i ojcowie.

– A dlaczego pan się nie boi?

– Bo nie wierzę, że ten skurwiel wróci.

– Dlaczego nie wróci?

Krol nie odpowiedział. Znów patrzył na dom, jakby na fasadzie było coś, co widział tylko on.

– Bo już po wszystkim – powiedział po dłuższej chwili i spojrział na Wintera. – Był tu tylko raz. Tylko wtedy.

– Czym się pan dawniej zajmował? – spytał Winter.

Krol nie wydawał się zdziwiony.

– Byłem chiefem, pierwszym mechanikiem na statku – powiedział. – Ale od prawie trzech lat jestem na emeryturze.

– I zamieszkał pan w pobliżu morza.

– Oczywiście, a co pan myślał.

– Rozumiem, że nie da się żyć z dala od wody.

– Kto by potrafił?

– Właśnie.

– Nie spyta pan, dlaczego sądzę, że już po wszystkim? –

powiedział Krol.

– Niech pan mówi.

– Między nimi było jakoś dziwnie – powiedział Krol. Znów spoglądał na dom, cały czas pogrążony w cieniu. To pewnie przez tę górkę z tyłu, pomyślał Winter. Złudzenie optyczne. – Nie było go całymi tygodniami, a czasem nie przyjeżdżał nawet w weekendy.

– Skąd pan wie, kiedy przyjeżdżał, a kiedy nie?

– Nie jestem wścibski, ale to oczywiste. Przez cały weekend widzi się to i owo.

– Dlaczego było dziwnie?

Krol nie odpowiedział. Wciąż patrzył na dom.

Winter powtórzył.

– Tak, dziwnie – odezwał się w końcu Krol. Przeniósł wzrok gdzie indziej, za dom.

– Bo?

– Często go nie było – ciągnął. – A dzieci były małe.

– Może to nie jest takie dziwne – zauważył Winter. – Był pan marynarzem. Pewnie pana też często nie było.

– Oficerem – poprawił go Krol.

– Ale często był pan nieobecny.

– Nie mamy dzieci – odparł Krol. – Jakoś się nie złożyło.

Zrobił krok w stronę domu, może tylko poruszył nogami. Było zimno, słońce prawie nie grzało. Było na drugim końcu świata.

– Ja bardzo lubię dzieci – powiedział Krol i rozplakał się.

Psiak chyba poczuł się jak u siebie. Runstig spytał ją, jak jej się zdaje, czy kundel czuje się u nich jak w domu.

– Nie wiem – odparła.

– To twój kundel.

– Dlaczego tak na nią mówisz? Nikt inny tak nie mówi.

– To szwedzkie słowo. Niedługo pewnie zakażą używania szwedzkich słów.

Nie odpowiedziała.

– Zobaczysz, że tak będzie – powiedział.

– Ona chce wyjść.  
– Co?  
– Jana chce wyjść. Spójrz na nią. Potrzebuje ruchu. I musi coś zrobić.  
– Co?  
– Przecież wiesz.  
– Dlaczego tego nie powiesz? Musi się wysikać, jak wszystkie żywe stworzenia. Dlaczego nie potrafisz o tym rozmawiać? Ty też potrzebujesz ruchu. Mogłabyś z nią wyjść.  
– Nie chcę. Nie mogę. Gardło mnie boli.  
Gardło boli, pomyślał. Ja jej dam...  
– I jeszcze kolano – dodała.  
Wbił paznokcie w dłonie. Nagle zachciało mu się mocno ugryźć w palec, przegryźć go.  
– Powinienem był zareagować wcześniej – powiedział Krol.  
– Znacznie wcześniej, to jasne.  
Szli drogą prowadzącą do ścieżki rowerowej. Było za zimno, żeby stać w miejscu. Teraz na ścieżce nie było rowerzystów. Wszystko zamarzło, zrobiło się błękitne i białe. Domy wyglądały jak powleczone lodową błoną.  
– Dlaczego pan uważa, że trzeba było zareagować wcześniej? – spytał Winter.  
– Przecież nie wychodzili. Samochód stał. Nikt nie wychodził z domu. – Z każdym słowem z jego ust wydobywały się dymki, jak sygnały dymne. – Nikt.  
– Zimno było – powiedział Winter. – Może akurat chorowali.  
– To typowy przejaw szwedzkiego tchórzostwa – stwierdził Krol. Zatrzymał się, odwrócił do Wintera. – Pilnować swoich spraw i mieć gdzieś innych.  
– Tacy jesteśmy?  
– Właśnie tacy. Jest gorzej niż dawniej.  
– Nie było pana, był pan na morzu.  
– Dlatego mam porównanie. Z każdym powrotem było coraz gorzej. – Patrzył na lód. Było go widać między stojącymi na brzegu willami. – W końcu nie wytrzymałem tych powrotów do domu. To już lepiej siedzieć w domu, jeśli pan rozumie, co



mam na myśli.

– Kiedy widział ich pan ostatni raz?

– Co?

– Kiedy widział pan kogoś z tej rodziny?

– Ma pan na myśli również jej męża?

– W tej chwili nie chodzi o niego.

Krol patrzył na lód, na położoną dalej wyspę i niebo nad nią. Głównie biel i szarość, a gdyby uruchomić wyobraźnię, może smużka zieleni.

– Kilka dni temu – powiedział. – W samochodzie. Chyba wybrała się z dziećmi na zakupy. – Krol miał taką minę, jakby znów miał się rozplakać. Pierwsze łzy zamarzły mu w kącikach oczu, jakby przedtem stał na lodzie, na wietrze. – To na pewno było dzień przed.

– Dzień przed czym? – spytał Winter.

– Dzień przed morderstwem, do cholery! Tak mi się wydaje.

– Znów ruszył przed siebie. – Nie mogę pamiętać dokładnie.

– Ja muszę pytać.

– Pewnie pan musi. Paskudna robota.

– Był z nimi jeszcze ktoś?

– Nadal nie chodzi panu o Jovana?

– Nie w tej chwili.

– Dzieciaki bawiły się z innymi. Na placu zabaw. Tam zawsze byli jacyś dorośli. Ona pewnie też, tak przypuszczam. Razem z tą malutką.

– Żadnych innych dorosłych? Nie widział pan, żeby ktoś ją odwiedzał?

Właśnie zatrzymali się przy placu zabaw. Kompletnie zamarniętym i pustym. Nikt nie huśtał się na oponie zawieszanej na linach, nie wspinał w dużym domku do zabawy. Winter pomyślał, że to jeden z najładniejszych placów zabaw, jakie kiedykolwiek widział.

– Nie, nie widziałem go.

– Kogo?

– Tego, co kupił psa.

Winter zamarł. Włosy na karku zjeżyły mu się jak szczotka. W głowie zakłuło, tst-tst-tst.

– Kto kupił psa?

– Nie wiem. Wiem, że miała go sprzedać. I sprzedała. Chyba sprawdziliście?

– Powiedziała panu, że sprzedała?

– Nie, ale to miało się stać lada moment. No i potem go nie było. Bo chyba go nie ma, prawda?

Stanął bardzo blisko. Jego twarz wyglądała jak przetarta papierem ściernym. Cerę miał jak pergamin. Na nosie i policzkach cienkie żyłki, jak u pijaka. Może i pił, ale to była twarz z wiatru. Winter nagle poczuł zazdrość. Jakby mu umknął sens życia.

– Pies był w domu? – spytał Krol.

– Nie – odparł Winter. – Sprawdzamy, kto go kupił.

– Powodzenia – powiedział Krol.

– Kiedy to było? – spytał. – Kiedy mówiła, że chce go sprzedać?

– Niedawno. Może kilka tygodni temu. Nie, później.

– Kiedy ostatni raz widział pan psa?

– Lunę – sprostował Krol. – Wabi się Luna. To szczenię.

– Kiedy pan ją widział?

– Chyba ze dwa dni później.

– A dokładniej?

– Nie potrafię powiedzieć. Może jak trochę odtaje.

– Dlaczego ją sprzedali?

– Mówiła, że dostała alergii. Zdaje się, że jej synek też był uczulony. Miał na imię Erik.

– A co na to jej mąż?

– Już rozmawiamy o nim?

– Tak.

– Myślę, że nie wiedział – powiedział Krol. – To też wiele mówi, prawda?

– Widział ją pan z kimś innym? – spytał Winter.

– Niby z kim?

– Z kimkolwiek.

– Są sąsiedzi.

– Z kimś jeszcze? Z kimś, kogo pan tutaj nie widywał?

– Pan chyba myśli, że mam oko na wszystko i na wszystkich.

– Muszę pytać.

Znów ruszyli, tym razem wzdłuż ścieżki rowerowej prowadzącej do mariny Amundö. Winter zobaczył setki łódek wyciągniętych na brzeg. Stępki miały pokryte warstewką lodu.

– To już przypomina plotkowanie – powiedział Krol.

– Doszło do morderstwa – przypomniał Winter. – Potrójnego morderstwa.

– Ja nic nie widziałem – odparł Krol. – Nie chciałem widzieć.

– Czego pan nie chciał widzieć?

Krol nie odpowiedział.

– O co chodzi?

– O nic.

– Proszę powiedzieć.

– Nie mam nic do powiedzenia.

BERTIL RINGMAR WSIADŁ DO WINDY, zanim Winter zdążył nacisnąć przycisk. W bezlitosnym świetle cerę miał szarą, jak brudny śnieg. Kiedy Winter wrócił do Göteborga, stwierdził, że wszyscy wyglądają na chorych. Wiedział wprawdzie, skąd mu się to wzięło, przecież długo mieszkał tam, gdzie jest naturalne światło, ale Boże, jak ci ludzie marnie wyglądają, jacy szarzy. Tak jest zimą na północy, pomyślał. To nie miejsce dla wariatek szukających światła i wystawiających twarz do słońca.

– Co słychać, Bertilu?

– Dlaczego pytasz?

– Bo fatalnie wyglądasz.

– Dzięki, szefie. Akurat coś takiego chce się usłyszeć o ósmej rano.

– Już nie jestem twoim szefem.

– Formalnie nie, ale od przyszłego miesiąca znów będziesz.

– Czy to problem?

Ringmar nie odpowiedział. Winter wpatrzył się we własną twarz w lustrze. Niepiękną, z opalenizną, którą popsuły wypowiedziane przed chwilą słowa.

– Bertilu, przepraszam.

– Daj spokój.

– Wystarczy, że spędzi się trochę czasu na wolności, i już się zapomina o dobrym wychowaniu.

– A ty zrezygnowałeś z tej wolności.

– Dla ciebie, Bertilu.

– Mam cię za to uściskać?

– Czemu nie.

– Nie mogę. Ramię mnie boli.

– Poczekamy, aż wydobrzejesz.

– Okej – odparł Ringmar.

Winda zatrzymała się na piętrze, na którym mieścił się ich

wydział. Wysiedli.

- Ja też kiepsko spałem – powiedział Winter.
- Czeka nas więcej nieprzespanych nocy – odrzekł Ringmar.
- Tak sądzisz?
- Możesz wstąpić do mnie na chwilę?
- Teraz?
- Tak byłoby najlepiej. Trzeba zrobić mały bilans.

– Najpierw zabił dzieci.

– Dlaczego?

– Żeby nie widziały.

– Gdzie?

– Tam, gdzie je znaleźliśmy.

– Torsten jeszcze tego nie rozgryzł – powiedział Winter. –  
Musimy odtworzyć przebieg wydarzeń.

– To nie były ślady ciągnięcia po podłodze.

– Czego miały nie widzieć?

– Jak ją zabija.

– Skąd ta troska?

– Znał je.

– Skąd?

– Był ich ojcem.

– Przyjechał do domu i zaskoczył ją – powiedział Winter.

– Przyjechał późnym wieczorem, a wczesnym rankiem wyje-  
chał.

– Nie zadzwonił dzwonkiem.

– Chłopiec nie miał na sobie piżamy.

– Na początku miał, ale zabójca go przebrał.

– Kazał mu się przebrać.

– Nie, chłopiec zrobił to z własnej woli.

– Dlaczego?

– Zostawmy tę piżamę.

– Najmłodsze dziecko oszczędził.

– To jest klucz – stwierdził Winter.

– Cała trójka – to były jego dzieci.

– Był tego pewien.

– Nie, nie był.

- Coś podejrzewał.
- Od dobrych kilku dni nie rozmawiał z żoną.
- On tak mówi.
- Nie znaleźliśmy tej rozmowy, chociaż mamy wszystkie bil-  
lingi.
- Mamy telefony z komórek na kartę.
- Trzy takie telefony.
- Od kogo?
- Od niego.
- Nie od niego. Ani jeden z tych telefonów nie był od niego –  
odparł Winter.
- W takim razie od kogo?
- Od mordercy.
- Wszystkie trzy?
- Przynajmniej jeden.
- Dlaczego tylko jeden?
- Morderca chciał kupić psa. Odpowiedział na ogłoszenie.
- Dlaczego dzwonił z telefonu, którego nie da się namierzyć?
- Dlatego że zamierzał zabić – powiedział Winter.
- Już wtedy wiedział, że zabije?
- Tak.
- Wiedział, ile osób zostanie w domu.
- Bo już tam był.
- Był wiele razy.
- W środku?
- Nie, w pobliżu.
- Kręcił się po okolicy? Na oczach ludzi?
- Tak.
- W takim razie nie ma związku z ogłoszeniem o psie –  
zauważył Winter.
- Nigdy tam nie był, ogłoszenie dało mu szansę.
- Czekał na szansę.
- Chciał zabić. Kogokolwiek.
- Nie zauważył najmniejszego dziecka.
- Miał pełne ręce roboty.
- Wydawało mu się, że już nie ma czasu.
- Dlaczego?

- Bo zaczęło świtać.
- Jest środek zimy. W ogóle nie ma świtu.
- A jednak wstał świt. Nastąpiło nawet popołudnie.
- Słońce zachodziło.
- Chociaż nie wstało.
- Już było ciemno.
- Gorzej, był zmierzch.
- Począł do zmierzchu.
- Spodziewała się go.
- Nie miał problemu, żeby wejść do domu.
- Nie zabawił długo.
- Zabrał ze sobą szczeniaka.
- Chciał go mieć. Po to przyszedł.
- Jadąc tam, myślał tylko o tym.
- Zanim stanął w przedpokoju.
- Wtedy poczuł, że musi to zrobić. Zobaczył ich po raz pierwszy i wtedy już musiał.
- Czasem coś się dzieje bez planu.
- Ale morderca to zaplanował – powiedział Ringmar, wstając. Zbyt długo siedział w tej samej pozycji, lekko pochylony, z napiętymi mięśniami krzyża i ramion. Bolało go chore ramię.
- Planował od dawna – dodał Winter.
- Od początku? Od czasu kiedy się zaprzyjaźnił z Sandrą?
- Nie.
- Zaczął dużo później?
- Dużo wcześniej.
- Tylko sam o tym nie wiedział.
- To w nim było od zawsze.
- Czyli to nie miało związku ani z Sandrą, ani z dziećmi?
- Oczywiście, że miało.
- Związek z Sandrą trwał od pewnego czasu, ale niezbyt długo.
- Kilka dni przed morderstwem mieli stosunek.
- Dwa, może trzy dni przed.
- Ale nie w dniu morderstwa.
- Nie.
- Swobodnie poruszał się po domu.

- Był tam zadomowiony.
- Czuł się jak u siebie.
- Miał się tam wprowadzić – powiedział Ringmar.

Winter również wstał. Czuł, że plecy mu się spocily od karku do łopatek. Dawno tak nie robili. Przerzucali się myślami, zatrzymywali przy niektórych i znów zarzucali sieci.

- Ale do tego nie doszło – odparł Winter.
- Powiedziała mu, że go nie chce.
- Już nigdy.
- Coś się stało.
- Nie chcę cię nigdy więcej widzieć, tak powiedziała.
- Nie tak się umawiali.
- Świat mu się zawalił – powiedział Ringmar.
- Nie zamierzał ginąć sam – odparł Winter.
- To on – rzekł Ringmar.

Winter bez słowa kiwnął głową. Oczami wyobraźni próbował zobaczyć twarz. Gdzieś musi być. Obok małe dziecko macha rączką.

- To on – powiedział.
  - Czyli zgadzamy się?
  - Nie.
  - Nie chciał zabijać własnego dziecka.
  - Nie.
  - Jego szaleństwo ma granice.
  - Nie.
  - Chodziło o coś innego?
  - Tak.
  - O co takiego?
  - O wspomnienie.
  - Czyje?
  - Jego.
  - Nie jej?
  - Jego – powtórzył Winter.
  - Jakieś wspomnienie powstrzymało go przed zabiciem najmniejszej dziewczynki?
  - Związane z domem – powiedział Winter.
- Patrzył przez okno, obok którego stał Ringmar. Bertil oparł



się o ścianę, jakby nie był w stanie utrzymać równowagi. Winter patrzył na drzewa na dworze, na resztkę parku, na martwe żywe drzewa. One zmartwychwstaną.

- Wszedł do domu i wszystko się zmieniło.
- Wszystko się kręci wokół tego przeklętego domu – powiedział Winter.
- Przeklętego w sensie, że ktoś rzucił przekleństwo?
- Może.
- Kto?
- I tu dochodzimy do wspomnienia.
- Wspomnienia domu – powiedział Ringmar.
- I dziecka. Dziecka, którego nie było?
- Naprawdę nie było?
- To on, nasz demon – skonstatował Winter i wyszedł.

Gerda Hoffner sprawdzała ogłoszenia w rubryce zwierzęta w „Göteborgs-Posten”. Ludzie sprzedawali głównie koty i psy. Dużo zdjęć, szczenięta i kocięta patrzące w obiektyw niewinnymi oczami, w oczekiwaniu na kogoś, kto da im dom. Na żadnym nie było dobrego światła.

Znalazła to ogłoszenie w wydaniu z czwartku, z trzynastego stycznia: „Z powodu alergii sprzedam mieszańca labradora i border collie. Zbadany, zaszczepiony i zaczipowany”. I numer telefonu. Numer telefonu stacjonarnego Marsów.

Halders nalał sobie szklanek wody. Stał w kuchence, tyłem do Wintera. Winter siedział przy stole w salce konferencyjnej, której nie znał, bo za jego poprzedniego wcielenia w wydziale jej nie było. Połączyli dwa mniejsze pokoje. Zastanawiał się po co. Ale nie pytał. To nie jego rzecz. Nie pytał, jak im minęły dwa ostatnie lata bez niego. Jak sobie dawali radę. Nie czytał szwedzkich gazet i poza paroma prywatnymi telefonami do nikogo nie dzwonił. Nie brakowało im ani jego, ani jego wyjątkowych kompetencji. Nie zauważyli wyrwy, jaką po sobie zostawił. Zupełnie jakby nic się nie stało. Czasem doskwierała mu

samotność.

Halderś wciąż stał tyłem do niego. O czym myśli? Może o mnie?

Odwrócił się.

– Wezmę na siebie przesłuchanie Marsa – powiedział.

– Aha.

– Nie masz nic przeciwko temu?

– Dlaczego miałbym mieć?

– Nie wiem – odparł Halderś, odstawiając szklanke. – Facet nie ma alibi. Coś mi się tu nie zgadza.

– To fakt, chemia między mną a nim nie jest najlepsza – powiedział Winter, wstając.

– Eriku... – Halderś urwał.

– Tak?

– Wiedz, że się cieszę, że wróciłeś.

– Dziękuję.

– Musimy się tylko znów do siebie dopasować.

– Ładnie to ująłeś.

– Domyślasz się, co dla mnie znaczy stanowisko komisarza.

– Wspaniała sprawa. Ze mną też tak było.

– Przychodź do mnie, jeśli ci coś przyjdzie do głowy. Nawet z drobiazgami. Nic nie będzie mało ważne.

– Zawsze to wiedziałem.

– Co?

– Że dla ciebie nie ma rzeczy mało ważnych.

Halderś nie odpowiedział. Mówiąc o czymś, co go nie dotyczyło, Winter powiedział za dużo, dał za to wyraz swoim odczuciom. Ale nie był pewien, jaki będzie skutek.

Świnia ze mnie, pomyślał.

– Spytaj Marsa o dziecko – powiedział.

– A coś ty myślał?

– To jeden z kluczy do tej sprawy – dodał Winter.

– Okej, ojciec.

---

Uważnie czytał gazety z ostatnich kilku dni, „GP”, „GT”<sup>12</sup>

i „Metro”, ale nie znalazł o tym ani słowa.

Niemożliwe.

Policja nie mogłaby utajnić takiej historii. Na placu musieli być jacyś świadkowie, nie tylko grupka chuliganów. Odchodząc, kątem oka widział wystraszone twarze. Krew. Musiała tam zostać. Żelazo z krwi wgrzyza się w beton, a tam było dużo krwi.

– Pójdę się przejść – oznajmił.

– Zabierzesz ze sobą Janę?! – zawołała z kuchni.

Co ona robi w kuchni? Przecież nie gotuje, bo nie umie. Gdyby wiedział wcześniej. Mógłby się wiele dowiedzieć, gdyby sprawdził, zanim pozwolił się związać węzłami małżeństwa. Ha.

– Pojadę na plac – odparł. – Potem z nią wyjdę.

– Potrzeba czegoś do domu? – usłyszał pytanie.

Przecież ty jesteś w kuchni, pomyślał, ty masz powiedzieć, czy nam czegoś nie potrzeba. Ty powinnaś otworzyć lodówkę, do cholery.

– Kup mleko i kefir! – zawołała.

Odsunął psa i otworzył drzwi. Szczeniak spojrział na niego pytającym wzrokiem. Nie mam ci nic do powiedzenia.

– Jeśli chcesz, sama możesz z nią wyjść! – zawołał, chociaż wiedział, że tego nie usłyszy, tego na pewno nie. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz wyszła z domu. Od Bożego Narodzenia na pewno nie. To nie jest objaw zdrowia.

Zaparkował tam gdzie zawsze.

Ulica wyglądała jak zwykle.

Opåltorget też.

Poszedł pod sklep. To tu.

Ani jednej plamy. W ogóle żadnych śladów. Rozejrzał się, przykucnął, żeby się przyjrzeć.

Wyczyścili. I to jak!

To się dopiero nazywa ściemniać, pomyślał. Nikt nie powinien się dowiedzieć, co się tutaj stało. Mogłaby wybuchnąć

---

w Göteborgu.

panika. Ktoś inny też mógłby wpaść na taki pomysł jak ja. Czarnuchy musiałyby się bronić. Doprowadziłoby to do wojny domowej. Jeden mój drobny czyn doprowadzi do wojny domowej. Tak jest.

Ale jak oni mogą utrzymywać to w tajemnicy? Przecież to niemożliwe. Ludzie pracujący w Willys muszą wiedzieć.

Wszedł. W kasie stał Szwed, chyba koło trzydziestki, rzadka bródka. Wyglądał na niewydarzonego studenta.

Rozejrzał się za czymś tanim, co mógłby kupić, za opakowaniem gumy do żucia. Nie można tak po prostu wejść i zacząć pytać.

– Słyszałem, że kilka dni temu była tu jakaś awantura – powiedział do studenta, okularnika.

– Tak?

– I to jakaś grubsza afera.

– Nie słyszałem.

– Koledzy nie mówili?

Facet spojrzał na niego.

– Jesteś policjantem? – spytał.

– Nie, nie, po prostu byłem ciekaw.

Proszę, jaki podejrzliwy. Może uczestniczy w spisku. No jasne, wszyscy muszą się przyczyniać do zachowania tajemnicy.

Wyszedł. Przez plac przechodzili starsi państwo, cudzoziemcy. Szli do kościoła na nieszwedzkie nabożeństwo. Służba Allahowi. To trafniejsze określenie.

Pora była za wczesna dla chuliganów. Poczeka kilka godzin, tymczasem wyprowadzi psa. W tamtej chwili ten pomysł wydawał mu się dobry. Wybierze się na wyspę z Janą, świetny pomysł. Tam jest pięknie, dookoła morze.

Gerda zapukała do pokoju Wintera. Podniósł się z krzesła. Od dwóch minut myślał o domu w Amundövik i o tym, że nikt nie zechce tam mieszkać. Mógł poprosić Haldersa, żeby spytał Marsa, czy będzie chciał tam mieszkać z małą. Halders by odmówił. Mars był rzymskim bogiem wojny, pomyślał, wstając.

Mars to symbol żelaza<sup>13</sup>, symbol mężczyzn. Malutka ma na imię Greta. Piękne imię, mógłby je dać którejś ze swoich córek. Wiedział, co znaczy Greta, ale Gerda – nie. Erik znaczy samotny wojownik.

Weszła Gerda. Drzwi były otwarte.

– Wiesz, co znaczy Greta?

– Nie.

– A co znaczy twoje imię? Gerda?

– Wydaje mi się, że kochana – odparła. Nie wyglądała na zdziwioną. Stała w drzwiach, niedaleko jego biurka. Za jej plecami widział otwartą przestrzeń, chyba nikogo tam nie było.

– Erik znaczy samotny – powiedział.

– Nie wiedziałam.

– Gerdo, co mogę dla ciebie zrobić?

Wskazał jej fotel naprzeciwko. Niezbyt wygodny, ale zawsze to fotel, nie krzesło.

– Znalazłam ogłoszenie.

– Bardzo dobrze.

– Co dalej?

– A co uważasz?

– Trzeba odszukać człowieka, który kupił szczeniaka. Z wykorzystaniem wszystkich mediów. I to od razu.

– Tak robimy – odparł Winter.

– Napiszesz komunikat?

– Nie, ty napiszesz. Mogę na to spojrzeć, zanim roześlemy. Za pół godziny?

Wciąż stała w drzwiach. Zaraz sobie pójdzie, nie ma sensu siadać.

– Jeszcze tam nie byłam – powiedziała. – W tamtym domu.

– Możemy pojechać – odpowiedział. – I tak się wybierałem. Możemy pojechać, jak tylko roześlemy ogłoszenie, że poszukujemy człowieka, który kupił psa.

– Powinnam pojechać? – spytała.

– Wydaje mi się, że tak.

Nie mogę zawsze być tam sam, pomyślał. Nie muszę stale być sam.

---

13 W starożytności żelazo oznaczano symbolem planety Mars.

ZAPARKOWAŁ NA SAMYM KOŃCU PARKINGU, można powiedzieć, że na granicy. Trochę dziwnie to wyglądało, bo stał tam tylko jego samochód. Musiał przejść przez cały parking, żeby dojść do mostu, chociaż mógł go postawić sto metrów bliżej, ale nikt nie spyta, bo nikogo tam nie ma, a gdyby spytał, odpowie, że parking to dobre miejsce na układanie psa.

Rzucił patyk. Jana pojęła, o co chodzi, i pobiegła za nim na krzywych łapach. Właściwie nie tyle biegła, ile chwiejnie sunęła, jak dziecko, które właśnie nauczyło się chodzić. Właściwie niewiele o tym wiedział, ale od czego jest wyobraźnia.

Na tablicy ogłoszeń koło toalet było kilka anonsów: B.S. Svets naprawa śrub w silnikach zaburtowych, ktoś inny oferował jachty pełnomorskie po korzystnej cenie. Miasto Göteborg informowało, że psy muszą być trzymane na smyczy. Szczeniaki też? Cha, cha. Spojrzał na Janę. Biegła przez most bez smyczy. Nie skrzywdziłaby nawet muchy, nawet komara. On i Jana na Opaltorget przeciwko bandzie! Może by wieczorem zabrać ją ze sobą, choćby po to, żeby zobaczyć ich durne miny.

Kundel biegał po polu, hasał to tu, to tam, pełna wolność. Szedł za nim, pod nogami chrzęściły mu martwe liście ukryte pod śniegiem. Nie było ich widać, chociaż wiatr zdmuchnął wierzchnią warstwę śniegu. Odwrócił się. Na parkingu nadal nikogo nie było, na moście też, na ścieżce rowerowej ani przed domami. Tylko on i szczeniak, jakby byli jedynymi żywymi istotami. Wiatr nad polami wył nieludzko.

Przed nimi otworzyła się zatoka. Kungsviken. Wiatr przegonił chmury w kilka sekund. Zimera zapiekły oczy. Nie zabrał okularów słonecznych. Zakłuło go w potylicy. Słyszał

szum morza.

– Nie byłam tu od lat – powiedziała Gerda Hoffner.

– Wszystko wydaje mi się obce.

– Dużo tu nabudowali w ostatnich latach – powiedział Winter. – Przedtem były same pola i skały.

– Przyjeżdżałam tu rowerem.

– Ja też. Kąpałem się na Järkholmen.

– Ja się nie odważyłam. Chodzi ci o tę małą plażę z budkami? Czy ona przypadkiem nie jest prywatna?

– Nie pytałem – odparł.

– Pewnie tak trzeba – stwierdziła. – Nie pytać, żeby się nie dopytać.

– Czasem tak jest lepiej – powiedział i zaparkował obok przyczepy kempingowej na środku mariny. Odwrócił się do niej.

– Chodźmy na plażę – zaproponował. – I tak chciałem tam dzisiaj pójść.

– Dlaczego?

– Tutaj wszystko coś znaczy – wyjaśnił. – Wszystko, co człowiek widzi i może sobie przypomnieć.

Skały podobały się psinie, ale trzymała się z dala od wody. Wyglądało na to, że ma wrodzony szacunek dla skał schodzących stromo do morza. Zupełnie jak młody wilczek, który zatrzymuje się na torach kolejowych, ale kiedy słyszy zbliżający się pociąg, na długo zanim usłyszy go człowiek, ucieka, aż się kurzy.

– Jana, chodź tu!

W ogóle nie zwracała na niego uwagi. Zmierzała na czubek najwyższej skały, wznoszącej się wysoko jak góra. Szedł za nią.

Dotarł na górę i spojrzał na otwarte morze. Widok był porywający. Znajdujące się poniżej skałki, latem służące za plażę, zostały ukształtowane w epoce lodowcowej. Przeczytał to na tablicy ogłoszeń przy moście. Na pewno prawda. Dawne czasy. Dziś jest już niewiele takich, co to przeżyli. I niewiele dożyje następnego zlodowacenia. A zanim nadejdzie, na ziemi

zrobi się tak gorąco, że stopnieją wszystkie lody. Piękne budowle tam, w dole, znikną pod wodą. Dobrze im tak. Ale tu, na górze, będzie sucho. Może powinien tu zostać, przeczekać to wszystko.

– Zostajemy tu, Jano? – zwrócił się do suczki, ale ona już pobiegła w dół.

Poszedł za nią na kolejne wzniesienie. Miał teraz morze za plecami i widok na ląd. Właśnie jechał jakiś samochód. Po chwili zaparkował w marinie.

Poszli ścieżką rowerową w stronę Järkholmen. Z lewej fale zamarzyły w połowie drogi na brzeg, jak fotografia. Roztopią się, gdy z nadejściem wiosny wróci życie. Morze było żywym organizmem. Winter chciałby codziennie widzieć je i dotykać. Nadejdzie dzień, gdy przetnie symboliczną wstęgę na swojej działce piętnaście kilometrów stąd i wykopie pierwszą symboliczną łopatę ziemi. Symbol czego? – pomyślał, gdy nagle wyszło słońce i stojące kawałek dalej budki kąpielowe eksplodowały żółcią, czerwienią i błękitem.

Miał uczucie, jakby kopał grób. Zgłębianie jakiejś sprawy przypomina kopanie w ziemi, kopanie grobu. Wiatr zwiął z piasku śnieg. Winter pochylił się i przesunął dłonią po cienkiej warstewce lodu. Był gładki jak piasek i tak wyglądał. Tuż obok stały ruiny zamku z piasku. Została tylko wieża i część murów. Mróz zachowa to jeszcze przez jakiś miesiąc. Może zamek zbudowały dzieci o imionach Erik i Anna. Zostawiły go dla potomności. Może chciały wrócić wiosną, żeby go naprawiać i rozbudowywać. Byłby wieczny. Latem przyjedzie na rowerach z Elszą i Lilly, żeby go zachować i budować dalej. Ale do tego jeszcze daleko, do tego świata, innego i może lepszego.

– No i jesteśmy na miejscu – powiedziała.

– I nikt nas stąd nie wyprasza – odparł.

– Wyobrażam sobie, jak tu jest latem.

Odwrócił się w stronę lądu. Skała po drugiej stronie drogi wyglądała jak wyciągnięta ku niebu zaciśnięta pięść. Boże, coś



ty zrobił? Czy przynajmniej tu, w tym rajskim nadmorskim zakątku, nie mógłbyś nas zostawić w spokoju? Czy już nigdzie nie może być raj?

Uzmysłowił sobie, że coś powiedziała.

– Przepraszam? – Podszedł bliżej. Wiedział, że powinien ją słyszeć. Szum w głowie odcinał wysokie tony, ale Gerda nie miała wysokiego głosu.

– Może przychodzili na tę plażę – powiedziała. – Inni plażowicze mogli ich znać.

– Tak.

– Można ich odszukać.

– Owszem.

– Bo sami raczej się nie zgłoszą.

– To prawda.

– Słuchasz mnie?

– Oczywiście.

– Sprawiasz wrażenie, jakbyś był gdzie indziej. Nie patrzysz na mnie.

– Patrę na słupki wystające z lodu w cieśninie między wyspami. Wyglądają jak żołnierze.

– Jak żołnierze?

– Chodźmy do domu – powiedział, odwrócił się i ruszył po skałach w górę. Wiatr toczył zapomniane wiaderko z niebieskiego plastiku. Przed chwilą widział łopatkę tego samego koloru. Miał już dość.

Kiedy wracali ścieżką rowerową, zobaczył, że w ciągu ostatniej pół godziny lód zatrzymał prąd w cieśninie. Niedługo będzie można przejść po lodzie z ośrodka dla niepełnosprawnych Ågrenska na Lilla Amundö. Tylko że nie wszyscy pacjenci ośrodka mogą chodzić.

Minęli znak drogowy z sylwetką dorosłego prowadzącego za rękę dziecko. Do mariny mieli jeszcze kilometr. Wszędzie dzieci, dzieci, dzieci, na różnych obrazkach, w myślach i wspomnieniach. To moja pierwsza sprawa, pomyślał. Do tej pory nic nie zrobiłem. Właśnie to kazało mi wrócić. Zostałem wysłuchany. Nie mógłbym sobie wymarzyć większej sprawy.

Na jednej ze skał zobaczył napis „POKÓJ”. Wypisany białymi

literami, wysokimi na metr. Nie wyglądał na zwykłe graffiti. Słońce świeciło im w oczy. Prawie grzało. Gerda miała ciemne okulary. Profesjonalistka. Wrócili do samochodu. Obok stała wyciągnięta na brzeg łódź Kiki II, średniej wielkości żaglówka. Nie znał marki. Wiele się zmieniło w tej branży, odkąd jako nastolatek pływał po wodach wokół archipelagu.

Zobaczył, że Gerda zadarła głowę do słońca i patrzy na coś w oddali.

– Tam na górze ktoś stoi – powiedziała, nie wskazując palcem.

Na wzniesieniu na Stora Amundö zobaczył postać, która też przypominała żołnierza.

– Stoi tak od dłuższego czasu – dodała. – Nie poruszył się.

– Wskakuj – odparł, otwierając drzwi samochodu.

Widział, jak dwie osoby idą ścieżką rowerową. Potem wsiadły do samochodu. Samochód ruszył, krążył między łodziami na brzegu, ha. Zobaczył już wszystko i więcej nie potrzebował.

Jana zbiegła po stromiźnie. Doszli do ścieżki. Spod śniegu tu i ówdzie wзираł żwir. Wyglądało na to, że psiak zna drogę powrotną do mostu i na parking. To chyba wrodzone. Wystarczyło iść za nim. Znaleźli się na polu. Jana odwróciła się i spojrzała na niego. Leć, kundlu. To jest wolność.

Winter zostawił samochód w pobliżu mostu. Na parkingu stało tylko jedno auto, biała toyota z początków stulecia.

Weszli na most. Postać znikła. Winter zarejestrował to jeszcze w samochodzie. Poczul klucze w potylicy. Już wiedział, co to znaczy.

– Gdzie on jest?

W jego głosie było coś takiego, że aż drgnęła.

– Tam daleko widzę jakiś ruch – powiedziała po chwili i wskazała na ścieżkę prowadzącą na skraj lasu.

– Gdzie?

– Czekał... tam jest pies, biegnie ścieżką!

– Widzę.

– To szczeniak.

– Zawrócił – powiedział Winter. – Zobaczył nas. Czy szczenięta mają dobry wzrok?

– Nie wiem.

Od szczeniaka dzieliło ich sto metrów. Przeszli przez most i wyszli na oblodzoną drogę. Psiak wracał, skąd przyszedł.

– Wydaje mi się, że to collie – powiedziała.

– Mieszanka labradora z collie. Mówiłaś, że widziałaś jego zdjęcie.

– Sama nie wiem. Widać było tylko łeb, poza tym było do kitu. Nie znam się na psach. Zresztą za duża odległość.

Człowiek nie może się znać na wszystkim, pomyślał Winter. W tym momencie już biegł, pędził po lodzie, pokonał dziesięć metrów i padł. Chaplin nie zrobiłby tego lepiej. Ani Bambi. Uderzył się w biodro i w głowę. Nie zaśmiała się. Za mało widzów. Powoli wstał. Następnym razem założył nakładki antypoślizgowe, chociaż raczej nie da się w nich biegać. Znowu puścił się biegiem. Teraz miał już pod nogami żwir.

– Zatrzymaj się przy moście! – krzyknął, odwracając do niej głowę. – I wezwij radiowóz!

Już wiedział. Tu i teraz. Tak wiedzą jedynie szaleńcy i dzieci.

Jana zawróciła i podbiegła do niego. Przytrzymał ją za pyszczek. Jedna z tamtych osób, mężczyzna w palcie, chyba takim lepszym, zaczął biec, jakby nagle postanowił poćwiczyć. Oczywiście się przewrócił, wariat jeden. Potem wstał i ruszył w jego stronę, jakby czegoś chciał.

Zobaczyli jego samochód na parkingu.

Widocznie ktoś poszedł za nim, gdy porznął tych chuliganów na placu. Zgłosił napad. Więc to się stało naprawdę. To nie sen. I to nie on zwariował.

Stał między drzewami, Janę trzymał za pazuchę. Zachowywała się cicho, pewnie było jej ciepło i przyjemnie. Może zasnęła. Na gałęziach było gęsto od śniegu. Mężczyzna biegnący w dole nie mógł go widzieć, ale on jego tak. Skurwiel dobiegł już do skraju lasu. Gliniarz. Wciąż biegł. Coś powiewało

na wietrze, krawat. Facet wyglądał, jakby się gdzieś wybierał, nie wiadomo dokąd, w każdym razie on na pewno tego nie wiedział. A niech sobie biega dookoła wyspy i niech się zabije o skały, o lód.

Gliniarz się zatrzymał. Może zacznie wymachiwać legitymacją. Widział pan coś? Ma pan obowiązek zeznawać! Co pan widział?!

Jana poruszyła się i nagle wyskoczyła mu spod kurtki. Usiłował ją złapać za tylne łapy, ale pomknęła jak zając między drzewa, prosto na drogę. Miała do niej najwyżej trzydzieści metrów. Wyleciała z lasu, przecięła drogę tuż przed gliniarzem. Spojrzał na nią, a potem natychmiast na niego, jakby potrafił przesyć spojrzeniem śnieg, lód i drzewa. Podszedł kilka kroków. Pewnie zobaczył ślady, to oczywiste, że były ślady.

– Proszę wyjść na drogę! – zawołał. – Policja!

Nie odpowiem. Dlaczego miałbym odpowiedzieć? Niech sobie weźmie Janę, nie potrzebuję jej, i tak się do niczego nie nadaje.

– Chcę panu tylko zadać kilka pytań! – usłyszał wołanie tego drania.

Kilka pytań. Pierwsze: dlaczego zaatakował pan nożem tych chłopców? Drugie: ilu pan zadźgał? Coś w tym rodzaju.

Nie zamierzał odpowiadać na takie pytania. Ale jest wyjście – jeśli tylko mu się uda ściągnąć gliniarza do samochodu, sięgnie po żelastwo i udzieli mu naprawdę dobrej odpowiedzi. Niezły pomysł. Udam, że jestem gotów współpracować, i dojdę z nim do samochodu. Lalunia, która mu towarzyszy, może też jest gliną, ale na pewno do niczego. Przyjęta do policji w ramach parytetu.

Psiak nagle przybiegł z powrotem. Przeleciał gliniarzowi przed samym nosem! Nawet nie zdążył się ruszyć. Podczas tej jednej wycieczki Jana nauczyła się biegać. Wskoczyła mu na rękę. Wie, kto jest jej panem.

Z drugiej strony zatoki dobiegło wycie policyjnych syren. To jemu grają. Co za zaszczyt. Zaczęło zmierzchać, snopy światła kogutów przesuwają się po niebie. Pięknie, ale pora się zmywać. Odwrócił się i zaczął biec przez śnieg, między

drzewami. Trzymał Janę i już nie miał jak odsuwać gałęzi. Czuł ostre, mokre uderzenia w twarz, oczy zaczęły mu łzawić. Mrugał i biegł przed siebie. Zagajnik zrobił się rzadszy. Wybiegł na otwartą przestrzeń. Skały połyskiwały w świetle księżyca, już wzeszedł. Kurde, jak wcześniej. Biegł coraz szybciej, w dół, do zatoczki dla plażowiczów. Zaraz zacznie się lód, za nim już będzie stały ląd. Przypomniał sobie, że przecież ma broń, nóż w kieszeni kurtki. Czuł, jak mu się obija w kieszeni, gotów na wszystko, rach, ciach, byle się stąd wydostać, za wszelką cenę.

\* \* \*

Winter zdążył tylko wystawić nogę za szczeniakiem i znów niemal się przewrócił. Długie łapy, spiczasty pyszczek, minął go jak błyskawica. Sekunda i już go nie było, zniknął między drzewami. Usłyszał szczekanie, potem kroki, ciężkie, uciekające, niezbyt daleko, ale to był wściekły bieg. Ktoś bardzo nie chciał się z nim spotkać, nie chciał odpowiadać na pytania.

Znów ruszył biegiem po oblodzonej ścieżce. Stawiał na ziemi całe stopy, więc się nie ślizgał, za to po każdym stąpieniu czuł ból w pięcie. Po drugiej stronie wyspy wycie syreny przebijało się przez zapadający zmrok. O ile pamiętał, za pagórkem droga skręcała w dół, w lewo, w stronę kąpieliska. Od tego miejsca dzieliło go kilkaset metrów. Jeśli przecinając las, utrzyma kierunek, spotkają się.

Wbiegł pod górkę. Jeszcze chwila i szlag trafi łydkę, ścięgnó Achillesa. Był wprawdzie w dobrej formie, przecież cztery razy w tygodniu biegał z Marbelli do Puerto Banús, ale facet po pięćdziesiątce musi się rozgrzewać i rozciągać prawie tak długo, jak będzie biegł, a on ruszył bez przygotowania.

Ale nogi jakoś wytrzymały. Dotarł na szczyt skały. Sapiąc, zerwał krawat i szarpnął koszulę pod szyją. Guziki zostały mu w dłoni jak wybite zęby. Zrzucił palto, odgarnął z oczu włosy i oderwał guzik marynarki. Najelegantszy biegacz, jakiego kiedykolwiek widziano na Stora Amundö. Jeśli to przeżyje, będą musieli pomyśleć o przydzieleniu mu stroju do biegania.

Przed sobą miał połyskujące w łagodnym świetle skały. Spojrzał w niebo. Pociemniało. A na nim księżyc w takiej pełni,

że bardziej się nie da. To będzie noc dla wilkołaków, już się zaczęła. Komórka zakołatała w kieszeni na piersi. Jednocześnie czuł kołatanie w uszach, szum, adrenalina spłynęła falą do głowy. Dwa lata wcześniej o mało go nie wykończyła, oby dziś mu pomogła, przeniosła jeszcze kilka kroków. Już był na dole, nad zatoczką, nad którą razem z Elszą i Lilly zbierali drewnianka wyrzucone przez morze. Księżyc z każdą chwilą świecił coraz jaśniej. Łód wyglądał jak srebrna posadzka. Nie dojrzał na nim żadnego ruchu. Odwrócił się w stronę lasu, to samo. Znowu spojrzął na lodową posadzkę i w oddali, w drodze na Lilla Amundö, dojrzał czerniącą się na tle bieli i srebra sylwetkę.

Wyjechał ślizgiem na łód. Jeśli to przeżyje, będą musieli rozważyć również przydzielenie mu stroju hokeisty. Sto metrów dzieliło go od postaci poruszającej się tak samo jak on: dwa kroki w przód, jeden w tył, jeden w bok. Wiatr wypolerował łód jak do biegu łyżwiarskiego. Tamten miał przewagę. Jeśli dotrze do brzegu, zdaży zniknąć, a on wciąż będzie się ślizgał po lodzie. Mieli wprowadzić jego samochód, ale równie dobrze mógł być kradziony.

Nagle tamten się zatrzymał. Po lodzie coś biegło. Pies! Widocznie uciekł. Biegał tam i z powrotem, jakby się bawił, ale to nie była zabawa. Winter sunął naprzód, ślizgał się jak na łyżwach. Doszedł już do pewnej wprawy. Sylwetka, którą miał przed sobą, zamieniła się w mężczyznę. Zmierzał w stronę wyspy. Miał już niedaleko. Machnął ręką na psa, ale uciekając przed zbliżającym się niebezpieczeństwem, za mocno wyjechał jedną nogą w bok i przewrócił się na plecy. Winter był już blisko, trzydzieści metrów, dwadzieścia. Zobaczył, jak mężczyzna wstaje i znowu rusza. Potem się odwrócił, już tylko dziesięć metrów. Zatrzymał się na dobre. W ręce coś trzymał i to coś srebrzyło się w świetle księżyca. Winter wiedział, co to jest. Zatrzymał się kilka metrów przed nim i sięgnął do kabury pod pachą po pistolet. W tym momencie mężczyzna rzucił się do przodu jak niesiony wiatrem. Winter zdażył tylko wyszarpnąć broń i walnąć go w rękę. Nóż świsnął w powietrzu. Łobuz krzyknął, Winter znowu grzmotnął go w rękę. Usłyszał trzask, coś pękło. Doskonale. Tamten już padał, gdy grzmotnął

go jeszcze w potylicę. Zrobił krok w tył i kopnął go w bok, i jeszcze raz. Rozległ się odgłos, jaki wydaje dmuchany materac, kiedy się, z niego wyciska powietrze w późne letnie popołudnie, bo pora wracać z plaży, i cała rodzina siada na nim i śmieje się, i popierduje, tata, mama, starsza siostra, średni brat i najmłodsza, malutka siostra.

Jovan Mars zachowywał się jak człowiek obojętny na to, co się dzieje i będzie działo w przyszłości. Takie sprawiał wrażenie. Ale Halders nie miał pewności, czy tak jest, zresztą nigdy nie miał.

Zapytał o datę. Trzeba zacząć od daty.

– Co pan robił w tamten wieczór?

– Nic.

– Był pan sam?

– Tak.

Mars godził się na wszystko. Może po prostu chciał wyjść. Nie spytał, dlaczego wciąż go trzymają na Skånegatan. Może nie do końca zdawał sobie sprawę, gdzie jest. Było wiele odpowiedzi.

– Rozmawiał pan z kimś tego wieczoru?

– Nie.

– A w nocy?

– Nie.

– Co pan robił w nocy?

– Spałem.

– Sam?

– Tak.

– O której wieczorem rozmawiał pan przez telefon?

– Z nikim nie rozmawiałem.

– A w ciągu dnia?

– Nie pamiętam.

– A późnym popołudniem?

– Nie pamiętam.

– O której rozmawiał pan z żoną?

– Nie pamiętam.

– Wieczorem?

- Nie.
- W nocy?
- Nie.
- Kiedy rozmawiał z nią pan ostatni raz?
- Nie pamiętam.
- Niech pan spróbuje sobie przypomnieć.

Mars nie odpowiedział. Od początku przesłuchania ani razu nie podniósł głowy. Żadne pytanie nie wytrąciło go z tego stanu.

- Kiedy ostatni raz rozmawiał pan z dziećmi?

Nieprzyjemne pytanie. Prowadzenie przesłuchania też nie jest przyjemnym zajęciem. Halders nie należał do najlepszych przesłuchujących, ale też nie był najgorszy. Nie szły mu luźne rozmowy. Najlepsi zataczali coraz mniejsze, coraz ciasniejsze kręgi, coraz bardziej zbliżali się do sedna. Oczywiście pod warunkiem, że było jakieś sedno. Czasem była sama łupina, jak w cebuli.

- Nie pamiętam – odparł Mars.
- Cholera, facet brnie w psychozę czy co?

- W zeszłym tygodniu?

Mars nie odpowiedział.

- Dlaczego nie rozmawiał pan z żoną?
- Nie pamiętam.
- Pokłóciliście się?
- Nie pamiętam.
- Chodziło o pana pracę?
- Tak.
- Na czym polegał problem?
- Nie pamiętam.
- Na tym, że rzadko bywał pan w domu?
- Tak.
- Czy to było coś nowego?
- Nie.
- O co tym razem się pokłóciliście?
- Nie pamiętam.
- Co się stało?
- Nie pamiętam.



- Co się stało tym razem?
- Nie pamiętam.
- Czy chodziło o coś, co ona zrobiła?
- Nie.
- A może pan coś zrobił?
- Nie.
- To o co poszło?
- Nie pamiętam.
- Może ktoś inny coś wam zrobił?
- Nie pamiętam.
- Kto to był?

Mars nie odpowiedział.

Podniósł głowę. Znow patrzył normalnie. Chwila minęła, pomyślał Halders.

– Kiedy będę mógł pojechać do domu? – spytał Mars.

– Po przesłuchaniu – odparł Halders.

– Dziękuję.

– Ale na razie nie może pan wrócić do domu. To miejsce zbrodni.

– Wiem. Pojadę do siostry. Do domu już nigdy nie wrócę.

– Chcemy, żeby pan tam pojechał z nami, ale tylko na krótko.

– Po co?

– Pomoże nam pan ustalić, czego brakuje.

– Jak to czego brakuje?

Halders kiwnął głową.

– Czego miałyby brakować? – zdziwił się Mars.

– Właśnie to pomogłoby nam pan ustalić.

– A skąd ja miałbym wiedzieć?

Bo tylko ty możesz coś powiedzieć, pomyślał Halders.

– Czy Greta jest u mojej siostry? – spytał Mars.

– Nie wiem. Jeśli jeszcze nie, to wkrótce będzie.

Mars nic więcej nie powiedział. Błądził spojrzeniem.

– Czy to pan to zrobił? – spytał Halders.

– Nie.

CHRISTIAN RUNSTIG NIE ZŁAMAŁ nadgarstka. Widocznie gdy przypadkiem uderzył go lufą pistoletu, usłyszał trzask lodu. Narzekał na ból w boku, ale lekarz z karetki nie stwierdził większych urazów, poza kilkoma siniakami, które powstały wskutek tego, że Winter niechcący go popchnął i Runstig się przewrócił.

Mogli go przesłuchać.

– Co robimy z tym ogłoszeniem? – spytała Gerda, gdy wracali do miasta.

– Oczywiście zamieszczamy – odparł Winter.

Widocznie zadałam głupie pytanie, pomyślała. Może później zrozumiem.

Runstig siedział naprzeciwko Wintera w martwym świetle najgorszego pokoju przesłuchań, jedyne, w którym niczego nie zmieniono podczas remontu. Znajdował się w piwnicy i byłby wyzwaniem dla każdego.

Kamera została włączona, magnetofon też.

Winter przebrnął przez wstępne formalności. Nie mieli problemów z ustaleniem jego tożsamości, chociaż w karetce nic o sobie nie powiedział. Nie skarżył się na ból, o nic nie pytał. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział, dlaczego został zatrzymany.

Jakby już było po wszystkim, pomyślał Winter, obserwując go. Jeszcze się nie zaczęło, a już jest po wszystkim. Moja najgorsza sprawa okaże się moją najszybszą sprawą.

Runstig wyglądał jak typowy nordyk: jasne włosy, niebieskie oczy, około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, dobre zimowe ubranie, grube buty, lepsze niż jego. Rozbiegane oczy, ale tak było z każdym, kto siedział w tym pokoju. Wszyscy wyglądali, jakby w marzeniach byli daleko. Im szczerzej odpowiadali na pytania, tym szybciej te marzenia miały się spełnić. Mogło to potrwać pięć minut, pięć godzin, dziesięć godzin albo dziesięć dni.

Winter nie żywił wobec niego żadnych uczuć. Prawdopodobnie był chory psychicznie i bardzo groźny, ale nie mieli pewności. Wiedzieli tylko, że w policyjnych rejestrach nie ma o nim ani słowa. Bezrobotny, z zawodu sprzedawca, akwizytor, telemarketer, sama bieda. Wiedzieli również, że jest żonaty, gdzie mieszka, że ma psa. Gdzieś tego psa kupił. Tego, kto go sprzedał, kto by potwierdził, że doszło do transakcji, już nie ma i nie będzie.

– Gdzie pan kupił tego szczeniaka? – spytał Winter.

– Gdzie ona jest? Gdzie Jana?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Co Jana ma z tym wspólnego?

– Co znaczy: z tym?

– Z tym, że jestem tutaj.

– Gdzie ją pan kupił? – powtórzył Winter.

– Gdzie?

– Tak. Gdzie?

– Nie pamiętam adresu.

– W której części miasta?

– To było... na południu. Niedaleko wyspy.

– Której?

– Amundön.

– Kupił pan szczeniaka w pobliżu Amundön?

– Mówię przecież. Ten dom znajdował się blisko Amundön.

To się chyba nazywa Stora Amundö.

– Gdzie jest ten dom?

– Przecież powiedziałem.

– Mógłby pan go wskazać?

– Nie jestem pewien. Drewniany, podobny do innych w sąsiedztwie. Nie jestem nawet pewien, czy był drewniany.

– Daleko od wyspy?

– Niedaleko.

– W jakiej odległości?

– Czy ja wiem, że sto metrów.

Runstig był spokojny. Odpowiadał na pytania bez zastanowienia. Za to Winter miał problem z tym, że wydawał się nie mieć pojęcia, dlaczego mu zadaje te pytania.

Może o wszystkim zapomniał już w chwili, gdy wychodził z tamtego domu. To się zdarza.

– Trafiliby pan do tego domu?

– Chyba już pan o to pytał.

– Spytam jeszcze raz – powiedział Winter. – Trafiliby pan tam?

– Prawdopodobnie tak.

– Po co pan tam pojechał?

– Słucham?

– Po co pan pojechał do tamtego domu?

– Którego?

– W pobliżu Stora Amundö. Do domu, o którym mowa.

– To pan mówi.

– Po co pan tam pojechał?

– Jeszcze z tym nie skończyliśmy? Przecież kupiłem szczeniaka!

– Od kogo?

– Od mieszkańców tego domu.

W jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, nawet od uśmiechu, nic. Winter znał ten typ. Pytania rozumieli dosłownie, przynajmniej niektórzy. Podczas jednego przesłuchania udzielali odpowiedzi prowadzących w różnych kierunkach. Przypomniał mu się trener piłkarski, który na pytanie, jak jego drużyna chce wygrać mecz, odparł: strzelając więcej bramek niż przeciwnik.

– Kto mieszkał w tym domu?

– Nie pamiętam, jak się nazywała.

– Więc to była kobieta?

– Przecież powiedziałem „nazywała się”.

– Szczeniaka sprzedała panu kobieta?

– Już mówiłem, że tak.

– Czy wtedy, gdy pan tam poszedł kupić psa, w domu był jeszcze ktoś?

– Byłem tam tylko ten jeden raz.

– Nie o to pytałem.

– A o co?

– Czy wtedy w domu był jeszcze ktoś?

- Kiedy?
- Niech pan sam to określi – powiedział Winter.
- Byłem tam tylko ten jeden raz.
- Kiedy?
- Gdy kupiłem Janę.
- Wabiła się Jana, gdy ją pan kupował?
- Nie.
- To skąd to imię?
- Ja ją tak nazwałem. A może moja żona. Już nie pamiętam.
- Jak się wabiła wcześniej?
- Nie miała imienia.
- Skąd pan wie?
- Powiedziała mi kobieta, która mi ją sprzedała.
- Jak się panu udało to zapamiętać?
- Nie wiem.
- Dlaczego panu to powiedziała?
- Nie wiem.
- Niech pan spróbuje sobie przypomnieć.
- Mówiła coś o alergii – odpowiedział natychmiast Runstig.
- W jakim sensie?
- Alergia, alergia... jaki tu może być sens? Co ma z tym wspólnego jakiś sens?
- Dlaczego wspomniała o alergii?
- Ten pies był u nich bardzo krótko. Miała alergię. Nie zdążyli go nazwać.
- Jacy oni?
- Co?
- Jacy oni?
- Nie poznałem ich.

Winter poczuł na potylicy znajome mrowienie. I jeszcze zimny dreszcz między nogami. Nie wiedział, skąd to się bierze. Nigdy w to nie wnikał, ale przydarzało mu się to, gdy robił krok w ciemność, jakby jego narządy płciowe były powiązane z otchłanią, jakby zawsze chodziło o seks. Już nic nie słyszał, za ciemno. Uszy osłepły, oczy ogłuchły, teraz był tylko myśliwym. Ten skurwysyn naprzeciwno był myśliwym.

- Jacy inni?

- Co?
- Kim są ci inni, których pan nie poznał?
- Nie mam pojęcia.
- Dlaczego pan o nich wspomniał?
- Zgaduję. Chyba musiały mieć jakiegoś męża? Zresztą nie mam pojęcia, mogła być rozwiedziona. Cofam to.
- Wspomniał pan, że było tam więcej osób.
- Pomyliłem się, okej? *Mea culpa*, okej? *Mea maxima culpa*.
- Kogo pan tam spotkał?
- Nikogo nie spotkałem. Kupiłem psa od tej kobiety i zaraz poszedłem. O co chodzi?

Runstig spojrział na kamerę, na magnetofon, jakby od nich oczekiwał odpowiedzi, ale jedyną odpowiedzią były jego własne słowa, może nic niewarte. Winter jeszcze tego nie wiedział. Prawie nigdy nie wiedział, zanim nie przesłuchał nagrania jeszcze raz i jeszcze raz. Zresztą nie tylko o słowa chodziło. One stanowiły tylko wierzchnią warstwę.

- Kogo jeszcze widział pan w tym domu?
- Jej dzieci. Parę dzieciaków.
- Ile dzieci?
- Parę, przecież powiedziałem. Para to dwoje.
- Gdzie były?
- Oczywiście w domu.
- Gdzie w domu?
- Nie wiem, w przedpokoju, kiedy zadzwoniłem do drzwi. Potem chyba w dużym pokoju.
- Był pan w dużym pokoju?
- Nie wiem, jak go nazywają.
- Nazywają? Kto nazywa?
- Kurwa, co się pan czepia! Ci, co tam mieszkają! Nie wiem, kim są. Nic nie wiem o tej rodzinie. Kupiłem od nich szczeniaka i to wszystko. Czy kupowanie szczeniaka jest przestępstwem? Nie rozumiem, co ja tu robię. Czy wprowadzono zakaz kupowania zwierząt domowych przez Szwedów?

Winter zobaczył w jego oczach błysk. Nie miał zamiaru iść tym tropem. Zaprowadziłby go za daleko od domu Marsów.

Runstig zaczął przeklinać i okazywać emocje. Dotychczas tego nie robił.

– Do których pokoi pan wchodził?

Runstig nie odpowiedział.

– Był pan w kilku pokojach?

– Tylko w jednym. I to niedługo. Więc... jeśli ktoś się włamał do tej chałupy, to nie ja.

– Który to był pokój?

– Zaraz za przedpokojem. Przeszedłem tylko przez przedpokój. Tam był szczeniak.

– Nie widział pan szczeniaka w przedpokoju?

– Nie przypominam sobie. Chyba nie. Jakie to ma znaczenie?

Błysk w jego oczach zgasł. Winter nie miał pewności, czy to dobrze, czy źle. Może popełnił błąd. Ciekawe przesłuchanie. Runstig cały czas mówi obok. O co chodzi? Dlaczego tak kluczy?

– Jak to się stało, że pojechał pan akurat do tego domu?

– Chciałem kupić szczeniaka, tak? Czy to nie wynika jasno z tego przesłuchania czy jak to nazwać?

– Skąd pan wiedział, że mają szczeniaka do sprzedania?

– Z ogłoszenia.

– Gdzie je pan przeczytał?

– W „Göteborgs-Posten”.

– Kiedy?

– Nie mam pojęcia. Są ludzie, którzy pamiętają takie daty?

– Co pan chce przez to powiedzieć? Jakie daty?

– Daty, daty, pamiętają daty. Jakiegokolwiek.

– I co pan zrobił?

– Kiedy?

– Po przeczytaniu tego ogłoszenia.

– Zadzwoiłem tam.

– I kto odebrał?

– Ta, co sprzedawała psa.

– Kobieta, którą pan potem poznał?

– Tak.

– I co pan powiedział?

– Powiedziałem, że chcę kupić szczeniaka z ogłoszenia!  
– Ma pan jeszcze to ogłoszenie?  
– Oczywiście, że nie.  
– Co powiedziała?  
– Że mogę przyjechać obejrzeć kundla. Nie pamiętam dokładnie.

- Kiedy to było?
- Co?
- Ile minęło od czasu, kiedy pan przeczytał to ogłoszenie?
- Tego samego dnia. Nie chciałem ryzykować.
- Co to znaczy, że nie chciał pan ryzykować?
- Że nie chciałem ryzykować.
- Co pan chce przez to powiedzieć?
- To, że ktoś mógłby mnie uprzedzić. Było takie ryzyko.
- Wiele osób dzwoniło w sprawie ogłoszenia?
- Nie mam pojęcia.
- Powiedziała, że były telefony?
- Nie, nie powiedziała, w ogóle się o tym nie zająknęła.
- Dlaczego się pan tak śpieszył?
- Nie śpieszyłem się.
- Ale bał się pan, że ktoś pana uprzedzi?
- Nie miałem bladego pojęcia. To było tylko przypuszczenie.
- Skąd pan do niej zadzwonił?
- Jakie to ma znaczenie?
- Proszę odpowiedzieć na pytanie.
- Chyba z domu. Na pewno z domu.
- Z jakiego telefonu?
- Co?

Słyszałeś, pomyślał Winter. To klasyka. W ten sposób zyskuje się trzy sekundy. Czas do namysłu. I tak za mało, zdradziłeś się.

- Z jakiego telefonu?
- Domowego.
- Na abonament stacjonarny?
- Tak.
- Nie – odparł Winter.
- Co?



- Nie zadzwonił pan z telefonu stacjonarnego.
  - Kurwa, skąd pan wie?
  - Z jakiego telefonu pan zadzwonił?
  - W takim razie pewnie z komórki.
  - Z tej, którą miał pan przy sobie, kiedy się spotkaliśmy?
  - Spotkaliśmy się?
  - Gdy się ze sobą spotkaliśmy. Z tej komórki, którą chwilowo zabezpieczyliśmy.
  - A jest jakaś inna?
  - Dlaczego używa pan telefonu na kartę?
  - Co?
  - Dlaczego używa pan telefonu na kartę?
  - Bo żadnemu skurwielowi nic do tego, do kogo i gdzie dzwonię – odparł Runstig.
  - Dlaczego?
  - Domyślam się, że jest pan zwolennikiem społeczeństwa kontroli – powiedział Runstig. – Ale ja nie muszę.
- Społeczeństwo kontroli może być krytykowane zarówno z prawa, jak i z lewa, pomyślał Winter. Ale tak musi być, jeśli nie chcemy żyć pod terrorem, wiecznym terrorem dyktatorów.
- Skończmy z tymi pierdołami – ciągnął Runstig.
- Winter skinął głową.
- Zgadzam się. Pierdoły są bez sensu.
  - To ja to zrobiłem – powiedział Runstig. – Ja ich zadźgałem. Zresztą i tak wiecie. Ta cała reszta to jakieś dyrdymały.
- Zatoczył ręką łuk, wskazując na stół, ściany, krzesła, kamerę, magnetofon, Wintera. Dyrdymały.
- Proszę opowiadać – powiedział Winter. Pora na pytania otwarte. Wszystko się otworzyło. To już ten etap.
  - Nie ma co opowiadać. Zadźgałem ich. Resztę znacie.
  - Nic nie znamy – odparł Winter. – Niech pan opowiada od początku. Od chwili gdy pan przeczytał ogłoszenie.
  - Ogłoszenie?
  - Mieliliśmy skończyć z pierdołami, tak? Ogłoszenie w „GP”.
  - Co to ma wspólnego z chłopakami? – zdziwił się Runstig.
  - Z chłopakami?

– Z tymi, których zadźgałem. Może był tylko jeden. Kurwa, wiecie to lepiej ode mnie.

– Co za chłopak?

– Kurwa mać, okej. Przyznaję się. Nie mógłbym teraz wyjść z tego cholernego pokoju?! Uwolnić się od pana!

– Do czego chcesz się przyznać, Christianie?

Po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu. Zabrzmiało w jego ustach obco, jeszcze bardziej obco niż Runstig.

– No przecież, że zadźgałem te męty na Opalorget!

Winter spojrział na magnetofon, nawet on wydawał się zdziwiony. Tym razem w pokoju byli tylko oni.

Runstig pochylił się do przodu. W jego oczach pojawił się błysk, szukał spojrzenia Wintera.

– To nie dlatego jestem tutaj? – spytał.

– Christianie, czy śledzisz wiadomości?

– Oczywiście! Nie było o tym ani słowa!

– Ani słowa o czym?

– O Opalorget!

– Nie chodzi o Opalorget – powiedział Winter. Nie powinien, ale teraz już musiał. – Chodzi o Amundön.

– Nic o tym nie wiem... – Runstig urwał w pół zdania.

Winter skinął głową, może żeby go zachęcić do mówienia.

– Kurwa mać – powiedział Runstig.

Winter znów skinął głową.

– Nie, nie, nie.

Jeszcze jedno skinienie.

– W ogóle nie skojarzyłem – powiedział Runstig. Ciągle miał ten błysk w oczach, przebłysk pewnego rodzaju inteligencji.

– Nie skojarzyłeś z czym? – spytał Winter.

– Z Amundön... z domem... ze szczeniakiem. Jak... skąd wy możecie wiedzieć o tym szczeniaku?

– Dlaczego mielibyśmy nie wiedzieć? – spytał Winter.

– Nic nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, przysięgam. Nie wiedziałem, że poszukujecie... człowieka, który kupił psa. Że poszukujecie... mnie.

– Ogłoszenie zostanie opublikowane dziś po południu – powiedział Winter.

RUNSTIG ODPOCZYWAŁ W SWOIM „POKOJU”. Nowe określenie, przyjęte po remoncie gmachu policji. Ktoś tak powiedział, za nim wszyscy pozostali, chociaż nikt nie wiedział dlaczego, bo cele w areszcie były takie same jak przedtem, nie tknięto ich podczas remontu. Przesiąknięte apatycznym nastrojem powagi i żalu. Co by było, gdyby... gdybym się urodził w kochającej rodzinie, gdybym miał lepsze geny, gdybym nie zaczął palić.

Halders obserwował go przez wizjer. Runstig siedział na pryczy i patrzył przed siebie, w przeciwną ścianę. Zwykle tak się zachowywali, więc samo w sobie to nic nie mówiło. W pewnej chwili wstał i rozejrzał się, jakby był tam przejazdem. Nie poczuwał się do winy. Halders odwrócił się do stojącego za nim Wintera.

– Psychiczny, co?

– Prawdopodobnie tak – odparł Winter.

– Może wystarczy wstępne badanie poczytalności? Chociaż z drugiej strony dopuścił się czynnej napaści na policjanta.

– Co może się okazać jedynym przestępstwem, jakie popełnił – zauważył Winter.

– Najpoważniejszym.

– Ale jedynym.

– A Opaltorget? – spytał Halders.

– Słyszałeś, żeby doszło tam do awantury z użyciem noża?

– Nie.

– Może gang zaopiekował się swoimi rannymi? – powiedział Winter.

– Nie, nie. Zawsze są jacyś świadkowie. To było po południu, prawda? Sklepy były otwarte.

– On tak mówi.

– Przyśniło mu się – powiedział Halders. – Faszyści cały czas śnią na jawie.

– A to, że był w tym domu w Amundövik, też mu się przyśniło?

– Oto jest pytanie, szefie.

Oczywiście pobrali od Runstiga próbkę DNA. Pierwszy wynik był negatywny, ale to jeszcze nic nie znaczy. Będą szukać dalej. Od morderstwa upłynęło sześć dni.

– Można zamordować, nie czując potrzeby, żeby najpierw wydupczyć ofiarę – zauważył Halders.

– To dość niezwykle – stwierdził Ringmar.

– Wiem, wiem. Popęd płciowy to najgorsze draństwo pod słońcem.

Anety nie było z nimi. Pewnie dlatego Halders wrócił do dawnego żargonu. W jakiś sposób Winterowi nawet tego brakowało. Byle w małych dawkach.

– Czyli ktoś inny – powiedział Ringmar.

– Nie Jovan Mars – odparł Halders.

DNA Marsa nie zgadzało się z DNA spermy, którą znaleźli w pochwie jego żony. To też nic nie znaczy, nie powinno. Wszyscy są winni, dopóki się nie udowodni, że nie są. W każdym razie taka była linia postępowania Wintera i tych funkcjonariuszy wydziału zabójstw, na których miał wpływ. Niezgodna z prawem, ale to był jedyny sposób.

– To Mars, to Runstig i X – powiedział Winter. – Dopiero co zacząłem przesłuchiwać Runstiga.

– Jakież nowe wieści z wydziału technicznego? – spytał Halders.

– Torsten sprawdza klucze – odparł Winter. – Jest jeden pęk kluczy, może należał do Sandry, kilka kluczy do drzwi wejściowych i jeszcze jeden pęk, może dzieci. Może jakichś brakować. Trzeba to będzie sprawdzić z Jovanem Marsem.

– Są ślady na śniegu?

– Tylko twoje – odparł Winter.

– Cha, cha.

– Padał śnieg – zauważył Ringmar.

– Niestety dopiero później, a jeśli były ślady, zostały

zasypane między morderstwem i jego odkryciem.

– Kiedy przyjechaliśmy, były jakieś ślady – przypomniał Halders.

– Torsten nad tym pracuje. Był tam jeszcze świadek, Robert Krol.

– Nikt z sąsiadów nie widział żadnego podejrzanego samochodu. W każdym razie nie przypominają sobie, żeby widzieli – dodał Ringmar.

– Nikt z sąsiadów nic nie widział – podsumował Halders.

– Jest całe mnóstwo odcisków palców, ale tych, które nie należą do rodziny, nie da się zidentyfikować.

– Do byłej rodziny – poprawił go Halders.

– To wciąż rodzina. Dwie osoby to nadal rodzina.

Halders kiwnął głową. Znał to z własnego doświadczenia. Przed siedmiu laty jego żona Margareta została przejechana przez pijanego kierowcę. Dzieci były wtedy bardzo małe. Czasem myślał, że prawie nie było ich widać.

– Co z tą małą? – spytał Ringmar.

– Jedzie do jego siostry, do Hagen – odparł Winter. – Może nawet już tam jest.

– Wiadomo, kiedy po raz ostatni dostała jakieś płyny? – spytał Halders. – Mleko? W szpitalu potrafili to określić?

– Właściwie nie – odparł Winter. – Mogły upłynąć dwie doby, wtedy byłaby o włos od śmierci. Na dobrą sprawę to cud, że przeżyła. Na pewno nie więcej niż dwie. Ale sądząc po gazetach, które były w skrzynce, trzy doby.

– Morderca to zorganizował – powiedział Halders.

– Ja też myślę, że on tam wrócił – odezwała się Gerda Hoffner.

– To jest chore – stwierdził Halders.

– Uratował jedno życie – zauważyła Gerda Hoffner.

– Można i tak na to spojrzeć!

– Nie ma się z czego śmiać.

– Czy ja się śmiałem? Kiedy?

– Jak się dowiemy, dlaczego wrócił, będziemy wiedzieli wszystko – powiedziała Gerda.

– Jak się dowiemy, to gość trafi do aresztu – odparł Halders.

- Może już tam siedzi – powiedział Ringmar.
  - Prawdopodobnie – zgodził się z nim Halders.
  - Na gazetach jest tylko jeden komplet wyraźnych odcisków palców – odezwał się Winter.
  - Czyich?
  - Roznosiciela.
- Halders się zaśmiał, potem pokiwał głową.
- Aneta z nim rozmawiała – powiedział po chwili. – Zwrócił uwagę, że w skrzynce leżą stare gazety.
  - Jeśli do morderstwa doszło jeszcze wcześniej, to ktoś musiał wyjmować gazety ze skrzynki – powiedział Winter.
  - Morderca – odparł Halders. – Leżą u niego w domu.
  - Czy on wiedział, że się domyślimy, że dziecko nie mogło przeżyć bez jego pomocy?
- Nikt nie odpowiedział.

Winter pojechał na zachód. Minął Slottsskogen, wjechał w Margretebergsgatan, potem w Kungsladugårdsgatan. Na Mariaplan zauważył, że Robert Maglia otworzył nową restaurację.

Enoteca Maglia. Robert był właścicielem ich ulubionej restauracji, 1965, jego i Angeli. Znajdowała się na Kungshöjd, naprzeciwko jej mieszkania. Było to w czasach, gdy jeszcze nie mieli dzieci, a on był młodym człowiekiem.

Zaparkował przed domem, na Fullriggaregatan. Było stamtąd widać domek do zabawy, w którym spędził decydujące lata swego życia. Pierwsza samotnie przespana noc w osobno stojącym domu. Pierwsza noc w śpiworze. Tam w pewien letni wieczór po raz pierwszy się masturbował. Ostry, cudowny ból między nogami, nasienie na ręce. Jeszcze nie umiał ochronić dłoni przed wytryskiem. Ile mógł wtedy mieć? Jedenaście, dwanaście lat? To wcześniej czy późno? Popęd płciowy to najgorsze cholerstwo pod słońcem, powiedział godzinę temu Halders. To prawda i nieprawda. Pierwszy raz dotknął dziewczynskich piersi też w tym domku do zabawy. Bawili się w rodzinę, ale dzieci nie mieli. Ona prawie nie miała piersi,

a on prawie nie miał owłosienia łonowego.

Lotta otworzyła drzwi. Wypatrzyła go przez kuchenne okno. Wszystko stamtąd było widać. Przejęła rodzinny dom, ale już mieszkała w nim sama. Bim i Kristina nie mieszkały już nawet w Göteborgu. Jej były mąż Benny Vennerhag wciąż żył. Niestety.

Lotta, młodsza siostrzyczka.

Wysiadł z samochodu i otworzył furtkę.

Wyszła mu naprzeciw i uściskała już na ścieżce, od zawsze wyłożonej kamiennymi płytami. Wydawało się, że leżą tam od tysiąca lat.

– Wcześniej nie miałem czasu cię odwiedzić – powiedział.

Siedzieli w kuchni. Wszystko pachniało jak dawniej. Zapachy od razu zaprowadziły go w przeszłość. Coś takiego może zrobić tylko zapach.

– Czytałam o tym – powiedziała. – Potworne.

Kiwnął głową.

– A ty wpadłeś w sam środek.

– Nie powiedziałbym, że wpadłem.

– Wiesz, co chcę powiedzieć. Jesteś w środku tego wszystkiego.

– Tak.

– I do tego chciałeś wrócić, Eriku?

– Tak.

– Okropny jesteś – powiedziała z uśmiechem.

– Wiem. Dałbym wszystko, żeby nikt z nich nie umarł. To brzmi jak komunał, ale dokładnie oddaje to, co czuję.

– Przepraszam cię.

– Dokładnie oddaje to, co czuję.

– Wybacz, że to powiem, ale wyglądasz na zmęczonego.

– Kiepsko sypiam.

– Nigdy dobrze nie spałeś.

– Wróciły sny.

– Jakie sny?

– Koszmary. W Marbelli po pewnym czasie przestałem je mieć.

- I między innymi dlatego tam pojechałeś, prawda?
- To była jedna z przyczyn.
- Ogólnie rzecz biorąc.
- Pobyt tam mi pomógł.
- A mimo to wróciłeś.
- Mam dopiero pięćdziesiąt lat. Z niewielkim okładem.
- Tym więcej powodów, żeby pomyśleć o swoim życiu.
- To właśnie jest moje życie.

Spacerowali po ogrodzie. Na jabłoniach wisiało kilka zamarznionych owoców, pięć jabłek na trzech gałęziach. Wyglądały jak dzieła sztuki. Czterdziestocentymetrowa warstwa śniegu była prawie nietknięta. W czasach gdy mieszkały tam jeszcze dzieci Lotty, wszędzie robiły anioły na śniegu. On też robił anioły, i Elsa, Lilly i Angela. Wszędzie robili anioły. Kiedy nadchodził mróz, dusze aniołów zastygały i zostawały do końca zimy. Tak to kiedyś wymyślił, gdy Elsa zapytała o anioły. Nie powiedział jej, co wymyślił. Zmieszał się, jakby uważał, że dla nikogo innego nie będzie to zrozumiałe. To, co dotyczy duszy, nie jest do końca zrozumiałe. Ma wprawdzie swoją nazwę, ale reszta jest niepojęta.

Widział dom, w którym miało się nadal toczyć życie Grety Mars. Drewniany, pomalowany na czerwono. Na tej ulicy było mało czerwonych domów. Nic nie wiedział ani o domu, ani o jego mieszkańcach. Spytał Lotte.

– Rodzina, mieszkają tam od niedawna. Lager... bergowie, zdaje się. Ona ma na imię Louise, nie pamiętam jak on. Imion dzieci też nie pamiętam. Mają dwoje dzieci. Lagerbergowie. To ważne?

– Dojdzie im jeszcze jedno dziecko. Może nawet rodzina. Dwuosobowa.

– Eriku, o czym ty mówisz?

Lotta Winter zatrzymała się na chwilę przed domkiem do zabawy. Dach pokrywała gruba warstwa śniegu, przymarznięta jak biała skóra. Otworzyła drzwi.

- To nadchodzi – powiedziała. – Jest coraz bliżej.
- Mam nadzieję, że nie masz na myśli zła.



– Nie wiem, jak to nazwać.

– Nazywa się zło, ale właściwie nie wiem, co to jest – powiedział. – Poświęciłem życie na to, żeby zrozumieć, ale nie potrafię.

– Zrozumieć? Eriku, dlaczego musisz zrozumieć? Przecież to ponad ludzkie pojęcie.

– Właśnie tym się zajmuję, tym, co ponadludzkie. Może raczej podludzkie. To chyba właściwsze określenie.

– No to rób swoje, a resztą się nie zajmuj. Wystarczy tego, co masz w pracy. Wystarczy, że złapiesz tego potwora.

– Potwora?

– A jak go nazwać?

Musieli się pochylić, żeby wejść. W środku pachniało wilgocią i drewnem, ale był tam też zapach pochodzący z zupełnie innych czasów, może z któregoś lata zatrzymanego w belkach, jak zapach dzieciństwa, który nigdy nie zniknie, cokolwiek by się działo w przeklętej dorosłości.

– Mamy jednego tymczasowo aresztowanego – powiedział Winter.

– Co to znaczy?

– Nie mamy podstaw do postawienia mu zarzutów i będziemy musieli go wypuścić.

– I co ty na to?

– Sam nie wiem.

– Dlaczego się wahasz?

– Jak zwykle – odparł. – Mam przecucie.

– Intuicja.

– Albo wyobraźnia – dodał. – Albo jej brak.

– No, tego jednak ci nie brakuje, Eriku.

– Jednak – powtórzył po niej i się uśmiechnął.

– Kiedy masz go znów przesłuchać?

– Za godzinę – powiedział Winter, idąc przez ogród po własnych śladach. Uciekinier w labiryncie<sup>14</sup>, pomyślał. Najlepszy tytuł na świecie. Sandemose podobno był straszną świnią.

---

14 *Uciekinier w labiryncie* – powieść norweskiego pisarza Aksela Sandemose.

Angela zadzwoniła, gdy był akurat na Långedragsvägen. Mijał dzielnicową szkołę podstawową z nową przybudówką. Ta rozbudowa była tak samo ważna jak remont komendy, chyba nawet ważniejsza. Właśnie była przerwa i na dwór wyległo pewnie z tysiąc dzieciaków. Krzyki i śmiechy przedarły się przez szумы w jego uszach. Nie usłyszał komórki, ale poczuł drgania w kieszeni na piersi, jakby miał serce z prawej strony. A przecież można mieć tylko jedno serce.

– Cześć, kochanie.

– Eriku, gdzie jesteś? Możesz rozmawiać?

– Jadę samochodem, więc zgodnie z obowiązującymi w Szwecji przepisami jestem w najlepszym miejscu do prowadzenia rozmów przez telefon komórkowy. Właśnie spotkałem się z Lottą.

– Możesz się na chwilę zatrzymać?

Usłyszał w jej głosie coś chropawego, jakby coś się stało. Serce zaczęło mu walić w piersi.

– Za chwilę – powiedział. Wjechał w Hästeviksgatan i zaparkował przed sklepem Ica.

– Stało się coś? Dziewczynkom?

– Nie. Chodzi o Siv...

Przeciągała słowa.

– Co znowu zrobiła?

– Słyszę, że spotkałeś się z Lottą.

– Co z matką?

– Wiesz, miała te dziwne bóle w plecach...

– Nie musisz mnie przygotowywać, Angelo. Jaka diagnoza?

– Ma raka płuc.

– O cholera.

– Dopiero co zrobili jej prześwietlenie. Ale inne badania już są.

– Dlaczego wcześniej nic nie mówiłyście?

– To sprawa kilku ostatnich dni. Eriku, proszę, nie denerwuj się.

– Jestem spokojny. Jak się czuje?

- Też jest spokojna.
- Ile czasu jej zostało?
- Trudno powiedzieć.
- Przecież jesteś lekarzem. Na pewno masz jakiś pogląd.
- Nie.
- Nie masz.
- Nie mamy nawet... żadnego planu leczenia. Nie wiem, czy guz jest operacyjny. Chemia... na razie nie wiadomo. Wkrótce trzeba będzie podjąć wiele decyzji.
- Ma świadomość, że chemia oznacza koniec z T&T?
- Ma świadomość wszystkiego – odparła Angela.
- Znów ta chropawość w głosie, zmęczenie i cicha rozpacz.
- Jutro wsiadam w samolot – powiedział.
- A możesz?
- Może dostać zapalenia płuc i pojutrze umrzeć – odparł.
- Z nią nigdy nie wiadomo. Gdyby chociaż próbowała rzucić palenie.
- Po badaniu, gdy wyszliśmy na schody, od razu zapaliła.
- No oczywiście.
- Żeby się uspokoić. Tak powiedziała.
- Baba zachowuje się jak narkomanka.
- Eriku, nie nazywaj jej tak.
- Przecież to tylko między nami – powiedział. – Spróbuję jutro dostać bilet na samolot Norwegian. Odlatuje koło ósmej. W niedzielę też jest jeden rano, za dwadzieścia siódma.
- Dziękuję.
- I tak chciałem do was lecieć w przyszłym tygodniu
- powiedział.
- Możesz to wszystko zostawić w samym środku sprawy?
- Zatrzymaliśmy jednego podejrzanego – powiedział.

PO SKUTEJ LODEM ZATOCE SUNAŁ BOJER. Ringmar jechał przez port nad Ganlebukten. Żagiel bojera czerwieniał się w zachodzie słońca. Wyglądało, jakby ogień zagłębiał się w lodzie. Na horyzoncie unosił się dymek.

Bojer zrobił zwrot i po chwili zniknął za pagórkami. Miały jakąś nazwę, ale Ringmar nie mógł sobie przypomnieć jaką i strasznie go to złościło. Bo uważał, że zna na wylot cały podmiejski archipelag, tak jak taksówkarz z prawdziwego zdarzenia zna wszystkie ulice w mieście.

Zjechał z ronda, pokrzyżował po ulicach i zaparkował w pobliżu boiska do piłki nożnej. Tu i ówdzie widać było gołą ziemię, bo wiatr zwał śnieg. Żwir żarzył się czerwienią jak ziemia w kraju daleko na południu. Na przykład w Malezji. Jego syn Martin był szefem kuchni w hotelu Shangri-La w Kuala Lumpur. Nie mieli ze sobą kontaktu.

Idąc od samochodu, natknął się na jedenastolatka z piłką pod pachą. Chłopiec skinął głową. Dobrze wychowany dzieciak.

- Uważaj, żebyś się nie poślizgnął. – Ringmar się zatrzymał.
- Tylko sobie postrzelam – wyjaśnił chłopiec, idąc dalej.
- Nie ma siatki – zauważył Ringmar.
- Nigdy nie było – odparł chłopiec, odwracając głowę.
- No to kicha.

Chłopiec poszedł na boisko, nie powiedział już nic więcej. Ringmar pomyślał, że powinien zadzwonić do zarządu placów gier i zabaw czy jak to się nazywa. Co za nędza! Myślałby kto, że jesteśmy w jakiejś Malezji. Chociaż akurat Malezja jest chyba bogatsza od Szwecji. Martin zarabia dwa razy więcej od niego, był o tym przekonany. Sam załatwi jakąś siatkę. Ściągnie ze stadionu Ullevi. Nawet dwie.

Zatrzymał się przed domem. Stały przed nim dwa samochody bez policyjnych znaków. Więc funkcjonariusze ze śledczego i dwaj technicy jeszcze pracują. Powinni już

skończyć. To się nazywa błąd na łączach. Liv Runstig dopiero co została odwieziona do domu po przesłuchaniu na komendzie. Rozmawiała z nią Aneta. On podczas jazdy odsłuchiwał nagranie. Niewiele tego było, przeważnie cisza i głośny oddech. Brzmiał jak płacz.

Dom Runstigów był jednym z mniejszych na tej ulicy i jako jedyny wciąż miał elewację z eternitu. Sąsiedzi zdążyli się go pozbyć. Bez sensu, bo nic nie izoluje tak dobrze, a szkodliwy staje się dopiero, gdy jest uszkodzony, na przykład podczas zrywania. Może ten Runstig jest całkiem rozsądny. Zobaczymy, ile rozsądku ma jego baba. To tylko taki żargon. Jego żona. Trzeba do niej podejść jak do żony, małżonki poślubionej przed Bogiem.

Wszedł po murowanych schodkach, lekko ukruszonych na krawężniach.

Otworzyła już po drugim dzwonku. Widocznie widziała, jak szedł. W oknie poruszyła się firanka, pojawił się jakiś cień.

Przedstawił się, pokazał legitymację.

– To ja do pani dzwoniłem – powiedział. – Przepraszam, że znów panią niepokoiimy.

– No to niech pan już wejdzie – odparła. – Liv Runstig – przedstawiła się, ale już zdążyła się odwrócić.

Poszedł za nią przez przedpokój, mniejszy i krótszy niż w domu na Amundö. Nic to porównanie nie znaczyło, ale jak miałby go unikać?

Kiwnął głową do jednej z techniczek. Nie pamiętał jej nazwiska i rozzłościło go to. Liv Runstig zachowywała się tak, jakby jej w ogóle nie widziała.

Byli w pokoju dziennym. Zawsze miał problem z tym określeniem, podobnie jak ze słowem bawialnia. Powinno się wymyślić jakieś nowe określenie. W Anglii mówią na to *living room*, znacznie lepiej, żywy pokój albo pokój dla żywych. Liv Runstig wskazała mu jeden z dwóch foteli. Usiadł. Nawet z tego miejsca mógł patrzeć przez nisko umieszczone okno. Chłopak strzelał gole do gołej bramki. Powinien mieć kolegę, który by mu odrzucał piłkę, bo chodzenie po nią zabierało mu więcej czasu niż strzelanie. Przypomniało mu się, jak będąc chłopcem,

zjeżdżał na nartach z górki w Bräcke. Wdrapanie się na górę zabierało dużo więcej czasu niż zjazd.

– On nie zrobił tego, o co go podejrzewacie – powiedziała Liv Runstig.

– Na razie o nic go nie podejrzewamy – powiedział Ringmar.

– To dlaczego nie ma go jeszcze w domu?

– Musimy mu najpierw zadać kilka pytań – odparł.

Czuję się, jakbym mówił do dziecka, pomyślał. Albo jakbym prezentował streszczenie wiadomości dla opóźnionych w rozwoju. Albo rozmawiał z kimś, kto nie zna języka.

– I dlatego tu jestem – dodał. – Chciałbym pani zadać kilka pytań.

– Tak, mówił pan, kiedy pan dzwonił z samochodu. Ale ja dopiero co odpowiadałam na pytania na policji.

Na boisku chłopiec znów pobiegł po piłkę. Może coś z niego będzie. Zawodowiec. Zawodowcami zostają tylko ci, co sami biegają po piłkę.

– Kiedy Jana wróci? – spytała. – Chyba nie jest o nic podejrzana?

Nie wyglądało na to, żeby żartowała. Taki żart, który nie jest żartem.

– Naprawdę nie wiem – odparł.

– Czy ktoś o nią dba?

– Oczywiście, lada moment powinna do pani wrócić.

– Co to znaczy: lada moment?

– Już niedługo.

– Domagacie się odpowiedzi, ale jak się was o coś pyta, nie dostaje się żadnych konkretów.

– Sprawdzę, kiedy będzie mogła wrócić.

– A kiedy wolno mi będzie zobaczyć się z Christianem?

– Na razie nie potrafię odpowiedzieć. Ale bardzo niedługo.

– Powinam się z nim zobaczyć.

Odwróciła się i spojrzała przez okno na chłopca strzelającego ostre gole. Musiał daleko biegać po piłkę. Miała taką minę, jakby patrzyła na kogoś zupełnie obcego. Ringmar wiedział, że nie ma dzieci.

– Kiedy państwo zaczęliście rozmawiać o kupnie psa?

– zapytał.

– W ogóle o tym nie rozmawialiśmy – odpowiedziała.

– Jak to?

Wzruszyła lekko ramionami, ledwo widocznie. Sama była... ledwo widoczna, jak cień. Prawie przezroczysta. Ringmar miał wrażenie, jakby przez tę kobietę siedzącą na kanapie przed oknem widział i chłopca, i boisko.

– Wiedziała pani, że mąż ma zamiar kupić psa?

Potrząsnęła głową.

– Może pani wspomniała, że chciałyby mieć psa?

– Może kiedyś – odparła. – Pewnie jak każdy.

Najlepszy przyjaciel człowieka, pomyślał. Kto by nie chciał kupić sobie najlepszego przyjaciela? Za kilka stów, przecież to tanio.

– I co się stało? – spytał.

Teraz już patrzyła na niego spojrzeniem niby ostrym, choć niewidzącym, jak krótkowidz, który nie włożył okularów.

– W jakim sensie?

– Kiedy się pani dowiedziała, że kupił psa?

– Kiedy wrócił z nim do domu.

– Jaki to był dzień?

– Ten sam... w którym ukazało się ogłoszenie.

– Tak powiedział?

– Tak.

– Ile za niego zapłacił?

– Mówił, że niedużo. Podobno cena była symboliczna.

Symboliczna dla kogo, dla czego? Ringmar poczuł mdłości, jakby miał się pochorować. Albo nagle zestarzeć.

– Mają państwo jeszcze tę gazetę? – spytał. – Albo samo ogłoszenie?

– Nie, ja w ogóle nie widziałam tego ogłoszenia, a Christian co rano wyrzuca gazetę z poprzedniego dnia.

– Co rano?

– Mówi, że nie chce, żeby... śmieciły.

– Chciałbym być taki – powiedział Ringmar.

– Jest bardzo staranny.

– To wielka zaleta.

- Dzięki temu łatwiej wam przeszukiwać nasz dom.
- To zgodne z procedurami – odparł Ringmar. Nie było nic, co mógłby dodać.
- Ja bym nie mogła robić czegoś takiego – powiedziała.
- Dlaczego pani mąż nagle pomyślał o kupieniu psa?
- spytał Ringmar.

Nie odpowiedziała. Ona też patrzyła na chłopca ćwiczącego na pustym boisku rzuty karne do gołej bramki w wersji szwedzkiej. Zdjął czapkę i zaznaczył nią miejsce, z którego będzie strzelał. Ringmar miał ochotę wstać, wyrwać się z tego obłędu, stanąć w bramce i rzucić się, żeby obronić karnego przy samym słupku. Chłopiec znów strzelił i trafił w słupek. Wyglądało to całkiem szpanersko, ale nie było gola. Równie dobrze mógł przestrzelić na dziesięć metrów. Słupki były bardzo zwodnicze. Ringmar w robocie trafiał w słupek po zewnętrznej, Erik najczęściej po wewnętrznej. Lars ciągle przestrzeliwał, Aneta wkręcała większość piłek, a Fredrik strzelał ponad poprzeczką, zawsze ponad poprzeczką.

- Pani mąż wydaje się człowiekiem gwałtownym.

Nie odpowiedziała. Znów patrzyła na chłopca, Ringmar też. Wszystko przechodziło przez tego chłopaka na boisku.

- Zna pani tego chłopca?
- Z widzenia, ale nie wiem, jak się nazywa.
- Pani mąż sprawia wrażenie człowieka gwałtownego
- powtórzył Ringmar.
- Nic mi o tym nie wiadomo – odparła.
- Nigdy pani nie widziała, żeby użył przemocy?
- Nie.
- Wobec pani?
- Nie.
- Nigdy?
- Nigdy.

Nie patrzyła na niego. Chyba myślała o niczym, takie przynajmniej sprawiało wrażenie. Nie mógł jej poprosić, żeby podwinęła rękawy, odsłoniła szyję, piersi, uda, pokazała sińce, sine i żółte wspomnienia po prawdziwym szwedzkim przemocowcu, rasiście i mizoginie. Przecież taki był, Christian



Runstig. Nie ma powodu postrzegać go inaczej, dopóki nie dowiedzie, że taki nie jest.

- Dlaczego pani mąż nagle postanowił sprawić sobie psa?
- spytał jeszcze raz.
- Ze względu na mnie – odparła.
- W jakim sensie?
- Chciał, żebym więcej wychodziła.
- Jest bardzo troskliwy – zauważył Ringmar.
- On zawsze myśli o mnie – powiedziała.

Tym razem Christian Runstig od samego początku przesłuchania wydawał się bardziej obecny. Naprawdę chciał pomóc.

– Musi pan zrozumieć, że to nie ja – powiedział, zanim jeszcze Winter zdążył włączyć nagrywanie.

– Uważasz, że miałeś dość czasu, żeby się zastanowić? – spytał Winter, gdy już usiedli.

– Nie mam się nad czym zastanawiać – odparł Runstig. – Ja tego nie zrobiłem.

– Opowiedz, jak to było.

– Co?

– Zacznij od tego, jak przeczytałeś ogłoszenie i zadzwoniłeś.

– Co mam powiedzieć?

– Jak przebiegała rozmowa.

– No więc... powiedziała, że jestem na prowadzeniu, bo dzwonię pierwszy.

– Tak się wyraziła?

– Że na prowadzeniu? Tak.

– Co jeszcze powiedziała?

– Że to mieszaniec i pewnie dlatego nikt dotychczas nie dzwonił. Ja na to, że nie szkodzi.

– Rzeczywiście tak jest?

– Niby jak?

– Nie szkodzi, że mieszaniec?

– W odniesieniu do psów nie szkodzi.

– A kiedy szkodzi?

- A co to ma do rzeczy?
- Do jakiej rzeczy, Christianie?
- Do tego... kupna. Czy nie o tym mowa?
- Akurat teraz mowa o mieszańcach – odparł Winter.
- Nie chcę o tym rozmawiać – powiedział Runstig.
- To znaczy o czym?
- Pan wie o czym. Myśli pan, że nie wiem? Że głupi jestem? Nie chcę rozmawiać o rasie. Wystarczy tego, co jest. O rasie możemy porozmawiać innym razem. Podobno macie pełne ręce roboty z tymi nowymi rasami, które zalewają miasto i podpalają nam samochody.
- Teraz to ja mam ręce pełne roboty z tobą, Christianie.
- No i niech pan na tym poprzestanie.
- Innym razem. Winter poczuł, że drga mu mięsień w przedramieniu. Może to lekki uraz po tym, jak przystopował go wtedy na lodzie.
- Może znowu chce mnie pan pobić? – ciągnął Runstig. – Na przykład użyć w tym celu magnetofonu. – Kiwnął głową w stronę stołu. – Jeśli chce pan wiedzieć, to nadal mnie boli.
- Przykro mi – odparł Winter. – O której tam przyjechałeś?
- Co?
- O której przyjechałeś do Amundövik?
- Chyba po południu. Zaczynało się ściemniać. Nie patrzyłem na zegarek.
- Kiedy to było?
- A nie mówiłem?
- Odpowiedz na pytanie.
- Tego samego dnia, kiedy przeczytałem ogłoszenie. Nie pamiętam daty.
- I co się stało?
- Nic się nie stało! Jezu! Zadzwoniłem do drzwi, otworzyła mi, dzieciaki pętały jej się koło nóg, dokonaliśmy transakcji i odjechałem z kundlem.
- Miał imię?
- Co?
- Czy szczeniak miał imię, gdy go kupowałeś?
- O ile wiem, to nie. Nawet spytałem, ale nie dostałem

odpowiedzi.

Winter kiwnął głową. Mów dalej, dalej. Pies już miał imię, Luna.

– Powiedziała, że mają go od zaledwie tygodnia – ciągnął Runstig. – Nagle dostała alergii, mówiła, że ma wysypkę.

– Widziałeś tę wysypkę?

– Nie. Chociaż nie pamiętam. Mówiła, że nie przypuszczała, że można dostać alergii od owczarka szkockiego.

– Długo rozmawialiście?

– Bardzo krótko.

– Co robiły dzieci?

– Pobiegły. Rozmawialiśmy na schodkach, to było, zanim wszedłem.

– A kiedy wszedłeś?

– Zaprosiła mnie do środka, żebym obejrzał psa. Chociaż już zdążyłem go obejrzeć. Chwiał się na schodach.

– Jak to chwiał się?

– Tak, chwiał. Kurwa, to szczeniak!

Winter kiwnął głową.

– Powiedziała, że ma nadzieję, że go polubię.

– Masz dobrą pamięć, Christianie.

– Pamiętam prawie wszystko.

– Tylko prawie?

– Pamiętam, że skarciłem bandę łobuzów na Opaltorget, ale najwidoczniej się myłę.

– Później do tego przejdziemy – powiedział Winter.

– Nie musimy – odparł Runstig.

– Ile było dzieci?

– Chyba... dwoje. Tak, dwoje. Po chwili gdzieś pobiegły.

– Dlaczego pobiegły?

– Tłumaczyła, że im przykro, że nie mogą zatrzymać psa.

Winter skinął głową.

– Potem słyszałem płacz niemowlęcia. Ona wtedy powiedziała, że mała się obudziła. – Runstig pochylił się nad stołem. Spojrzał na magnetofon, potem na Wintera. – Niech pan słuca. To straszne, że ich zamordowali. Cholernie się... wściekłem, gdy o tym przeczytałem. Mógłbym zabić tego, który

to zrobił! Bez litości! Sprawdziliście czarnuchów z okolicy? Ja bym szukał sprawcy wśród nich. Bez względu na okoliczności na pewno stoi za tym jakiś czarnuch. Niech pan poszuka w swoich spisach, komisarzu.

Problem w tym, że w południowej części Göteborga nie mieszkają żadne czarnuchy, pomyślał Winter, patrząc na błyski w jego oczach. Pojawiające się i znikające oznaki szaleństwa.

– Zmieniłeś nazwisko? Czy zawsze nazywałeś się Runstig?<sup>15</sup>

– Zmieniłem, ale to moje nazwisko od początku świata. Czekają na mnie. To dziedzictwo wikingów.

– A jak się nazywałeś przedtem?

– Nie pamiętam. Ale na pewno nie Czarnuchowicz. Widzę, że śmieszą cię ludzie, którzy przybierają nowe nazwisko, prawda? Typowe dla kogoś, kto się od początku ładnie nazywa. Obrzydliwe patrzyenie z góry. Ale nazwisko Winter też nie jest rdzenne, może pan być tego pewien.

Jasne, pomyślał Winter. Dawniej nazywaliśmy się Sommar<sup>16</sup>, ale pewnego dnia słońce przesłoniły chmury, cha, cha, cha.

– Gdy stałem na schodkach przed domem, przejeżdżał jakiś samochód – powiedział Runstig. – To również zapamiętałem. Proszę, to świadek.

– Świadek czego? – spytał Winter.

Idąc do domu, zaszedł do Saluhallen. Kupił ładny filet z plamiaka, pomidorki czereśniowe, kilka cytryn i natkę pietruszki. Hala była po generalnym remoncie, jak prawie wszystko w mieście. Z tego akurat bardzo się cieszył, bo bez Saluhallen życie w Göteborgu wydawałoby się bez sensu.

W domu nalał sobie do szklanki whisky na półtora palca. Dallas Dhu, ostatnia butelka. Pozapalał lampy w dużym pokoju, w sypialni i w kuchni.

---

15 Runstig znaczy ścieżka runiczna. Szwedzi najczęściej noszą nazwiska patronimiczne (Karlsson, Nilsson, Johansson itp.). Od kilkudziesięciu z górą lat można je łatwo zmieniać, zatem jeśli ktoś nie nosi tradycyjnego nazwiska, uprawnione jest podejrzenie, że je zmienił.

16 *Winter* – zima, *sommar* – lato.

Usiadł w fotelu i rozmyślając o matce, popijał whisky. Pił aż za szybko, miała pyszny smak lekko uwędzonej czekolady. Dallas Dhu znaczy czarna dolina albo czarna woda.

Poszedł do kuchni i zabrał się do przyrządzania ryby. Podzielił na cząstki pół cytryny, lekko oprószył filet mąką i obsmażył na oliwie z oliwek, odłożył na podgrzany talerz i przykrył papierem do pieczenia. Na patelnię wlał jeszcze trochę oliwy i przez trzy minuty podsmażał cienko pokrojony czosnek z dziesięcioma pomidorkami. Włożył cząstki cytryny i kapary z Pantellerii. Smażył to jeszcze dwie minuty, dodał posiekaną natkę i szczyptę soli z Maldon, popieprzył, kręcąc młynkiem, i wyłożył na rybę. Usiadł przy kuchennym stole i zjadł to z tostem z lekko czerstwego bretońskiego chleba. Popijał wodą Pellegrino. Obok niej postawił whisky. Skórką chleba zebrał z talerza resztki sosu. Potem przeniósł się do dużego pokoju i włączył gramofon. Nastawił Johna Coltrane'a. Odprawiał swoją *a love supreme, a love supreme, a love supreme, a love supreme*.

Dolał sobie jeszcze whisky.

Rano miał polecieć na Costa del Sol.

Teraz już nie myślał o matce, tylko o domu nad morzem, o leżących w nim zwłokach kobiety i dzieci i o najmniejszym, które pozostało przy życiu.

Pochylił się i otworzył książkę leżącą na ławie przed kanapą:

*Coltrane planował wyjazd do Los Angeles. Chciał się uczyć u Shankara, ale w lipcu 1967 roku zmarł. Żałuję, że sam nie zaprezentował mistrzowi sitaru swojej A Love Supreme, że się nie dowiedział, co on na to.*

Chciał się uczyć u Ravigo Shankara. 1967. Miałem wtedy siedem lat.

Wstał i otworzył drzwi balkonowe. W wieczornym powietrzu dało się wyczuć coś nowego. Jeszcze miesiąc i może nastanie wiosna, przyjdzie do czekających na wielką miłość ponad wszystko, *a love supreme*.

GERDA HOFFNER ZWLEKAŁA Z WYJŚCIEM z komendy. Już ucichły ostatnie uderzenia młota i jazgot wiertarek. Ekipy remontowe były coraz bliżej, właśnie przechodziły od znajdującego się piętro niżej wydziału drobnej przestępczości do wydziału zabójstw. Heavy metal, pomyślała, odbierając telefon.

– Dwoni jakiś facet, chodzi o Amundön – powiedział dyżurny. – Odbierzesz?

– Oczywiście.

Usłyszała w słuchawce trzaski i gwizdy, szum wiatru i fal, jakby o zupełnie innej porze roku ktoś nagle musiał zadzwonić z plaży.

– Halo?

– Słucham, inspektor kryminalna Gerda Hoffner.

– Nazywam się Robin...

W tle słyszała szum wiatru, fale przyboju. Głos brzmiał tak, jakby otaczała go woda. Przypomniał jej się film, który oglądała ileś lat wcześniej, jakaś amerykańska historia spiskowa z Russelem Crowe. Grał byłego pracownika koncernu tytoniowego i był tak zwanym whistleblowerem. Grający telewizyjnego reportera Al Pacino rozmawiał z nim przez komórkę, stojąc w wodzie, żeby złapać zasięg. Przepiękna scena. W tle pobłyskiwały światła Manhattanu, księżyc świecił jak neonowy balon.

A ja gram komisarza policji kryminalnej. W oddali lśnią światła Lunden, ale księżyc jest ten sam.

– Słucham, w czym mogę pomóc?

– Czytałem o poszukiwaniach...

– Jakich?

– Chodzi o morderstwa w Amundövik.

– Tak?

Wstrzymała się z pytaniem o bliższe dane, o nazwisko, bo

imię podał. Jeśli było prawdziwe. Ludzie czasem odkładają słuchawkę, gdy sobie uzmysłowią, że naprawdę odważyli się zadzwonić.

- Wydaje mi się, że widziałem... kogoś.
- Kiedy?
- Któregoś ranka.
- Którego ranka?
- Kiedy roznosiłem gazety.
- Jesteś roznosicielem gazet? – spytała.
- Taaak...

W jego głosie słyszała wahanie, jakby nie miał pewności. Przecież wiedziała, że roznosiciel już został przesłuchany. Czytała, chociaż nie pamiętała, jak się nazywał, a imię Robin na pewno by zapamiętała. Później to sprawdzi. Teraz chodzi o coś innego i o kogoś innego.

- Co widziałeś?
- Jak ktoś wychodził z domu.
- Z którego? – spytała. Dreszcz przeszedł jej po szyi i łopatkach. Całym ciałem poczuła, że jest zima.
- Z tego domu przy Amundön... gdzie doszło do... morderstwa... znaczy morderstw.

- Co widziałeś?
- Mówiłem... ktoś stamtąd wyszedł.
- Kiedy to było?
- Jak dostarczałem gazety. Zanim włożyłem do ich skrzynki.
- Którego to było dnia? Którego ranka?
- Trzeciego dnia, kiedy...
- Kiedy co?
- Nie, nic...
- Co chciałeś powiedzieć?

Nie odpowiedział. W słuchawce słyszała tylko wiatr i szum morza, jakby trzymała przy uchu muszlę.

- Nie pamiętam dokładnie daty – odezwał się w końcu.
- Jak się nazywałeś? Robin, a jak dalej?
- Robin Bengtsson.
- Robinie, powinieneś do nas przyjechać – powiedziała.
- Kiedy?

– Zaraz.

Przy trzeciej whisky zaczęło szumieć głośniejsze. Odstawił szklanke, poszedł do kuchni, włożył sztućce, talerz i półmiski do zmywarki, włączył. Fajny odgłos, przykrywał szum w uszach. Taki fantomowy dźwięk przypominający trzaski w starej słuchawce telefonicznej, kiedy przełączano rozmowę, albo w radiu, kiedy się nastawiało na fale długie. To, co się wtedy słyszało, mogło pochodzić z drugiego końca systemu słonecznego, mieć miliardy lat. Odgłos wydawany przez zmywarkę był młodszy. Kontrast, który mógł nawet działać uspokajająco.

Wrócił do pokoju. Szklanka wciąż stała na stole, do połowy pusta albo – z punktu widzenia optymisty – do połowy pełna. Napił się. Alkohol smakował teraz jak miód. Trzecia szklanka whisky zawsze smakuje jak miód. Dochodzi do chemicznego przeobrażenia, jak w coq au vin, gdy między pierwszą a drugą godziną gotowania wino przemienia się z wodnistej kwaśnej brei w zawiesisty, ciemny sos o złożonym smaku. Nigdy nie wiadomo, kiedy to nastąpi, nigdy nie udało mu się dokładnie uchwycić tego momentu. Sięgnął po iPhone'a i wybrał skrócony numer Bertila. Jeden sygnał, drugi, kolejne. Może Bertil nie chce odebrać. Jest zły, że wrócił. Nie.

– Słucham.

W końcu odebrał, był zziębnięty.

– Przeszkadzam ci?

– Tak. Leżałem w wannie.

– Nie zabierasz telefonu do łazienki?

– Jak widać.

– Oglądałeś nagranie z tego rzekomego pobicia na Opaltarget?

– Tak. Nie było pobicia.

– Czy on jest psychiczny?

– A kto nie jest?

– Następnym razem mu się nie przyśni.

– Nie będzie następnego razu – powiedział Ringmar.



- Myślisz, że to nasz morderca?
- Mam nadzieję, chociaż jeszcze za wcześnie. A ty jak uważasz?
- Że przed nami wiele przesłuchań.
- Pęknie. Wszyscy w końcu pękają.
- Jego paranoja jest szczególnego rodzaju – powiedział Winter.
- Energiczny facet.
- Hm... tak, energiczny.
- Chociaż może być jak Amerykanin – zauważył Ringmar.
- Amerykanie myślą zaburzenia nerwicowe z energią.
- Naprawdę?
- Najczęściej. Na przykład w Nowym Jorku to nie energia, tylko nerwowość. Byłeś w Nowym Jorku, Eriku?
- Wiesz, że nie byłem.
- Pojeźdź, to się przekonasz. Ja odwiedzałem Martina, gdy tam pracował, zresztą wiesz.
- A do Kuala Lumpur pojedziesz?
- Nie pojedę do Kuala Lumpur.
- Bertilu, a wiesz, co to znaczy? Wiesz, co znaczy Kuala Lumpur?
- Tak z marszu to ci nie powiem.
- Brudna woda. Czarna woda.
- Naturalnie, komisarzy Wisserbesser.
- Besserwisser.
- No i sam widzisz.
- Żartowałem.
- Cha, cha.
- Bertilu, zjeżdżaj do Malezji.
- Jak tylko to się skończy. Zadowolony?
- Rano lecę do Marbelli, na dwa dni, nie dłużej. Taką mam nadzieję. Moja matka ma raka, najzłośliwszą odmianę.
- Ojej. Bardzo mi przykro.
- Dziękuję.
- Przekaż jej pozdrowienia.
- Przekażę. Fredrik weźmie na siebie jutrzejsze przesłuchanie Runstiga?

- Oczywiście. Eriku, piłeś?
- Dlaczego pytasz?
- Sprawiasz takie wrażenie.
- Chyba nie mówisz poważnie?
- Zapomnij. Okej, tyle na temat Runstiga. A Aneta będzie jutro dalej robiła wywiad środowiskowy dotyczący tej kobiety, Sandry Mars. Ja porozmawiam jeszcze raz z mężem. Spotkamy się w mieście. Jak dotąd nie znaleźliśmy w jego przeszłości żadnych skandali. Może nie znajdziemy. Cokolwiek znaczy słowo skandal.
- Skandal to coś, co wywołuje zgorszenie. Rzecz gorsząca, awantura, wstyd, sensacja.
- Ale nie morderstwo – zauważył Ringmar.
- Zadzwoń do ciebie z Landvetter<sup>17</sup> – powiedział Winter i się rozłączył.

Tego wieczoru płakał. Kilka minut po tym, jak pożegnał się z Bertilem. Płacz nie bolał i szybko przeszedł. Posłuchał muzyki, zagłuszyła gwizd lokomotywy w uszach. Znów poszedł do kuchni. Jego mamusia nie gotowała. Jeśli coś robiła w kuchni, to tylko drinki. Bardzo lubiła wisienki koktajlowe – był jeszcze dzieckiem, gdy stojąc w kuchni, zjadł pierwszą. Powinna pływać w szklance z manhattanem, mocnym drinkiem popularnym w latach sześćdziesiątych: bourbon, martini rosso, angostura, lód i wiśnie. Podawany w schłodzonych szklankach. To był koktajl z zupełnie innej epoki, z epoki elegancji.

Zadzwoiła komórka.

– Słucham.

– Mówi Gerda Hoffner. Mam świadka, zaraz tu będzie.

Usiedli w pokoju Wintera. Robin Bengtsson zjawił się szybciej, niż się spodziewali, i już był na miejscu, gdy Winter wysiadał z taksówki. Ssał drażetkę, pierwszą z wielu tej nocy.

---

17 Landvetter – lotnisko pod Göteborgiem.

Minęły właśnie dwa tygodnie, odkąd znaleźli zwłoki.

Robin Bengtsson wydawał się wystraszony. Samo w sobie mogło to wskazywać na to, że jest normalny. Miał długie włosy, jak hardrockman. Znad kołnierzyka wystawał kawałek tatuażu, spod rękawów skórzanej kurtki wypelzały jeszcze dwa. Zwyczajny młody człowiek, typowy dla dzisiejszych czasów. Dziś podejrzenia budzą młodzi ludzie bez tatuaży. Noszą je najlepsi piłkarze. Ten trend zapoczątkował Portugalczyk Meireles. Jeszcze pięć lat temu wydawał się na boisku dziwolągiem, a dziś jego dziury mogą uchodzić za przykład umiaru. Robin Bengtsson również miał te atrybuty, ale nie wyglądał na twardziela. Siedział ze wzrokiem wbitym w stojącego na podłodze panasonica Wintera. Odtwarzacz pochodził z czasów, gdy chodził do przedszkola.

– Mów, Robinie.

– Co... od czego mam zacząć?

– Od czego chcesz.

Bengtsson podniósł wzrok. W łagodnym świetle lampy jego oczy wydawały się brązowe.

– Widziałem, jak jakiś facet wychodził z tamtego domu – powiedział.

– Facet?

– Tak... no, mężczyzna.

Winter kiwnął głową.

– Mów, nie spiesz się.

– Tak... no więc włożyłem gazetę do poprzedniej skrzynki... to znaczy do skrzynki przed poprzednim domem... i kiedy podchodziłem, wyszedł ten facet.

– Widział cię?

– Chyba nie.

– Jak myślisz, dlaczego?

– Wydawało mi się, jakby nie... czy ja wiem... szedł przed siebie, wyszedł przez furtkę i poszedł dalej.

– Dalej? To znaczy dokąd?

– Ulicą... drogą... do morza.

– W stronę placu zabaw?

– Tak.

- Która była godzina?
- Musiało być kilka minut po piątej.
- Skąd wiesz?
- Zaczynam za piętnaście piąta. Dojście do tego domu zabiera około kwadransa.
- Widziałeś jeszcze kogoś?
- Nie. We wszystkich oknach było ciemno.
- A w tym domu?
- Też.
- Miał samochód?
- Ten gość, który wyszedł z domu? Nie widziałem.
- A słyszałeś, żeby ruszał jakiś samochód?
- Nie...
- Jesteś pewien?
- Nie.
- Rozpoznałbyś tego mężczyznę?
- Nie wiem.
- Widziałeś go już kiedyś?
- Nie. Myślałem, że tam mieszka. Chyba nie ma w tym nic dziwnego, prawda? – Zaczął się kręcić na krześle, wydawał się bardziej przejęty. – Nie zastanowiło mnie to. Uznałem, że widocznie chodzi wcześniej do pracy.
- Więc nigdy wcześniej się na niego nie natknąłeś?
- Nie...
- Ale nie jesteś pewien.
- Aż tyle razy tam nie byłem.
- Nie?
- Winter spojrział na Gerdę. Lekko kiwnęła głową.
- Bo... ja właściwie nie jestem stałym roznosicielem.
- Nie?
- Czasem biorę zastępstwo za gościa, który tam pracuje.
- Wiem, że to źle, ale on czasem potrzebuje pomocy.
- Pracujesz na czarno jako roznosiciel gazet?
- Tak. – Winter zobaczył w jego spojrzeniu coś jakby uśmiech. – Oblęd, co?
- W innych dzielnicach też?
- Tak.

Winter wziął z biurka jakiś papier. Przeczytał i spojrzał na Bengtssona.

– Ten gość, za którego wziąłeś zastępstwo w Amundövik, Bert Robertsson, nie powiedział nam, że ktoś go zastępuje.

– No nie.

– Dlaczego?

– Pewnie nie chciał, żeby... się wydało.

– Co miało się nie wydać?

– Że go zastępuje.

– Ty durniu – powiedział Winter.

Bengtsson drgnął.

– I tamten też dureń. Jak można... być takim tępakiem?

– Przecież się zgłosiłem – zaprotestował Bengtsson.

– Przesłuchaliśmy roznosiciela gazet Berta Robertssona! Powiedział, że żadnej z tych nocy, kiedy roznosił gazety, nie widział nic podejrzanego. Dlaczego nie widział nic podejrzanego?

Bengtsson coś mruknął, ale Winter nie dosłyszał.

– Co powiedziałaś?

– Że... pewnie go tam nie było – odparł Bengtsson.

– A może twój kumpel wcale nie jest taki głupi? Może to jego widziałeś, jak wychodził z domu Marsów?

– Nie, kurde, to nie był on!

– Skąd nagle ta pewność? Przed chwilą nie wiedziałaś.

– To nie on!

– Gdzie on teraz jest?

– Nie wiem... pewnie w domu. Jest późno.

– Szykuje się do porannej zmiany?

– Miałem ją wziąć za niego.

Winter nic nie powiedział. Spojrzał na Gerdę. Ona też nic nie powiedziała. Na dworze zawyła syrena. Po drugiej stronie kanału Fattighusån ktoś był w opalach.

– To co ja mam zrobić? – spytał Bengtsson.

– Czy Robertsson wie, że się do nas zgłosiłeś? – spytał Winter.

– Nie.

– Mówiłeś mu, że coś widziałeś?

– Nie.  
– Dlaczego?  
– Myślałem, że ten gość tam mieszka.  
– Myślałeś, chociaż słyszałeś o morderstwach? O tym, co się tam stało? Chociaż chodziło o dom, przed którym zapewne widziałeś mordercę?

Bengtsson milczał.

– Robisz z siebie idiotę? Czy coś gorszego?  
– Jak przeczytałem w gazecie, to się zacząłem zastanawiać.  
– I co ci wyszło?  
– Że... muszę o tym powiedzieć. – Podniósł głowę. – Przecież sam się zgłosiłem. Wiedziałem, że będę musiał powiedzieć o... tej pracy. Że to dziwne...

– Fakt, Robinie, to wszystko jest bardzo dziwne. Może uda nam się sprawić, żeby się stało mniej dziwne. Teraz usiądziesz i spiszesz, co pamiętasz o mężczyźnie, który wyszedł z tamtego domu. Pomoże ci pani inspektor Hoffner. A potem zobaczymy, jak się sprawdzisz w roli świadka.

– Co to znaczy?

Winter wstał, lekko się zatoczył. Gerda się podniosła. Bengtsson też zaczął wstawać.

– A co będzie jutro? – spytał. – Miałem roznieść gazety...

– No jasne – powiedział Winter. – Ludzie nie znoszą nie dostawać rano gazet do domu. – Spojrzał na zegarek. Było po północy. – Masz adres Robertssona? – spytał. – Tak będzie szybciej.

Bengtsson podał adres.

– Co mu pan zrobi? – spytał.

– Palowanie – odparł Winter i wyszedł.

– Co to jest palowanie? – zapytał Bengtsson Gerde.

Przed budynkiem już czekał radiowóz. Winter ssał tabletkę Fisherman's Friend. Smakowała jak młoda whisky Ardbeg.

Usiadł z tyłu. Minęli Korsvägen i pojechali dalej na południe. Za oknami była noc, czerniła się i żółciła. Zaczął padać śnieg. Kierowca włączył wycieraczkę.

Mógł go widzieć rano po tej nocy, kiedy ich zamordowano, pomyślał Winter. Tego będziemy się trzymać. Pod warunkiem

że to prawda. W tej pracy niewiele jest prawdy. Wszyscy kłamią i prawie nikt nie jest dobry.

Mamy dalszy ciąg, choć to nie jest nawet początek. Jacy będziemy, gdy znajdziemy się po drugiej stronie? Jak będziemy wyglądać?

Trzeba było się spakować wczoraj wieczorem.

ROBERTSSON MIESZKAŁ W POŁUDNIOWEJ części Brottkärr, na granicy z Bäckebo. Na granicy końca świata, pomyślał Winter, wysiadając z samochodu przed szeregowcem. W jednym oknie paliło się światło. Zadzwoił do Robertsona, kazał mu wstać, zaparzyć kawę i wystawić ciasteczka. No nie, bez ciasteczek, bez kawy zresztą też. Tylko wstać i czekać w domu. Wszedł na małą werandę, drzwi były już otwarte. Na deski padało wstydlive światło lampy.

– Bardzo przepraszam – powiedział Bert Robertsson.

– Niech cię cholera weźmie – odparł Winter.

– Nigdy więcej tego nie zrobię – zapewnił go Robertsson.

– W takim razie musisz powstrzymać Robina. Już się szykuje na dzisiejszą zmianę. Twoją.

Zegar wskazywał kilka minut po pierwszej. Siedzieli przy kuchennym stole. Było już jutro. Winter nie czuł się zmęczony, w ustach nie miał już smaku alkoholu. Wypił mniej, niż myślał. Zachował się rozsądnie.

– A... może?

Winter nie odpowiedział. Robertsson założył dżinsy i koszulę. Był młodszy, niż się Winter spodziewał. Nie wiedzieć czemu myślał, że drań jest starszy.

– Robin ci powiedział, że kogoś widział?

– Nie.

– A jak myślisz, dlaczego nie powiedział?

– Co? Czego nie powiedział? Nie wiem o...

– Może to ciebie widział? – spytał Winter.

– Nie!

– Co robiłeś tamtego ranka?

– Byłem tutaj... spałem.

– Ktoś może zaświadczyć?

– Nie...



– Niedobrze – powiedział Winter. – I tak samo niedobrze, że skłamałeś, podając się za roznosiciela, którego mieliśmy przesłuchać w związku z potrójnym morderstwem.

– Nie wiem, co powiedzieć – powiedział Robertsson.

– Warto było? – spytał Winter.

Robertsson nie odpowiedział.

– Daję ci uczciwą szansę wytłumaczenia się. W normalnych okolicznościach zostałbyś od razu zatrzymany i przewieziony na dołek.

– To dlaczego tego nie zrobiliście?

Winter nie miał na to odpowiedzi. Zresztą nie miał ochoty odpowiadać. Łatwo zadawać pytania, które wracają jak echo. Niedobrze.

– Jeszcze nie jest na to za późno – odparł.

– Myślałem, że to nie ma znaczenia.

– Co nie ma znaczenia?

– Że nic nie powiedziałem. Przecież nie widziałem.

– Kim jest człowiek, którego widział Robin?

– Nie wiem. Pierwsze słyszę.

– Czy wtedy, kiedy pracowałeś, widziałeś kiedyś, żeby z tego domu ktoś wychodził?

– Nie, nigdy.

– Znasz kogoś z tego domu?

– Nie.

– Nigdy ich nie spotkałeś?

– O ile wiem, to nie. Roznoszę gazety, kiedy wszyscy jeszcze śpią. W innych porach tam nie bywam.

– Wiesz, jak wyglądają?

– Tak, ale ze zdjęć w gazetach. Jakieś zdjęcie... kobiety. Nie pamiętam jej imienia. Gazety podawały?

– A mężczyznę, który tam mieszka, poznałeś?

– Było jego zdjęcie w gazetach?

– Nie.

– No to nie wiem, czy go poznałem.

– Dlaczego podnająłeś Robina?

– Czasem muszę mieć wolne rano.

– Dlaczego?

- Bo mam ciagi.
- Teraz sprawiasz wrażenie trzeźwego.
- Tylko dlatego, że się cholernie boję.
- Czego się boisz?
- Aresztu.
- Byłeś już w areszcie?
- Tak.
- Za co?
- Nie sprawdził pan?
- Nie zdążyłem. Mów.
- Drobnе oszustwa. Krótkie wyroki. Gówniane sprawy.
- Robisz tylko w drobnych sprawach?
- Tak.
- Ale to nie jest drobna sprawa, Bert.
- Ja nie mam z tym nic wspólnego.
- Dlaczego właśnie Robin?
- Co?
- Dlaczego wziąłeś Robina, żeby ci pomagał, gdy masz ciąg?
- Poznaliśmy się w Länkarna<sup>18</sup>.
- Oni jeszcze działają?
- Tak, w każdym razie w Göteborgu.
- Więc Robin jest alkoholikiem?
- Jest cholernie trzeźwym alkoholikiem – odparł Robertsson.
- Dobrze – stwierdził Winter.
- Wydawało mi się, że poczułem od pana zapach alkoholu, kiedy pan wszedł.
- Robin zgłosił się akurat, kiedy w domu wypilem jedną whisky – odpowiedział Winter. – Dobry gatunek. Zapach utrzymuje się wiele godzin.
- Robertsson kiwnął głową. Przyjął to wyjaśnienie. Dlaczego ja się tłumaczę? – pomyślał Winter. Nie muszę się z niczego tłumaczyć.
- Wstał.
- I co teraz? – spytał Robertsson.

---

<sup>18</sup> Länkarna – ruch samopomocowy osób uzależnionych, założony w Szwecji w 1945 roku na wzór AA.

– Idź spać. Odezwiemy się. Tylko nie próbuj zwać z miasta.

– Taki głupi to ja nie jestem – odparł Robertsson.

Odprowadził Wintera do drzwi.

– Jutro znów pracuję – powiedział. – I tak przez cały miesiąc.

– Zobaczymy – powiedział Winter.

W świetle stojących przed domem latarni policyjne taśmy świeciły jak girlandy. Wyglądało to tak, jakby nikt nie miał siły posprzątać po imprezie, jakby wszyscy jeszcze spali. Śnieg już nie padał. Winter pojechał tam sam. Ochroniarzy akurat nie było. Żadnego ruchu, żadnych świateł w sąsiednich domach. To tutaj zmierzał, kiedy wylądował na lodzie między dwiema wyspami Amund. W końcu dojechał. Stanął w przedpokoju. Pachniało ciszą i chłodem. Wszystkie kontury były na swoich miejscach, jakby nic się nie stało.

Poszedł do pokoju Grety. Technicy zbadali już łóżeczko. Wróciło na miejsce. Sam nie wiedział dlaczego, ale ucieszył się, że wróciło. Cieszył się, bo to znaczyło, że ona nadal żyje. Spojrzał jeszcze raz i łóżeczka nie było. Już nigdy go nie będzie.

Poszedł dalej, na piętro, do pokoju Erika. Chciał się dowiedzieć, co ten pokój chce i może mu opowiedzieć, ale panowała w nim upiorna cisza. Pusta podłoga, puste okno. Może kiedyś zjawi się tu ktoś, kto nie powinien się zjawić, kto nigdy nie miał tu być. Opowieść potoczy się dalej.

Sypialnia. Przez okno wpadała poświata zimowej nocy. Żaluzje były podniesione, jak wtedy, gdy był tu po raz pierwszy, tamtego pierwszego straszego dnia. Dlaczego podniosła żaluzje? Czy zamordowano ich rano, gdy na dworze było już widno? Nie, na pewno w ciemnościach nocy. Kto podciągnął żaluzje? Torsten nie znalazł na sznurkach wystarczająco wyraźnych odcisków palców. Morderca wpuścił światło. Chciał widzieć to, co zrobił. Winter zamknął oczy, potem spojrzał w okno. Żadnego ruchu. Poczul się nieskończenie samotny, nie miał ani wiedzy, ani nadziei. Ale ktoś wiedział, że on tam jest, że będzie tam stał. Ktoś to wiedział.

Vasaplatsen jeszcze spał, kiedy przed swoją bramą wysiadał z radiowozu. Cały plac przykryła cienka warstwa nietkniętego jeszcze śniegu. Będzie wszystko upiększał, dopóki ludzie się po nim nie rozpełzną. Było pół do czwartej, gdy położył się do łóżka i zgasił lampę stojącą na nocnym stoliku. Jeśli będzie dobrze, przed wyruszeniem do Hiszpanii pośpi ze dwie godziny.

Szedł z pokoju do pokoju i zapalał wszystkie światła. To musi być sen. Jakby ktoś za nim chodził i wszystko gasił. Co chwila musiał zaczynać od nowa. Niektóre rzeczy w domu rozpoznawał. Ktoś siedział na krześle. Ktoś leżał w łóżku. Kiedy wracał, było tam ciemno, ale oni nadal tam byli. Nie widział ich twarzy. Z zewnątrz nie wpadało żadne światło. Za oknami było zupełnie czarno. Był w pudle, którego nie dało się otworzyć, dom był pudłem. Gdzieś grała muzyka, coś koszmarnego, jakiś *barbershop*, operetka, okropne odgłosy tańca ludowego, coraz bliższe kroki. W uszach dął wiatr, był już w tym pudle.

Obudził się. Usiłował się z niego wydostać.

Spojrzał na budzik stojący na nocnym stoliku: spał dziesięć minut. Wstał, wypił szklankę mleka, poszedł do salonu i usiadł w fotelu. Skupił się na oddychaniu i czekaniu na prawdziwy poranek.

ROBIN BENGTSSON ROZNOSIŁ GAZETY w zimowej scenerii. Śnieg przestał padać i nie było zimno. Poczul, że spociła mu się głowa pod czapką. Zdjął ją, a potem znów włożył. Sam nie wiedział, dlaczego znów roznosi gazety. Czy to jakiś test? Co oni z nim robią? Ten cały komisarz, co z nim robi? Wygląda na faceta, który jest zdolny do wszystkiego. Jakby uznawał jedynie własne reguły gry.

O ile mu było wiadomo, prenumerata pod tym adresem się nie skończyła. Nadal miał dla nich gazetę. Policzył egzemplarze. Tyle samo co zawsze. Kto ją teraz przeczyta? Zabierze ją do domu. Dziś jest ostatni raz, nigdy więcej. To był błąd, wiedział o tym od samego początku. Nie było warto, za żadne pieniądze świata. Zresztą i tak kiepsko płacili.

Plastikowa taśma otaczająca dom wyglądała zupełnie niedorzecznie, jakby rozpinając ją, policja podkreśliła bezsensowność tej zbrodni. Podniósł wzrok i spojrzął na dom. Wyglądał, jakby stał na wzgórk, chociaż różnica poziomów nie mogła być większa niż pół metra. Na tle czarnej nocy okna wydawały się szare. Jedno z nich, na piętrze, było większe od pozostałych. Coś się w nim poruszało.

Winter wypił latte w hali odlotów. Było gorące, musiał podmuchać. Trzeba było zamówić cappuccino. Nie miał ochoty czekać, aż latte wystygnie.

Tego sobotniego ranka było niewielu podróżnych. Żadnych teczek – w weekend nikt nie jeździ w interesach. Rozpoznał kilka twarzy. Szwedzi mieszkający na słonecznym wybrzeżu albo grający tam w golfa. Jako jedyny z mieszkających tam Szwedów nie grał w golfa. Uważał to za wyraz swojej postawy moralnej.

Wstał, żeby podejść do wielkich okien. Zaczęło się

rozwidniać, ale powoli, jakby ranek był jeszcze zaspany. Spał dziesięć minut i coś mu się śniło. A potem już nic. Pół godziny po tym, jak się obudził, zadzwoniła Angela.

- Zapalenie płuc – powiedziała. – Niedobrze.
- Boże drogi. Rak płuc i do tego zapalenie. Co to znaczy?
- Dobrze, że przyjeżdżasz.
- Angelo, co się może stać? Jak szybko to pójdzie?
- Nikt nie jest w stanie ocenić.
- A ty jak oceniasz?
- Że to się może zmienić.
- Na dobre czy na złe?
- Miałam na myśli... że na dobre.
- Jest przytomna?
- Tak.
- Podają jej tlen?
- Jeszcze nie.

Jeszcze nie. Kiedy przyjedzie, może już będzie leżała pod tlenem. Myślał o tym, siedząc w fotelu i patrząc na cień zimy nad centralną częścią miasta, nad dachami domów.

Rozłączyli się. Zadzwonił na numer, który mu podała.

Miała prawie taki sam głos jak dawniej. Nie było prawie żadnej różnicy.

- O, Erik.
- Będzie dobrze.
- Tak to szybko poszło – powiedziała. – Zupełnie tego nie rozumiem.
- Cofnie się tak samo szybko.
- Nasłuchałeś się zbyt wielu kłamstw podczas przesłuchań – powiedziała.
- Nie wszyscy kłamią – zauważył.
- Aha.

Było słyhać, że się zmęczyła. To jednak nie był jej dawny głos, tylko zupełnie inny.

– Leżę w pokoju Bengta – powiedziała.

W pierwszej chwili nie zrozumiał. Po chwili przed oczami stanęła mu tabliczka z numerem: 1108. Szedł korytarzem przez Hospital Costa del Sol pod Marbellą, potwornie bolała go

głowa. Od wielu lat nie rozmawiał z ojcem. To jakiś obłąd, myślał. Szedł i patrzył na tabliczki z numerami sal. Drzwi do jego sali były otwarte na niewielki przedpokój. Sam pokój znajdował się w głębi. Przez okno widział wysypany żwirem dziedziniec. Pokój bardzo mocno rozświetlało słońce. Z dziedzińca nie dochodziły żadne odgłosy. Poczł zapach chloru i czegoś jeszcze, zapewne szarego mydła. Wszystko wyszorowane, aż lśniące od czystości, ściany lekko żółtawe, kamienna podłoga. W pokoju stały dwa łóżka. Jedno puste, na drugim ludzki kształt podłączony do rurek i szklanych butelek. Na krzesle przy łóżku siedziała kobieta, jego matka.

– Widzę stąd Sierra Blanca – usłyszał jej słowa w słuchawce, teraz już w nowym czasie.

Stał w tym żółtawym pokoju, patrzył na palmy i pinie rosnące za wysypanym żwirem dziedzińcem i za parkingiem. Krajobraz za drzewami tworzyły brązowe pofalowane pola i biała wioska balansująca na stromiźnie. W tle masyw górski ze szczytem niemal sięgającym cienkiej warstwy chmur. Długo stał ze wzrokiem wbitym w ten szczyt.

– Te same góry widać z naszego domu – powiedziała matka. Wstała z krzesła stojącego przy łóżku i stanęła obok niego. – Sierra Blanca.

Rozłączyli się. Posiedział jeszcze chwilę w zimowej ciszy, aż nadeszła pora odlotu. Z głośników dobiegło wezwanie do wejścia na pokład samolotu. Wstał. Zostawił nadal gorące latte.

Robin Bengtsson stał spokojnie. W oknie już nic się nie ruszało. Było tam jakieś światło? Nie, niemożliwe. Może odbłask księżycy. Spojrzał w górę, niebo było puste, bez księżycy i gwiazd. Tam nikogo nie ma. Znów coś się poruszyło. Cholera. Nie chciał, żeby w środku coś się ruszało. Może to ten facet, którego przedtem widział? Nie, nie, tam nikogo nie ma. Poszedł do następnego domu, dwadzieścia, może czterdzieści metrów dalej. Odwrócił się. Szary prostokąt na piętrze był pusty i nawet nie szary, tylko równie czarny jak pozostałe. Już nie było nic widać. Bardzo dobrze, już nie będzie widać. Nie po

to tu przyszedł, to już ostatni raz, nigdy więcej. Nie słyszał kroków, nie chciał słyszeć, nie chciał widzieć. Zbliżały się do niego jakieś kroki, ale on nie słyszał.

Gerda Hoffner i Aneta Djanali wysiadły przed Manpower. Samochód z logo policji pojechał dalej. W ten lutowy poranek był to jedyny kolorowy akcent.

Gerda zakaszłała. I jeszcze raz, tym razem kaszłała dłużej. Próbowwała się powstrzymać, ale bezskutecznie.

– Gerdo, co się dzieje?

– Nic takiego.

– Trochę za bardzo kaszlesz jak na nic takiego.

Gerda znów zakaszłała.

– Jakby zapalenie oskrzeli.

– Bywało gorzej.

– Gorzej? Czyli zapalenie płuc, tak?

– Zaraz będzie dobrze – powiedziała Gerda, ruszając do wejścia.

Aneta szła za nią, patrzyła na jej plecy: powinna leżeć w łóżku, praca też ma swoje granice. Zresztą może zarazić innych i tak dalej. Ja mogę zachorować. Chorowanie jest niefajne. To stan nicości, oczekiwania.

Wjechały windą na górę. Gerda znów zakaszłała, zasłoniła usta ręką.

– Masz gorączkę?

– Chyba tak, ale niewysoką.

– Chyba? Niewysoką?

Gerda nie odpowiedziała.

– Nie chcę dziś z tobą pracować – powiedziała Aneta.

– To co mam zrobić?

– Pojechać do domu i położyć się do łóżka.

Wysiadły na drugim piętrze.

Z głębi korytarza spoglądało na nie kilka osób. Aneta kiwnęła im głową. Jesteśmy tu obce. Jesteśmy ubrane inaczej, chociaż po cywilnemu, żeby nie zwracać uwagi. A mimo to widać, że jesteśmy policjantkami. Może po oczach. Spojrzała w oczy Gerdy. Jej białka są czerwone, moje białe, moje oczy są



brazowe, jej niebieskie.

– Gerdo, idź do domu. To rozkaz.

Gerda bez słowa kiwnęła głową. Poczowała ulgę. Weszła z powrotem do windy. Drzwi się zamknęły, ze środka dobiegł jeszcze kaszel. Anecie nasunęło się skojarzenie z gruźlicą. Było to wręcz nieuniknione, wyniosła to z domu rodziców. Afrykanom, gdy słyszą, że ktoś kaszle, zawsze przychodzi na myśl gruźlica.

– Martwię się tylko, co się stanie z moim kundlem – powiedział Christian Runstig.

– Lubisz zwierzęta – zauważył Halders.

– Od zawsze – odparł Runstig. – Kocham zwierzęta.

– Bardziej niż ludzi?

– Powiedziałbym nawet, że ludzi nienawidzę.

– No to mów, skoro tak czujesz.

– Nienawidzę ludzi.

– Za co?

– Za to, że są tacy durni.

– To dotyczy wszystkich?

– Tak, zwłaszcza pana.

– Ciebie też?

– Jak widać – odparł Runstig. – Inaczej by mnie tu nie było, prawda?

– A dlaczego tu jesteś, Christianie?

– To chyba oczywiste?

– Widocznie durny jestem, bo nie wiem.

– Podobno zaatakowałem pańskiego kolegę. Napaść na gliniarza. Za to jest prawie kara śmierci. Nieważne, co człowiek ma na swoje usprawiedliwienie.

– No to mów, słucham cię.

– To on mnie zaatakował.

– Słucham.

– Jestem na spacerze z psem i nagle pędzi na mnie jakiś szaleniak. Gonił mnie! To co miałem zrobić?

– Przecież uciekałeś.

– A co miałem robić? Ja sobie spokojnie spaceruję, a tu nagle ktoś na mnie wpada. Obcy! Co pan by zrobił?

- Nie pękałbym – odparł Halders.
- Twierdzi pan, że pękałem?
- Przecież uciekałeś.
- Zatrzymałem się! Skoczyłem na niego!

Halders kiwnął głową.

– To on pękł. Uderzył mnie pistoletem. Mięczak. Na dodatek snob! Nawet przed tym przesłuchaniem wymiękł. Ha.

– Mój kolega powiedział ci, że jest policjantem. Wiedziałeś, kim jest.

– Każdy może tak powiedzieć. Byle świr może opowiadać, że jest nie wiadomo kim!

Punkt dla niego, pomyślał Halders. Coraz częściej spotyka się kogoś, kto mówi, że jest Bogiem albo szatanem, albo kimś w tym rodzaju. Ludzie chodzą po ulicy i mówią do siebie, płaczą, śmieją się i krzyczą. Nie tylko wtedy, gdy rozmawiają przez komórkę.

– To wszystko – powiedział Runstig. – To moje jedyne przestępstwo – powiedział z wyraźną dbałością o wymogi formalne.

Rasiści są wielkimi formalistami, pomyślał Halders. Widziałem to wiele razy. Wszystko ma być zgodne z protokołem, bo jak nie, to taki zasrany rasista zaczyna się denerwować.

- Co robiłeś na wyspie?
- Mówiłem już, spacerowałem z psem.

Trochę się uspokoił. Raz było lepiej, raz gorzej. Halders często to obserwował u takich jak on.

- Dlaczego tam?
- Bo to ładne miejsce. I o tej porze roku nie ma tam ludzi.
- Nie wydaje ci się to dziwne?
- Co takiego?
- Iść na spacer tak blisko domu, w którym doszło do morderstwa?
- Nie myślałem o tym. W ogóle mi to nie przyszło do głowy.
- Dlaczego?
- Co to za pytanie?
- Dlaczego ci nie przyszło do głowy?

- Bo jestem tak samo głupi jak pan.
- Czy to dotyczy również dzieci?
- Co takiego?
- Wszystkie dzieci są głupie?

Runstig nie odpowiedział. Zapadł się w siebie, we własny cień, który w nim tkwił, pocieszał go i jednocześnie podjudzał. Halders kilka razy był świadkiem wyjścia na wierzch takiego cienia i po tym doświadczeniu potrzebował lat, żeby dojść do siebie. Sam trzymał swój cień krótko.

- Christianie, czy nienawidzisz dzieci?
- Nie.
- Dlaczego?
- Dlaczego, dlaczego... nie na wszystko jest odpowiedź.
- Jacy ludzie są najgorsi? Może jakaś konkretna grupa?
- spytał Halders.
- Większość.
- Wymień najgorszych.
- Pierwsi z brzegu: czarnuchy.
- Po czym ich poznać?
- Cha, cha.
- Nie podobają ci się ich imiona?
- Akurat imiona są w porządku. Podobają mi się, zwłaszcza jak oglądam piłkę nożną.
- A jak ci się podoba imię Jovan?
- Może być.
- Znasz je?
- Skąd?

Halders nie odpowiedział. Runstig miał minę, jakby się zastanawiał. Rozejrzał się, jakby szukał odpowiedzi na nagich ścianach pokoju. Potem znów spojrzął na niego.

- Nic mi się nie przypomina – powiedział.
- Ojciec rodziny – odparł Halders. – Mąż, ojciec dwojga zamordowanych dzieci.
- Aha.
- Znasz go?
- Skąd, kurde, miałbym znać?
- Kupiłeś od niego psa.

- Kupiłem psa od jego żony!
- Jak tam trafiłeś?
- Mówiłem, z ogłoszenia!
- Jaki to był dzień?
- Też mówiłem.
- Nie mówiłeś.
- Dzień, w którym znalazłem ogłoszenie.

Halders zerknął do notatek. Wiedzieli, jaki to dzień, w każdym razie według Runstiga.

Podniósł wzrok.

- Christianie, co to według ciebie jest terror?
- Co? Ter... rozmawiamy teraz o terrorze?
- Cały czas o tym rozmawiamy. Podam ci definicję: terror to karanie kogoś za coś, czego ten ktoś nie zrobił.
- Niezłe, tylko że to się w ogóle nie zgadza.
- Dlaczego?
- Bo każdy coś zrobił. Każdy czymś zawinił.
- A czym ty zawiniłeś, Christianie?
- Że dostałem manto od gliniarza. Chce pan ode mnie czegoś jeszcze?

Halders odchylił się do tyłu i poczuł napięcie w mięśniach karku. Źle siedział podczas przesłuchania. Że też nigdy się nie nauczył.

Winter wylądował w Maladze. Angela czekała na niego, gdy wyszedł z walizką. Objęli się. Przed halą przylotów mocno świeciło słońce. Już zdążył zapomnieć, jak tam jest. Słońce jest wszędzie.

- Jest poprawa – powiedziała.
- Dzięki i za to.
- Ale zatrzymali ją w szpitalu.
- W tym samym pokoju? – spytał.

Ludzie czekali na gazety. Nie przyniesiono im ich do domów. W redakcji „GP” urywały się telefony. Było jeszcze wczesne przedpołudnie. Komunikat był taki: na całej trasie gazeta nie została dostarczona do wielu gospodarstw domowych.

Informacja mało przydatna dla tych, którzy gazety nie dostali. Rano nikt nie umiał powiedzieć, dlaczego tak się stało. Jeszcze się nie rozjaśniło na dobre i pewnie już się tego dnia nie rozjaśni.

– DZIEWCZYNKI MOGŁYBY POJECHAĆ Z NAMI  
– powiedział już w samochodzie.

– Jest u nich Maria – odparła. – Powiedziałam, że przyjedziemy prosto ze szpitala. Inna rzecz, że spały, kiedy wyjeżdżałam z domu.

– Lilly też?

– Lilly też.

– Co im powiedziałaś o matce?

– Że babcia jest chora.

Już było widać mury Hospital Costa del Sol. Odcinały się od nieba bielą i zielenią.

Angela zjechała z autostrady i zaparkowała.

Skierowali się do wejścia z napisem „Entrada Principal”. Zresztą oboje znali drogę. Winter miał ją jeszcze w pamięci. Trawnik był zielony, a kwiatowe rabatki czerwone. Pinie pięły się do góry nad ogromnym budynkiem jeszcze wyżej niż dawniej. Kaktusy rosły rzędem, zewsząd zwieszała się bugenwilla.

Spojrzał na znajomą tablicę informacyjną w hallu: „Ciudadanos Intensivos. Cirugía. Traumatología”. Po hiszpańsku wszystko to brzmiało jakoś ładniej. Nawet to, co brzydkie i chore, w innym języku wydaje się jakby bardziej podniosłe.

W pokoju matki ściany miały ten sam żółty kolor co kiedyś.

Od razu zobaczył za oknem masyw ze szczytem. Matka siedziała na łóżku. Zupełnie się nie zmieniła, nic się nie stało, uśmiechnęła się na jego widok.

– Jak tam, matka? – spytał, obejmując ją. Nie poczuł od niej zapachu papierosów. Po raz pierwszy w życiu.

– Dobrze, Eriku.

– Więc nie ma powodu, żebyś tu nadal leżała.

– Rzeczywiście. Ktoś się musiał pomylić.

– I wracasz dziś do domu?

– Mam nadzieję. Nawet Hiszpanii nie stać na szastanie szpitalnymi łózkami.

– Zwłaszcza Hiszpanii – odparł.

– Gospodarka nie podniosła się od twojego powrotu do Szwecji.

– Ja nie wróciłem.

– Nie? A co zrobiłeś?

– Ja tylko praktykuję w swojej dawnej pracy.

– Słyszałam o tej nowej sprawie.

– Akurat tym nie będziemy się teraz zajmować.

Nic na to nie odpowiedziała. Spojrzała w okno.

– Sierra Blanca – powiedziała. – Te same góry widzimy z domu. Tyle że z innej strony.

Mattias Hägg, były szef Sandry, nie bardzo wiedział, co ma myśleć o tej kobiecie. Gniewna czy profesjonalistka? Wyglądała, jakby się gniewała. Może to te oczy. Miała wyjątkowo białe białka.

– Sandra dogadywała się ze wszystkimi kolegami w pracy – powiedział.

– Czy to norma? – spytała Aneta.

– Co pani ma na myśli?

– Czy to norma, że wszyscy się ze sobą dobrze dogadują w miejscu pracy?

– Nie wiem. Wiem, jak jest u nas.

– Z kim się przyjaźniła?

– Ja... naprawdę nie wiem.

– Nie?

– Aż tak dobrze jej nie znałem.

– A jak dobrze?

– Była moją sekretarką. A raczej była sekretarką, bo przeszła do innych zadań.

– Spotykaliście się prywatnie?

– Nie... tak... kiedyś byłem u nich w domu. Koło Amundön... z żoną. Kilka lat temu zaprosili nas na kolację.

– A potem?

– Już nie.

- Państwo ich nie zaprosili na kolację?
- Nie... ja... jakoś nie. – Spojrzał na nią. – Wiem, to brzmi głupio. A teraz jest już za późno.

Wyglądał na zmartwionego. Znajome słowa, nieodłącznie związane z jej pracą, jak u przedsiębiorcy pogrzebowego. Zdumiewające określenie: przedsiębiorca pogrzebowy. Ale po francusku też brzmi dziwnie i jeszcze bardziej oficjalnie: *entrepreneur des pompes funèbres*. Nie mogła sobie przypomnieć, jak to jest w języku diuła albo w mossi.

Na ile dobrze znał Sandrę? Na ile jej nie znał? Zaznaczył, że nie znał jej zbyt dobrze. Aneta uznała, że to znaczy, że przygotował się do przesłuchania i głęboko przemyślał, co ma powiedzieć.

- Co mi pan może o niej opowiedzieć? – spytała.
- A co pani chce wiedzieć?
- Cokolwiek. Jak się czuła w pracy?
- Bardzo dobrze.
- Skąd pan wie?
- Bo mówiła. Zresztą takie rzeczy widać.

To wchodzi w zakres obowiązków. Aneta rozejrzała się po pokoju. Popatrzyła na szklaną ścianę z widokiem na hall, który przechodził w podłużną przestrzeń biurową. Wyrażanie się o swojej pracy z miłością to w wariancie szwedzkim część pracy.

- Czy była pogodna?
- Słucham?
- Sandra. Czy powiedziałby pan, że była radosna? Że była od niej energia albo radość?
- Tak, taka była.
- W jakim sensie?
- Tak jak pani powiedziała. Była od niej... to chyba była radość.
- Wpadała z wizytą? Podczas urlopu macierzyńskiego?
- Chyba była kilka razy.
- A kiedy ostatnio?
- Naprawdę nie pamiętam.
- I jaka wtedy była?



- Jak zwykle.
- Długo zabawiała?
- Tylko krótką chwilę. Nie zauważyłem nic niezwykłego.
- Jak to niezwykłego?
- No, żeby była ... inna. Nic takiego nie zauważyłem.

Nie pytałam o to, pomyślała Aneta.

– Dlaczego miałyby być inna niż zwykle?

– Nie wiem. Spytała pani.

– Nie pytałam.

– Widocznie źle panią zrozumiałem.

– Czy stało się coś, co mogło wpłynąć na jej zachowanie?

– Niby co?

– Coś, czego kiedyś w jej zachowaniu nie było?

– Nie.

Wstał, ale natychmiast zrobił minę, jakby nie wiedział po co. Może to taka kultura biurowa. Człowiek uznaje, że to koniec rozmowy, więc wstaje. Ale decyzja należy do mnie. A ja siedzę. Chciała wstać i wyjść, znaleźć się pod ogromnym niebem, które widziała przez okno. W oddali widziała most Älvsborg. W lekkiej mgłę wydawał się jeszcze większy niż w rzeczywistości.

Podniosła się. Pewnie niedługo znów się spotkają.

– Dziękuję – powiedziała.

– Chętnie udzielę wszelkiej pomocy. Ta potworna sprawa musi zostać wyjaśniona.

Wyglądał, jakby mu ulżyło. Aneta zauważyła, że spocił się u nasady włosów.

Gerda nie pojechała do domu. Wzięła z policyjnego garażu samochód i pojechała na południe. Już nie było obawy, że kogoś zarazi. Zresztą poczuła się lepiej, od pół godziny nie zakasłała ani razu. To pewnie sprawka Anety. Na pewno ma jakieś magiczne umiejętności. Uśmiechnęła się do siebie i przypomniała sobie maski z Burkina Faso, które rozwiesiła w swoim mieszkaniu. Widziała je, kiedy razem z kilkoma innymi osobami z wydziału świętowali w domu na Lunden noc

Walpurgii. Była to pierwsza impreza, na jakiej była z Fredrikiem i Anetą, Bertilem i Torstenem, ze starą paczką rozprawiającą o ostatnim, piątym kole, jak powiedział Fredrik, o Eriku, który zapewne już nigdy nie wróci ze swojego hiszpańskiego azylu. Fredrik był świeżo mianowanym komisarzem, najstarszym z nowo mianowanych w Szwecji, jak zaznaczył, i wszyscy się roześmiali, ale zauważyła, że jego śmiech nie objął oczu. Domyśliła się, że jego stosunek do Erika jest dość skomplikowany, a to, że jego szef nagle spadł z nieba, prosto w tę sprawę, bynajmniej nie poprawiło sytuacji. Erik mówił niewiele, ale rozumiała, dlaczego chciał wrócić. Z każdym dniem rozumiała coraz więcej i w związku z tym czasem nawet się trochę bała.

Zadzwoiła. Nie odebrał. Robin Bengtsson skończył zmianę wiele godzin temu. Obiecywał, że do niej zadzwoni, niezależnie od tego, czy zobaczy coś nowego, czy nie, i czy przypomni mu się coś jeszcze, czy nie. Nie pozostało jej nic innego, jak czekać. Widać należał do tych niesolidnych. Nic nie mówiła, gdy Winter go puścił. Pozwolił mu wrócić do pracy na czarno. Przecież musiał wiedzieć, co robi. Najwyraźniej jednak Robin uciekł, nie zważając na konsekwencje. Pewnie jest w drodze do Christianii, jeśli Christiania jeszcze istnieje, albo poszukał sobie kwatery w Gårda. Chociaż nie wyglądał na ćpuna. Na młodego alkoholika też nie. Wyglądał na pracującego na czarno roznosiciela gazet.

Znów zadzwoniła i znów nie odebrał. Była jeszcze jedna możliwość, ale wołała jej nie rozważać. Jeszcze nie. Pomyślała o tym przeklętym domu. Chciałaby tam wejść, pochodzić, postać, pomyśleć. A jednocześnie bała się tego. Ten dom może mi coś zrobić, zmienić na zawsze, pomyślała. Chciałabym tego i boję się, jak niczego na świecie.

Ze szczytu Bäckebo patrzyła na lód, błękitniejący aż po otwarte morze. Wyglądał na cienki, kruchy. To kwestia perspektywy. Z dołu będzie się wydawał bezpieczny. Będzie stwarzać złudzenie, że nie ma zagrożenia. Nie da się dostrzec, jeśli się nie patrzy ze wzniesienia. Proste.

Parking był pusty. Samochód Christiana Runstiga zabrali

ludzie z technicznego. Nie znaleźli w nim krwi, przynajmniej dotychczas, pomyślała, przechodząc obok placu zabaw. On również był pusty, jakby cała okolica opustoszała po tych morderstwach. Taki właśnie jest efekt zbrodni: pustka, pustka i terror, kara dla wszystkich niewinnych.

Amundövik była drogą, która kiedyś była ścieżką, na pewno. Teraz była to ulica szczęściarzy, którym udało się tu kupić działkę i dom, których było stać na dom w tej krainie szczęśliwości.

Zobaczyła drzewo z przybitą do pnia zafoliowaną kartką. „Cześć. Jesteśmy młodym uczciwym małżeństwem, poszukujemy mieszkania do wynajęcia w tej okolicy, części willi albo mieszkania lokatorskiego. Chętnie pomożemy w pracach ogrodowych. Mamy synka, który jest mały, ale grzeczny. Piękne czteropokojowe mieszkanie w Olskroken. Wypłacalni”. I karteczki do odrywania z numerem telefonu. Kilka było oderwanych. Widać ktoś się ulitował. Może sympatyczna, porządna para już tu mieszka. Na kartce nie było daty. Zapisała numer telefonu i zrobiła zdjęcie. Zastanowiło ją sformułowanie: synek mały, ale grzeczny.

Wzdłuż ścieżki rowerowej stało kilka tabliczek z napisem „TEREN PRYWATNY”. Stały przed domami stojącymi na posesjach nad brzegiem zatoki. Jedne przypominały zamki, inne schrony, zależnie od osobowości właścicieli. Stanęła przed pięknym drewnianym, teraz już pustym domem. Poczula nieprzyjemny ucisk w dołku, jakby poruszyło się w niej coś złego. Przypomniła jej się *Obcy – ósmy pasażer Nostromo*. To chyba tam jednemu z astronautów coś złego wyrasta z brzucha. Oglądając tę scenę, najobrzydliwszą z możliwych, trzymała się za brzuch.

W wewnętrznej kieszeni kurtki poczuła wibracje. Złapała za telefon.

– Gerda, słucham. Gdzie jesteście?

Nie usłyszała głosu, tylko szumy.

– Halo? – Spojrzała na wyświetlacz. Robin Bengtsson, tak jak powinno być, gdy wszystko działa. – Dlaczego nie zadzwoniłeś?

– Przecież dzwonię – usłyszała. Jego głos brzmiał tak, jakby był bardzo daleko, w Christianii, na Goa albo na plaży w Kambodży.

– Miałeś zadzwonić, jak tylko skończysz zmianę! Gdzie jesteś?

– W domu.

– Dlaczego dzwonicz dopiero teraz?

– Bo... się przestraszyłem.

– Kto cię przestraszył?

– Nie wiem.

– Co cię przestraszyło?

– Tam ktoś był.

– Gdzie?

– W domu.

– W którym?

– Jest tylko jeden.

– Widziałeś kogoś w tym domu?

– Tak...

– W którym miejscu?

– W oknie. Na piętrze.

Spojrzała w okno na piętrze. Było większe od pozostałych. Nie zobaczyła żadnego ruchu. Było ciemno.

– Wszedłeś do środka?

– Nie, nie. Poszedłem sobie... a potem coś usłyszałem. Zaraz obok.

– Co to było?

– Brzmiało jak... zwierzę.

– Dlaczego się przestraszyłeś?

– Pani też by się przestraszyła, gdyby pani tam była – odparł Robin.

Bertil Ringmar spotkał się z Jovanem Marsem w Kafé Kardemumma na Mariagatan, w dzielnicy Kungsladugård. Miejsce wybrał Mars.

– Był pan tu kiedyś? – spytał, gdy usiedli w jednym z boksów i Ringmar zaczął się rozglądać.

– O dziwo, nie, chociaż wiele razy tędy przejeżdżałem.

Mars kiwnął głową. Już złożył zamówienie. Uparł się, że zapłaci. Sprawiał wrażenie, jakby wracał do życia. Zresztą kto wie?

– Mieszkam niedaleko – powiedział Ringmar.

– Ja też.

Ringmar skinął głową.

– Chociaż nie wiem, jak długo jeszcze – rzekł Mars.

– No tak.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek wrócę do... domu.

– No tak.

– Co pan na to?

– W tej sprawie nie potrafię doradzić – powiedział Ringmar.

– Myślałem bardziej ogólnie. Powinien pan wiedzieć coś więcej na ten temat.

– O powrocie po zbrodni?

Zabrzmiało to dość żałośnie. Przecież była więcej niż jedna zbrodnia. Znacznie więcej.

– Po... – zaczął Mars.

– Tylko pan może podjąć tę decyzję – powiedział Ringmar.

– Cholernie trudno.

– Zgadzam się.

– Jak miałbym tam żyć?

– A chciałby pan?

– Sam nie wiem.

– Jak tam pańska córeczka?

– Dobrze. Ona nic nie wie.

Ringmar nie odpowiedział.

– Skąd miałyby wiedzieć? – ciągnął Mars.

– Fakt, skąd miałyby wiedzieć – odparł Ringmar i spojrzał na wchodzące dwie młode kobiety z wózkami. W Kungsladugård zawsze było dużo dziecięcych wózków. Kobiety wyglądały bardzo młodo. Odkąd skończył pięćdziesiąt lat, wszystkie kobiety wydawały mu się bardzo młode, zwłaszcza jeśli pchały wózki.

– Jak mielibyśmy tam mieszkać? Kiedy Greta już będzie rozumieć i będę jej musiał powiedzieć... że w tym pokoju...

– Nie musi pan podejmować decyzji teraz – powiedział Ringmar.

– Może nigdy się na to nie zdobędę.

– A co z pracą?

– Chyba na mnie czeka, ale nie wiem, czy chcę tam wracać. W każdym razie nie wrócę do tego wariatkowa.

– No tak. Musi pan dać sobie czas na to wszystko.

– I to wystarczy? Wystarczy, że dam sobie czas?

Nie, pomyślał Ringmar, nie wystarczy czasu, choćby nie wiadomo ile, nie starczyłoby eonów. Wbrew idiotycznemu powiedzeniu czas wcale nie leczy ran. Z biegiem lat jest tylko coraz gorzej, każdy to wie.

– Ja rozumiem, że wy nie możecie brać na siebie takich rzeczy – dobiegły go słowa Marsa. – Bo niby jak?

Kobiety stały przy ladzie i składały zamówienie. Śmiały się. Dziewczyna za ladą też się śmiała. Stałe klientki, jak on i Erik w kawiarni Alströms. Kiedyś byli tam stałymi gośćmi. Tej zimy jeszcze tam nie dotarli.

Mars znów coś powiedział.

– Przepraszam?

– Za co pan odpowiada? – spytał.

– Za tyle, ile udźwignę – odparł Ringmar.

– Za morderstwa – powiedział Mars. – Za to, żeby złapać łajdaka, który to zrobił. Za to bierzecie odpowiedzialność. Słyszysz pan?

Podniósł głos. Ringmar i tak słyszał.

– Słyszę – odparł.

Gerda otworzyła drzwi kluczem, weszła do przedpokoju, a potem po schodach na górę. Pustka i samotność odbijały się echem w całym domu. Może tak już zostanie. Nie wiedziała, czy on wróci ze swoim dzieckiem. Nikt tego nie wiedział. Pewnie lepiej, żeby dał sobie spokój. Może zamieszka w celi. Na razie nic nie wiadomo. Pokoje na piętrze zostały opróżnione ze wszystkiego, co dało się przenieść i mogło cokolwiek opowiedzieć. Tak się niedawno wyraziła jedna z techniczek,

Barbara. Opowiedzieć. Wszystko zawiera w sobie jakąś opowieść.

Czego tu brakowało, gdy Winter i Ringmar weszli tu po raz pierwszy? Poza życiem trzech osób? Nie wiedziała. Choć słyszała o brakującym smoczku.

Drewniana podłoga w pokoju z wielkim oknem była gładka jak wypolerowany lód. Jasne drewno wyglądało na kosztowne. Gdyby się chciała dowiedzieć, co to za drewno, mogła poczytać w tak zwanej mord-biblii. Jest tam wszystko, co trzeba wiedzieć. Z początku nazywano tak kapownik dochodzeniowca, ale Winter zawłaszczył to określenie i teraz mord-biblią był komplet akt z dochodzenia.

Czy ktoś tu stał, chodził po domu? Już po morderstwach? Czy to możliwe? Domu nadal pilnowali ochroniarze, ale już niedługo.

Z okna widziała morze, drogę, skrzynki na listy, domy, ścieżkę rowerową, bunkry i zamki, wysepki i szkiery, most prowadzący na większą wyspę, lód między wyspami. Ani śladu po pościgu Wintera.

Nie odrywając wzroku od zamrożonego morza, sięgnęła po komórkę.

Torsten Öberg odebrał po drugim sygnale. Powiedziała mu, gdzie stoi.

– Mógłbyś tu kogoś przysłać? – spytała. – Chodzi o podłogę. A może i okno.

– Oczywiście – odparł.

Rozejrzała się. Szukała tamtych minut, tamtego czasu. Mógłby jej dać jakiś znak, choćby przez uderzenie zegara, ale słyszała jedynie ciszę i odległy szum, może zamrożonego morza, wody pod lodem. Na pewno trwa tam jakiś ruch, woda nie mogła znieruchomieć tylko dlatego, że została zniewolona przez lód.

Wyszła i wtedy zobaczyła altankę, wysoko, na sąsiedniej posesji. Wyglądała jak całkiem osobny dom na osobnej posesji. Stamtąd, z góry, widok musi być jeszcze lepszy, stamtąd da się zobaczyć wszystko.

Furtka wydała głośny jęk, gdy ją pchnęła.

Zadzwoiła do drzwi, kilka razy, ale nikt nie otworzył. W pobliżu nie było żadnego psa, żadnego ostrzeżenia ani budy, żadnego wściekłego szczekania ze środka, że zaraz cię rozszarpie i zjem. Obeszła dom dookoła, a potem wdrapała się na górkę, na której stała altana. Było całkiem wysoko, aż się zziajała. Wtedy przypomniała sobie, że może mieć zapalenie oskrzeli albo coś jeszcze gorszego. Stała obok altany i spojrzała na znajdujący się w dole dom Marsów. Dało się zajrzeć do środka. Świetny widok na posesję i na drogę, i na całą resztę. Otworzyła drzwi. Do środka wpadło światło, było bliżej do nieba. Na podłodze leżały różne rzeczy. Zamrugła oczami, zaszczypało ją oko, znów zamrugła. Potem wybrała skrócony numer do wydziału technicznego.

– Słucham.

– Chodzi nie tylko o podłogę w domu Marsów – powiedziała.



WINTER SZEDŁ WIADUKTEM NAD AUTOSTRADĄ. Wtedy wznosiła się tam ogromna tablica: „Urbanización Bahía de Marbella”. Wiele się od tamtej pory wydarzyło. Miasto się rozrosło. Stojący po drugiej stronie odrapany przedtem Hotel los Monteros został wyremontowany. Zostały piękne wille za hotelem, wzdłuż całej Avenida del Tenis, prowadzącej aż do morza. Szedł tamtędy drugi raz. Za pierwszym razem umierał jego ojciec. Teraz nie wiadomo, co się stanie. Może teraz też tak będzie, może jest jakiś sens w tym, że tu przyszedł. Urbanizacja miała jakiś związek z życiem jego rodziców, jak ze wszystkim, co się działo wzdłuż wybrzeża. Wybrali sobie ten świat. Wkrótce już obojga nie będzie, a cała reszta zostanie, i koszmarna brzydota, i wspaniałe piękno, a on będzie kolejną sierotą pod słońcem.

Na środku kortu tenisowego leżała sterta krzeseł, jakby nagle coś się stało, przerwało jakieś spotkanie albo święto. Jakby przyszła wojna.

Jadąc samochodem do miasta, rozmyślał o tym, kiedy po raz pierwszy zobaczył matkę, kiedy ją zapamiętał. Ile mógł mieć wtedy lat? Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Może to coś takiego, o czym się myśli sekundę przed śmiercią. Chociaż on jeszcze nie umiera.

– Eriku, jesteś zmęczony? – spytała Angela.

– Nie, nie.

– A co chciałbyś robić?

– Wystarczy, jak się zobaczę z dziewczynkami. I z tobą.

– Moglibyśmy pójść na lunch do Timonela. Nie zdążyłam zrobić zakupów.

– Do Timonela, doskonale. Już się stęskniłem za ich *adobo*<sup>19</sup>.

---

<sup>19</sup> *Adobo* – hiszp. marynaty.

Spacerowali brzegiem plaży Fontanilla. Winter wziął Lilly na barana, nie chciała zejść. Zupełnie jakby go nie było całe lata – przedtem przez dwa lata byli ze sobą dzień w dzień, kontrast był obezwładniający. Coś takiego rozumie tylko dziecko.

Angela wróciła do domu. Ona też rozumiała.

– Jak długo z nami zostaniesz? – spytała Elsa. Kiedyś nie pytała. Ona wie, że znów wyjadę. Wie, dlaczego tu jestem.

– Jeszcze nie wiem, córeńko – odpowiedział, łapiąc ją za rączkę. Właśnie puściła kaczkę. On ją nauczył. Puszczanie kaczek to trudna sztuka, kiedy są fale.

– Czy babcia wyzdrowieje?

– Myślę, że tak.

– To dlaczego musi leżeć w szpitalu?

– Bo na razie tak jest najlepiej – odparł, puszcżając jej dłoń. Podniósł kamień i rzucił bardzo daleko. Cały czas trzymał na ramionach Lilly.

– Ojej! – zawołała Lilly.

– Jaką masz teraz sprawę, tatusiu? – spytała Elsa, patrząc na niego spod zmrużonych powiek. Słońce świeciło jej w oczy. Wiosenne słońce nad Costa del Sol świeciło mocniej niż gdzie indziej. – Czy to morderstwo?

– Włóż okulary słoneczne, kochanie.

– Co to za sprawa, tatusiu?

– Za dużo pytasz. Mówiłem ci, że masz tatę policjanta i nie wolno ci pytać, nad czym pracuje.

– Myślałam, że z tym skończyłeś. Dlatego spytałam.

– Nie zagaduj mnie – odparł.

– Musisz pracować nad tą sprawą?

Za dużo mówiłem w domu, pomyślał. Nasłuchiwała się. Teraz Lilly słucha.

– Chyba muszę – odparł. – Ale wrócę.

– Długo to będzie trwało?

– Nie.

– Tato, teraz ty chcesz mnie zagadać!

– Przecież niedługo wy też wrócićie do domu. Wszyscy wrócimy.

– A jeśli ja nie będę chciała?

- Nie chcesz wrócić do Göteborga, kochanie?
- Nie – odparła. – Chcę mieszkać tutaj z tobą i z mamą, i z Lilly, i z babcią.

Gerda czekała na dróżce. Zobaczyła samochód cofający się za róg. Widziała, skąd jechał. A potem kobietę. Wyszła z jakiegoś domu od południa i poszła dalej. Patrzyła na słońce, jego promienie przedzierały się przez chmury. Żaden nie padł na nią. Czuła się paskudnie. Wrócił kaszel. Każde kasznięcie powodowało ból w piersiach. Może to rak, jak u matki Erika. Od dzieciństwa zawsze wierzyłam w najgorsze, pomyślała. Chora z urojenia, od kiedy tylko się dowiedziałam, że jest coś takiego jak choroba. Po niemiecku to się nazywa *Hypochondrie*, zresztą po szwedzku też. Ale mój niepokój nie przekładał się na lęk. Dziwne. To taka nadkompensacja: próbuję coś w sobie naprawić, chociaż nie wiem co.

Jakiś mężczyzna szedł od strony placu zabaw. Starszy, może emeryt, lekko utykał. Chyba szedł do niej, jakby wiedział, kim jest.

Zatrzymał się i wyciągnął do niej rękę.

- Robert Krol – przedstawił się.
- Przepraszam, ale nie podam panu ręki – powiedziała.
- Chyba bierze mnie potężne przeziębienie.
- Ojej – odparł.

Spojrzał w stronę domu.

– Co za straszna tragedia – powiedział. – To ja... ją odkryłem.

– Pamiętam pańskie nazwisko – odparła.

– Tak?

– Oczywiście.

– A, pani też jest policjantką?

– Myślałam, że pan się domyślił.

Nie odpowiedział. Pewnie, że się domyśliłeś, panie ciekawski.

Znów spojrzał na dom.

– Że też coś takiego mogło się zdarzyć tym dzieciom

– powiedział.

– Zna pan roznosiciela gazet? – spytała.

– Roznosiciela gazet? Nie, skąd miałbym znać? – Chyba się lekko uśmiechnął. – Czy ktokolwiek zna swojego roznosiciela gazet?

– Nigdy go pan nie widział?

– Nie, nie jestem aż takim rannym ptaszkiem.

Od północy nadjechał samochód. Rozpoznała kierowcę i mężczyznę siedzącego obok.

Torsten Öberg. I jeszcze dwie osoby.

– Pomyślałem, że też się zabiorę – powiedział Torsten.

– Dobrze – odparła Gerda. – Pewnie poznałeś już pana Krola?

Öberg kiwnął głową.

– Przepraszam pana – powiedział, zwracając się do Krola.

– Oczywiście. – Krol poszedł w stronę ścieżki rowerowej.

– Gdzie zaczniemy? – spytał Öberg.

– Chodzi mi o duży pokój na piętrze i o altanę, tam, na górcie – powiedziała, wskazując ręką. Drugą zasłoniła usta, bo się rozkaszała.

– Oj, nieładnie – zauważył Öberg. – Wracaj do domu i kładź się do łóżka, żebym ciebie też nie musiał badać.

– Chcesz powiedzieć, że zrobisz mi sekcję zwłok? Bardzo dziękuję.

– Co z tą altaną? Już raz ją sprawdzaliśmy.

– Ktoś siedział tam, przy oknie. Jakby... zaglądał do domu Marsów. Nie umiem tego wytłumaczyć. Po prostu tknęło mnie przecucie. Na podłodze leżał niedopałek. Przy oknie stało krzesło, odstawione od stołu. Wyglądało nienaturalnie.

Gdy wrócił do matki, leżała podłączona do tlenu. Niebo nad górami pociemniało od chmur, pewnie będzie deszcz. Idąc z parkingu do głównego wejścia, czuł, że powietrze zrobiło się cięższe, jakby przypominało, że to jeszcze nie lato, a może nawet nie prawdziwa wiosna. Nawet na Costa del Sol wiosna może sprawić zawód.

Pomógł matce uwolnić się od plastikowych rurek, które włożono jej do nosa.

Wyglądała na wystraszoną; malutka, chudziutka i do tego zalekniona. Włosy w nieładzie. Wygładził je. Cienkie i miękkie jak u małego dziecka.

– Chyba zacznam się dusić – powiedziała.

– Zobaczysz, jeszcze ci się poprawi – odparł.

– Z czasem dochodzi się do punktu, kiedy już nic się nie poprawia.

– Filozofka z ciebie, mamó.

– Przed śmiercią wszyscy stajemy się filozofami.

– Ty nie umrzesz.

– Nie będę żyła wiecznie.

– Ale teraz nie umrzesz.

– Nie chciałabym teraz umierać. Tyle tego jest jeszcze.

– To prawda.

– Wyglądasz, jakbyś się martwił, ale czymś innym.

– Tak?

– Nie zostawiłeś za sobą pracy.

– Nie zawsze się udaje – odparł. – Ale staram się.

– Nie powinienesz przyjeżdżać. Przecież prowadzisz tam sprawę.

– Co by ze mnie był za człowiek, gdybym nie przyjechał?

– Kiedy wracasz?

– Jak się lepiej poczujesz.

– To możesz długo czekać. Słyszałam, że spotkałeś się z Lottą.

Trochę się ożywiła, policzki jej się zaróżowiły, oczy nabrały blasku.

– Jutro przylatuje – powiedział Winter.

– Im więcej was jest, tym bardziej się niepokoję – odparła.

– Zaczyna mi to przypominać kondukt żałobny.

– Siv, mam nadzieję, że to żart.

– Oczywiście. Dlaczego się jeszcze nie śmiejesz?

– Daj mi chwilę.

Kiedy wyszedł od matki, przekonał się, że chmury się rozeszły, a niebo zrobiło się tak samo przeraźliwie błękitne jak

zawsze. Poczul ogromną ochotę na cygaretkę, jakby na znak solidarności z matką. Rok temu udało mu się rzucić palenie, dzięki słońcu, morzu i dzieciom. No i nie chodził do pracy. W Szwecji od dawna nie można było kupić corpsów. Moda na tę markę zaczęła się od niego i na nim skończyła, ale on już był wolny i nie musiał ich importować aż z Brukseli.

Dym jeszcze jej nie zabił. Znał opowieści o cudownych uleczeniach. To przejdzie, to chwilowa przerwa w niekończącej się opowieści o rajach.

Południowa część parkingu była rozkopana. Musiał przejść po desce przerzuconej nad dołem. Rozstawili tablice z napisami po hiszpańsku i angielsku. W końcu to miejsce ma charakter międzynarodowy. Czerwoną farbą na białym tle wymalowali „Sorry for the trovles”.

Stał na swoim tarasie przy Calle Ancha, u stóp miał stare miasto. Dwie palmy rosnące przed kościołem na Plaza de Santo Cristo dawały poczucie bezpieczeństwa. Siv miała trzy palmy przy domu w Nueva Andalucia. Już zaczęła opowiadać, że dom zostanie dla nich, na zawsze, niezależnie od... Przerwał jej, powiedział, żeby się nie wygłupiała.

Komórka zawibrowała mu w kieszeni na piersi jak rozrusznik serca. Najpierw spojrzał na wyświetlacz. Już zdążył się wystraszyć, że to rozmowa miejscowa.

- Cześć, Bertilu.
- Jak się czuje twoja matka?
- Chyba lepiej.
- To dobrze.
- Zobaczymy. A co u ciebie?
- W porządku. Rozmawiałem z Jovanem Marsem.
- I co?
- Gość nadal jest w szoku, ale nie mam jasności, z czego to wynika.
- Zrobił to?
- Zapomniałem go spytać.
- Czy to mógł być on?

- Tak.
- Jest coś nowego w sprawie jego alibi?
- Nie ma. Chyba że pojawi się jakiś nowy świadek. On mógł to zrobić.
- A co mówi o domu? Co z nim zrobi? Mówił?
- Jeszcze nie wie.
- Bertilu, a co ty byś zrobił?
- To czysto hipotetyczne pytanie.
- A są inne?

Wracali ze szpitala, od strony gór nadchodził zmrok. Prowadziła Angela. Winter nie miał ochoty. Dobrze mu było siedzieć obok i patrzeć na zatokę. Jej kolor nabierał głębi, jaka zapewne zawsze jest na dnie. W dzień woda była sina jak cyna, folia aluminiowa albo lód, bez śladu błękitu, chyba że się stanęło na naprawdę wysokiej górze.

– Jest gorzej, niż myślałem – powiedział, patrząc wprost przed siebie na zapadający zmrok. Z przeciwka jechały samochody bez świateł. *Spanish style*.

– Mnie się wydaje, że jest lekka poprawa – odparła Angela.

– Trochę więcej zjadła.

– Nie miałem na myśli matki.

– Boisz się?

– Nie mogę oddać sprawy komuś innemu. Za daleko zaszła.

Nie odpowiedziała. Byli już w mieście. Minęli kilka salonów samochodowych.auta na wystawach lśniły w żółtym świetle neonówek, znacznie żółtszym niż w Szwecji.

– Trzeba go wywabić.

– Mordercę?

– Jakimś sposobem.

– Jak to się robi?

– Myśli się. O tym, co się stało. Dlaczego. Jak.

– Ta sprawa różni się od wcześniejszych?

– Różni się. Na gorsze.

– Chodzi ci o dzieci?

Nie odpowiedział. Od kilku dni nie miał pod powiekami

twarży zabitych dzieci.

– Jeśli jej stan się ustabilizuje, mógłbyś wrócić do Göteborga – powiedziała. – To może nastąpić wkrótce.

– Tego też się boję – powiedział. – Wszystkiego się boję. Nie wiem, co ze mną będzie.

– To bardzo ludzkie – odparła. – W końcu jesteś człowiekiem. *Mensch*.

– Do tej pory nie byłem?

– Byłeś, ale inaczej.

– Jak inaczej?

– Chyba wiesz – odparła.

– To przez te dwa lata wolnego. Nabrałem fałszywie ludzkich cech.

– Gadasz głupoty.

– Niewłaściwy człowiek w niewłaściwej pracy.

– Jeśli już, to niewłaściwy człowiek we właściwej pracy – powiedziała.

– Albo właściwy człowiek w niewłaściwej pracy – odparł.

– Może w ogóle nie powinieneś brać tej sprawy.

– Skończę tylko tę jedną – powiedział. – A potem jeszcze jedną.

– Jest coś nowego w sprawie jego alibi?

– Nie ma.



LUDZIE WCHODZILI I WYCHODZILI z apteki niekończącym się strumieniem. Można by pomyśleć, że to jedyna w zachodniej części miasta. Przed apteką stali jacyś mężczyźni, jakby czekali na działkę. Nie czekali. Wszyscy ludzie na Opalorget sprawiali wrażenie zdrowych i szanujących prawo. Jedni mieli ciemną skórę, inni jasną. W powietrzu czuło się wiosnę. Więc jest nadzieja na przyszłość, byle się trzymać zdrowo, z dala od dragów, i mieć pogodne nastawienie do życia.

Halders wszedł do kwaciarni Opal Blommor. Wrócił z różą i wręczył ją Anecie.

- Mam nadzieję, że jej nie ukradłeś.
- Nie pozwolili mi zapłacić.

Patrzyła na kwiat.

– Najładniejsza rzecz, jaką można dostać, to czerwona róża na długiej łądźce.

– Wiem.

– Dlaczego akurat teraz?

– A musi być powód?

– Rzeczywiście, nie musi być.

– Masz dzisiaj imieniny.

– Fredriku, w szwedzkim kalendarzu nie występuje imię Aneta.

– Od dziś występuje.

– Nie można tak po prostu zająć czyjegoś imienia i się na nim rozsiąść – powiedziała.

– A skąd się wzięło twoje imię?

– Wydaje mi się, że rodzicom chodziło o Agnetę, ale gdzieś im się zapodziało g.

– Czasem nie jest łatwo – odparł.

– Imieniny Agnety są dwudziestego pierwszego stycznia, czyli już jest po.

- Wtedy była zima, teraz jest prawie wiosna.
- Zimą Christian Runstig uszkodził dwie osoby na Opalorget. Może nawet zabił. Przynajmniej jedną.
- Problem w tym, że to się nie stało.
- W każdym razie my nic o tym nie wiemy.
- A wiedzielibyśmy. Ale na wszelki wypadek przyszliśmy tutaj. Ale ja nie widzę plam krwi.

Przeszli koło Le Pain Français i zatrzymali się przed kościołem. Halders głośno odczytał napis na tablicy:

– Gdyby był Bóg, o co byś Go zapytał? Aneto, o co byś zapytała?

– Spytałabym gdzie był, gdy mordowano te dzieci – odparła.

– Trudne pytanie.

– Dzieci, potem kobieta.

– Takich pytań nie wolno zadawać Bogu. To jedyne pytanie, jakiego nie wolno mu zadawać. Boga nie można obciążać odpowiedzialnością za śmierć. Dla ludzi, którzy mówią, że wierzą w Boga, to absolutne tabu. Nie wolno nawet tak myśleć.

– To kto jest odpowiedzialny za śmierć?

– Szatan oczywiście.

– To znaczy, że on jest silniejszy.

Halders nie odpowiedział. Pomyślał o nagłej śmierci swojej pierwszej żony. Od kilku dni sporo rozmyślał o śmierci swoich dzieci. Dotychczas nie istniało dla niego takie pojęcie jak śmierć moich dzieci. Dla ludzi myślących to tabu.

– Spójrz, mają nabożeństwa po arabsku – powiedziała.

– Znasz arabski? – spytał.

– Francuski lepiej.

– W krajach arabskich Bóg jest wielki.

– Bóg wszędzie jest wielki – odparła. – Fredriku, błagam, ani słowa więcej na ten temat.

– Kontynuujemy podróż po świecie wyobraźni – powiedział.

– Przed Willys powinna chyba być kałuża krwi?

Robin Bengtsson wrócił ze swojego schronienia przed siłami mroku. Siedział w gabinecie Ringmara, który wydawał mu się

najbezpieczniejszym miejscem w całym mieście.

– Opowiadaj – powiedział Ringmar.

– Na górze ktoś był – odparł Robin.

– Gdzie?

– W oknie. W domu.

– Jak wyglądał?

– Jak cień.

– Widziałeś twarz?

– Nie.

– Był jeszcze jakiś inny cień?

– Niby jaki?

– Może w szybie odbiło się coś jeszcze? A może tam nikogo nie było?

– Był – powiedział Bengtsson. – I jestem pewien, że potem ktoś za mną szedł.

– Skąd ta pewność?

Nie odpowiedział. Miał minę, jakby przypomniał sobie jakąś twarz, ale nie mógł jej uchwycić.

– Pokażę ci zdjęcia kilku osób – powiedział Ringmar.

Sięgnął po leżącą na biurku kopertę i wyjął zdjęcia. Nazywał to konfrontacją *light*. Takie wymyślone określenie, a raczej sposób na ominięcie przepisów. Stosowana dawniej konfrontacja z żywymi osobami ustawionymi w szeregu stała się niemożliwa. Istniało spore ryzyko, że świadkowi nie uda się wskazać winnego. Zwłaszcza jeśli niewiele widział. Dlatego prowadzący przesłuchanie powinien być ostrożny.

Rozłożył zdjęcia na biurku. Przedstawiały twarze przeciętne, właściwie dość brzydkie, z punktu widzenia agencji modelek i modeli na pewno nieatrakcyjne.

– Nie musisz się spieszyć – powiedział.

– Nie widziałem twarzy – odparł Bengtsson, pochylając się nad biurkiem.

– Chodzi mi o człowieka, który wyszedł z domu, kiedy roznosiłeś gazety – wyjaśnił Ringmar.

– Nie widziałem jego twarzy.

– A co widziałeś?

– Tylko... postać.

- Mężczyznę czy kobietę?
  - To musiał być mężczyzna.
  - Jesteś pewien?
  - No, a kto?
  - Kobieta – odparł Ringmar. Może jednak chłopak jest idiotą. Bengtsson nachylił się jeszcze bardziej, wpatrywał się w zdjęcia. Ważna jest nie tyle twarz, ile postawa.
  - Jak byś go opisał, Robinie?
  - Dość wysoki, lekko pochylony.
  - Jak był ubrany?
  - W kurtkę... dość długą. Koloru nie pamiętam.
  - Miał coś na głowie?
  - Zimno było. Musiał mieć czapkę.
  - A miał?
  - Tak mi się zdaje.
  - Jaką?
  - Nie pamiętam.
  - Widziałeś jego włosy?
  - Nie.
- Robin nachylił się jeszcze bardziej, zatrzymał wzrok na jednej z twarzy.
- Wydaje mi się, że to ten. W jakiś sposób go przypomina.
  - Podniósł wzrok. – Pewnie się mylę, co?
  - Wskaż to zdjęcie palcem – odparł Ringmar.
- Robin wskazał na zdjęcie Christiana Runstiga.

Winter wziął na ręce dziecko, potem jeszcze jedno. Gdzieś było trzecie, ale nie wiedział gdzie. Wszyscy milczeli, a on trzymał dzieci i zastanawiał się, gdzie jest ostatnie. Wiedział, że nadchodzi burza i trzeba uciekać, ale dlaczego wszyscy milczą? Gdzie jest trzecie dziecko? Najmniejsza dziewczynka? W kieszeni trzymał dla niej smoczek, bo nie miała swojego, w jej łóżeczku go nie było. Dlaczego w łóżeczku nie było smoczka?

Poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Nie mógł się ruszyć, przecież trzymał te dzieci...

– Erik, Erik.

To on, to jego imię.

– Eriku!

To ona, rozpoznał jej głos.

Obudził się. Wrócił do bezpiecznej rzeczywistości, do bezpiecznego domu.

– Zastanawiam się, czy te dzieci miały dobry dom – powiedział.

– A co mówią ludzie? – spytała.

– Jacy ludzie?

– No... koledzy z pracy, przyjaciele. Sąsiedzi.

– Jeszcze sprawdzamy. Nie mieli zbyt wielu przyjaciół. Chyba trzymali się z boku.

– A jej męża nigdy nie było w domu.

– Tak.

– Jaki on jest?

– Czy ja wiem, Angelo. Bardzo trudno się przesłuchuje człowieka w jego sytuacji.

– Przez sen krzyczałeś coś o smoczku – powiedziała. – O co chodzi?

– Morderca zabrał smoczek małej Grety. Nie zabił jej, ale zabrał smoczek.

– Jesteś tego pewien?

– Jeśli to w ogóle możliwe, to tak.

– Dziwne. I okropnie nieprzyjemne.

Winter wstał, podszedł do wieży stojącej na mozaikowej podłodze i włączył muzykę z dziwnymi słowami: *a love supreme, a love supreme, a love supreme, a love supreme*.

Na kamiennych płytach na Opaltorget nie było krwi, żadnych plam tego rodzaju. Przed Willys stała grupka chłopaków. Żaden nie wyglądał na rannego. Na Haldersa i Anetę patrzyli złym wzrokiem, jak na ojca i matkę, którzy przemocą wdarli się w ich wolną przestrzeń.

Halders i Aneta podeszli do nich.

– Jak leci? – spytał Halders.

Nikt nie odpowiedział. Kilku chłopaków chciało odejść. Nie mieli ochoty na towarzystwo dużego białego Szweda i czarnej baby.

– Zostańcie na chwilę – powiedziała Aneta, wyciągając legitymację.

Halders pokazał odznakę.

– Co jest? – spytał chłopak stojący najbliżej, wysoki, ciemnoskóry.

Ma na sobie coś, na co w czasach mojej młodości mówiło się budrysówka, pomyślał Halders.

– Czy ostatnio ktoś tutaj z wami zadarł? – spytał.

– Co?

– Mielście tu awanturę z jakimś gościem?

– Gdzie?

– Gdziekolwiek.

– Z jakim gościem?

– Z dużym, podobno na was napadł. Tu, na rynku. Niedawno.

– Cha, cha, jeden i na nas napadł? Chyba zartujesz?

– Pytam.

Aneta i Halders zauważyli, że się uśmiechają. Niemożliwe. Odwrotnie – to co innego.

– Ktoś wam pyskował? Groził?

– Chyba że gliny – powiedział wysoki gówniarz.

– Jasne – odparł Halders. – A poza tym?

– Jest taki jeden świr – odezwał się ktoś ze środka gromady.

Wysoki się odwrócił.

– Kto to powiedział? – spytała Aneta. – Możesz podejść?

Wystąpił nieduży chłopaczek. Na głowie miał coś w rodzaju podwiniętej do góry kominiarki. Delikatne rysy, jak dziewczyna, cienka skórzana kurtka. Wyglądała na drogą i kradzioną. Ale nie na Opaltorget, nawet nie na Frölunda torg.

– Jak się nazywasz? – spytała Aneta.

– Nieważne.

– Chociaż imię.

– Åke.

Kilku się zaśmiało. Rzeczywiście śmieszne.

- W całej Szwecji nikt, kto ma mniej niż pięćdziesiąt dziewięć lat, nie ma tak na imię.
- Ja mam – odparł Åke.
- Kim jest ten świr? – spytała Aneta.
- Świr jest... świrem.
- Co robi?
- Czasem przychodzi i krąży, jakby był żołnierzem albo co.
- Nosi mundur?
- Wygląda, jakby nosił mundur, ale nie chodzi w mundurze.
- Zaczepiał was?
- W życiu! Nie odważyłby się.

Spodnie, które dostał w areszcie, były bardziej miękkie, niż się spodziewał. Chyba wszyscy dostawali takie same, aresztowani i zatrzymani, bez znaczenia. Ściągnął je i nawet się zastanawiał, czy nie skrócić też kalesonów, ale to by było bez sensu. Tak jak bez sensu byłoby się rozpedzić i wyrznąć głową o ścianę, bo mogłaby się okazać za miękka. Miałby tylko jedną szansę, więc byłoby to mało skuteczne, wręcz nieporadne. To tak jak schować nóż jednorazowego użytku, gdy człowiek czuje, że dłużej nie daje rady. Bez sensu, i to od dawna. Spodnie to najlepsze wyjście. Rozerwał je w kroku. Żaden kłopot, gdy człowiek wie, czego chce. Skręcił je i owinął sobie wokół szyi. Za luźno. Rzecz w tym, żeby długo wytrzymać i nie udaremnić wszystkiego, tracąc przytomność. Najlepiej byłoby mieć jakiś patyk czy coś w tym rodzaju, żeby owinąć, a tak musi polegać jedynie na własnych rękach, na spodniach. Zaparł się, pociągnął. Poczul, że oddycha mu się coraz trudniej. Nadchodziło to najtrudniejsze: ktoś tkwiący w nim chciał, żeby puścił, a ten drugi opierał się i opierał, i opierał.

Zdążyli znów zasnąć, tuż przed nadejściem godziny wilka, chociaż w Andaluzji nie ma godziny wilka, bo słońce zawsze jest pierwsze.

Odebrał dopiero po trzecim sygnale.

- Cześć, mówi Bertil. Runstig próbował się udusić w celi.
- I co z nim?
- Żyje. Nie dał rady, ale był na granicy. Nie mogę go przesłuchać. Chyba doszło do niedotlenienia mózgu.
- Co za cholera.
- Jeszcze jedno – powiedział Ringmar. – Robin Bengtsson rozpoznał go w lajtowym wariancie przesłuchania.
- Dopiero teraz mówisz?
- To było zaledwie kilka godzin temu. Miałem zamiar z nim posiedzieć do rana, a potem do ciebie zadzwonić. W końcu Runstig nie przebywa w nieznanym miejscu.
- Przepraszam, nie musisz się tłumaczyć.
- Czyli dzieje się trochę – powiedział Ringmar.
- Wrócę, jak tylko będę mógł.
- To zależy od stanu twojej matki.
- Czuje się lepiej. Najgorsze chyba minęło. Tym razem.
- Pogadam z Runstigiem, kiedy tylko będzie to możliwe
- powiedział Ringmar. – Może teraz będzie mniej świrował.
- Rozłączyli się.
- Co się dzieje? – spytała Angela.
- Nasz podejrzany stał się trochę mniej podejrzany
- powiedział Winter.
- Dla ciebie to wystarczy?
- Nie wiem. W każdym razie to wszystko komplikuje. Chyba.
- Wydawało mi się, że słyszałam, że ktoś go rozpoznał.
- O dziwo. Zawsze robię się wtedy podejrzliwy.
- Dlaczego?
- Bo to się prawie nigdy nie zgadza.
- Więc nie traktujesz tego poważnie?
- Nie odpowiedział. Zeznania świadków są jak wiatr na pustyni. Christian próbował odebrać sobie życie. Niektórzy ludzie są za głupi, żeby odczuwać lęk, ale Christian do nich nie należy.



ZADZWONIŁ DZWONEK. A może to było pukanie. W każdym razie ktoś tam był. Robin podszedł do drzwi.

– Kto tam?

– To ja.

– Już późno.

– Wiem, że późno. Ja na chwilę.

Otworzył.

– Okej, wchodź – powiedział.

– Co ci jest? Gdzieś byłeś? Masz cykora?

– Łaziłem po mieście.

– Chce ci się pić?

– Nie...

– Przecież widzę. Przyniosłem ze sobą.

– To nic nie da.

– Jednego kielicha, potem to odstawimy.

– Przyniosę kieliszki.

– Pójdę usiąść.

– Nie wiem, co robić. Ja już dłużej nie mogę. Nic już nie wiem.

– I dlatego tu jestem, chłopie.

– Okej, Åke widział świra. Ktoś jeszcze? – Halders się rozejrzył. Grupka zrobiła krok w tył. Patrzyli na Åkego. Za dużo naopowiadał. – Spoko, nic wam nie grozi.

– Chyba wszyscy go widzieli – odezwał się jakiś chłopak. Na podbródku miał cień zarostu. Sypnie się może za rok, a może dopiero za dwa.

– Jak się nazywasz?

– Nisse.

Znów śmiech, przetoczył się jak kamienie po bruku.

– Dobra, Nisse, co on takiego robi, że wszyscy go zauważają?

– Nic specjalnego.  
– A mimo to wszyscy go znają?  
– Chyba każdy rozpozna świra, nie? – odezwał się trzeci chłopak, średniego wzrostu, w kapturze.  
– Może – odparła Aneta. – Jak masz na imię? Pewnie Bengt?  
– Oczywiście.  
Jeszcze raz ten sam śmiech. Zapewnili im świetną rozrywkę.  
Fajnie.

– A ja się nazywam Hussein Hussein – powiedział Halders.  
– To był jedyny sposób, żeby dostać pracę? – spytał Åke.  
Wszyscy się zaśmiali. Godzina śmiechu, jeszcze śmieszniej niż w szkole.  
– No pewnie.  
– Widzieliście, czy nosi przy sobie broń? – spytała Aneta. – Jakąkolwiek?

– To ten gościu jest aż taki groźny? – zdziwił się Nisse.  
I to jest to pytanie, pomyślała, podstawowe. Wiem, kim jest świr. To nie może być nikt inny. Jego marzenie nigdy się nie spełniło. Powinni byli mu się przedstawić. Gdyby poznał ich nowe imiona, zaprzyjaźniłby się z nimi.

Ringmar czekał przed halą przylotów.  
Ruszyli w stronę miasta. Winterowi szumiało w uszach, ale tym razem nie było to przykre. Udawał, że to skutek lotu. Zaraz przejdzie.

– Cieszę się, że Siv czuje się lepiej – powiedział Ringmar.  
– Masz pozdrowienia. Prawdopodobnie wyjdzie dziś ze szpitala.  
– Eriku, będzie dobrze.  
– Ale nie w samej końcówce.  
– Runstig odzyskał przytomność – powiedział Ringmar.  
– Powiedział coś?  
– Nie. Jeszcze go nie pytałem.  
– A ten chłopak, Robin, nie zmienił zdania?  
– O ile wiem, to nie.  
– Gdzie on jest?  
– W domu, jak sądzę.  
– To już niedługo – rzekł Winter.

– Paru chłopaków przyjdzie dziś popatrzeć na fotki  
– powiedział Ringmar. – Chodzi między innymi o Runstiga  
i Opalorget.

Runstig siedział na łóżku. Winter zobaczył na jego szyi sine ślady. Wyglądał jak po ciężkim pobiciu.

– Christianie, dlaczego? – spytał Winter.

– Tylko o to pytasz? – odparł Runstig. Wiercił się. Chciał usiąść wygodnie, ale mu się nie udawało.

– Tak.

– Miałem dość – odparł Runstig. – Przestało mnie to wszystko bawić.

– A kiedy bawiło?

Runstig nie odpowiedział. Uznał to pytanie za retoryczne albo – inaczej – ironiczne.

– Pewnie teraz będzie wam jeszcze trudniej mnie wypuścić – odezwał się po dłuższej chwili.

– Człowiek się zastanawia dlaczego – powiedział Winter.

– Tylko żebyś nie myślał, że to ma cokolwiek wspólnego z tym, co się stało w tamtym domu – zaznaczył Runstig.

Winter nie odpowiedział, Ringmar milczał. Chmury za oknem rozeszły się i Runstig osłonił oczy przed nagłym światłem.

– Zasunąć rolety? – spytał Winter.

– Poproszę.

Winter podszedł do okna. Na dziedziniec, przez który przechodzili jacyś ludzie w bieli, wjechała karetka. W oddali sunął tramwaj. Wjeżdżał do wykutego w skale tunelu. Wszystkie cienie ostro zarysowane. Biel i czerń, takie proste.

– Gdybym nie kupił tego przekłętą kundla – odezwał się Runstig. – Gdyby mi się nie zachciało sprawić przyjemności żonie.

Winter się odwrócił.

– I co byś teraz robił, gdybyś nie kupił psa?

– Na pewno nie byłoby mnie tutaj.

– A co byś robił?

- Pewnie to samo co zwykle.
- Czyli co?
- Nic specjalnego.
- Nienawidziłbyś ludzi?
- To nie jest nienawiść.
- A co?
- Samoobrona. Odpowiedzialność.
- Czy to, co zrobiłeś z Marsami, to samoobrona?
- Nie, nie.
- A co takiego?
- Nie miałem z tym nic wspólnego.
- Widzieli cię.
- Co?
- Ktoś cię widział koło tego domu.
- Przecież kupiłem tam psa!
- Wcześniej. Zanim kupiłeś.
- To kłamstwo. Jakieś wymysły. – Runstig spojrzął na Ringmara. – Odgrywacie role dobrego i złego gliniarza. Zaraz powiesz, że ten snob posunął się za daleko.
- Posunąłeś się za daleko, Eriku – powiedział Ringmar.
- Rano zrobiłem tylko trzy kilometry – odparł Winter, nie odrywając wzroku od Runstiga.
- O Boże – powiedział Runstig.
- Skąd znałeś Sandrę Mars? – spytał Winter.
- To jakiś obłęd! Nie możecie po prostu dać mi umrzeć?
- Tak jak ty dałeś umrzeć tamtym – dopowiedział Winter.
- Nie, nie, nie! – Runstig spojrzął na Ringmara. Ringmar odwrócił wzrok. W pokoju byli sami źli gliniarze.

Gerda przestała kaszleć. Czowała się lepiej niż poprzedniego dnia. Na dworze świeciło słońce. Otworzyła okno i odetchnęła świeżym i prawie ciepłym powietrzem napływającym od Sannabacken. Nawet tramwaje wyglądały radośnie. Jestem już w pełnej gotowości, pomyślała. Może to tylko alergia.

Zdażyła sprzątnąć z kuchennego stołu i umyć naczynia. Takie proste czynności, które pomagają myśleć o rzeczach

skomplikowanych. Czy ja się nadaję do tej pracy? Gdzie przebiega granica między tym, co rzeczywiste, a koszmarnym snem? A może to wszystko to jeden wielki koszmar, który będzie trwał aż do emerytury?

Złapała za telefon i zadzwoniła do wydziału technicznego.

– Przeprowadzamy drobiazgową analizę śladów DNA w pokoju i w altanie – powiedział Torsten Öberg. – Może był tam ktoś, kogo nie powinno być.

Nadaję się do tej pracy, nadaję się do tej pracy, nadaję się? Odpowiedź: tak. Mogłabym już tam jechać, w tym momencie.

– Nic na niego nie mamy, chociaż naprawdę bardzo się staraliśmy – stwierdził Winter. Siedział u Ringmara. – To jakieś inne demony pchnęły go do próby samobójczej.

Ringmar nie odpowiedział. Kolejny raz studiował rozłożony na biurku wachlarz zdjęć.

Podniósł wzrok na Wintera.

– A jakie demony pchnęły naszego mordercę?

– Bertilu, wierzysz, że istnieje zło?

– Masz na myśli zło jako zjawisko?

– Mam na myśli złych ludzi.

– Na przykład.

Ringmar znów spojrzał na twarze na zdjęciach.

– Wierzę, że istnieją źli ludzie – odparł i spojrzał Winterowi w oczy. – To zawsze jest działanie człowieka. Zło nie jest czymś, co się unosi w powietrzu i nagle się wczepia w nas pazurami.

– Więc wierzysz w gen zabijania?

– Odpowiednia troska i wychowanie w miłości może go okiełznać – stwierdził Ringmar.

Winter się zaśmiał.

– Okiełznać. Świetne słowo.

– Eriku, stroisz sobie ze mnie żarty?

– Nie. Gdzie byśmy byli, gdyby nie zło? To bardzo proste.

– Są tacy, co uważają nas za cyników.

– Ależ skąd!

Ringmar się zaśmiał.

– Bertilu, stroisz sobie ze mnie żarty? – spytał Winter.

Ringmar miał już odpowiedzieć, gdy na korytarzu rozległy się głosy. Ktoś się zaśmiał, potem ktoś dołączył. Można by pomyśleć, że weseli mieszkańcy tego miasta wyznaczyli sobie spotkanie na jasnych korytarzach wydziału zabójstw.

Drzwi się otworzyły i weszła Aneta.

– O, jesteście już – powiedział Ringmar, wstając.

Winter również się podniósł.

– Zdaje się, że macie świetne humory – powiedział.

– Przyprawiliśmy grupkę rekrutów – odparła.

Do pokoju weszli Åke, Nisse i Bengt, a za nimi Halders. Wszyscy spoważnieli.

– Zapraszamy bliżej – powiedział Ringmar.

Chłopcy podeszli, a Ringmar wskazał palcem na wachlarz zdjęć. Nie wiadomo dlaczego, ale twarze na zdjęciach nagle zaczęły wyglądać poważniej.

– Rozpoznajecie kogoś?

– A musimy? – spytał Åke, patrząc na Haldersa.

– Nie.

– To nie jest zgaduj-zgadula – dodała Aneta.

– Przecież on nic nie zrobił – powiedział Bengt.

– Trochę poświęcił i tyle – dopowiedział Nisse.

– Kto? – spytał Winter.

– Tamten – odparł Åke, wskazując na zdjęcie Runstiga.

Marconigatan już nigdy nie będzie taka jak przedtem. Nie będzie pustą ulicą skazaną na pozostanie przedmieściem. Nowe domy były wrzaskliwą zapowiedzią przyszłości, a teraz, gdy słońce padało na fasady, ulica wyglądała, jakby się znajdowała w samym środku wielkiego miasta. Wszędzie budowy, od cholery nowych domów, zniknęło pod nimi również boisko.

– Nie ma. Tam zagrałem swój ostatni mecz z Finter BK – powiedział Halders.

– Powinni ci wystawić jakiś pomnik – zauważył Ringmar.

– Podziękowałem – odparł Halders.

– Fredriku, czy to przypadkiem nie tam dałeś sędziemu kopa

w przyrodzenie?

– Nie, nie, to było na Heden, w innej drużynie. I nie w przyrodzenie, tylko w dupę.

Przejechali Lergöksgatan, okrążyli Frölunda targ. Minęli olbrzymi parking i wjechali w Näverlursgatan. Zostawili samochód na zwykłym parkingu, żeby nie rzucać się w oczy.

– Näverlursgatan, Valthornsgatan, Gångglåten – powiedział Halders, wysiadając. – Ależ tu się dzieje.

– Która klatka? – spytał Winter.

– Piętnasta – odparł Ringmar.

Dom Robina Bengtssona. Nie odbierał telefonów i sprawa nagle wydała się paląca. Winter miał wezwać funkcjonariuszy ze śledczego, żeby przeszukali jego mieszkanie. Czuł, że to pilne, chociaż nie umiałby powiedzieć dlaczego. Ale najpierw postanowili zabrać go na przesłuchanie. Coś mu się nie zgadzało w tym niewinnym czarnoskórym roznosicielu gazet. Za wcześnie go wypuścili. Trzeba było coś wymyślić, żeby go zatrzymać. Wysłał samochód po Berta Robertssona, białego roznosiela. Miał przeczucie, że to też jest pilne.

Na klatce pachniało cebulą i cementem, solą, wilgocią, żelazem, krwią. Na ścianach świeżo wyremontowanej windy było nowe graffiti, a na lustrze serdeczne pozdrowienia od kogoś nieznanego.

Zadzwonili do drzwi, Robin nie otworzył. Winter krzyknął. Otworzyły się drzwi jednego z dwóch sąsiednich mieszkań. Wyjrzał starszy pan w szarym swetrze, białej koszuli i gabardynowych spodniach na szelkach. Wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać stary człowiek.

– My do Robina Bengtssona – powiedział Halders.

Mężczyzna kiwnął głową. Może usłyszał, może nie.

– Nic, tylko biegają bez przerwy – powiedział.

Halders spojrział na Wintera, a potem podszedł do niego.

– Przychodził ktoś do niego? – spytał.

Mężczyzna przytaknęła. Unosiła się wokół niego lekka woń starości. Bywa odrażająca, kiedy się zmiesza ze smrodem sików, ale z nim tak nie było. Na drzwiach jego mieszkania wisiała wizytówka z nazwiskiem Bergkvist. Klasyczne

szwedzkie nazwisko starego człowieka.

– Skąd pan wie? – spytał Halders.

– Bo widziałem – odparł Bergkvist.

Halders spojrzął na wizjer w jego drzwiach.

– Przyszedł i wyszedł.

– Przyszedł i wyszedł? Kto?

– Chłopak, który tam mieszkał. Przyszedł, a potem wyszedł w środku nocy.

– Pan wtedy nie spał?

– Nie, ale słyszałem. I...

– A kogoś poza Bengtssonem pan widział? – przerwał mu Halders.

– Nie bardzo... rozmawiali w drzwiach, ale na schodach było ciemno. Widziałem, bo światło padało z jego przedpokoju. A potem on wszedł i... drzwi się zamknęły.

– Kiedy to było? – spytał Winter.

– Wiele razy.

– A kiedy ostatnio?

– Dziś w nocy – odparł Bergkvist.

Halders spojrzął na drzwi Bengtssona. Winter już wyjął narzędzia. Otwarcie zamka zajęło mu dziesięć sekund. Ringmar stał obok z wyciągniętą bronią. Winter kopniakiem otworzył drzwi i już byli w środku. Krzyknął: policja! Ale jakoś niegłośno, jak spod kaptura. Rolety były opuszczone, w mieszkaniu było ciemno.

Halders krzyknął: Robin! – i wszedł do przedpokoju. W głębi było kilkoro drzwi, na końcu duży pokój. Mieszkanie przypominało dom w Amundövik. Dziwne, nawet na lewo od przedpokoju był jakiś pokój. Całkiem niedaleko, metr, może dwa. Co to za dźwięk? Coś jest włączone. To telewizor, chyba jakaś powtórka. Zawsze brzmią tak samo, niezależnie od programu. Jest w tym jakaś definitywność, coś z przeszłości. Głośno gra, dopiero teraz słyszę. Przedtem żaden z nas tego nie słyszał.

W ciemnym pokoju migotał ekran, na nim twarze na zmianę z lasami, górami, wodą w zimnym jałowym świetle, jak ta niewydarzona wiosna na dworze. Winter potrzebował kilku



sekund, żeby to wszystko zarejestrować. I jeszcze ciało leżące na łóżku. Niczym nieprzykryte, poza ubraniem, które miało na sobie, kombinezonem drobnego handlarza, który poszedł tam, gdzie nie trzeba, wpadł, gdzie nie trzeba, i zobaczył, czego nie powinien.

– Psiakrew, nie powinienem był go wypuszczać – powiedział Ringmar.

– I co, przywiązałbyś go do biurka? – odparł Winter.

– Chociażby.

W swoim nowym martwym wcieleniu Bengtsson wyglądał jak ta kobieta albo jej dzieci z domu na końcu świata. Tamten człowiek zrobił mu to samo co im. Ustaleniem, jak to się stało, będzie musiał się zająć Torsten. Winter podszedł bliżej. Cała reszta należy do niego.

– Chyba możemy przyjąć, że to się stało tej nocy – powiedział Halders, patrząc na zwłoki.

– Ale przynajmniej nie zrobił tego Runstig – powiedział Ringmar.

– Zostają nam wszyscy inni – zauważył Halders.

– Pierwszy jest mister Mars – dodał Ringmar.

Bóg wojny, pomyślał Winter. Ląduję w tym mieście, a ze mną śmierć. Muszę tu teraz posiedzieć, aż dowiemy się wszystkiego.

Twarz Bengtssona mogłaby być twarzą kogokolwiek. Winter wiedział, że twarze ludzi zmarłych gwałtowną śmiercią wykrzywiają się w maskę, która niweczy w nich wszystko, czym dawniej byli. Nie dla nich spokojny sen. Żadnego zasypiania. W otwartych szeroko oczach jest nagi strach i obca twarz wryta w nie na wieki wieków. Życie po życiu stało się wieczną wędrówką w cudzym kształcie.

Człowiek zamordowany zostaje okradziony ze wszystkiego, pomyślał, patrząc na Bengtssona w przeklętym migotliwym świetle telewizora. Teraz zdał sobie sprawę, że z telewizora nic nie słyhać, żadnej muzyki, żadnych głosów, które by się przedzierały przez szum w jego uszach. Sam obraz. Morderca zostawił go w ciszy, ale nie w ciemności.

MARS PODSZEDŁ DO DRZWI domu siostry z córeczką na rękach. Dziewczynka miała pogodną minę. Złapała Wintera za palec i powiedziała coś, czego nie zrozumiał. Greta, ma na imię Greta.

– Słucham.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– O tych patrolach?

– Słucham?

– Nie udawaj głupiego, to do ciebie nie pasuje.

– Wycofaliśmy je.

– Zauważyłem. Więc nareszcie zostałem uwolniony od podejrzeń?

– Nie mieliśmy tylu ludzi – odparł Winter. – Zresztą to byli ludzie z wydziału narkotykowego.

– Więc jestem podejrzany również o przestępstwa narkotykowe?

– Wydział narkotykowy po prostu ma więcej ludzi niż my – odparł Winter.

– Jesteś bardzo otwarty – powiedział Mars. – Przepraszam na chwilę, zostawię Gretę siostrze.

– Dla was pozostanę podejrzany już na wieki wieków? – spytał Mars.

Stali na trawniku przed domem. Prawie nie było śniegu, a trawa była prawie zielona. Winter niemal widział drzwi do domu swojej siostry.

– Nadal figuruję na pierwszym miejscu waszej listy podejrzanych?

– Jovanie, bardzo otwarcie mówisz, co myślisz.

– Bo to jest cholernie obraźliwe wobec mojej nieżyjącej rodziny.

- Nie siedzisz w areszcie – zauważył Winter.
- Może byłoby lepiej.

Winter nie powiedział mu o próbie samobójczej Runstiga. Może i tak wiedział. Zdawał sobie sprawę, że ludzie objęci wstępnym dochodzeniem wiedzą znacznie więcej, niż przypuszcza, a na pewno więcej od niego. Wszystko sprowadza się do tego, żeby wysondować, co wiedzą pozostali. Wystarczyłoby. Oczekiwać czegoś więcej byłoby zuchwałością, a chwycić się czegoś więcej byłoby szaleństwem.

- Mamy następne morderstwo – powiedział Winter.
- Wolno ci o tym mówić?
- Sam o tym decyduję.
- Dlaczego mi to mówisz?
- Gdzie byłeś wczoraj wieczorem po dziesiątej?
- No nie, znowu.
- Muszę pytać.

– Byłem tutaj. Możesz spytać moją siostrę i jej męża, i ich znajomych z dwojgiem dzieci. Może nawet Gretę. Mógłbyś, za rok.

Winter nic nie powiedział. Zobaczył Lottę. Wyszła na ulicę, wsiadła do samochodu i nie spojrzawszy w ich stronę, odjechała. Mars podążył za jego spojrzeniem.

- To twoja siostra?
- Pytasz, chociaż wiesz.
- Nigdy nic nie mówiła – powiedział Mars.
- Rozmawiałeś z nią?
- Nie, ale Louise rozmawiała. Chyba się spotkały kilka razy.

Pewnie jak to sąsiadki.

- To dobrze – odparł Winter.
- Wychowałeś się na tej ulicy?

– Mniej lub bardziej. Przeprowadziliśmy się z Kortedali, kiedy już starego było na to stać. Byłem jeszcze mały. Matka miała pieniądze, ale stary nie chciał ich tknąć.

- To uchodzi za szlachetne postępowanie?

– Miał swój honor – odparł Winter, wciąż patrząc na dom swojego dzieciństwa. – Chociaż nie dzielił się z urzędem skarbowym.

- Bardzo szczerzy jesteś.
- Czy o twoje alibi mam pytać twoją rodzinę? Czy wystarczy twoje słowo honoru, Jovanie?
- Jako detektyw masz bardzo indywidualny styl.
- Na kim miałbym polegać, jeśli nie na ludziach?
- Może na psach?
- Jeśli cię nie ma kilka tygodni, pies, najlepszy przyjaciel człowieka, zapomina cię na zawsze – odparł Winter.
- Nawet nie zdążyłem poznać tego szczeniaka – powiedział Mars.
- Przepraszam.
- Już tam nie wrócę – powiedział Mars. – Musiałbym być chory umysłowo.
- Właśnie tam jadę – rzucił Winter. – Może chcesz mi towarzyszyć?
- O to chodziło? Żeby mnie zwabić do domu?
- Nie.
- To dlaczego chcesz, żebym z tobą pojechał?
- Sam nie wiem – odparł Winter.
- W takim razie pojedę.

Gdy mijali plac zabaw, Mars się rozplakał. Winter zostawił samochód na placu, na którym zimowały jachty. Tak chciał Mars. Nie było tam innych samochodów. Ludzi też nie widzieli. Jak zwykle było pusto, jakby po morderstwach wszyscy stamtąd uciekli.

- O Jezu – jęknął Mars. – Jezu.
- Mogę cię zaraz odwieźć do domu – powiedział Winter.
- Nie musisz tego robić.
- Przecież i tak muszę tu wrócić, sam zobaczyć. Nie mogę tego odkładać w nieskończoność. I tak długo zwlekałem.
- Nie chciałeś przyjeżdżać...
- Żeby liczyć noże – przerwał Mars. – Wystarczyły zdjęcia i spis rzeczy.
- Chcesz się tu zatrzymać? – spytał Winter.
- Tak, na chwilę.

Mars usiadł na ławce. Zawahał się.

– Siadywałem tutaj, kiedy tu przychodziliście. Kiedy byłem w domu – dodał.

Przejechał jakiś samochód. W środku dwie twarze. Winter widział ich miny. Mars również.

– I co oni powiedzą? Na pewno się zastanawiają, co ja tu robię. Myślą, że przyszedłem sobie pospacerować po miejscu zbrodni.

– To nie jest miejsce zbrodni – zauważył Winter.

– Może on też tutaj siedział – powiedział Mars, wskazując na huśtawki, na oponę do zabawy, na domek do wspinania się, na odsłonięty już piasek. Śnieg szerniał na obrzeżach placu, zieleni nie było. – Morder... psiakrew, nie mogę wymówić tego słowa. Nie tutaj. Ten, który...

– Chcesz przez to powiedzieć, że to może być ktoś znajomy? – spytał Winter.

– A skąd ja mogę wiedzieć?

– Zastanawiałeś się nad tym?

– Nad czym?

– Czy go znasz.

Mars patrzył w dal. Może na wyspę, na morze. Winter nie podążył za jego myślami, nie teraz, nie tutaj. Tylko szalenie mógłby to zrobić. Myślał o swojej działce, znajdującej się niedaleko stąd, na południe, od lat niezabudowanej, z kawałkiem własnej plaży i niczym więcej. Nie powstał tam dom ani nawet szopa albo hangar na łódzie. Było tak, jak miało być, chociaż już nie był pewien. Może jeszcze nie jest za późno, może to tylko początek albo koniec początku. Mars mruknął coś, czego Winter nie dosłyszał, i wstał.

– Jestem gotów – powiedział.

Ruszyli, Mars szedł przodem. Winter słyszał dochodzący z oddali śmiech mew. Widział, że Mars też to usłyszał. Pochylił się, jakby niósł ciężar ponad siły.

Z przeciwka ktoś nadszedł. Winter go poznał, Mars też.

– Jovan – powiedział Robert Krol, otwierając ramiona.

Niezłą ma rozpiętość skrzydeł, pomyślał Winter.

Krol objął Marsa. Mars prawie zniknął w jego objęciach.

Scena, w której jest i serdeczność, i troska, i żal – same głęboko ludzkie emocje, pomyślał Winter. Mars uwolnił się z objęć Krola. Znów się rozplakał. Krol też. Winter zobaczył na jego policzkach łzy. Wyglądały jak krople morskiej soli.

– Nie wiem, co ci powiedzieć, nie mam słów – powiedział Krol.

Mars potrząsnął głową, nic nie powiedział.

– Naprawdę nie wiem – powtórzył Krol.

– Nic nie musisz mówić, Robercie.

– Ale jednak.

– Wystarczy, że jesteś.

– Zawsze jestem, Jovanie.

– Wiem.

– Możesz zawsze przyjść, zastaniesz mnie – powiedział Krol.

Spojrzał na Wintera, potem znów na Marsa. – Jovanie... po co przyjechaliście?

– Nie byłem tutaj odkąd... odkąd...

– Nie musisz nic mówić. Nie powinienem pytać. Głupio wyszło.

– Musiałem wrócić.

Krol kiwnął głową. Spojrzał na Wintera, znów kiwnął głową. I znów spojrzał na Marsa.

– Cokolwiek, Jovanie, cokolwiek.

To z angielskiego, pomyślał Winter.

\* \* \*

W przedpokoju Mars zamknął oczy, jakby nasłuchiwał. Winter też zamknął oczy. Nasłuchiwał straszliwych odgłosów, krzyków. Tym razem nic nie słyszał, może dlatego, że nie był sam.

– Gdzie to się stało? – spytał Mars.

Nadal miał zamknięte oczy. To jak rozmawiać ze ślepcem.

– Wszędzie – odparł Winter. – Nadal pracujemy nad rekonstrukcją zdarzeń.

Mars wciąż miał zamknięte oczy, jakby zapadał w sen, ale to nie był koszmar.

– Jak chcesz to zrekonstruować?

Winterowi wydało się, że coś słyszy. Jakby kroki. Na górze.

– Słyszysz coś? – spytał.

– Niby co?

Winter wszedł po schodach. Teraz już nic nie słyszał. Na piętrze nikogo nie było. Mars wszedł za nim.

– Ktoś miał tu być?

Winter nie odpowiedział. Podszedł do okna. Stojące poniżej domy były pogrążone w ciszy. Jakby to był świąteczny dzień, nieustające święto.

– W ten sposób pracujesz? – spytał Mars.

– A co myślałeś?

– Że to polega głównie na czytaniu i jeszcze raz czytaniu.

– Ten moment jeszcze przyjdzie.

– Ile razy będziesz tu jeszcze wracał?

– Tyle, ile trzeba.

– Chyba rozumiem.

Winter ruszył na schody. Nie wiedział, co usłyszał. Musi o tym pomyśleć, ale w samotności.

– Masz dar jasnowidzenia? – spytał Mars.

– Czasami.

– Tego nie można mieć czasami.

– W takim razie nie mam.

– Mnie się wydaje, że masz.

– A co to znaczy dla ciebie?

– Że będę mógł dalej żyć. Że dostanę odpowiedzi na swoje pytania.

– Wszystkich odpowiedzi nie dostaniesz.

Winter puszczał kaczki, ale jakoś mu nie szło. Lodu już nie było, kamyczki nie miały się od czego odbijać.

– Więc to jest twoje?

– Tak.

– Całe?

– Tak.

– Szczęściarz z ciebie.

– Tak.

- A co na to twoja żona?
- Na to, że jestem szczęściarzem?
- Nie, na to, że nie ma tu domu.
- Nie rozmawiamy o tym.

– Może tak też jest dobrze – powiedział Mars i spojrzał na morze. Po torze wodnym daleko za Gillevik sunął statek. Winter usłyszał w jego głosie mękę. Puścił jeszcze jedną kaczkę i zawstydził się, że ma tyle szczęścia.

Odwrócił się. Mars stał na piasku, który miał tę samą barwę co wczesnowiosenne słońce. Potem, gdy wiosna zacznie się na dobre, wszystkie kolory nabiorą głębi, wszystko stanie się bardzo szybko.

- Muszę cię spytać o jeszcze jedną rzecz – powiedział.
- To nigdy nie jest tylko jedna rzecz.
- Czy twoja żona miała romans?

Mars nie odpowiedział. Nie słuchał.

- Tak przypuszczamy.
- Co mam powiedzieć?
- Podejrzewałeś coś?

– Dlaczego mnie po prostu nie utopisz w morzu? – spytał Mars. – Dałbyś radę.

– Muszę pytać.

– Nie, nie musisz. – Mars zrobił krok naprzód, krok w tył, znów naprzód. – Chyba się domyślam, skąd to wiecie.

Winter nie odpowiedział.

– Prawda, komisarzu?

– Tak.

– Szczery jesteś.

– Tak.

– Żałuję, że cię nazwałem świnią. To było obraźliwe wobec szlachetnego zwierzęcia.

Winter się nie odezwał. Chwilę stali w milczeniu.

– Jesteś ode mnie z dziesięć lat starszy – powiedział Mars. – Właściwie więcej. Myślisz, że mogę dożyć chwili, w której ty jesteś dziś?

– Pożyjesz jeszcze dłużej – odparł Winter.

– Wiem, że próbowałeś, ale nigdy ci się nie uda być... mną.



Postawić się na moim miejscu. Jesteś wprawdzie gotów posunąć się dość daleko, ale nie potrafisz być mną.

– Staram się nie być tobą – odpowiedział Winter.

Puścił ostatnie dwa kamyki, które miał w rękach. Były zimne, paliły go w skórę.

– A kim?

– Mordercą.

Siedział nad ostatnią butelką dallas dhu. Destylarnia została przekształcona w muzeum, nikt nie korzystał z zasobów okolicznej przyrody. Co za marnotrawstwo.

Wypił łyk. Wsłuchiwał się w *Meditations* Coltrane'a. Diabelska muzyka, diabelski trunek. Odstawił szklanekę. Zespół Coltrane'a wpadł w amok. Zrobił jeszcze głośniej.

*The Father And The Son And The Holy Ghost* zabrzmiało jak diabelski chór. Taką melodię potrafi usłyszeć tylko prawdziwy szaleniec.

Dzwonię do drzwi. Nie, pukam. Nie, drzwi są już otwarte. Zobaczyła, jak nadchodzę ulicą, wyszła na werandę, tam mnie wita. Nie, zobaczyła mnie przez okno, wiem, co stamtąd widać, stałem tam wiele razy. Dziecko za moimi plecami spało, wziąłem je na ręce, nie, nie wziąłem, jednak wziąłem. Drzwi są otwarte, spodziewa się mnie, nie, nie, nie spodziewa, ale mile wita, nie wita, ale to oczywiste, że mam tam być, że mam przyjść. Nie spodziewają się mnie, ale to, że przyjdę, nie jest niespodzianką. Nigdy tu nie byłem. Przechodziłem tędy wiele razy. Wiem, że to właśnie ten dom.

Mieszkam w pobliżu. Nie mieszkam w pobliżu. Mieszkam tu. Nazywam się Jovan Mars. Nazywam się inaczej, nie mieszkam tu, to nie jest dom dla mnie. Nazywam się Christian Runstig. Nazywam się Robert Krol. Nazywam się zupełnie inaczej, mojego nazwiska nikt z nas dotychczas nie słyszał. Teraz nie mam nazwiska. W tej historii nie powiedziałem jeszcze ani jednego słowa. Już powiedziałem za dużo.

Wstał, podszedł do wieży i zrobił jeszcze głośniej. Pharoah Sanders, Elvin Jones i Coltrane usiłowali udusić w studiu trzy

koty i dwa psy.

Siedziałem w altanie, patrzyłem na tę rodzinę i wiem, że jest moja. Kocham ją, jest m o j a. To miłość doskonała, nie do pojęcia dla kogoś innego. Oni mnie nie znają, ale ja znam ich jak siebie samego. Wpadaliśmy na siebie. Bujałem dzieci na huśtawkach, przyglądałem im się. Korzystałem z altanki. Dlaczego to robiłem, czy oni wiedzieli, że korzystam z altanki? Nikt mnie nie widział. Mnie nikt nie widzi, nigdy! Muszę się uspokoić. Przed chwilą byłem niespokojny, muszę być spokojny. Witałem się z nią, złapałem ją za rękę, wziąłem ciało. Ja nie chciałem, ona mnie zmusiła, zmusiła, nie, to nie ja, ale słyszałem, że to się stało. Ktoś mi opowiadał, nie chciałem słuchać, był jedynie posłańcem, ale zasłużył na śmierć. Może był kimś więcej niż tylko posłańcem, już za późno, żeby się dowiedzieć. Zbrukał moją rodzinę. Nie wiedziałem, co robić, gdy to usłyszałem. Dawno tam nie byłem, w altanie, na ulicy albo na placu zabaw, od wielu dni tam nie byłem. Musiałem pomyśleć, ale nie mogłem myśleć, dopiero gdy zrobiło się cicho, mogłem pomyśleć. Wtedy wróciłem, drzwi były otwarte, miałem teraz sprawę, teraz-miałem-sprawę.

Winter usłyszał muzykę. Przebijała się przez dudnienie w głowie, dwa pociągi towarowe jadące naprzeciwko siebie w nocy po tym samym torze. Podniósł szklankę do ust, ale okazała się pusta. Poprzednim razem nie była. Znów próbował być kimś innym, ale chwila minęła, została tylko muzyka.

DZIELNICA GULLBERGSSVASS POKAZAŁA SIĘ ze swojej najlepszej strony. Wiatr wiał słabiej niż zwykle, żadnych opadów. Winter i Ringmar szli na zachód. Mijali wraki łodzi, barki mieszkalne, marzenia. Od lat tam chadzali. Dobre miejsce na przemyślenia i rozmowy.

– To wszystko ma zniknąć – powiedział Ringmar.

– Nie wiedziałem.

– Jasne, skąd miałbyś wiedzieć?

– I co tu będzie?

– Coś pasującego do dzisiejszych czasów.

– I gdzie my się podziejemy?

– Jest dużo innych miejsc.

Na pokład jakiegoś wraku wyszedł mężczyzna. Kiwnął do nich głową, jak do znajomych. Oni też kiwnęli głowami.

– Ktoś nas obserwuje – powiedział Winter.

– Chyba wszystkich.

– Dlaczego ten Robin stanowił zagrożenie? Dla kogo on mógł stanowić zagrożenie?

– Dla mordercy, rzecz jasna.

Zbliżyli się do mostu, który według Ringmara również miał zniknąć. Miał go zastąpić nowy. Czy ten most przypadkiem też nie miał koło pięćdziesiątki?

– Dlaczego stanowił zagrożenie? – powtórzył Winter.

– Widział mordercę.

– A skąd morderca to wiedział?

– Zobaczył go.

– Kiedy?

– Kiedy wyszedł z domu.

– O piątej rano.

– Nie pamiętam dokładnie o której – powiedział Ringmar.

– Mars mówi, że to nie on.

– Mhm...

Mars nadal nie miał alibi na te dwa czy trzy dni, kiedy mogło dojść do morderstwa. Winter niemal chciał, żeby miał naprawdę mocne alibi.

– Więc sprawca widzi, że Robin go zobaczył. Nic nie robi, odchodzi.

– Dlaczego?

– Bo wie, że nie został rozpoznany – powiedział Winter.

– Skąd to wie?

– Bo zasłonił twarz.

– Twarz to nie wszystko.

– Fakt. Mimo to Robin go wskazał.

– Dlaczego?

– Bo jednak po czymś go rozpoznał – powiedział Winter.

– Więc cholernie się przestraszył.

– Po czym rozpoznał? Czy jest coś, po czym zawsze można kogoś rozpoznać? Po czym można rozpoznać Runstiga?

– To mógł być ktoś inny. Ale oczywiście po czymś można człowieka rozpoznać.

– Morderca o tym wiedział.

– Podejrzał, owszem.

– Mimo to poszedł. Założył, że i tak go nigdy więcej nie zobaczy.

– Wiedział, że go znów zobaczy – powiedział Winter. – Albo że się z Robinem spotkają.

– Znał tego kogoś – dodał Ringmar.

– W każdym razie z widzenia. Regularnie go spotykał.

– Ktoś miejscowy.

– Z Amundövik.

– Ale zazwyczaj nie wychodził wtedy, gdy bywał tam Robin.

– Zazwyczaj nie.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Eriku?

– Że w normalnych godzinach też tam bywał.

– Po co?

– Znał tam kogoś.

– Kogo?

– Tego musimy się dowiedzieć. Posiedzę jeszcze nad protokołami.

- Z przesłuchań sąsiadów?
- Tak. Muszę to przeczytać jeszcze raz. Wieczorem siądę nad tymi papierzyskami.
- Czy morderca wiedział, że Robin z nami rozmawiał?
- Musiał wiedzieć.
- Skąd?
- Rozmawiał z nim.
- Kiedy?
- Może nawet wiele razy.
- Gdzie?

Zawrócili przy moście. Szli w stronę starego zbiornika gazu. W twarze wiał im umiarkowany wiatr, jak na tutejsze warunki zupełnie niezwykły. Nawet słońce świeciło im w twarze. Winter włożył okulary przeciwsłoneczne. Poczul się silny, jakby – paradoksalnie – krótki wyjazd do Hiszpanii go wzmocnił. Był zwarty i gotowy.

- Gdziekolwiek, Bertilu – odparł, łapiąc Ringmara za ramię.
  - Gdziekolwiek.
  - Szeffie, co się z tobą dzieje?
- Winter go przytrzymał.
- Wyglądasz, jakbyś się cieszył – zauważył Ringmar.
  - TERAZ – powiedział Winter głośniej.
  - Teraz się zaczyna? – upewnił się Ringmar.
  - Tak.
  - I to był tylko koniec początku?
  - Właśnie.

Bert Robertsson otworzył, zanim jeszcze Winter zdążył zadzwonić. Ze środka buchnął odór starej popijawy, na świeżo widocznie było jeszcze za wcześnie.

- Ja nigdzie nie wychodzę – powiedział Robertsson, jakby odpowiadał na niezadane pytanie. – Dziękuję, że pan przyszedł do mnie do domu.
- Dobrze, że chociaż odbierasz telefony.
- I co teraz? – spytał Robertsson.
- Co masz na myśli?

– Nie wiem. – Robertsson ruszył w głąb mieszkania.

Winter poszedł za nim. W całym mieszkaniu śmierdziało chlaniem, zgodną mieszaniną gorzały i papierosowego dymu.

Robertsson wskazał mu fotel, sam opadł na kanapę. Przed nim na stoliku stała butelka i dwie szklanki.

– Whisky – powiedział, wskazując na butelkę z etykietą Bell's. – Niezbyt wyszukana, ale całkiem okej. Proszę bardzo.

– Na służbie nie piję – odparł Winter.

– Zeszłym razem było inaczej.

– To było poza służbą.

– Tak, jasne. – Robertsson nachylił się i otworzył butelkę.

– Komu mogło zależeć na tym, żeby się pozbyć Robinka?

– Też się nad tym zastanawiam – powiedział Winter.

– Jakiemuś złemu człowiekowi.

– A ty gdzie byłeś wczoraj w nocy?

Robertsson zatoczył ręką łuk. Wskazał na stół i stojącą na nim butelkę.

– Ktoś to może potwierdzić? – spytał Winter.

Robertsson kiwnął głową w stronę butelki.

– Moja jedyna przyjaciółka – powiedział. – Z butelką człowiek nigdy nie jest sam.

Zakręcił butelkę, chociaż sobie nie nalał. Była do połowy pełna, czy raczej do połowy opróżniona.

– Kiedy rozmawiałeś z Robinem po raz ostatni?

– Kiedy... ma pan na myśli ostatnio?

– Tak.

– Wtedy.

– Kiedy.

– W wieczór przed jego... zniknięciem.

– Skąd dzwonił?

– Nie wiem. Pewnie z domu. – Spojrzał na Wintera. – Chyba sprawdzacie takie rzeczy?

– Tak.

– To po co pan pyta?

– Nie powiedział, gdzie jest.

– A co powiedział?

– Że już nie chce... brać tej roboty.

- Powiedział ci wieczorem?
  - Tak.
  - A nie rano? Jeszcze zanim dokończył poranną rundkę?
  - Nie.
  - Dlaczego nie chciał brać tej roboty?
  - Powiedział, że się boi.
  - Czego się bał? – spytał Winter.
  - Wydaje mi się, że sam nie wiedział.
  - Bał się kogoś? Kogokolwiek?
  - Nie. A on coś widział?
  - Nie dowiedzieliśmy się.
  - O kurwa.
  - A ty coś widziałeś, Bert?
  - Co pan ma na myśli?
  - Roznosiłeś gazety kilka dni wcześniej. Co widziałeś?
  - Nic.
  - Widziałeś gazety?
  - Co?
  - Czy w skrzynce były stare gazety? Z poprzednich dni?
  - Nie... nie zauważyłem.
  - A zauważyłbyś?
  - Prawdopodobnie. Dlaczego miałyby tam być stare gazety?
- Winter nie odpowiedział.

\* \* \*

Winter czytał o samotności. Z protokołów wynikało, że Marsowie trzymali się z boku. Poza przypadkowymi kontaktami podczas spotkań na ulicy albo na placu zabaw nie zadawali się z sąsiadami. Samotność, pomyślał. Na placu zabaw Sandra Mars czasem rozmawiała z innymi rodzicami, ale niewiele. Żadna z osób, które przesłuchali, nie zapamiętała z tego ani słowa. Nie była u nikogo z sąsiadów z Amundövik i nikt z nich nie był u nich. Nawet żadne dziecko. Czy dzieci Marsów nie miały kolegów? Owszem, ale widocznie tylko podczas zabaw na dworze i dotyczyło to tylko siedmioletniej Anny.

Dlaczego? Winter nie znalazł odpowiedzi w aktach, ale

przypuszczał, że stał za tym Jovan Mars. Chciał mieć rodzinę tylko dla siebie. Nie mógł się pozbyć tego wrażenia.

Z papierów wynikało, że Sandra nie miała wielu znajomych. Znalazł dwie koleżanki. Rozmawiali z obiema. Nie miały wiele do powiedzenia. Może były w szoku.

Jeszcze nie zdążył prześledzić całego jej życiorysu. Wciąż nie trafiliśmy na nikogo, kto by był jej wrogiem, pomyślał. Groźna myśl, bo nie chodzi o wrogów w zwykłym znaczeniu tego słowa.

Przeczytał protokoły z przesłuchań jej kolegów z pracy. Aneta zrelacjonowała rozmowę z jej szefem, Mattiasem Häggiem. Szablonowa, nudna sekretarka, szef, banalna historia, klasyka. Bardzo mu się nie podobała, jak zwykle. Nie podobał mu się Mattias Hägg ani jego odpowiedzi. Miał wrażenie, jakby ślizgały się na kartkach protokołu.

Zadzwoił do Anety. Odebrała po drugim sygnale.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno.

– Jeszcze się nie położyłam.

– Jakie wrażenie zrobił na tobie Mattias Hägg?

– Szef Sandry? Niełatwo go rozgryźć.

– Dobrze.

– To dobrze?

– Ja też odniosłem takie wrażenie. Czytam protokół z przesłuchania. Coś mi się nie zgadza. Dlatego że się denerwował?

– Nie odebrałam tego w ten sposób – odparła.

– Coś ukrywał?

– Tak... ale czasem ludzie myślą, że skoro są przesłuchiwani, to podejrzewamy, że coś ukrywają, i wtedy... zachowują się tak, jakby mieli coś do ukrycia, chociaż nie mają.

– Nie mógłbym tego ująć lepiej – stwierdził Winter. – A jak było tym razem?

– Tak jak powiedziałaś – odparła. – Coś się nie zgadza.

– Mógł mieć z nią romans?

– Przyszło mi to do głowy.

– To bardzo banalne, ale czasem naprawdę chodzi o banał – zauważył Winter.

– Owszem.



- Niestety trzeba tak myśleć. Rozumiesz, o co mi chodzi?
- Chyba tak.
- Prowadzić powierzchowną rozmowę i jednocześnie próbować zajrzeć pod spód. Mogłabyś pociągnąć tego Hägga?
- Dobrze.
- Razem z nim pogadamy. Jutro po południu. Weźmiemy go na komendę. Pa.

Winter wstał. Poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i natychmiast zamknął. Nic nie wyjął, była pusta. Był jak lokator w wynajętym mieszkaniu. Co to za życie, pomyślał. Ale na razie musi tak zostać. Nie pośpię za dużo. I tak nie mogę spać. Od wielu godzin, może nawet cały dzień nie myślał o szumie w uszach. Teraz go słyszał, ale tylko dlatego, że o tym pomyślał. Nie myśl. Muszę stąd wyjść.

Zgiełk, który zwykle panował na Frölunda targ, zdążył ucichnąć. Ostatnie autobusy odjechały w noc. Pod wiatą przystanku przysiadło kilku lumpów. Chuchali w dłonie, żeby je rozgrzać. Siedzieli cichutko jak myszy pod miotłą. Nad parkingiem, niesiony wiatrem, leciał arkusz papieru. W ciemnościach wyglądał jak biała flaga. Kilka młodych dziewczyn minęło go, gdy stał przed wejściem do domu. Powiedziały coś. Czekał, aż się roześmieją, ale nie zrobiły tego. Pewnie za bardzo zmarzły. Były lekko ubrane. On był w palcie i wełnianej czapce ze Ströms. Znalazł ją na półce w przedpokoju. Dziewczyny się nie śmiały, bo już wiedziały, wszyscy wiedzieli. Morderstwo to jednak niecodzienne wydarzenie, nawet w okolicy Frölunda targ.

Wszedł po schodach. Na ceglane ściany padało zimne światło, jak od policyjnego koguta. Było już po północy. Mijał kolejne drzwi. Dochodziły zza nich różne odgłosy, ktoś coś mówił, grał telewizor. W dwupokojowym mieszkaniu Robina też grał. Ludzie Torstena nie znaleźli na nim żadnych odcisków palców. Nie wierzył, że uda się znaleźć mikroślady DNA, ale nigdy nic nie wiadomo. Ludzie oddychają, nawet mordercy. Każdy kiedyś musi odetchnąć.

W mieszkaniu Robina nie było żaluzji. W ogóle niewiele było sprzętów, ale w ostatnim półroczu regularnie płacił czynsz, nikt nie zgłaszał żadnych uwag. Praca na czarno i żadnych uwag. Winter nie spytał, ile zarabiał miesięcznie. Należało spytać.

Robin, Robin, dlaczegoś się nie ulotnił? Posłałem cię wprawdzie do roznoszenia gazet, ale nie zostałeś spętany. Na twoim miejscu bym zwiął. Na pewno tak byłoby lepiej.

Staął w tak zwanym dużym pokoju. Dochodziły tam światła aż z Frölunda torg. Morderca też doszedł. W przedpokoju nie znaleźli jeszcze żadnych śladów. Wszystko rozegrało się tutaj. Zatrzymał się zaraz za progiem. Drzwi nie było. Morderstwa dokonano dwa albo trzy metry dalej. Jedenaście ciosów nożem. Znajoma liczba, powtórzenie. Robin, przyjacielu, coś ty takiego wiedział?

Sekcja zwłok miała dać odpowiedź, czy pił. Czy ktoś mu przyniósł gorzałę. Wspaniały prezent dla niepijącego alkoholika. W mieszkaniu nie było gorzały ani brudnych kieliszków, tylko czyste. W każdym razie tak wyglądały. Technicy zabrali je na wszelki wypadek, niewiele ich było.

Zza okna doszło go wycie syreny. Odbiło się echem między domami i w końcu uciekło daleko w noc.

Co łączy śmierć Robina z morderstwami w Amundövik? Czy mordercą jest ten sam człowiek? Nikt się tu nie włamał, Robin sam mu otworzył. Z własnej nieprzymuszonej woli. Winter podszedł do okna i stanął z boku za zasłoną. Nie zobaczył nikogo na podwórku, tylko krzaki, żwir i trawnik w nieokreślonym kolorze. Nikt nie patrzył w górę, w okno. Ale czuł się obserwowany. Ktoś widział, jak wchodził.

Jestem o jeden krok z tyłu, pomyślał. Ale to już niedługo.

Na placu nie było już autobusów, wszyscy zdążyli wrócić do domów.

Winter stanął przy samochodzie. Był na parkingu zupełnie sam. Było tam jeszcze kilka samochodów, może pięć, rozrzuconych na powierzchni większej od pięciu boisk do piłki nożnej. Urbaniści z lat sześćdziesiątych szarpnęli się, wyszli

naprzeciw potrzebom właścicieli samochodów, a i tak za dnia miejsc było za mało.

Kiedy przyjechał, było jeszcze kilka samochodów. Widział je, kiedy szedł do mieszkania Robina, i zapamiętał. Świadomie czy nieświadomie, taką ma robotę, pomyślał. Trzy odjechały, jeden był nowy. Stał pięćdziesiąt metrów dalej, koło monstrualnego SUV-a. Przedtem nikt tam nie stał. Po co stawać koło takiego potwora, kiedy można stanąć oddzielnie? Kto na pustej widowni w kinie siada koło obcego człowieka?

Winter otworzył drzwi mercedesa, usiadł za kierownicą, zamknął drzwi i czekał w ciemności. Usiłował nie myśleć o niczym, tylko czekał. Czekał zaledwie minutę, ale ciągnęła się jak dziesięć.

Wszystko przez ten dobrze znany chłodek przechodzący po ciemieniu. Podpowiadał mu coś. Spokojnie, delikatnie. Samochód był schowany za SUV-em. Wycofał, chociaż mógł pojechać przed siebie, zatrzymał się, zobaczył jakiś cień w samochodzie, który stał przed nim. To mógł być ktokolwiek. Albo nic. To przez brak snu. Wrzucił bieg i podjechał. Minął go w odległości może dziesięciu metrów. Zobaczył kogoś w środku, ten ktoś się nie ruszał. Przejechał dwadzieścia metrów i wjechał w zatoczkę. Zatrzymał się, nie wyłączył silnika. Czekał.

NIE ROZPOZNAŁ, JAKA TO MARKA. Pewnie jakiś japończyk. Nie mógł również odczytać tablicy rejestracyjnej, wyglądała jak ciemna plama. Postać w samochodzie nie poruszyła się. Może zawiodły go oczy. Było późno, a właściwie to nawet wcześniej. Był zmęczony, chociaż tego nie odczuwał, był skoncentrowany, nie miał ochoty wysiadać, podchodzić i pytać obcego człowieka, co, do cholery, tam robi w porze duchów.

Nie ma sensu tego przeciągać. Wysiadł i wtedy tamten samochód nagle rozbłysnął jak fajerwerk żółtym, czerwonym i niebieskim światłem, a potem wystartował jak rakietą. Winter poczuł swąd palonej gumy i zobaczył, jak samochód bez nazwy pędzi po asfaltowym stepie. Widział czerwone oczy mrugające do niego z drogi na Västerleden. Zawrócił, wymacał komórkę, rzucił ją na przednie siedzenie i ruszył za nim. Wydawało mu się, że widzi jego czerwone światła koło Shella. Przejechał przez środek ronda. Czerwone oczy mrugnęły koło remizy strażackiej. To na pewno te same. Cholernik jeden nie zjechał na Västerleden, tylko pojechał prosto przed siebie. Winter za nim. Mijał ciemne budynki fabryczne i bloki mieszkalne, znów przejechał przez środek ronda i wjechał w Grimmeredsvägen. Kilkaset metrów dalej chyba coś się czerwieniło. Noc była tak czarna, że zwracało uwagę nawet najmniejsze światełko. Tamten wciąż jechał z włączonymi światłami. Dla niego to pewnie dobrze, dla Wintera też. Wydawało mu się, że słyszy ryk japończyka, ale równie dobrze mógł to być wiatr albo szum w jego głowie, adrenalina, pościg, strach, radość, że żyje i może robić coś takiego. Erik Winter i pościg samochodowy. Nie zebrał zbyt wielu takich doświadczeń podczas swojej policyjnej kariery. Jechał w stronę węzła Gnistängen z prędkością stu, potem stu dziesięciu na godzinę. Kto mi coś zrobi, wdowa po mnie? Znów prosto przez rondo i wtedy w dole, na drodze prowadzącej na wschód, zobaczył japończyka. Jechał sam

czteropasmówką. Teraz on również znalazł się na trasie, wręcz zeskoczył na nią. I on, i tamten woleli nie jechać mostem Älvsborg. Gnali na wschód, w kierunku centrum. Tamten minął Jaegerdorffsplatsen. Winter również. Na liczniku miał już sto czterdzieści na godzinę. Za wolno. Przyspieszył. Minął muzeum morskie, dawny terminal transatlantycki, terminal Stena Line, nabrzeże w dzielnicy Masthugget. Tylko on i ten drugi pędzili przez noc, po autostradzie, po ulicach, jakby byli sami na świecie. Czerwone oczy zniknęły w ciemnościach Götatunneln. Popędził za nimi z szybkością, z jaką nigdy jeszcze nie jechał. Liczy się tylko tu i teraz. Obaj byli pod ziemią. Zadzwoiła jego komórka, ale w absolutnym skupieniu podążał za światłami, które miał przed sobą. Światła skręciły w górę, w stronę dworca kolejowego. Dojechał do światła ulicznych w chwili, gdy tamten przejechał przez drogę szybkiego ruchu w kierunku Lilla Bommen. Potem pojechał dalej, do Gullbergskajen. Nadal nie było ruchu. Byli teraz na Gullbergs Strandgata. Chodzili tam z Bertilem, całkiem niedawno, zaledwie kilka tysięcy lat wcześniej. Zamrugał oczami i zobaczył, jak światła tamtego znikają za zbiornikiem gazu. Gdy tam dotarł, już ich nie zobaczył. Nie było nic, tylko ciemność i przytłumione światła latarni, i ponure tory kolejowe prowadzące do zaczynającej się za nimi ślepej uliczki.

- Może się po prostu przestraszył – powiedział Ringmar.
- Ludziom niewiele trzeba, żeby się przestraszyć.
- Nic takiego nie zrobiłem.
- Widział cię. Wsiadłeś z samochodu.
- Facet miał jakiś powód, żeby być na tym placu.
- Może to nie miało nic wspólnego z tobą.
- Miało. Był tam, bo ja byłem.
- Aż do chwili kiedy zwiął.
- I nawet mu się udało.
- Skąd on wiedział, że w środku nocy wybierzesz się do Frölundy?
- Musiał czekać przed moim domem. Na Vasaplatsen.

- Na wypadek, gdybyś się gdzieś wybierał?
- Nie, żeby generalnie mieć wszystko pod kontrolą.
- Generalnie pod kontrolą... – powtórzył Ringmar.
- Bertilu, nie mam skłonności do paranoi.
- Okej, ktoś nas obserwuje. Ma to związek z morderstwami.

Dlaczego nas obserwuje?

- Pilnuje, żebyśmy nie podchodzili za blisko.
- Za blisko czego?
- Tego, kto wie więcej od nas.
- Kto to jest? Jest ich więcej?
- Tak mi się wydaje.
- Więc to nie jest dzieło jednego samotnego mordercy?

Winter nie odpowiedział. Myślami był w tunelu. Jechał za czerwonymi oczami. Trzeba było wszystko zrobić inaczej. W tym nowym świecie wszystko dzieje się nieprawdopodobnie szybko. Muszę szybciej jechać, szybciej żyć.

Wczesnym przedpołudniem znów przeprowadzili wizję lokalną. Amundövik tonął w półmroku, taki dzień. Winter wypił kawę w samochodzie. Był już gotów wziąć udział w rekonstrukcji zdarzeń.

Halders zadzwonił do drzwi. Otworzyła Aneta. Jeden z techników robił zdjęcia.

– Ja w sprawie psa – powiedział Halders. Potem to powtórzyli, zrobili zdjęcia z zewnątrz i od środka. Winter zorientował się, że ktoś ich obserwuje z daleka. Odwrócił się, ale już go nie było.

Torsten Öberg stanął w przedpokoju obok Wintera, tuż przy drzwiach.

- Stąd i dalej do sypialni – powiedział Öberg.
- Zaczęło się w przedpokoju – stwierdził Winter.
- Pierwszy cios został zadany tutaj, a raczej na progu sypialni.
- Krew na drzwiach.
- Tak.
- To Sandra.

– Przypuszczam, że ją zabił najpierw, a dopiero potem dziewczynkę, Annę.

– Gdzie ona była?

– Wydaje mi się, że tutaj.

– Chciała uciekać – odpowiedział Winter. – Tutaj.

– Nie było jak uciec – odparł Öberg.

– Więc zabił Sandrę i Annę. Ile czasu mu to zajęło?

– Minutę, może dwie.

– Gdzie był wtedy chłopiec?

– Wydaje mi się, że cały czas był w dużym pokoju. Zważywszy na to, że wszystko działo się bardzo szybko. Nic nie wskazuje na to, żeby było inaczej.

– Czy należy założyć, że był późny wieczór? Bo dziewczynka był w piżamie. W wariantcie z Christianem Runstigiem byłoby to przedpołudnie. Co chłopak robił w dużym pokoju? Jego pokój był na piętrze. Często spał w jednym pokoju z siostrzyczką. Według Marsa oboje tak chcieli.

– Tak czy inaczej, był na dole – powiedział Öberg. – Czyli wiedział, że ktoś ma do nich przyjść. Czekał na tego kogoś.

– To teoria. Nie był w piżamie.

– Sandra nie miała na sobie koszuli nocnej, w której sypiała. Anna była w piżamie.

– Oni na pewno nie spali – zauważył Öberg.

– Dlaczego chłopiec nie był w piżamie?

Gerda Hoffner położyła się na łóżku obok Anety. Halder pochylał się nad nimi, jakby się zastanawiał, co zrobił.

Ringmar czekał w dużym pokoju. Na co ja czekam? – pomyślał.

Halder przeszedł z sypialni Marsów do przedpokoju i poszedł dalej, do dużego pokoju.

Za nim fotografowie. Robili zdjęcia, filmowali.

Halder zabił Ringmara.

– Nie potrzebował więcej niż minutę – stwierdził Öberg, patrząc na zegarek.

– To się nie stało w progu – powiedział Winter.

- Na pewno nie.
  - Dlaczego chłopiec siedział w tym pokoju?
  - Öberg nie odpowiedział.
  - Przecież musiał słyszeć. Mógł uciec.
  - To się działo tak szybko.
  - Musiał słyszeć – powtórzył Winter. – Musiał się domyślać. Stanęli w dużym pokoju. Światło z zewnątrz prawie tam nie dochodziło, równie dobrze mogłaby być noc.
  - Nie miał urazów wskazujących na to, że się bronił
  - powiedział Öberg.
  - A czy to w ogóle było możliwe? Próbować się bronić?
  - Öberg lekko wzruszył ramionami, bez nonszalancji.
  - Chłopak był w ubraniu – powiedział Winter.
  - Mhm...
  - A może go tu nie było?
  - Co chcesz przez to powiedzieć?
  - Może przyszedł z mordercą? Dlaczego był w ubraniu?
- Przyszedł razem z mordercą?

Jednocześnie się odwrócili i spojrzeli na drzwi wejściowe. Wierzchnie ubrania zostały zabezpieczone, jak wszystko, co mogło przynieść odpowiedź.

– Nie potrafię tego stwierdzić – odparł Öberg. – Zjawiliśmy się tutaj pięć dni po ich śmierci.

– Buty – powiedział Winter. – Ocieplane wysokie buty. Leżały rozrzucone na podłodze. To były buty chłopaka. Przejrzałem wczoraj zdjęcia. Chyba je widziałem, kiedy tu przyszedłem pierwszy raz. Na pewno. Wszystko inne było porządnie poustawiane, a buty nie.

- Masz rację.
- Przypadek?
- I tak, i nie, Eriku.
- Mógł je ktoś potrącić.
- Mhm...

Winter pograżył się w myślach. Zamknął oczy, żeby widzieć. To było tylko kilka minut. Co za potworna siła.

Niczego nie ukradziono, poza ludzkim życiem. I jednym smoczkiem.



Pokój dzieci tonął w świetle. Przejaśniło się w ciągu kilku minut. Winter stanął na środku, Öberg obok niego.

– Co z malutką? – spytał.

– Z tego co wiem, wszystko w porządku.

– Na jej ubrankach nie było śladu nikogo obcego.

– Sprawca wiedział, co robi – zauważył Winter.

– Tylko tam nie wiedział. – Öberg ruchem głowy wskazał puste miejsce po łóżeczku.

Winter słyszał o tym od wczesnego rana. Poszukiwanie mikrośladów DNA przyniosło rezultaty. Znalezione je na cienkiej kołderce dziecka. A więc nawiązali z kimś kontakt. Winter pomyślał o nocnym pościgu samochodowym. Nie przyśniły mu się tamte czerwone oczy. W ciągu tych czterech godzin, kiedy nie był przytomny, nic mu się nie śniło.

– On był tutaj więcej niż raz – powiedział Winter.

– To zawsze ryzyko – zauważył Öberg.

– Wszedł do tego pokoju już za pierwszym razem?

– Tego nie potrafimy stwierdzić.

– Kiedy zabrał smoczek?

– Kiedy zrozumiał, że nas do niego zaprowadzi.

– Ale wiedział, że ryzykuje.

– Tak.

– Widocznie warto było ryzykować. – Winter rozejrzał się po pokoju.

– Jeśli ci się uda to wyjaśnić, bardzo chciałbym się dowiedzieć – powiedział Öberg.

Altana była zalana światłem. Mieli z niej świetny widok. Winter mógł, patrząc w dół, zajrzeć w okno dużego pokoju.

– Kiedy oni wracają? – spytał Öberg.

– W przyszłym tygodniu – odparł Winter.

Właściciele domu i altany mieli wrócić z zagranicy, żeby, jak się wyrazili, zadbać o swoje rzeczy. Oczywiście z Costa del Sol. Nie wiedzieli, że ktoś korzystał z ich altany. Nikomu na to nie pozwolili. Nie palili.

– Ślina na niedopałku – powiedział Öberg, patrząc na

podłogę pod oknem.

– Co za nieostrożność.

– Zobaczymy, czy DNA będzie się zgadzać.

– Nie wydaje mi się – odparł Winter. – Ktoś tu jednak przesiadywał.

Öberg się nie odezwał.

– Wiem, co myślisz, Torsten. Nie wszystko się ze sobą łączy. Staram się myśleć podobnie, ale niewiele tego mamy.

– Macie jednego w areszcie.

– Już niedługo.

Christian Runstig wrócił do aresztu. Witamy w domu. Winter odłożył na później przesłuchanie Mattiasa Hägga, szefa Sandry Mars.

Runstig miał pod oczami głębokie sińce. Pewnie zostaną na jakiś czas. Kiedy go wprowadzano do pokoju przesłuchań, nie spojrzął na Wintera.

– Proszę usiąść – powiedział Winter.

– Stało się coś nowego? – spytał Runstig.

– Dlaczego pytasz?

– Nie spotykałby się pan ze mną, gdyby nie zaszło nic nowego.

– Na przykład?

– Na przykład DNA. Może został po mnie jakiś ślad.

– Jaki ślad, Christianie?

– Coś w rodzaju nieświadomionego wydechu.

– Gdzie?

– Słucham?

– Gdzie mielibyśmy znaleźć ten ślad?

– Gdziekolwiek. Jak tam Jana?

– Dużo o tym myślałeś, Christianie? O DNA?

– Nie.

– Większość ludzi w ogóle się nad tym nie zastanawia.

– A może moja sytuacja skłania do takiego myślenia, jak pan sądzi?

– Nigdy nie byłem w takiej sytuacji.

- Mógłby się pan wczuć!
- Znasz Robina Bengtssona?
- Nie.
- Mówi ci coś to nazwisko?
- Nie.
- Wydawało mi się, że tak.
- Robin Bengtsson. Dobrze się wymawia.
- Nie żyje. Został zamordowany.
- Czy to ma coś wspólnego ze mną?
- Właśnie o to pytam.
- Nigdy nie znalazłem żadnego Robina Bengtssona.
- Pytałem, czy znasz to nazwisko.
- Nie. To Szwed?
- Nazwisko wydaje się szwedzkie, nie uważasz?
- Ale imię nie. Robin to imię angielskie, nazwa ptaka, chyba rudzika.
- Znasz się na imionach. Christian jest bardziej szwedzkie?
- To imię szwedzkie i duńskie, również łacińskie, od *christianus*. W sumie może być.
- Robin nie żyje.
- Mówił pan. Ale ja raczej nie mógłbym być sprawcą, prawda?
- Dlaczego?
- Bo chyba nie da się mnie obciążyć morderstwem, które popełniono kilka dni temu, prawda?
- Kto powiedział, że zostało popełnione kilka dni temu?
- Pan, dopiero co – odparł Runstig.
- Winter ruchem głowy wskazał na magnetofon.
- Widocznie się przesłyszałem – powiedział Runstig.
- I dlatego tu jesteśmy.
- Jesteśmy tu ze względu na ciebie, Christianie.
- Skupcie się na kim innym. Marnujecie czas, swój i mój.
- Co zrobisz, jeśli cię wypuścimy? – spytał Winter.
- Wypuścicie z szafy? Nigdy w niej nie tkwiłem.
- Wypuścimy na wolność. Znów popełnisz samobójstwo?
- To się robi tylko raz, panie komisarzu. Ja swoją szansę zmarnowałem.

- Więc co będziesz robił?
- Będę zwalczał rewolucję.

Sandra Mars uśmiechała się do Anety z miejsca, które wydawało się tchnąć spokojem. Kawalek trawnika pod drzewem. I parasol. Zdjęcie znajdowało się w cienkiej kopercie wsuniętej między papierowe serwetki w szufladzie jej stolika nocnego. Białe i niebieskie serwetki wydawały się dziwnie nie na miejscu w szufladzie nocnego stolika. Miały pomóc zachować tajemnicę, ale to chyba nie był dobry sposób. To był wydruk komputerowy. Aneta trzymała kopię, oryginał poddano badaniom. Technicy znaleźli to zdjęcie, kiedy przerzucali serwetki. Na skali ważności przeszukiwanych sprzętów serwetki lokowały się dość nisko. Nie było na nim nazwiska ani imienia fotografa, ani nikogo innego. Zrobiono je chyba niedawno. Nie dawało Anecie spokoju. W ciągu ostatniej doby oglądała je wiele razy. To zdjęcie coś jej mówiło. Wiadomo, obraz mówi więcej niż tysiąc słów. Uśmiech Sandry Mars objął jej oczy – to było widać.

Gdzie zostało zrobione?

Trawa, drzewo, parasol. Technicy próbowali odnaleźć to miejsce, ale w domu nie było parasola. Aneta wraz z innymi funkcjonariuszami przeszukali cały dom, ale tego nie znaleźli. Nie znaleźli parasola ocieniającego twarz Sandry.

Sandro, gdzie wtedy byłeś? Liście na zdjęciu wskazują na to, że była jesień. Kto z tobą był? Uśmiechasz się do tego kogoś, nie do mnie. Ile miesięcy temu to było?

Gdzie tego dnia były twoje dzieci? Miałaś ten dzień dla siebie. W tle coś jest, za drzewem, o które się opierasz. Co to za drzewo? Co jest w tle? Jest zamazane, zlewa się, jest nieostre.

Ringmar pokazał to zdjęcie Jowanowi Marsowi. Nie znał go. Nie mam go w komórce, powiedział, jakby związek był oczywisty. Możecie sprawdzić. W komórce Sandry sprawdzili absolutnie wszystko, co się dało. Żadnych zdjęć. Ktoś to zdjęcie wydrukował na drukarce. Aneta zadzwoniła do dwóch koleżanek Sandry, które znali. Zostawiła im wiadomość.

Nie potrafiła rozpoznać, gdzie zrobiono zdjęcie. Nie przypominało żadnego miejsca w Amundövik, nie było odbłasku od morza. Zresztą światło było kiepskie. Co to za drzewo? Mogło to być w Slottsskogen albo w jakimkolwiek innym parku w jakimkolwiek mieście na świecie, ale na pewno było tu, całkiem niedaleko.

MATTIAS HÄGG ZJAWIŁ SIĘ PUNKTUALNIE. Tak jak Winter się spodziewał. Punktualność nieodmiennie jest cnotą, zwłaszcza w branży, w której zawsze chodzi o jak najlepsze wrażenie.

Usiedli w pokoju przesłuchań. Nadal pachniało świeżą farbą, ale nie na tyle mocno, żeby go rozbolalała głowa. Przynajmniej na razie. Szumiało mu w głowie, ale myślał nie o tym, tylko o garniturze Hägga. Na pewno od Young's. Nie rozpoznał marki, ale też nie zamierzał pytać.

Obok niego siedziała Gerda. Anecie coś przeszkodziło. Jeszcze raz przeczytał jej protokół z przesłuchania Hägga. Był pewien, że Gerda też go czytała i zastanawiała się, o co by go zapytała, gdyby wtedy była na miejscu. Teraz miała tę możliwość. Ona też widziała zdjęcie uśmiechniętej Sandry Mars pod drzewem.

Hägg nie spodobał mu się od pierwszego wejrzenia. Może od trzeciego wejrzenia wybuchnie miłość. Jednak nie. Facet miał w sobie coś śliskiego. Wynikało to nie tylko z sytuacji. Oczywiście może się mylić. Uprzedzenia są rzeczą ludzką, chociaż tutaj nie ma dla nich miejsca.

– Witamy – powiedział Winter.

– Dzień dobry – odparł Hägg. Starał się nie robić wrażenia podejrzanego.

– To moja koleżanka, Gerda Hoffner.

Hägg nie powiedział „bardzo mi przyjemnie”, ale wyraźnie miał to na końcu języka.

Tym razem w pokoju przesłuchań nie pracowała żadna elektronika. Tylko – oby – mój mózg, pomyślał Winter. Niedobre światło. Tu zawsze jest albo za ciemno, albo za jasno.

– Proszę opowiedzieć o Sandrze Mars – powiedział Winter.

– Co pan chce, żebym powiedział?

– Wedle uznania.

– O czym?

Otwarte pytania mogą być kłopotliwe. Ale postanowił to jeszcze pociągnąć.

– Jaką była osobą?

– Pogodną.

Winter kiwnął głową: dalej, dalej.

– Tworzyła wokół siebie dobrą atmosferę.

Winter znów kiwnął głową. Aż za często widział, jak dziennikarz zachęcająco kiwa głową do rozmówcy, znanego polityka albo decydenta, który pieprzy tak, że się niedobrze robi. A ten dalej uprzejmie kiwa głową.

– Nikt nie mógłby o niej powiedzieć złego słowa – stwierdził Hägg.

– Nikt?

– A kto?

– To ja pana pytam – powiedział Winter.

– Nikt mi nie przychodzi do głowy. Nie ma nikogo takiego.

Hägg spojrzał na Wintera, na Gerdę, potem znów na Wintera.

– Zapomniałem – powiedział.

– O czym pan zapomniał?

– Co... się stało.

– Proszę opowiedzieć, jak państwo zareagowali. W pracy.

– Zaskoczenie to chyba najwłaściwsze słowo.

– Czy Sandra Mars utrzymywała z kimś z pracy bliższe stosunki?

– Trudno mi powiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo się nie orientuję.

– Nic pan nie zauważył?

– W jakim sensie?

– Człowiek chyba zauważa różne rzeczy, nawet jeśli się nie orientuje – powiedziała Gerda.

– No tak, ale nie zastanawiałem się nad tym.

– Dużo czasu spędzaliście razem? Pan i ona?

– Nie rozumiem...

– Mówimy o pracy.

– Tak...  
– Dużo razem pracowaliście?  
– Nie rozumiem pytania – powiedział Hägg.  
– Czego pan nie rozumie? – Winter postanowił wesprzeć koleżankę.

– Razem pracowaliście... – odparł Hägg.  
– Co w tym niezrozumiałego?  
– Nie pracuje się razem.  
– A jak?

Hägg wpatrzył się w ścianę, jakby badał schnącą powoli farbę. Sprawiał wrażenie, jakby go to interesowało bardziej niż cokolwiek innego. Pewnie mógłby tak siedzieć godzinami.

– Oczywiście współpracuje się ze sobą – powiedział.

Winter skinął głową.

– Z Sandrą dobrze się współpracowało.

– W jakim sensie?

– Była bystra, zdolna... nie wiem, jakie szczegóły pana interesują.

– Jak najwięcej szczegółów – odparł Winter.

– Bardzo szybka. Inteligentna.

Winter znów skinął głową. Inteligencja to szczegół raczej drugo- albo trzeciorzędny.

– Sprawna językowo – powiedział Hägg. – Bardziej sprawniejsza ode mnie.

Mówi się sprawniejsza albo bardziej sprawna. Winter spojrzął na Gerdę. Pochyliła się do przodu.

– Spotykaliście się również prywatnie. Jak często?

Hägg zrobił minę, jakby chciał wstać, podziękować i uprzejmie posłać ich do diabła.

– Ja się naprawdę staram z państwem współpracować.

– Oczywiście – odparła Gerda.

– Co to ma do rzeczy, czy spotykaliśmy się prywatnie? Zresztą nie spotykaliśmy się.

– Czy to kłopotliwe pytanie? – spytał Winter. – Staramy się dowiedzieć jak najwięcej o przeszłości Sandry Mars, innych też. Tak pracujemy. Mattias, czy masz z tym jakiś problem?

Hägg drgnął, zapewne w odpowiedzi na ten poufaly ton.



Wszystko byłby w stanie znieść, wszystko poza narzuconą poufałością. Winter znał ten typ. Może nawet w młodości sam był taki. Tylko że Hägg nie jest już taki młody, po czterdziestce to już nie młodość.

– To pytanie wcale nie jest kłopotliwe – odparł Hägg.

– W takim razie proszę odpowiedzieć.

– Może pani powtórzyć? – Hägg spojrział na Gerdę.

– Jak często spotykaliście się prywatnie?

– A co to znaczy prywatnie?

– Powinien pan to wiedzieć lepiej ode mnie – odparła.

– Spotkaliśmy się kilka razy na kolacji, to wszystko. To znaczy rodzinnie.

– Spotykaliście się całymi rodzinami?

– Tak... była kiedyś taka kolacja, i to wszystko.

– Gdzie?

– Gdzie? Nie pamiętam. Chociaż tak, to było u nich w domu.

– W domu Marsów?

– Tak.

– Zawsze u nich?

– Tak.

– Ile razy?

– Dlaczego to takie ważne?

– Podczas poprzedniego przesłuchania powiedział pan naszej koleżance, że to był tylko jeden raz.

– Tak powiedziałem? Może się... nie, nie myliłem się. To był tylko jeden raz.

– Więc jak?

– Raz.

– Spytamy również Jovana Marsa. I pańską żonę.

– Dlaczego mielibyście pytać moją żonę?

– Przed chwilą wyjaśniłam – powiedziała Gerda.

– Nie ma potrzeby jej do tego mieszać.

– Do czego? – spytała Gerda.

– Do... tej strasznej sprawy.

– Dla twojej żony to chyba nie będzie nowość – powiedział Winter.

Hägg pokręcił głową.

– Spotykaliście się również później? – spytał Winter.

Hägg już nie chciał odpowiadać na pytania. W jednej chwili zrobił się wyraźnie zmęczony.

Winter czekał.

– Spotykaliście się jeszcze potem? – powtórzył.

– Kiedy?

– Po kolacjach u Marsów czy też po tej jednej kolacji. Spotykaliście się?

– Nie bardzo rozumiem.

– To pytanie też jest skomplikowane? – dopytywał się Winter.

– Może była jeszcze jakaś kolacja u nas. Nic więcej.

– Kiedy to było?

– Słucham?

– Kiedy kolacja odbyła się u was?

– Jakie to ma znaczenie?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Chyba kilka lat temu.

Winter kiwnął głową. Zachęcające potakiwanie dziennikarza. Hägg był beznadziejnym kłamcą.

– Czyli jednak była – zauważył Winter.

– Co było?

– Przedtem mówiłeś, że u was nie było kolacji. To twoje własne słowa.

– Wtedy... nie pamiętam. To nic nie znaczy. Przecież nie da się pamiętać wszystkiego, skoro to było tak dawno.

– To było zaledwie kilka dni temu – odparła Gerda.

– Chyba już nic więcej nie powiem – oznajmił Hägg.

– Dlaczego?

– Bo wszystko, co mówię, jest... przekręcane.

– Niby jak, Mattias?

Hägg znów drgnął, kiedy usłyszał swoje imię. Jakby Winter dźgnął go elektryczną pałeczką.

– Ja tu przychodzę... współpracuję... odpowiadam na wszystkie pytania...

– Inaczej złamałbyś prawo, Mattias.

– Pański sposób bycia jest...

Umilkł.

– Jaki jest mój sposób bycia, Mattias?

– Nie lubi pan odpowiadać na pytania? – spytała Gerda.

– Owszem, ale...

– Akurat te pytania są kłopotliwe, tak?

Hägg coś mruknął, nie dosłyszeli co, chociaż Winter wyłapał coś jak „szacunek”.

– Pytania o Sandrę Mars są dla pana kłopotliwe?

– Chyba dla każdego są?

– No nie wiem – odparła Gerda.

Dobra jest, pomyślał Winter, dobrze to prowadzi.

– Jak blisko znałeś Sandrę, Mattias? – spytał Winter.

Hägg nie odpowiedział. Minę miał taką, jakby uznał, że wystarczy tego dobrego.

– Mielicie romans? – spytała Gerda.

*Gdy zostałem producentem Coltrane’a, potrafił nagrać trzydzieści powtórek tego samego kawalka. Ale było coraz gorzej i w końcu poszedł do domu. To trzeba łapać dokładnie wtedy, kiedy się staje. Wtedy jest jazz.*

Winter odłożył książkę Ashleya Kahna, zrobił głośniejsze i usiadł z powrotem. Miles Davis był właśnie w połowie *Concierto de Aranjuez ze Sketches of Spain*. Winter pomyślał o słońcu, plaży i o swojej rodzinie. Napił się. Kwadrans po jedenastej wieczorem. Zadzwonił.

– To ja – powiedział.

– Słyszę.

– Jak tam matka?

– Gdybyś mnie spytał po południu, odpowiedziałabym, że dobrze. A teraz to sama nie wiem.

– Co to znaczy, kochanie?

– Ma problemy z oddychaniem.

– Ma w domu tlen?

– Nie.

– Dlaczego?

– Eriku, nie wiem wszystkiego. Zobaczmy, co będzie dalej.

– Na przykład w nocy.

– Raczej jutro. Dopiero co z nią rozmawiałam. Jest okej.

Jutro rano do niej podjadę.

– Dobrze. Masz zaraz zadzwonić, gdyby jej się pogorszyło.

– Oczywiście.

– Najlepiej, gdybyś to zgrała z Norwegian.

– Oczywiście.

Odsunął słuchawkę od ucha i od ust, napił się.

– Jak ci idzie? – spytała.

– Tak sobie.

– Bez większych postępów?

– Są postępy.

– Podparte odrobiną whisky.

– Nie piję whisky.

– A co piłeś dziesięć sekund temu?

– Whisky.

– Mhm...

– Chodziło mi o to, że akurat wtedy nie piłem.

– Eriku, ile dziś wypileś?

– Najwyżej na cztery palce.

– To cała szklanka.

– Nigdy nie piję z takiej szklanki.

– Musisz pić co wieczór?

– Nie piję co wieczór. Czy kiedykolwiek widziałaś mnie pijanego, kochanie?

– To twoje kochanie też mi się nie za bardzo podoba. To niedobry znak.

– Znak czego?

– To nie jest przesłuchanie.

– Przez chwilę tak to odbierałem.

– Jeśli ta kwestia jest dla ciebie tak drażliwa, to znaczy, że zaczniesz mieć problem.

– Słyszałem, co powiedziałaś.

– Nienawidzę, kiedy tak odpowiadasz – odparła.

– To co mam ci powiedzieć?

– Powiedz, że nie musisz co wieczór pić whisky!

Dosłyszał w jej głosie ostry ton.

– Przepraszam cię, Angelo.

– Wystarczy, jak zaczniesz uważać z alkoholem

– powiedziała. – Jak cię najdzie ochota, żeby się napić, zrób coś innego.

- Staram się uważać.
- Może w tym problem.
- Dwa palce wystarczą – powiedział.
- Ty znowu swoje.
- Przepraszam.
- Już mnie nie przepraszaj.
- Okej.
- Spróbuj się przespać.
- Cały czas próbuję.

\* \* \*

Próbował. Niedługo na Vasaplatsen ruszą tramwaje. Dopiero wtedy zasnął. Stał z parasolem w ręce pod jakimś drzewem. To był jesion. Spytał jakiegoś przechodnia i on mu powiedział, że to jesion.

W drugiej ręce trzymał butelkę. W środku musiała być woda, bo nie miała smaku. Rozmawiał z kimś. Pogoda była ładna, wiosna między kwitnieniem czeremchy i bzów. Coś mu to przypominało. Znow mówił i mówił.

- *Dobrze idę?*
- *Proszę cały czas iść prosto.*
- *Jesteś tu sam?*
- *Teraz tak.*
- *A gdzie pozostali?*
- *Wiesz to tak samo dobrze jak ja.*
- *Nie, nie!*
- *Równie dobrze jak ja!*
- *Kto ty jesteś? Kto ty jesteś?*
- *A ty kto? Kto ty jesteś?*
- *Kto ty jesteś? Kto ty jesteś?*
- *Kto ty jesteś? Kto ty jesteś?*
- *Kto ty jesteś? Kto ty jesteś?*

Obudził się bez odpowiedzi. Była to najdłuższa rozmowa, jaką przeprowadził we śnie. A może przesłuchanie? Na nocnym stoliku stała szklanka. Napił się. Bez smaku.

BYŁO JESZCZE CIEMNO, gdy Winter stanął na moście prowadzącym do Stora Amundö. Łód na dole już zniknął. Wkrótce woda znów popłynie swobodnie. Minęły cztery tygodnie, odkąd był tam pierwszy raz.

Sylwetki wysokich domów na brzegu odcinały się od nieba, czerń na czerni.

Dlaczego tutaj? – pomyślał. Dlaczego? Jakie znaczenie ma to, że to się stało tutaj? Co nam mówi sprawca? Jego czyn się dokonał, co nam mówi?

Ile było w tym przypadku? Był gotów zabijać, chciał tego. Czy był gotów zabić kogokolwiek? Po co się zjawił w tym miejscu, w połowie drogi donikąd?

Domu już nikt nie pilnował, ochroniarzy nie było. Jovan Mars nie wróci. Winter był o tym przekonany. Wciąż nie miał co do niego pewności, może nigdy nie będzie miał. Jeśli nie zbiorą nowych dowodów, z miesiąca na miesiąc będzie się czuł coraz bardziej bezradny. Może nawet z roku na rok. Z-roku-na-rok. Niemiała myśl.

Kiedy stanął na piętrze, na dworze świtało. Coś go tam ciągnęło, siedemnaście stopni w górę. Znów policzył. Tak samo liczył kamienie w Paseo w Marbelli. Stanął za zasłoną, jakby chciał, żeby poranek za oknem go nie zauważył. Myśliwy powinien być niewidzialny.

Wyspa w zatoce wyglądała stamtąd jak góra. Po torze wodnym płynął do portu kuter rybacki. Pomyślał o swojej działce. Czy zdecyduje się przed sześćdziesiątką? Jak długo Angela, Elsa i Lilly mogą czekać? O ile czekają. To tylko ja czekam. Pora wreszcie się ruszyć, zacząć kopać i budować, żeby zamieszkać nad morzem.

Kątem lewego oka dostrzegł, że ktoś idzie. Nie poruszył się,

zasłona zwisała martwo.

Przekuśtykał Robert Krol. Po dziesięciu metrach zawrócił i zatrzymał się przed domem. Nie widzi mnie, pomyślał Winter. To jego zwyczajowa poranna przechadzka. Marynarze to ludzie o silnych przyzwyczajeniach.

Krol wciąż stał ze wzrokiem wbitym w coś nieokreślonego. W okno Wintera, w okno dziecięcego pokoju, w drzwi wejściowe, w cokolwiek. Tkwił. Stał się częścią poranka, częścią drogi. Winter poruszył się pierwszy. Cofnął się, zszedł po schodach i wyszedł przed dom.

Krol wciąż stał.

– Czulem, że ktoś jest w środku – powiedział.

– Tak?

– Czasem czuje się takie rzeczy.

– Tak.

– Długo pan tu jest?

– Od pewnego czasu – odparł Winter.

– Jak wam idzie?

– Jeszcze za wcześnie, żeby coś powiedzieć.

Krol skinął głową. Rozumie.

– Za wcześnie dla nas wszystkich – powiedział.

– Zauważył pan coś szczególnego?

– Nie.

– Żadnych obcych?

– Nie widziałem.

– Nikt nie przejeżdżał?

– Tutaj się nie przejeżdża, tylko przyjeżdża albo wyjeżdża.

– Zna pan roznosiciela gazet? – spytał Winter.

– Którego?

– Jest ich więcej?

– Przecież wiecie – odparł Krol.

– Zna pan wszystkich?

– Nie znam żadnego.

– Ale widział ich pan?

– Aż tak rano raczej nie wstaję.

– Jeden z nich nie żyje – powiedział Winter.

– O Boże.

- Tak.
- Czy to się wiąże... z tym? Zginął gwałtowną śmiercią?
- Tak.
- Jest jakiś związek z tym tutaj?
- Za wcześniej, żeby to stwierdzić – odparł Winter.
- Wolę nic nie wiedzieć – powiedział Krol. – To pańska robota.
- Tak jest.
- Napije się pan kawy?
- Bardzo chętnie.

– Ludzie są jak porażeni – powiedział Krol. – To wciąż trwa. Siedzieli na werandzie. Żony Krola nie było, chyba gdzieś poszła.

- A co mówią?
- Nie rozmawiam z nimi.
- Dlaczego?
- A jaki to ma sens?
- Czasem ma.

Krol nie odpowiedział. Nie tknął swojej filiżanki. Z miejsca, w którym siedzieli, widać było morze.

– Może przebywał pan za dużo sam na morzu – zauważył Winter.

– Tego nigdy nie jest za dużo. I nigdy nie jest się samemu. Nie można powiedzieć, że bym był żeglarzem samotnikiem.

- Widział pan Sandrę w towarzystwie kogoś spoza rodziny?
- Kiedy by to miało być?
- Kiedykolwiek.
- Już o tym rozmawialiśmy. Pytał mnie pan o to.
- I nadal będę pytał.
- Nie wierzy mi pan?
- Wiara nie ma tu nic do rzeczy.
- Więc nie jest pan wierzący?
- Wierzę w Boga, ale w człowieka raczej nie.
- Ma pan rację – powiedział Krol.
- Panie Krol, zamordował pan tę rodzinę?



Krol spojrzal mu w oczy.

– Odpowiedź brzmi: nie. Nadal będzie mnie pan o to pytał?

– Chyba tak – odparł Winter.

– Aż się pan dowie?

– Tak.

– O co mnie pan przedtem pytał?

– Czy widział pan Sandrę w towarzystwie kogoś spoza rodziny.

– Może na placu zabaw. Przecież to naturalne.

– A w towarzystwie kogoś obcego?

– Nie orientuję się.

– Nic pana nie zastanowiło?

– Nie, dlaczego?

– Ja tylko pytam.

– Pomyślę, może mi się coś przypomni. Albo ktoś.

– Jakie sprawiali wrażenie jako para? Sandra i Jovan?

– Nieczęsto widywałem ich razem.

– Tak?

– Nigdy nie było go w domu.

Powiedział to z gniewną miną. A może zawsze miał mniej lub bardziej gniewną minę.

– Nie podobało się to panu.

– Mnie? Nic mi do tego.

– To nie to samo – odparł Winter.

– A teraz nie ma ich wszystkich – powiedział Krol.

– Mała została.

– Rzeczywiście, została. – Krol wstał. – Przepraszam na moment.

Nie było go dłuższą chwilę. Zadzwonił telefon Wintera.

– Bertil? Słucham cię.

– Odezwał się ten roznosiciel gazet, ten alkoholik.

– Bert. Czego chce?

– Spotkać się.

– Przywieź go.

– Gdzie jesteście?

– W Amundövik. Przywieź go do nas. Już jadę.

– Już tu jest.

Kiedy Krol wrócił, Winter już stał.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Kiedy pan był u tej rodziny ostatni raz?

– Jakiej rodziny? – Mówiąc to, Krol patrzył na morze.

– Przecież tej rodziny już nie ma.

– Kiedy był pan w ich domu ostatni raz?

– Nigdy tam nie byłem. Już mówiłem.

W drodze powrotnej Winter minął Liseberg<sup>20</sup>. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem jeździli tam Samochodem Dziadka. Lilly zdążyła już zapomnieć o Lisebergu, ale Elsa w ostatnie święta dopytywała się, kiedy znów tam pójdą. Kiedy zeszłego lata przyjechały na krótko do Göteborga, ominęła ją wyprawa do Liseberga.

W przedwiosennym świetle dnia kolejka góraska wyglądała na śmiertelnie niebezpieczną, zupełnie jak wyjęta z czarno-białych kronik kręconych w latach młodości parków rozrywki. W dzieciństwie wytrzymał się z ojcem w czymś w rodzaju rakiety. Puściły pasy bezpieczeństwa. Przysiągł sobie wtedy, że nigdy nie zostanie kosmonautą.

W wydziale już czekał na niego Bert Robertsson. Usiedli w gabinecie Ringmara. Później zarządzi pobranie od Robertssona odcisków palców i próbki DNA. W takiej sprawie jak ta warunkiem nie musi być postawienie zarzutów. DNA... to się może skończyć pobraniem setek próbek. To może być ktokolwiek, pomyślał.

– Zachorowałem na to samo co Robin – powiedział Robertsson. – I okazuje się, że na to można umrzeć.

Nie wyglądał, jakby żartował.

– Na co zachorowałaś?

– Na lęk. Boję się.

– Czego się boisz?

– Że gość, który to zrobił Robinowi, zrobi to samo mnie.

Winter i Ringmar spojrzeli po sobie.

– To nie jest niemożliwe, prawda? – powiedział Robertsson.

– Kto to jest? – spytał Winter.

---

20 Liseberg – wielki park rozrywki w Göteborgu.

- Co?
- Kto to zrobił Robinowi?
- Kurde, a skąd ja mam wiedzieć!
- Bert, czego się boisz?

Robertsson nagle ugryzł się w knykieć. Nie bardzo mocno, ale Winter pomyślał, że czegoś takiego dawno nie widział. W dzisiejszych czasach rozpacz wyraża się inaczej.

– Mam wrażenie, że ktoś... mnie ściga. To znaczy nie tyle ściga, ile śledzi. Szpieguje, nie wiem, jak to powiedzieć.

- Skąd to przekonanie?
- Ktoś... chodził za mną.
- Skąd wiesz?
- To się wie. Czuje.
- Widziałeś kogoś?
- Tak sądzę. Jakby cień. Nie więcej.
- Kiedy to było?
- Co takiego?
- Kiedy ostatnio widziałeś ten cień?
- Dziś rano. Wczesnie rano, jak roznosiłem gazety.
- Gdzie?
- Jak to gdzie? Przy Amundön.
- Wcześniej to się nie zdarzyło?
- Nie.
- Może to ktoś z mieszkańców, kto wczesnie wychodzi.

Nigdy ci się to nie zdarzyło?

- Nie żeby ktoś się za mną skradał.
- Takie miałeś wrażenie?
- Tak było. I... tam ktoś jest.
- W jakim sensie?
- Ktoś, kto mi źle życzy... nikomu dobrze nie życzy.
- I co chcesz, żebym na to poradził?
- Żebyście złapali tego skurwiela, to oczywiste.
- Dobrze, że przyszedłeś z tym do nas.
- Właściwie to chciałbym, żebyście mnie zamknęli.
- Wiele osób chciałoby mieć ochronę – odparł Winter.
- Nie macie miejsca?
- Niestety.

- Więc sam muszę sobie z tym poradzić.
- Tylko nie rób nic głupiego.
- Dla mnie już za późno na takie rady – powiedział Robertsson i wstał.

Winter czekał, co będzie dalej. Nie oznaczało to, że wszystko ujawni. Wiadomość o tym, że niejaki Robin Bengtsson został zamordowany, nie została oficjalnie ogłoszona, ale samej zbrodni nie dało się ukryć.

Winter wybierał się na konferencję prasową.

- Nazwij to tragedią rodzinną – powiedział Halders.
- Wiesz co, nie sądzę, żeby jego rodzina się ucieszyła.
- Przybrana rodzina.
- To też rodzina – zauważyła Aneta.

W sali zebrało się sporo reporterów. Wielu znał z widzenia.

– Czy to morderstwo wiąże się w jakiś sposób z morderstwami w okolicy Amundön? – spytała reporterka.

Pamiętał jej twarz, ale nie nazwisko.

– Ze względu na dobro śledztwa nie mogę odpowiedzieć na to pytanie – odparł.

– Więc odpowiedź brzmi „tak” – odezwał się jakiś męski głos.

Kilka osób się roześmiało.

- Nie sztuka kpić – powiedział Winter.
- Macie podejrzanego? – spytała reporterka.
- Podejrzanego o co?
- O morderstwo we Frölundzie.
- Nie.
- A o morderstwa w Amundövik?
- Ze względu na dobro śledztwa...
- Dysponujecie wystarczającymi środkami?

Padły kolejne pytania.

– Najpotworniejsze morderstwo w historii Göteborga. Powinno się użyć wszelkich możliwych sił i środków.

– Robimy, co się tylko da.

– Z tego, co wiemy, zatrzymaliście jedną osobę. Kiedy można

się spodziewać aresztowania?

– Robimy, co tylko się da – powtórzył Winter.

– W celu aresztowania?

– W celu wymierzenia sprawiedliwości – odparł Winter, wstając. – W celu zaprowadzenia pokoju na świecie, zbawienia nas ode złego i kochania bliźniego swego.

– Po prostu Erik Gandhi – zauważył Halders. – Nawet gładko się to wymawia. Zaglądałeś do sieci? Cytują cię.

– No i gładko się powiedziało – odparł Winter.

– Czas najwyższy na jakieś naprawdę duże posunięcie – stwierdził Halders.

Torsten Öberg zadzwonił do Wintera bliżej południa. Dzień wydawał się wyjątkowo długi.

– Może potrafimy przypisać to wydrukowane zdjęcie do konkretnej drukarki, tylko trzeba ją jeszcze znaleźć – powiedział.

– Mhm...

– Gdybyśmy mieli zdjęcie cyfrowe, Państwowe Laboratorium Kryminalistyczne mogłoby nam pomóc zidentyfikować aparat.

– Technika idzie naprzód, Torstenie.

– Ano idzie. Musi, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy coraz więcej przestępców chce w ten sposób dokumentować swoje zbrodnie.

– Ale nie w Amundövik.

– Mam nadzieję, że nie. Nie chciałbym tego oglądać. Musiałbym, ale wołałbym nie.

– Ja też nie.

– Na ile to było możliwe, obrobiliśmy zdjęcie w Photoshopie, ale nie jest zbyt ostre. Zobaczymy. Ljunggren siedzi nad nim z mikroskopem.

– W tle jest coś białego – powiedział Winter.

– Zauważyliśmy.

– I coś czarnego.

– Może szyld.

– To by był dar niebios.

Winter pojechał do hali Käringsberget. Na stoisku rybnym kupił pół kilo krewetek, aioli i koperek, potem bagietkę w piekarni Lasse-Maja i pojechał z tym do Lotty. Siostra ugotowała dwa jajka i nakryła do stołu.

– Taki lunch powinno się jadać częściej – powiedziała. – Już nie wyglądasz na zmęczonego – stwierdziła, gdy usiedli przy kuchennym stole.

– Nie wiem, co się na to odpowiada.

– Spójrz na to od dobrej strony.

– Miałem konferencję prasową.

– Coś się wyjaśni?

– To punkt zwrotny. Właściwie od kilku dni czuję, że osiągnęliśmy punkt zwrotny.

– Co się stało?

– Mam silne przeczucie, że coś się stanie.

– Coś dobrego?

– Nie wiem. Może to nie ma znaczenia.

Zabrali się do czyszczenia krewetek. Brakowało mu tego. Najpierw rytuału, potem smaku. Nie ma jak świeże krewetki w Göteborgu. Gdzie indziej skorupiaki mogą być prawie tak samo smaczne, ale to coś absolutnie wyjątkowego. Zlizał z palca ikrę. Tutejsza sól ma inny, intensywniejszy smak, jest bardziej słona.

– Widziałam go, jak szedł z wózkiem – powiedziała. Położyła kilka krewetek na kawałku bagietki, na to trochę sosu aioli i szczyptę posiekanego koperku.

– Był sam?

– Aż tak mu się nie przyglądałam. – Jej ręka z kanapką zatrzymała się w połowie drogi do ust. – Mam nadzieję, że nie oczekujesz tego ode mnie.

– Skąd!

– Domyśliliby się. On by się domyślił.

– Tak. Od razu zauważył wywiadowców, którzy go śledzili.

– Ja bym nie mogła tego zrobić. Chyba rozumiesz, Eriku?

– Ależ tak.

– Zarządziłeś śledzenie go?  
– Oczywiście.  
– Macie na to środki?  
– Tak, ale tylko na jakiś czas. W końcu to nie byle jaka zbrodnia.

– Nadal jest podejrzany?  
– Oficjalnie nie.  
– Rozumiem.  
– Oczywiście, że jest podejrzany. Jakże by nie?  
– Jeśli to on, to musi być całkiem szalony. Jak mówiłam, widziałam go z wózkiem.

– Ludzie są skomplikowani, Lotto.  
– Cholernie dyplomatyczna odpowiedź.  
– Witałaś się z nim?  
– Kilka razy kiwnęłam do niego głową, kiedy przejeżdżałam. Słuchaj, chyba nie chcesz powiedzieć, że mam się bać?

– Oczywiście, że nie.  
– Wzmocnione zaprzeczenie oznacza niebezpieczeństwo. A ty już kilka razy powtórzyłeś słowo oczywiście.

– Lepiej jedz, Lotto.

Zrobił sobie kanapkę, pokroił jajko, położył na bagietkę i oprószył pieprzem kajeńskim.

– Nie mogę przestać myśleć o tej makabrze – powiedziała Lotta. – Może dlatego, że to się stało... tak blisko. W sensie fizycznym.

Winter położył sobie na bagietce krewetki. Na to aioli, potem koperek. Dawało się zjeść również bez zimnego rieslinga. Żuł. Starał się nie myśleć o sprawie.

– Jadę znów do mamy – powiedziała. – To już postanowione. Głównie z powodu jej choroby.

Kiwnął głową, nie mógł mówić.

– A kiedy ty lecisz? – spytała.

Przełknął.

– Jak tylko to będzie możliwe.

– To znaczy kiedy?

– Jak tylko będę mógł.

JOVAN MARS WYSZEDŁ Z DOMU swojej siostry, gdy Winter już miał wsiadać do samochodu. Był sam. Zobaczył, że Mars do niego idzie, więc poczekał przy samochodzie.

- Widziałem, jak przyjechałeś – powiedział Mars.
- Szpiegujesz mnie?
- Tylko kiedy tutaj przyjeżdżasz.
- Masz do mnie jakąś sprawę?
- Chciałbym porozmawiać o Sandrze.

Gerda Hoffner krążyła po nowych osiedlach w Kullavik. Minęła nowe centrum handlowe. Widziała sporo młodych mam z wózkami i próbowała sobie wyobrazić siebie w tej roli. Bez powodzenia. Nie jestem młoda i nie jestem mamą. Na pierwsze za późno, ale na drugie nie. Chciałabym tego drugiego. Za dużo bym chciała.

Wypatrzyła tabliczkę z nazwą ulicy. Przejechała sto metrów i zatrzymała się przed schludnym bliźniakiem. Na maleńkiej werandzie stał wózek. Zaparkowała, przeszła kilka metrów, które dzieliły ją od drzwi, i zadzwoniła. Po drugim dzwonku otworzyła jej kobieta z małym dzieckiem na ręku. Gerda nie umiała określić, w jakim jest wieku. Przedstawiła się.

– Tylko położę Olgę – powiedziała Pia Meldén, koleżanka Sandry Mars.

Olga. W uszach Gerdy zabrzmiało to tak, jakby miała położyć spać staruszkę. Mody na imiona przychodzą i odchodzą. Gerda to pewnie też imię dla starej kobiety.

Czekała w przedpokoju. Był jasny i długi. Na drugim końcu przechodził w pokój z szerokim panoramicznym oknem. Widać było przez nie skałę, a za nią morze, całkiem niedaleko. Latem zapach morza jest silniejszy, kiedy się odejdzie kawałek w głąb lądu.



Pia Meldén wróciła. Wygląda na rówieśnicę Sandry, pomyślała Gerda. Jak ja. Wkrótce znajdziemy się po niewłaściwej stronie trzydziestki piątki. Nie wydaje się, żeby sobie tym zaprzętała głowę. Wygląda na pogodną, chociaż ma poważną minę. Ja też bym się nie śmiała.

– Usiądźmy w kuchni – zaproponowała Pia.

Kuchnia w stylu rustykalnym. Lepsze to niż biel i spoty. Zresztą spoty wychodzą z mody. Lampy też podlegają różnym modom.

– To potworna historia – powiedziała Pia.

– Rzeczywiście.

– Nie znałam jej zbyt dobrze.

– Gdzie się poznałyście?

– W poradni K, w szkole rodzenia. Domyślam się, że to dość typowe.

– I wtedy się zakolegowałyście?

– Tak.

– Kiedy to było?

– Siedem lat temu, to znaczy trochę więcej. Przy pierwszym dziecku.

Gerda skinęła głową.

Pia Meldén już nie wydawała się pogodna.

– Boże drogi, Anna – powiedziała i rozplakała się.

Gerda odczekała chwilę. W domu panowała cisza, na dworze też. Za cicho jak dla mnie, pomyślała. Brakowałoby mi tramwaju podjeżdżającego pod górę na Sannabacken. To nie jest miasto. Nie wiem, jak to nazwać. Coś między miastem a wsią.

– Kiedy się ostatnio widziałyście?

– Właśnie się zastanawiałam... kilka miesięcy temu.

– Ile?

– Ze trzy.

– Co robiłyście?

– Spotkałyśmy się na kawie w centrum.

– Gdzie?

– Ja... nie pamiętam. Czy to ważne?

– Co?

– Gdzie się spotkałyśmy?  
– Jeszcze nie wiem – odparła Gerda. – To się wie dopiero później. Miałyście jakieś stałe miejsce spotkań?  
– Właściwie nie.  
– A takie, do którego chodziłyście częściej niż do innych? Kiedy się spotkałyście w mieście?  
– Compassio na Hamngatan. Västra Hamngatan.  
– Compassio?  
– Tak, to dość nowy lokal. Byłyśmy tam ze cztery razy. Można to uznać za stałe miejsce spotkań?  
– Sądzę, że tak – odparła Gerda.  
Pia płakała bezgłośnie, nie naruszając ciszy. Gerdzie wydało się, że na dworze zaśmiało się dziecko, ale nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Jak miałyby się spotykać z innym mężczyzną? – spytał Jovan Mars.

Wciąż stali przy samochodzie. Winter wiedział, że Lotta widzi ich z okna. Siostra Marsa też.

– Przejedziemy się kawalek? – zaproponował Winter.

– Dokąd?

– Przed siebie. Możemy rozmawiać podczas jazdy.

Wsiedli do samochodu. Przejechali przez Hagen, w dół do Hästeviksgatan, minęli marinę na Tångudden, potem w górę do Nya Varvet. Winter miał częściowo opuszczoną szybę. Z portów Skandia i Skarvik dochodziły chrzęsty i zgrzyty rdzy o rdzę, żelaza o stal, jak fantomowe odgłosy z czasów, gdy żyła jeszcze stocznia Arendal.

– Nie spotykała się z innym facetem – powiedział Mars.

– Słyszę, co do mnie mówisz.

– Mówię, bo tak było. To prawda.

– Skąd wiesz?

– A skąd wy możecie wiedzieć?

– Wiesz skąd. Wolałbym tego nie mówić.

– Bo jesteś pruderyjny?

– Tak.

- A ja nie.
- To dobrze.

Winter zjechał z Långedragsvägen, przejechał przez torowisko, objechał rondo i wyjechał na trasę.

– Jeśli z kimś była, to chyba macie próbkę jego DNA, prawda?

- Tak.
- No to wystarczy porównać.
- Ale trzeba mieć z czym. I to jest problem.
- Pewnie mnóstwo ludzi jest w to zamieszanych.
- Porównujemy, z kim się da.

Winter wjechał na Oscarsleden, trasę prowadzącą do centrum. Niedawno jechał tędy w nocy, w porywach sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Mars patrzył na zrujnowany miejski krajobraz: budynki Stena-Line i niekończące się parkingi w północnej części Masthugget, za nimi nowe brzydkie i tandetne domy. *Instant chic*, pomyślał Winter.

- Dobrze wam się układało? Tobie i Sandrze?
- Kochałem ją i ona kochała mnie. Wciąż ją Kocham.
- Rozumiem.
- Nic nie rozumiesz.

Winter wjechał do tunelu.

- Kilka dni temu ścigałem tu pewien samochód
- powiedział. – W tym tunelu.
- To raczej zadanie radiowozów, nie?
- Nie tym razem.
- Kogo ścigałeś?
- Kogoś, kto mnie śledził.
- Dopadłeś go?
- Nie.
- Szkoda.
- Czy to byłeś ty?
- Nie, nie jeżdżę samochodem po nocy.
- Kto powiedział, że to było w nocy?
- Ty, przed chwilą.
- Nic podobnego.

– Okej, założyłem, że to było w nocy. Pościgi samochodowe zwykle odbywają się w nocy. Tak jest najbezpieczniej. Zresztą nie mam samochodu.

– Masz samochód Sandry.

– Ale nie jest mój i nie jeżdżę nim. – Odwrócił się do Wintera. – Słuchaj, świnió, jeśli myślisz, że cię śledzę po nocach, to zmierzasz w złym kierunku.

– Przestań nazywać mnie świnią.

– Nie mam nic do stracenia.

– O czym rozmawialiście podczas tych spotkań? – spytała Gerda.

Pia przez chwilę zwlekała.

– Nie pamiętam. Pewnie o dzieciach. Takie... zwykłe tematy.

– O swoich małżeństwach też?

– Tak. Oczywiście.

– Czy Sandra była szczęśliwa w małżeństwie?

– Tak...

– Zabrzmiało to tak, jakby pani miała pewne wątpliwości.

– Skarżyła się na samotność.

– Aha.

– Jej męża prawie nigdy nie było w domu.

– Jovana.

– Tak, Jovana.

– Z nim też się pani spotykała?

– W jakim sensie?

– Znała go pani?

– Tak... oczywiście, ze szkoły rodzenia, ale innych kontaktów nie mieliśmy, to znaczy nie spotykaliśmy się całymi rodzinami.

– Zapraszaliście się do domów?

– Nie.

– Dlaczego?

– Sama nie wiem.

Gerda widziała, jak wiatr porusza gałęziami drzew pod skałą. Nie były zbyt wysokie, chyba zostały posadzone w tym samym czasie, kiedy wyrosły domy.

- Czy Sandra wspomniała kiedykolwiek, że spotyka się z innym mężczyzną?
- Z innym mężczyzną?
- Tak.
- Że niby miała romans?
- Tak.
- A miała?
- To ja pytam panią – powiedziała Gerda.
- Skąd miałabym wiedzieć?
- Mogła pani powiedzieć.
- Nigdy nic takiego nie powiedziała. Nie wierzę, żeby to była prawda. Dlaczego tak sądzicie?
- Badamy wszelkie możliwości.
- To fałszywy trop – stwierdziła Pia.
- Często nam się zdarza iść fałszywym tropem. Dlatego zadajemy tyle pytań.
- Boże drogi – powiedziała Pia.
- Czy Sandra miała w Göteborgu jeszcze jakieś inne ulubione miejsce? – spytała Gerda.
- Ma pani na myśli miejsce, w którym się spotykaliśmy?
- Nie, w ogóle.
- Przystań na Tångudden – odparła Pia. – W stronę Långedrag.
- Tak?
- Kiedy była mała, jej tata trzymał tam łódź. Kiedyś mi powiedziała, że w dzieciństwie często tam bywała. Mówiła, że czasem tam jeździ.
- Była tam pani z nią?
- Nie.
- Sama tam jeździła?
- Przypuszczam, że tak.

Winter wysadził Marsa przed domem na Fullriggaregatan. Przed drzwiami stał dziecięcy wózek.

- Myślę, że jej mnie brakowało.
- Dobrze – odparł Winter.

– Co w tym dobrego?

Angela zadzwoniła, kiedy Winter jechał przez Kungssten. Był dokładnie w tym samym miejscu co poprzednim razem.

– Jest niedobrze – powiedziała Angela.

– Co się stało?

– Ma kłopoty z oddychaniem... nastąpiło nagle pogorszenie. Wzięli ją do szpitala, ale to nie było dobre rozwiązanie, bo nic jej nie robili, więc po kilku godzinach ją zabrałam.

– Chcesz przez to powiedzieć, że umierającemu nic nie robią?

– Teraz jest w hospicjum w Puerto. Stamtąd dzwonię.

– To tam jest hospicjum? – zdziwił się. Przypomniała mu się marina w Puerto Banús: jachty i żagłówki, domy towarowe, restauracje, bary, turyści, pieniądze, wszystko bardzo odległe od czegoś takiego jak opieka nad człowiekiem w końcówce życia.

– Znam właściciela – powiedziała. – To dobre miejsce.

– Na pewno, ale ona powinna być w szpitalu.

– Nie tym razem, Eriku.

– Nie tym razem? Więc innego razu już nie będzie?

– Chcesz na mnie wymusić odpowiedź?

– Nie, nie, przepraszam. Ile jej zostało?

– Nie potrafię odpowiedzieć. Wydaje się, że teraz to pójdzie bardzo szybko.

Cholera, jaki dziś dzień? Środa. Przecież nie może czekać do soboty na lot Norwegian, wykluczone. Kurde, która to godzina? Dzień wydawał się nie mieć końca, najdłuższy dzień w historii świata.

– Może umrzeć jeszcze dziś? – spytał.

– Nie potrafię odpowiedzieć.

– To już wystarczy za odpowiedź. Jest przytomna?

– Nie.

– Od jak dawna?

– Od chwili kiedy tu przyjechałyśmy. Od godziny. Powinam zadzwonić do ciebie wcześniej. Wszystko... strasznie szybko

poszło. Miałam... Dostałam...

– Angelo, nie zrobiłaś nic złego. Przecież to ja jestem tutaj, prawda? Spróbuję się dostać na samolot, jeśli to będzie możliwe, jeszcze dziś wieczorem, nawet z przesiadkami. Zadzwoń, jak już będę coś wiedział.

Rozłączył się i wtedy zauważył, że zatrzymał się na środku jezdni. Dlatego na niego trąbili, kiedy rozmawiał. Słyszał to trąbienie, jakby dochodziło z oddali, bo na tej jednej rozmowie telefonicznej zawisło całe jego życie, życie ich wszystkich, a w uszach miał szum, jak wiatru przed deszczem.

Bertil wszystko załatwił. Bertil to przyjaciel.

– Ja też mam przyjaciół – powiedział, gdy Winter zajechał do niego w drodze do domu i na lotnisko. – Amsterdam. Tam masz godzinę na przesiadkę, potem lot do Malagi. Na miejscu będziesz około dwudziestej trzeciej, *inshallah*.

– Trzeba pobrać od Krola próbkę DNA. Jak już, to już – powiedział Winter i z odtwarzacza Ringmara wyjął płytkę kompaktową, żeby ją włożyć do teczki.

– Starego, pocziwego marynarza.

– Sam nalegał.

– Okej.

– Ale i tak bym to zaproponował. Niedługo będziemy mieli niezły zapas próbek na przyszłość.

– W dzisiejszych czasach wystarczy jeden rejestr. A nasz ekspert od owadów uważa, że zostali zamordowani co najmniej pięć dni przed odnalezieniem. Ewentualnie cztery i pół doby wcześniej.

– Dziwne, że jedno z nich przeżyło.

– I to w najwyższym stopniu.

– Podczas wojny to się zdarzało, ale w tak zwanym cywilnym świecie fakt, że masowy morderca krótko potem wraca na miejsce zbrodni, jest czymś niespotykanym.

Zadzwoił telefon na biurku Ringmara.

– Jeśli to był morderca – ciągnął Winter. – Żeby skomplikować rzecz jeszcze bardziej, założmy, że ktoś inny

wszedł napić dziecko i wyszedł.

– Aha, aha – powiedział Ringmar, ale nie do Wintera, tylko do słuchawki. – O cholera, natychmiast przekaż. Macie monitoring na zewnątrz? Aha, nie macie.

Rzucił słuchawkę i spojrzał na Wintera.

– Dostaliśmy list. A właściwie ty dostałeś.



ZE ZDJĘCIA UŚMIECHAŁA SIĘ do nich Sandra Mars. To samo miejsce, to samo zdjęcie, idealna odbitka.

– Komunikat z drugiej strony – powiedział Ringmar.

– Nadawca jest po tej stronie – odparł Winter.

– Ale nie po naszej.

– Rzeczywiście, nie chodzi o to, że chce być dobry.

– A o co?

– Bawi się – powiedział Winter. Spojrzał na zdjęcie. Wyjął je z koperty. W rękawiczkach. Koperta była z tych najzwyklejszych. Torsten na pewno nic nie znajdzie ani na niej, ani na zdjęciu, ale i tak dostanie to gównu do zbadania, jak już się napatrzą.

– Na pewno przysłał je autor – wyraził przypuszczenie Ringmar.

– Skąd wiedział, że mamy pierwszą odbitkę? – zastanawiał się Winter.

– A wiedział?

– W tym miejscu robimy stop – odparł Winter. – Wiedział.

– Cały czas mówimy „on”.

– I będziemy dalej tak mówić.

– Pierwsza odbitka była w szufladzie w nocnym stoliku Sandry.

– To, gdzie ją trzymała, chyba nie jest takie ważne. Ale on wiedział, że ją miała. Dostała ją.

– Schowała.

– Może.

– W takim razie Jovan nie wiedział, że ją ma.

– Może i nie.

– A gdyby nam coś umknęło, zdjęcie ma nam przypomnieć – powiedział Ringmar.

– O czym?

Ringmar znów spojrział na zdjęcie. To samo drzewo. Innych

nie było widać. W tle było coś białego i czarnego. Tło było niebieskie jak niebo.

– Że Sandra miała swoje życie – powiedział, podnosząc wzrok.

– Dlaczego trzeba nam o tym przypominać?

– Sam powiedziałaś, że facet się bawi.

– Jest jeszcze coś.

– Co takiego?

– Wydaje mi się, że poczucie winy.

Winter spojrzął na zdjęcie jeszcze raz. Nadal nie wiedział, gdzie zostało zrobione. Coś mu przypominało, ale nie potrafił odtworzyć tego miejsca w pamięci. Może to tylko myślenie życzeniowe, najbardziej niebezpieczne.

– Coraz częściej przychodzi mi do głowy, że to nie był tylko jeden on.

– Więcej zamieszanych osób, większe poczucie winy.

– Większa nienawiść – powiedział Winter.

Na tym cholernym zdjęciu było coś nieuchwytnego, aż krzychało. To był ten sam krzyk, który słyszał w niektórych pokojach w domu na końcu świata.

Ktoś zapukał w szybę w drzwiach. Podnieśli wzrok.

– Pomyślałam, że pewnie tu jesteście – powiedziała Gerda.

– Jeszcze tylko chwilę – odparł Ringmar.

– Rozmawiałam z przyjaciółką Sandry – powiedziała Gerda.

– Jedną z dwóch – uzupełnił Ringmar.

– Wspomniała o pewnym miejscu w Göteborgu, do którego Sandra lubiła chodzić. Od dzieciństwa.

Winter znów spojrzął na zdjęcie: ulubione miejsce Sandry.

– Co to za miejsce? – spytał, nie odrywając wzroku od zdjęcia. Już wiedział, że kiedy to powie, okaże się, że wiedział, gdzie to jest.

– Przysłań na Tångudden – powiedziała.

I rzeczywiście wiedział. Spojrzął w okno. Już ciemno. Nieważne, musi tam pojechać. Spojrzął na zegarek i zdał sobie sprawę, że nie zdąży do domu, ale może zdąży na Landvetter. W Hiszpanii też jest pasta do zębów i brandy na poczucie winy i żalobę.

– Zadzwońcie do jej ojca i przywieźcie go na miejsce  
– powiedział. – Jadę tam. Bertilu, jedziesz ze mną?

Tajska knajpka na Tångudden była już zamknięta, choć było wcześniej. Dziś już nie będzie *tom yam gong*. Winter obserwował kobiety sprzątające w środku po całodziennym harówce. Zamazane twarze, czarne włosy. Przez brudnawe okna było widać mniej więcej tyle samo co przez plastikowe zasłony.

Latarnie w portach po drugiej stronie rzucały złowróżbne światło na rzekę. Od czarnego nieba odcinała się pochodnia gazu, żelazo uderzało o żelazo, hałasy dochodzące z elektrocieplowni – postękiwania i pojękiwania – doprowadzały do szaleństwa lokatorów nowych domów na Tånguddsbacken.

Winter i Ringmar krążyli między wyciągniętymi na brzeg łodziami. Było akurat tyle światła, żeby się nie zabić. Księżyc świecił na bezchmurnym niebie i nawet nie było tak zimno.

Nie rosło tam wiele drzew.

Jedno stało w odległości może dziesięciu metrów od rzędu szop na łodzie.

Winter stanął tam i spojrzął na szopy. Było zbyt ciemno, żeby mógł dojrzeć kolory. Wypląną z nastaniem jutra. Perspektywa może się zgadzać. Brakowało światła dnia.

Z tyłu dobiegły jakieś głosy. Gerda przyszła z ojcem Sandry, z Egilem Tornerem. Winter go nie znał. Rozmawiał z nim Bertil, kiedy on był za pierwszym razem w Hiszpanii. Torner był wtedy w szoku. Mówił niewiele. Może nie docierało do niego, co się stało.

Wyglądał, jakby nie zdążył się ubrać tak, żeby móc wyjść na dwór. Koszulę miał rozpiętą pod szyją, ale nie to było ważne. Ważna była cała reszta. Chyba był w wieku Ringmara. To znaczy, że musiał być młodym ojcem, pomyślał Winter. Nie to co ja. Moje dzieci nie zaczęły nawet chodzić do szkoły, a mam pięćdziesiątkę. Torner ma dorosłą córkę i wnuki, to znaczy miał, była tylko Sandra i jej dzieci. Jasne spojrzenie. Widać, że

już ich opłakał. Łysy, musi mu być zimno w głowę. Ja mam włosy, a wkładam czapkę, kiedy zrobi się choć trochę zimno. On jest mężczyzną bardziej niż ja.

– O co chodzi? – spytał Torner.

Winter się przedstawił.

– Koleżanka panu nie powiedziała?

– Tylko tyle, że Sandra mogła tu bywać – odparł Torner.

– Dlaczego miałyby nie bywać? – Wskazał palcem na rząd szop. – Jestem właścicielem jednej.

Spojrzał na Ringmara.

– Łódki już nie mam, ale szopę zatrzymałem.

– Możemy tam wejść? – spytał Winter.

Torner kiwnął głową.

– Wziąłem klucze – powiedział. – Pomyślałem, że... – urwał.

Stanęli przed drzwiami. Winter się odwrócił i spojrzał na drzewo. Stało w odległości mniej więcej piętnastu metrów. Ten sam widok. Szopa była czerwono-biała, za nią rzeka. W ciągu dnia musiała być błękitna.

Torner otworzył, zapalił światło i rozejrzał się. Winter go obserwował.

– Dlaczego pan na mnie patrzy?

– Wszystko w porządku? – spytał Winter.

Torner znów się rozejrzał.

– Chyba tak.

Zrobił krok przez próg.

– Nie możemy wchodzić – powiedział Winter.

Torner spojrzał. Nogę miał uniesioną, jakby ćwiczył rozciąganie.

– Ale...

– Nie możemy zatrzeć ewentualnych śladów – wyjaśnił.

– Rozumie pan?

– Ale... dlaczego... tutaj?

Cofnął nogę i znów się rozejrzał. Jasność w jego spojrzeniu zmąciły strach i zagubienie.

– Dlaczego? – spytał. – Co się tutaj stało?

Winter pokazał mu zdjęcie.

– Dobry Boże – powiedział Torner.

– Widział je pan?

– Nie, nie.

– Jak pan myśli, kiedy zostało zrobione?

Torner nie odpowiedział. Podniósł wzrok.

– Gdzie mogło zostać zrobione? – spytał Winter.

Torner nadal nie odpowiadał. Winter powtórzył.

– Tam – odparł, wskazując głową samotne drzewo.

– Jest pan pewien?

Torner znów nie odpowiadał. Winter powtórzył.

– Jestem pewien. Co to jest? – spojrzał na Wintera. – Czyje to jest?

– Co pan ma na myśli?

– Kto zrobił to zdjęcie?

– Nie wiemy.

– Skąd się wzięło?

– Było u pańskiej córki.

– W takim razie musiał je zrobić Jovan.

– On mówi, że nie.

– Ktoś z przyjaciół?

– Nie wiemy. Czy Jovan znał to miejsce? Wiedział o tej szopie?

– No oczywiście. Nie mówił?

– Nie. Zresztą nie pytaliśmy.

– Czyli przyjeżdżała – powiedział Torner, patrząc znów na zdjęcie. – Może nawet często tu bywała. Nie, nieczęsto. Co innego kiedyś. – Mówił jakby do siebie. – Kiedyś było fajniej. Kiedy była mała.

– Co było fajniejsze? – spytał Winter.

– Wszystko – odparł Torner. – Po co pan pyta?

Winter nie odpowiedział.

– Czy pańska córka miała klucze do szopy? – spytał Ringmar.

– Tak. Cały czas.

– Wie pan, kiedy była tu ostatnim razem?

– Nie.

– Rozmawialiście o tym?

– Wydawało mi się, że nie bywała tu od wielu lat. Myślałem,

że nie przyjeżdża. Nie pytałem.

– Dlaczego pan nie pytał?

Torner nie odpowiedział.

– Miała powód, żeby nie przyjeżdżać? – dążył Winter.

Torner wciąż milczał.

– Czy coś się tutaj stało? – spytał Winter.

– A co się miało stać?

– Czy Sandrze coś się tutaj stało? W dzieciństwie.

– Dlaczego miałyby jej się coś stać?

– Ja tylko pytam – powiedział Winter.

– Nie rozumiem pytania – odparł Torner. – To było szczęśliwe miejsce. – Spojrzał na Wintera. – Przecież wróciła tutaj, prawda?

Gerda odwiozła Tornera do domu. W restauracji wciąż sprzątały trzy kobiety. Zamknęły drzwi na klucz i nie chciały otworzyć, dopóki Winter i Ringmar nie pokazali legitymacji. Ringmar na wszelki wypadek nosił przy sobie również odznakę policyjną. Pokazał ją.

Jedna z nich im otworzyła. Wyglądały na Tajki, chociaż Winter nie orientował się zbyt dobrze, jak wyglądają mieszkańcy poszczególnych krajów południowo-wschodniej Azji. W każdym razie gotowały coś tajskiego, nie żadne przysmaki birmańskie. W niedużej budce pachniało trawą cytrynową, kokosem, pastą chilli i olejem. Ten zapach jest czerwony, pomyślał. Przypomniawszy sobie, jak zeszłej jesieni robił curry z kaczki. Sam zrobił pastę. Roztarł składniki w moździerzu. Wszystkie były ważne. Nawet najdrobniejsze ilości. I wszystkie znalazł w sklepie w Maladze.

Przedstawił się. Kobiety również, wszystkie podały mu rękę. Wymienili kilka słów po szwedzku. Winter pokazał im wszystkim zdjęcie.

– Czy ona tu była? – spytał.

– Kto to jest? – spytała kobieta, która ich wpuściła. Winter nie zapamiętał jej imienia, ale Ringmar zapisał wszystkie trzy. Doskonale mówiła po szwedzku.

– Widziała ją pani kiedyś? Rozpoznaje ją pani?

– Nie wiem. – Spojrzała na pozostałe dwie. – Czy ona tu była?

Znów spojrzały na zdjęcie.

– Od jak dawna istnieje ta restauracja? Od kiedy ją prowadzicie?

– Od wielu lat.

– Przepraszam, nie dosłyszałem pani imienia – powiedział Winter.

– Peggy – odparła kobieta z uśmiechem.

– Okej, Peggy. Może dokładniej?

– Mamy ją od sześciu lat. Przychodzi do nas wielu stałych klientów.

– Nie dziwię się. Czy ona do nich należała?

Peggy znów spojrzała na zdjęcie.

– Nie, nie była stałą klientką.

Jedna z pozostałych kobiet powiedziała do niej kilka słów w języku, którego Winter nie rozumiał. Pewnie po tajsku. Brzmiało to jednocześnie miękko i ostro. Nigdy nie był w Tajlandii. Niedługo będzie pod tym względem wyjątkiem wśród Szwedów. Peggy podała zdjęcie koleżance. Koleżanka spojrzała, podniosła wzrok i znów coś powiedziała.

– Ona mówi, że ją rozpoznaje – powiedziała Peggy. – Ale nie umie tego powiedzieć po szwedzku. Jest tu od niedawna. To moja młodsza siostra. Pół roku temu przyjechała z Chiang-M...

– Rozpoznaje ją? – Winter jej przerwał. Nie chciał zgłębiać kroniki rodzinnej. – Widziała ją? – Odwrócił się do jej siostry. – Widziałaś ją?

Kobieta się wzdrygnęła. Widocznie zrobił groźną minę. Spróbował się do niej uśmiechnąć.

– Pamiętasz ją?

Spojrzała na zdjęcie jeszcze raz, potem na niego i znów na zdjęcie. Potem powiedziała coś do Peggy.

– Pamięta jej włosy – powiedziała Peggy. – I sukienkę.

– Sukienkę?

– Pamięta sukienkę – powtórzyła Peggy, wskazując głową na zdjęcie w ręku siostry. – Ona ma na sobie sukienkę – dodała, jakby chciała oświecić Wintera w kwestii stroju Sandry na

zdjęciu.

– Tę sukienkę? – spytał Winter, patrząc na Ringmara, a potem na Peggy. – To ta sama sukienka.

– Nie rozumiem – powiedziała Peggy.

– Nie ma czego rozumieć – odparł Winter. – Ale jej samej nie pamiętasz? Ani... – Kiwnął głową, wskazując na trzecią kobietę.

– Ja jej nie pamiętam – powiedziała. – Lan obsługiwała wtedy klientów, uczyła się. My byłyśmy w kuchni, gotowałyśmy. Lan ją pamięta.

Winter musiał przyznać, że przez kuchenne okienko nie było zbyt wiele widać. Sama kuchnia też nie była zbyt duża.

Winter spojrzał na Lan.

– Była tu wiele razy?

Lan potrząsnęła głową i coś powiedziała.

– Tylko raz – przetłumaczyła Peggy.

– A pamiętasz kiedy? – Winter wciąż patrzył na Lan. Już nie sprawiała wrażenia, że się boi.

– Co się z nią stało? – spytała Peggy.

– Zaraz powiem – odparł Winter. – Ale najpierw pytanie do Lan: kiedy widziała tę kobietę?

Peggy przetłumaczyła, Lan odpowiedziała po tajsku.

– Nie pamięta, ale wie, że była wtedy w Szwecji od niedawna. Może da się to policzyć?

– Da się – powiedział Winter. – Mam jeszcze jedno pytanie. Czy ta kobieta była sama?

– Nie sama – odpowiedziała Lan po szwedzku.

– Nie była tutaj sama?

– Był z nią ktoś – odparła Lan.

– Ktoś?

Lan powiedziała coś do Peggy.

– To był mężczyzna – przetłumaczyła Peggy.

– Widziałas go wcześniej?

– Nie.

– Siedzieli tu razem?

– Tak.

– Przyszli też razem?



- Tak.
- Słyszałaś, co mówili?
- Nie.
- Poznałabyś go, gdybyś go znów zobaczyła?
- Nie wiem.
- Trudno byłoby go rozpoznać?

Lan znów powiedziała coś po tajsku. Peggy dopytała, Lan odpowiedziała.

– Miał brodę – powiedziała Peggy. – Lan mówi, że przecież mógł ją zgolić.

Przekłeta broda, pomyślał Winter.

– Jak był ubrany? – spytał.

Peggy przetłumaczyła pytanie, Lan coś powiedziała, kręcąc głową.

– Nie pamięta – powiedziała Peggy, patrząc na Wintera.

– Ale sukienkę kobiety zapamiętała.

– To łatwiej.

– Dlaczego łatwiej?

– Zrozumiałbyś, gdybyś był kobietą.

– Może sobie przypomni, jak się zastanowi.

– Może. Kim jest ta kobieta? Dlaczego jej szukacie?

– Nie szukamy jej. Została zamordowana.

– Ojej! – Dłoń Peggy powędrowała do ust.

Widać było, że tamte się domyśliły. Peggy powiedziała do nich kilka słów. Zbladły. Winter widział to nawet w żółtym, przesyconym tłuszczem powietrzu.

– Ojej!

– Chcemy złapać człowieka, który to zrobił – dodał Winter.

– Czy to... on? On tu był?

– Rozumiesz teraz? Byłoby dobrze, gdyby Lan sobie przypomniała. Gdybyście wszystkie sobie przypomniały.

– Eriku, pora jechać – powiedział Ringmar. – Zajmę się tym. Chodź, zawiozę cię na Landvetter.

Na autostradzie nie było ruchu. Winter przypomniał sobie uśmiech Sandry na zdjęciu. Szeroki, piękny, szczerzy.

– Bertilu, dlaczego ona się tak uśmiechała?

– Mnie też nie daje to spokoju.

W AMSTERDAMIE SIEDZIAŁ NAD NOTATKAMI. Popijał piwo. Mijali go ludzie idący do samolotów, które miały ich rozwieźć w różne strony świata. Wpisywał nazwiska i życiorysy: Jovan Mars. Christian Runstig. Robert Krol. Mattias Hägg. Bert Robertsson. Człowiekiem, który pojawiał się najczęściej, był Robert Krol. Nic dziwnego, w końcu tam mieszkał, chodził po okolicy. To było oczywiste i naturalne, a jednocześnie warte zapamiętania. Miłe kobiety z tajskiej knajpki może jeszcze przed południem obejrzą ich zdjęcia. Wtedy już będzie wiadomo, chociaż my będziemy wiedzieć *nada*. Wypił łyk piwa, to tylko jedna szklanka. *Nienty y niente, nada y nada*<sup>21</sup>, przemawia przeze mnie pesymizm, sprawa się odgrzewa, robi się coraz cieplej, goręcej, on czeka na parkingu na Frölunda targ, czeka wszędzie. Tak, dostałem zdjęcie. To jeden z twoich błędów, w tej sprawie nie ma miejsca na emocje, w tej branży człowiek pozwalający sobie na sentymenty jest z góry skazany na porażkę. Poczul napięcie w mięśniach karku. Podniósł głowę znad ekranu laptopa i zobaczył, że obserwuje go para w średnim wieku. Patrzyli tak, jak się patrzy na człowieka, z którym nie do końca wszystko jest w porządku. Kiwnął z uśmiechem głową, ale to chyba jeszcze pogorszyło sprawę, więc znów spojrzął na ekran, na nazwiska wykopane spod ziemi.

\* \* \*

Światła Malagi rozświetlały ciemne wybrzeże aż do Almerii na wschodzie i Marbelli na zachodzie. Ginęły dopiero na morzu i w górach.

Winter siedział przy oknie i patrzył w dół. Myślał o niczym, taka krótka przerwa w życiu. Angela zadzwoniła, kiedy się przesiadał w Amsterdamie, ale teraz wszystko odpłynęło. Siv

<sup>21</sup> Hiszp. nic a nic.

też odpływała, może już do Bengta. Siv z papierosem i drinkiem, z tym swoim śmiechem jak rechot i radością życia. Palacze mają większy apetyt na życie, bo wiedzą, że umrą, podczas gdy ci porządni wierzą w życie wieczne. Stałem się jednym z nich. Wypalę w nocy cygaretkę, to tylko trochę niebezpieczne.

Angela czekała przy bramce, przy wyjściu z terminalu.

– Uspokoila się.

– Jest przytomna?

– Nie.

– Obudzi się?

– Nie wydaje mi się.

– Nie powiedziałem jej jednej rzeczy.

– Eriku, powiedziałeś jej bardzo dużo dobrych rzeczy.

– Niedobrych też.

– Jesteś jej dzieckiem, to część układu.

– Wiedziała o tym?

– Wszyscy rodzice o tym wiedzą.

– Cha, cha.

– Siv wiedziała.

Hospicjum znajdowało się przy spokojnej uliczce między domem towarowym El Corte Inglés a portem. Wsiadając z samochodu, Winter usłyszał muzykę. Dobiegała z jakiegoś okna. Głos komentatora z telewizora, rozmowa, śmiech, szczekanie psa, warkot motocykla, świergot ptaka, czyjeś wołanie, kłótnia, znów śmiech, wszystkie banały składające się na prawdziwe życie, które tej nocy kończyło się dla kobiety, która go urodziła.

Jej pokój wypełniało łagodne, piękne światło. Mieszało się z odbłaskiem wpadającym z miłej uliczki za oknem.

Pogrążona w miłosiernym śnie, niepodłączona do tlenu.

Faza życia kończyła się powoli, litościwie.

– Siv – odezwał się, dotykając jej policzka. Jakby dotknął ptaszka. – Mamo, znów jestem.

Spojrzał na Angelę.

- Jest jej dobrze – powiedział.
- No pewnie.
- Śpi.
- Odpoczywa – odparła Angela.
- Myślę, że prześpi całą noc.
- Ja też tak myślę.

Angela miała sińce pod oczami. Łagodne światło nie mogło tego ukryć. Wyglądała na wychudzoną, jakby choroba Siv przesunęła się cieniem również po niej, jak przypomnienie. Uzmysłowił sobie, że bez Angeli jest nikim, bez miłości – jej miłości – byłby tylko świnia ryjącą w ziemi.

- Angelo, jedź do domu, odpocznij. Ja zostanę.
- Ja też zostanę.
- Nie, jedź do domu. Przyjedź rano z dziewczynkami. Ja się tutaj prześpię. Przecież jest kanapa. – Ruchem głowy wskazał na rozkładaną kanapę stojącą przy drzwiach. Pokój był duży. Przypominał mu hostel na Starym Mieście, w którym nocował, gdy umierał ojciec. Prosty i nobliwy. – Są nawet prześcieradła. Przywiozłaś mi szczoteczkę do zębów?

- I ubranie na zmianę – powiedziała z uśmiechem. – Jest w samochodzie. A w hallu jest prysznic.

- To dobrze.

- Zostanę jeszcze chwilę – powiedziała.

Winter spojrzał na matkę.

Otworzyła oczy.

- Wydawało mi się, że słyszę jakieś głosy – powiedziała.

- To my.

- Więc jesteś, Eriku.

- No pewnie.

- To już sobota?

- Widzę, że kontrolujesz sytuację. Nie, dzisiaj nie jest sobota, ale też da się przylecieć.

- Pewnie z kilkoma przesiadkami.

- Tylko z jedną.

Poruszyła się, jakby chciała usiąść. Pomógł jej.

- Pić mi się chce – powiedziała.

- To dobrze. Tu jest woda. – Angela podała jej szklanekę.

- Dziękuję. – Spojrzała na syna. – Dla mnie już tylko woda.
- Ożywi cię – odparł z uśmiechem.
- Nigdy bym nie pomyślała, że woda mnie ożywi – zauważyła. Napila się i odstawiła szklanke. – Myślałam, że już się nie obudzę.
- A ja wierzyłem, że tak – powiedział.
- Jestem zmęczona.
- Zostanę z tobą. Próbuję przekonać Angelę, żeby pojechała do domu trochę odpocząć.
- Należy jej się. Miała ze mną tyle kłopotów.
- Ależ skąd, Siv – odezwała się Angela.
- Oj, miałaś, ale może mogłabyś zostać jeszcze chwilę.
- Spojrzała na Wintera. – Eriku, mógłbyś coś dla mnie zrobić?
- No jasne.
- Głupia sprawa... widocznie obrączkę zdjęłam w domu zaraz przed tym, jak... zgąsłam. Nie mam jej. Nie chcę tu leżeć bez obrączki od Bengta. Mógłbyś po nią pojechać?
- Oczywiście. Gdzie jest?
- Musi leżeć na nocnym stoliku.
- Pojadę po nią – odparł, wstając.
- Angelo, dasz radę zostać jeszcze trochę? – Siv spojrzała na synową. – Nie chciałabym być sama.
- Daj spokój, Siv. Oczywiście, że zostanę. Tak czy tak, miałam zamiar zostać.

Tak czy tak, pomyślał już w samochodzie, jadąc pod górkę, do Nueva Andalucia. Tak czy tak. Na fasadzie domu mrugał cyfrowy zegar. Odmierzał godzinę. Kwadrans po pierwszej.

Zabrzęczała komórka. Spojrzył na wyświetlacz.

– Tak, Bertilu, słucham cię.

– Doleciałeś?

– No pewnie, a co myślałeś?

– Co z Siv?

– Powstała z martwych.

– Żartujesz? Eriku, nie żartuj teraz.

– To wcale nie żart. Wróciła do przytomności. Myśleliśmy, że

już jej nie odzyska. Obudziła się, kiedy przyjechałem.

– Wiedziała, że jesteś.

– Mam nadzieję.

– Brzmisz tak, jakbyś jechał samochodem.

– Jadę po kilka rzeczy dla mamy. A ty co, nie możesz spać?

– Nie wiem, jeszcze nie spróbowałem.

– To spróbuj.

– Tak jest, szefie. Od kilku godzin wciąż czytam i czytam. Jak te Tajki jutro go zidentyfikują albo i nie, cholera wie, co będzie... myślę o Runstigu.

– Jeśli dostanie zielone światło, to go wypuszczamy.

– Rozmawiałeś z Moliną?

– Przedwczoraj. Można by mu postawić zarzuty o jakieś gówno. Niezależnie od tego, czy jest winien, czy nie, bardziej nam się przyda na wolności.

– Też tak uważam.

– Nie opuści miasta.

– Chyba żeby nas opuścił na zawsze.

– Bertilu, on się już nie będzie odmeldowywał.

– Okej, do usłyszenia jutro. To znaczy dziś.

– Zadzwoń do mnie z Tångudden – odparł Winter.

Zaparkował przed zamkniętym na cztery spusty Supermercado Diego i ruszył do skrzyżowania. Ulica Rosalía de Castro zaczynała swój bieg na północ naprzeciwko przystanku autobusowego. Był na rynku sam. Znajdowały się tam trzy restauracje, klinika dentystyczna i wypożyczalnia samochodów – wszystko, czego potrzeba do życia wiecznego w słońcu południa. Od wielu lat to był świat jego rodziców: stara Johnny Restaurant, która była tu od początku, kiedy w Nueva Andalucia było tylko to jedno centrum. Dziś przypomina stare spracowane serce. Johnny z dziurawymi obrusami zszedł na psy, Diego odszedł na zawsze, dni David Restaurante i Le Chateaubriant są policzone, maleńki Supermercado Scandi jest zamknięty na czas remontu. Wszystko jakby należało do jakiegoś dawnego świata, do innego pokolenia. Miasteczko jego

rodziców będzie oczywiście trwało nadal, będzie wysycać w słońcu, żeby potem zginąć, a może przekształcić się w coś innego, w zależności od sytuacji ekonomicznej. Ale nie w kraju ludzi przybyłych z północy, tylko u hiszpańskiego gospodarza. Fronton banku w cieniu rurek neonu na Las Palmeras Clinica Dental wyglądał ponuro. Teraz to będzie jego, Lotty i Angeli. W ciągu ostatnich dwóch lat bywał w domu matki wiele razy, ale nigdy nie myślał o tej chwili. Kiedy odszedł Bengt, została mu tylko Siv. Wydawała się nieśmiertelna, zamarynowana w ginie i brandy. Zresztą każdy głupi wie, że w roztworze alkoholu można przechowywać różne rzeczy w nieskończoność. Zapomniany w spiżarni słoik z roku 1953 ląduje dziś na świątecznym stole jako sensacyjny przysmak.

Poszedł prosto przed siebie. Minął pensjonat i bistro, skrzył w prawo w Calle de Luís de Góngora, poszedł kawałek na południe, do Pasaje José Cadalso, uliczki z kilkoma parterowymi i jednopiętrowymi willami po obu stronach. Wszystko było białe, zielone i czerwone, z białych murów zwieszała się bugenwilla.

Przed domem matki, drugim, a zarazem przedostatnim po lewej, wisiała ceramiczna tabliczka z nazwiskiem WINTER, skrzynka na listy i jeszcze tabliczka na żelaznej furtce. Od wielu lat ostrzegala przed PERRO, chociaż nigdy nie mieli psa, bo matka panicznie bała się psów.

Wszedł do domu. Pachniało samotnością i ciszą, słońcem, kwiatami i papierosami. Przypomniało mu się, jak znalazł się tam po raz pierwszy, kiedy przyleciał, żeby być świadkiem odchodzenia ojca w Hospital Costa del Sol, a matka posłała go do swego domu po neseser, bo ze zdenerwowania go zapomniała. Pamiętał, że przez okno od tyłu patrzył na mieniące się w słońcu palmowe liście, że wyszedł na maleńki trawnik i że ucieszył się na widok trzech wielkich dających cień palm. Pomyślał wtedy, że powinno się mieszkać tak, żeby przed domem rosły palmy. Pamiętał też, że w domu zadzwonił telefon, może kiedy stał pod palmami, a może jeszcze przed drzwiami. Teraz też zadzwonił, na stoliku przy kanapie. Stary model bez wyświetlacza. Dzwonił i dzwonił.

- Halo!
- O, dojechałeś, Eriku! Jak dobrze.
- Właśnie wszedłem.

Zupełnie tak samo jak za pierwszym razem. Te same słowa. Musiał w tym być jakiś sens, choćby ona wcale go nie widziała.

- Obrączka jest w sypialni.
- Dobrze.
- Może ci mówiłam.
- Zaraz ją zabiorę.
- Dobrze, Eriku.

Jej głos brzmiał słabo. Usłyszał w nim straszliwe zmęczenie. Trzeba się pośpieszyć. Niepotrzebnie tu przyjeżdżał, obrączka to tylko martwy przedmiot. Ale wiąże się z jej wspomnieniami i z jej życiem, jego zdanie się nie liczy.

Wszedł po schodach z tym samym *déjà vu* co przed chwilą. W sypialni od razu wypatrzył obrączkę. Leżała na stoliku przy podwójnym łóżku. Stała tam również fotografia ojca. Poprzednim razem marzył o tym, żeby stamtąd wyjść, tak jak ojciec marzył, żeby wrócić. Wtedy była jeszcze jakaś szansa. Dziś już nie ma żadnej.

Gdy zjeżdżał w dół, do Puerto Banús, morze wyglądało jak płyta z czarnego srebra. Rano przybierało barwę czerwonego złota. I jedno, i drugie było złudzeniem. To tylko morze w Puerto Banús. Zresztą nieważne, gdzie się umiera, ważniejsze jest zakwaterowanie za życia. W dole, blisko brzegu, stał wysoki postument, na nim anioł wyciągający ręce ku morzu. W Göteborgu wysoko nad rzeką stał pomnik żony marynarza wyciągającej ręce ku morzu. Był w tym jakiś sens.

Kiedy wrócił, matka nadal była przytomna.

Położył obrączkę na stoliku przy łóżku. Podniosła lewą rękę i wtedy nałożył jej ją na palec, i zrozumiał, dlaczego już jej nie nosiła. Palec był za cienki.

Powiedziała coś, nie dosłyszał. Kiwnął głową. Znów coś powiedziała.

Ringmar nie mógł spać. Siedział w ubraniu, niespokojny.



Wypił filiżankę kawy, potem jeszcze jedną. Czytał protokoły. Oczy rozboleły go już po dziesięciu minutach siedzenia przed komputerem. To nie dla niego. Człowiek notesów i kalendarzyków, nie zacofaniec, ale zwolennik kartotek. Lubił mieć wszystko czarno na białym, mężczyzna w kwiecie wieku, który dzięki doświadczeniu ma to złożyć w całość, ma przeprowadzić błyskotliwą analizę. Ostatni skok starego lwa, coś dla ksiąg, coś dla akademii policyjnej. Coś dla Erika.

Wyszedł do przedpokoju, włożył buty i kurtkę, wsiadł do samochodu i pojechał przez Kungsladugård, Sannabacken, Kungssten aż na Hästeviksgatan, między łodzie zimujące na lądzie na Tångudden. Z portu na przeciwległym brzegu rzeki wciąż dochodziło rżenie. We mgle płynął do nabrzeża statek widmo. Wiózł z Genui dwie skrzynie z czarną śmiercią, zamówione przez kustosza nowatorskiego muzeum. Nowatorskiego, pomyślał, idąc między łodziami do szop. Zobaczył samochód Securitasu. W środku ktoś był. W szopie paliło się światło. Podeszedł, otworzył drzwi. Czyjaś twarz uniosła się nad podłogą.

– A, to ty, Branislav – powiedział Ringmar.

– Wszystkie co cięższe roboty spadają na mnie i Lassego – odparł technik, ruchem głowy wskazując na stojącego pod oknem kolegę.

– Naprawdę jest tak ciężko?

– Jeszcze nie wiem.

– Co to jest? – spytał Ringmar, wskazując na leżący przed nim przedmiot.

– Wydaje mi się, że sekstant.

– Żeglujesz?

– Tylko jeśli ktoś mnie zaprosi na łódkę.

– Ja nie żegluję – powiedział Ringmar.

– Sekstant to instrument pomiarowy – wyjaśnił Branislav.

– Wiem, co to jest.

– Chodzi mi o to, że to instrument do mierzenia kątów.

– Znalazłeś jeszcze coś interesującego?

– *Time will tell*<sup>22</sup>.

---

22 Ang. czas pokaże.

- To ważne, cholernie ważne.
- Nie obrażaj mnie.
- On mógł tu być – powiedział Ringmar.
- A na pewno był tam – odparł Branislav.
- Tam był bardzo ostrożny. Tutaj o tym nie myślał.
- Wysłanie zdjęcia chyba nie dowodzi sprytu, prawda?

Ringmar nie odpowiedział. Odwrócił się i spojrzał na rosnące nieopodal samotne drzewo, przy którym Sandra wyglądała na szczęśliwą przynajmniej przez mikrosekundę, jakiej potrzeba, żeby zrobić zdjęcie.

- Prawda? – powtórzył Branislav.
- To mógł być ktoś inny. Chyba że facet chce się przekonać, czy my jesteśmy sprytni.
- A jesteście?
- Ty tego nie rozumiesz, chłopcze – powiedział Ringmar.
- Nikt nie rozumie.

Poszedł sobie. W tajskiej knajpce było ciemno. Na zewnątrz pachniało jedzeniem, olejem, przyprawami, orientalną kuchnią. Przyszedł mu na myśl Martin. Pracuje w luksusowym hotelu w Kuala Lumpur i nigdy nie ma czasu, żeby podejść do telefonu. Wciąż tak to widział. Nie może podejść do telefonu, żeby zadzwonić do starego ojca, tyle ma chłopak pracy w kuchni, dniem i nocą w kuchni, w której pachnie słodko-kwaśno. Zresztą oni pewnie gotują tylko wykwintne jedzenie dla biznesmenów, a tego gówna jest pełno wszędzie, wszędzie tego samego, nie to co trawa cytrynowa i tamarynd, i smażone bycze fiuty.

Zobaczył, że na lewo ktoś stoi, po skosie od sklepu z osprzętem żeglarskim, obok tajskiej knajpki. Człowiek. Mógł to być ochroniarz, ale przecież ochroniarz został w samochodzie, bo Branislav miał zaraz jechać. Nie widział w pobliżu nikogo innego. W żadnej z szop ani na łodziach chyba nikt nie mieszka. A nawet gdyby, to pewnie o tej porze śpi, jeśli jest rozsądny. Dochodziło pół do trzeciej. Niedługo godzina wilka. Wtedy ktoś, kto jest na dworze, robi to na własne ryzyko. Podszedł bliżej. Cholera, może to jakaś kłoda, pomyślał. Jakiś wyjątkowo duży poler. Pełno ich tutaj.

Zachowuję się jak dziecko, boję się ciemności i cieni, ale to nie jest kawał drewna, tam ktoś stoi, na pewno.

– Halo! – zawołał. – Kto tam jest?!

Nie dostał odpowiedzi. Tamten się nie poruszył. Stał nie dalej jak dziesięć metrów od niego. Ściana nie dawała mu żadnej osłony. Myślał, że daje, ale źle wyliczył kąt, źle ocenił.

– Policja – powiedział Ringmar. – Proszę podejść!

W ręku trzymał pistolet. Sam nie wiedział, kiedy go wyjął, oczywisty odruch starego lwa.

– Podejdź!

Cień zniknął, wchłonęło go tło domu. Ringmar rzucił się naprzód. Nic nie widział, usłyszał tylko kroki za tymi cholernymi szopami. Oddalały się w kierunku Hästeviksgatan, na południe, między domy szeregowe i dalej, i dalej. Pobiegł w tamtą stronę. Słyszał kroki na asfalcie, jedyne kroki tej nocy w całym Göteborgu, tamtego i jego własne. Tamte oddalały się coraz bardziej, miał nad nim przewagę, może był też szybszy, ale nie były to kroki długodystansowca. Ciężkie, upiorne, rozpaczliwe.

ANI PEGGY, ANI LAN, ANI SALLY, trzecia Tajka, nie rozpoznały żadnego z mężczyzn na zdjęciach.

– Żaden z nich nie ma brody – wyjaśniła Lan.

– A jednak – odparł Ringmar.

Powiedziała również, że tamten mężczyzna był młodszy, ale to względne. W ciągu wielu lat służby Ringmar słyszał tyle rzeczy, które potem okazywały się niezgodne z rzeczywistością, całkowicie rozbieżnych obserwacji: różnice wzrostu sięgające czterdziestu centymetrów, czarne włosy okazywały się siwe albo nawet pomarańczowe, mężczyźni okazywali się kobietami, kobiety mężczyznami noszącymi spódniczki, kilt, dhoti, garnitur, bermudy, byli łysi, mieli włosy do kolan, byli wytatuowani albo mieli skórę gładką jak noworodek. Jak pupa niemowlęcia.

– Żaden z nich – powiedziała Lan. Spojrzała na Peggy i dodała coś po tajsku.

– Jest pewna – przetłumaczyła Peggy. – Poznałaby go na zdjęciu nawet bez brody.

– Dlaczego?

Lan znów coś powiedziała w swoim języku. Ciekawe, czy potrafiłbym się nauczyć tajskiego, pomyślał Ringmar. A może malajskiego?

– Miał dziwne ucho – wyjaśniła Peggy. Spojrzała na Lan i powiedziała coś do niej. Lan odpowiedziała.

– Nie miał.... jak to się nazywa, tego na dole.

– Płatka ucha? Jak ona to zauważyła?

Lan zrozumiała. Wzruszyła ramionami.

– Jak mam to rozumieć? – spytał Ringmar.

– Zauważyła, i już – odparła Peggy.

Lan coś powiedziała, jakieś dłuższe zdanie.

– W każdym razie wyglądało to tak, jakby mu brakowało płatka ucha albo jakby miał jedno ucho krótsze. Jej stryjek też

ma takie ucho.

– W Tajlandii?

– Tak. W Złotym Trójkącie.

No to na pewno nie jest to jej stryjek. Pewnie ma co innego do roboty, pomyślał Ringmar. Ale zawsze coś. Dotychczas nie mieliśmy rejestru osób bez płatka ucha. Teraz można założyć. Mamy do czynienia z młodym mężczyzną, brodatym, który zapewne już brody nie nosi, a w dzieciństwie został o jeden raz za dużo pociągnięty za ucho. I nadal go to prześladowuje.

Jovana Marsa nie było w domu na Fullriggaregatan, a przed domem nie było wózka.

– Nie wiem, gdzie jest – powiedziała jego siostra, Louise.

– Nie moglibyście mu dać spokoju?

– Staramy się – odparł Ringmar.

– To co pan tu robi?

– Nie wie pani, gdzie może być?

– Jest na spacerze z dzieckiem. Proszę do niego zadzwonić.

– Po prostu byłem w pobliżu – wyjaśnił Ringmar.

Zobaczył, że spojrziała na dom w głębi ulicy, dom Lotty Winter. Nie domyślał się, co jej chodzi po głowie.

– On już nie pracuje, ale pewnie wiecie o tym? Zwolnił się.

– Skrzywiła się, jakby miała w ustach nieprzyjemny smak. – Za późno.

– Miał problemy w pracy? – spytał Ringmar.

– Nigdy go nie było w domu. Widać, do czego to doprowadziło.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Nic – odparła. – Muszę się zająć praniem.

– Dziękuję – powiedział Ringmar.

Zamknęła drzwi, zanim zdążył odejść na dwa kroki.

I wtedy kawałek dalej zobaczył mężczyznę z wózkiem. Jovan Mars zatrzymał się, poprawił coś w wózku. Podniósł wzrok i zobaczył go.

Ringmar ruszył w jego stronę. Mars czekał.

Ostrzegawczo podniósł do góry rękę i ścisząc głos,

powiedział:

– Ona śpi.

Ringmar skinął głową.

– Wjadę wózką do ogrodu.

Postawił wózek pod krzakiem i odszedł kilka kroków.

– Dlaczego nam pan nie powiedział nic o Tångudden?  
– spytał Ringmar.

– O Tångudden?

– To rzut kamieniem stąd. Niech pan nie robi z siebie głupka.

– Chce pan powiedzieć: idiota?

– Dlaczego pan nie powiedział, że to miejsce ma związek z Sandrą?

– Bo tego związku nie widziałem.

– Wie pan, co mam na myśli.

– Nie była tam od lat. Od dziesięcioleci. Przestało być jej ulubionym miejscem.

– Skąd pan wie?

– Bo mi powiedziała!

– Dlaczego przestało?

– Nie wdawała się w szczegóły.

– Szczegóły czego?

– Co?

– Jeśli są szczegóły, to jest również coś większego. Jakaś całość. Co się stało?

– Chodziło o jej ojca. Nie chciała mówić, ja nie pytałem.

– Poróżnili się?

– O coś im poszło – powiedział Mars.

– Czy pańska żona spotykała się z ojcem?

– Tak, czasem się spotykaliśmy.

– Ale nieczęsto?

– Nieczęsto.

– Jakie były stosunki między nimi?

– No cóż... niezbyt serdeczne, ale pewnie w wielu rodzinach tak jest.

Ringmar nie odpowiedział.

– Tak czy inaczej, nie interesowała się Tångudden. Ja

w ogóle o tym nie myślałem.

– Miała klucz do szopy na łodzie.

– Tak?

– To chyba coś znaczy?

– Jeśli z niego nie korzystała, to nie.

– Korzystała.

– Tak?

– Nie jest pan specjalnie zdziwiony.

– Mnie już nic nie dziwi.

– Była tam. Chyba niedawno.

– Zdarza się. Sama?

– Nie.

– Był z nią Egil, tak? Jej ojciec?

– Nie wiemy jeszcze.

– No to go spytajcie.

– Już pytaliśmy – odparł Ringmar.

– Nikomu nie wierzycie na tym zasranym świecie.

– Wierzymy w ludzkość.

– Ha.

– Powinien pan być nam powiedzieć o tej przystani.

– Nie byłem tam.

– Nigdy?

– Nigdy nie byłem w tej szopie. Nie wiem nawet która to.

– Możemy tam teraz iść. Pokażę panu.

– Nie chcę. Będzie mnie pan zmuszał?

– Po co miałbym pana do czegokolwiek zmuszać?

– Pański kolega by to zrobił.

– Który?

– On – powiedział Mars, kiwając głową w stronę domu Lotty Winter. – Czasem tam przychodzi. Według mnie coś z nim jest nie tak. Zachowuje się jak świr. Udaje, że jest wyluzowany, ale przypuszczam, że nie śpi po nocach. – Zaśmiał się. Ringmar jeszcze nigdy nie słyszał tak ponurego śmiechu. – Całkiem jak ja – dodał. – Lubi go pan?

– Chodzi panu o Erika Wintera?

– Owszem.

Znów spojrzał na dom Lotty.

– To on, Erik – powiedział ze wzrokiem wbitym w dom.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

Mars spojrzał na niego.

– To może być on. Erik!

– Kim może być Erik? – spytał Ringmar.

– Erik... – Mars znieruchomiał, jakby ktoś mu wymierzył cios.

– Dobrze się pan czuje?

Mars nie odpowiadał.

– Co się dzieje? – spytał Ringmar.

– Nie wiem, jak długo ja to jeszcze wytrzymam – powiedział Mars. – To jeden wielki koszmar. – Złapał Ringmara za rękaw.

– No, jak długo mam to jeszcze wytrzymać?

Winter czuwał przy jej łóżku. Skórzany fotel, na którym siedział, był równie wygodny i prosty jak wszystko w tym pokoju, w poczekalni do śmierci. To nawet nie jest poczekalnia. To jest łóżko. Ona w nim leży. A to ja. To się dzieje teraz. Podeszedł do okna. Wcześniej je zamknął, bo ulicą, a raczej uliczką, przejechało kilka samochodów. Teraz, chociaż było rano, było cicho. Odgłosy ruchu ulicznego dochodziły z oddali, podobnie jak śmiech mew. Otworzył okno i odetchnął łagodnym powietrzem. Za kilka miesięcy stanie się tak gorące i ostre, że będzie sprawiało ból. Nasłuchiwał jej oddechu. Nadal bez tlenu. Oddychała spokojnie, jakby po prostu odpoczywała i wkrótce miała wstać, żeby zapalić pierwszego papierosa i przed lunchem wypić na rozluźnienie pierwszego drinka.

– Eriku.

Odwrócił się. Patrzyła na niego.

Podeszedł do łóżka.

– Jak tam?

– Śniło mi się coś.

Kiwnął głową. Śniło jej się, spała, żyje, pomyślał.

– Co ci się śniło?

– Już zapomniałam.

– Ja też często nie pamiętam snów.



- Już pamiętam. Śniło mi się, że byłeś w niebezpieczeństwie.
- To tylko sen – zauważył.
- Byłeś zamknięty w jakimś domu. Straszne.
- Nie przejmuj się snami – powiedział. – Odpocznij.
- W tym domu ktoś chciał ci zrobić krzywdę.
- Nie wejdę tam – zapewnił ją.
- To dobrze. Eriku, czy jest już rano?
- Tak, już jest rano.
- Jak dobrze.
- Bardzo dobrze – odparł.
- Może dziś będę mogła wrócić do domu – powiedziała.

Christian Runstig zadzwonił do drzwi, bo chciał, żeby mu otworzyła. Był tak wyczerpany, że nie miał siły na nic. Mógł tylko zadzwonić i czekać. Na boisku chłopak grał w piłkę. Strzelał do bramki, potem szedł po piłkę, i tak dzień w dzień, miesiąc w miesiąc, może nawet rok w rok. Może jest opóźniony w rozwoju. Mógłby trafić do reprezentacji szwedzko-słowiańskiej. Nic mnie to nie obchodzi, pomyślał. Naprawdę już nic mnie to nie obchodzi.

- Liv – powiedział, gdy mu otworzyła.
- Christianie.
- Wróciłem do domu.
- Nareszcie.
- To nie ja – powiedział.
- Nigdy w to nie wątpiłam.
- Ja nic nie zrobiłem.
- Wiem.
- Bronilem się, bo ten komisarz napadł na mnie, ale to wszystko.
- Nie myśl o tym, Christianie.

Zdał sobie sprawę, że z dołu dochodzi jakiś odgłos. Nachylił się i pogłaskał szczeniaka po pyszczku. Nie takiego już szczeniaka. Urosły mu łapy, pysk się wydłużył. Wiedział, że psiak go nie poznaje. Nie szkodzi, taka jego natura. Zazdrościł mu.

- Brakowało mi ciebie, paskudo – powiedział.
- Mam nadzieję, że to nie do mnie – wtrąciła.
- Chyba widzisz, do kogo mówię. Od kiedy sunia jest w domu?
- O, wróciła już po kilku dniach.
- Więc zdążyłyście się dobrze poznać.
- No pewnie.
- I o to chodziło – powiedział.
- Może byś z nią wyszedł na trochę? Już pora.
- A ty byś nie poszła?
- Wolę, żebyś ty to zrobił. Tobie to bardziej potrzebne.

Pada deszcz fajna odmiana po śniegu już dawno nie padał śnieg niedługo przyjdzie lato, alleluja, będzie można siedzieć na skałkach ze skrzynką piwa na sznurku w wodzie i nic tylko wyciągać alleluja nie ma jak piwo chłodzone w morzu po cienistej stronie a potem kilka dobrych whisky trzeba tylko poczekać trochę poczekać na słońce i następny ciąg dziękując Bogu gdy przyjdzie ten następny ciąg i cieszyć się nim póki trwa cieszyć się tak jak teraz był już prawie w domu wie jak iść no może niezupełnie ale przecież nie kopie w niebo jednak kopie w chmurę nie może się zorientować gdzie góra gdzie dół już dawno nie był tak kiepski wie dokładnie co robi świetnie wie co robi wypił tylko trzy piwa i dwie whisky i to niedużo może jeszcze trochę whisky ale na pewno nie więcej niż ćwiartka którą miał w kieszeni gdy tam szedł.

Już nikt nie powie na mnie Bert Dupa, nie teraz, nie po tym, już nigdy.

To była dobra rozmowa, świeetnie wszystko pamiętał, nic dodać, nic ująć, co się stało, to się stało, a potem stało się jeszcze więcej, a teraz na siedzeniu kierowcy siedzi Bert Smukły, Bert Szybki.

- Nie wiem, co się chłopakowi przydarzyło – odezwał się. Nie odpowiedział.
- Przecież ja wiem. Ja miałbym nie wiedzieć?!
- Straszne – powiedział.

– Co teraz robimy?

Ja to powiedziałem.

– Przecież to od ciebie zależy – odparł tamten.

Cha! Cha!

Ode mnie!

– Czy to się kiedyś skończy? – spytał tamten.

Na to też nie odpowiedział. Niech się facet spoci. Zasłużył.

ANETA SPOTKAŁA SIĘ Z AGNETĄ HÄGG, żoną Mattiasa. Szef Sandry wydawał się spięty, a jego żona była spokojna.

– Spotkaliśmy się z nimi dwa razy – powiedziała.  
– Właściwie nie wiem, dlaczego nie więcej. To straszna historia.

Spotkały się w willi Häggów w Örgryte. Dom nie był może wystawny, ale swoje kosztował. Tak będę mogła mieszkać, tylko jeśli dostanę spadek, pomyślała Aneta. Po szejku, o którym nigdy nie słyszałam, ze wsi, o której też nie słyszałam, z kraju, którego nikt nie zna.

– Czy pani mąż mógł się spotykać z Sandrą Mars sam na sam?

– Bardzo bezpośrednie pytanie.

– Czasem to konieczne.

– Nie wydaje mi się, ale nie wiem. Dlaczego miałby to robić?

– Sprawdzamy każdą ewentualność.

– I to jest jedna z nich?

– Pytamy o wszystko.

– Jeśli pyta pani, czy Mattias miał romans z Sandrą, to bardzo wątpię. Musiałby to być romans platoniczny.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Mattias od wielu lat jest impotentem. Ma psychiczną blokadę, której nie potrafi przełamać. A raczej my nie potrafimy przełamać. Czy to wystarczająco bezpośrednia odpowiedź?

– Tak.

– Spyta mnie pani, czy ja miałam jakiś romans na boku?

– Nie.

– Skąd pani ma to imię?

– Wydaje mi się, że moi rodzice zrobili błąd w pisowni. Chyba miało być Agneta.

– Aneta jest ładniej.

– Dziękuję.

– Sandra była atrakcyjną kobietą.

Aneta kiwnęła głową. Agneta Hägg również była piękną kobietą.

– To strasznie niesprawiedliwe – powiedziała. – Pani praca musi być bardzo stresująca.

– Czasami rzeczywiście jest – odparła Aneta.

– Ja nie byłabym w stanie pojechać do kogoś obcego, żeby z nim rozmawiać.

– Czasem zapraszamy ludzi do nas.

Agneta Hägg się uśmiechnęła. Wstała.

– Domyślam się, że skończyłyśmy – powiedziała. – Muszę jechać, mówiłam pani. – Spojrzała na Anetę z góry. Aneta nie ruszyła się z jasnej skórzanej kanapy. – Czy zostawicie już Mattiasa w spokoju?

– Czuł się prześladowany?

– W każdym razie nie było mu za wesoło.

Cóż, to nie branża rozrywkowa, pomyślała Aneta. Wstała.

– Może przychodzi pani do głowy jeszcze coś, co dotyczy Sandry Mars? – spytała. – Utrzymywała prywatne kontakty z kimś z pracy?

– Ja tam nie pracuję.

– A mąż nie mówił?

– Jego spytajcie.

– Myślałam, że pani chce, żeby go zostawić w spokoju.

– Ja nic o niej nie wiem. Szkoda, bo chciałabym.

Siv Winter odpoczywała. Angela wróciła z Elszą i Lilly. Dziewczynki pogłaskały babcie, a potem Winter z nimi wyszedł. Stali na plaży. Anioł na wysokim cokole wyciągał ręce ku morzu. Jakby chciał mu zawierzyć albo prosił o zmiłowanie.

– Tatusiu, czy babcia umrze? – spytała Elsa.

– Kochanie, babcia jest bardzo chora.

– Dlaczego ma umrzeć?

– Jeszcze nie wiadomo, jak będzie, kochanie.

– Ale my nie umrzemy?

– Ależ skąd!

Gerda znów zjawiła się w Manpower i tym razem już nie musiała zawracać w windzie. Poprosiła o rozmowę z pracownikami – ogólnie, nie precyzując – którzy mieli kontakt z Sandrą Mars albo przynajmniej znali ją z widzenia albo ze słyszenia. Kiedyś pracowali tam oboje, i Sandra, i Jovan, ale Jovan bywał tam rzadko, bo działał głównie w stolicy. Większość pracowników go nie znała. Sandra miała przejść z sekretariatu na stanowisko związane z PR-em. Miała również nadzorować wewnętrzne projekty rozwojowe, ale nie zdążyła z tym ruszyć.

Gerda siedziała w wąskiej salce konferencyjnej. Ludzie przychodzili do niej i wychodzili. Wolałaby, żeby to były mniej formalne spotkania. Może to w ogóle nie był dobry pomysł, ale lepiej więc jej przesłuchań niż mniej. Albo żadnych.

Właśnie rozmawiała z młodą kobietą, Jeanette. Wydawała się czujna, nastawiona na robienie kariery, zawsze zwarta i gotowa do uśmiechu, nawet wtedy, gdy chwila nie była odpowiednia. Gerda zauważyła, że ludzie nastawieni na karierę uśmiechają się znacznie częściej niż inni, jakby już wczesnym rankiem nakładali uśmiech, żeby go zdjąć dopiero około północy albo później. Czasem im się chyba przyklejał na całą dobę. Kiedy była dzieckiem i się krzywiła, matka mówiła: uważaj, bo ci tak zostanie. I mała Gerda długo w to wierzyła. Potem przez wiele lat była uważana za osobę ponurą. Dopiero teraz zaczęła robić karierę.

– To straszna historia – powiedziała Jeanette. – Ona była taka miła.

– Dla wszystkich?

– Tak... dlaczego miałyby nie być?

– A można być miłym dla wszystkich? – drążyła Gerda.

– Chyba... trzeba, nie?

Oczywiście byłoby miło, gdyby wszyscy byli mili, nie bądź cyniczna, Gerdo.

– Dobrze, kiedy ludzie są dla siebie mili – odparła.

Jeanette miała niepewną minę, jakby jej coś umknęło podczas wykładu.

- Z kim spośród kolegów przestawała najchętniej?
- zapytała Gerda.
- Chyba... ze wszystkimi.
- Mhm...
- Jovan wpadł kilka razy.
- Oczywiście.
- Ale głównie był w Sztokholmie.
- Tak, wiem.
- Rozmawiała pani z Jensem?
- Z jakim Jensem?
- Z Jensem Likanderem. Współpracował z nią przy jakimś projekcie. Zdaje się, że chodziło o podnoszenie kwalifikacji.
- Chyba tak – powiedziała Gerda.
- Więc już pani z nim rozmawiała?
- Nie, jeszcze nie.

Kiedy mnie zobaczył przez okno szok chyba myślał że ja tego nie widzę udawałem że nie zresztą co tu było do zobaczenia wtedy jeszcze nie wiedziałem kurde zimno było tamtego ranka.

Teraz też jest zimno to miejsce gdzie mieszkam gdzie znajduje się moje źródło czemu nie zaraz będę w domu proszę jak dobrze mi idzie żadnego potykania się to już moje drzwi może powinienem się przeprowadzić już czas czemu nie mieszkam tu zbyt długo żadnej przyszłości ale teraz już jest wkrótce będzie świetlana przyszłość kurde wieje drzwi są niezamknięte zapomniałem wyłączyć kuchenkę cha cha cha nie czuję zapachu dymu od wieków nie widziałem żadnych sąsiadów zresztą niektórzy może odeszli na zawsze ojej biegnie z tyłu hej ja....

Jana hasała niezmordowanie. Odwracała łepkę i znów zaczynała biegać. Znów byli na wyspie. Kurde, jak mógł się na to zdecydować. Właściwie nic dziwnego. Był tu, kiedy to się stało, kiedy go zamknęli, wtedy był lód, teraz nie ma, chciał wrócić do tego, co było wtedy, kiedy jeszcze nic się nie stało

i wszystko mogło się zacząć od nowa.

– Jana! Jana!

Poleciała przez most i z powrotem, byli tam tylko oni. Jakie świeże powietrze. Dobrze jest być na wolności. Nie wszyscy to rozumieją, nie doceniają, my, tu, nad tym lodowatym morzem, wiemy, co to wolność! Powiedz to tym czarnym zbójom z pustyni, dyktatorskim świniom, kurde, sam bym się zbuntował, sam bym, sam bym.

Jens Likander miał przyjemną powierzchowność, na oko trzydzieści pięć lat. Wydawał się sympatyczny, uważny.

– To było dość dawno temu – powiedział.

– Jak dawno?

– Jakiś czas przed jej urlopem macierzyńskim.

– Co to był za projekt?

– Równościowy.

– Okej.

– Już koniec z tym.

– Z równością?

Uśmiechnął się. Miał miły uśmiech. Może jesteśmy rówieśnikami, pomyślała Gerda. Znów spoważniał. Jest przystojniejszy, kiedy jest poważny.

– To okropne, potworne – powiedział.

– Kiedy widział pan Sandrę ostatni raz?

– Dość dawno.

– Jak dawno?

– Chyba rok temu. Więcej.

– Aż tyle urlopu macierzyńskiego chyba nie miała?

– Prawdę mówiąc... nie wiem – powiedział. – Właściwie jej nie znałem.

– Gdzie to było?

– Jak to gdzie?

– Gdzie się spotkaliście?

– Tu, oczywiście, w pracy.

– Spotykaliście się również gdzie indziej?

– Dłaczego mielibyśmy się spotykać gdzie indziej?

Wyglądał na autentycznie zdziwionego. Nie miał na palcu obrączki. Sandra Mars miała.



- Szokuje pana to pytanie?
  - Prawie.
  - Domyśla się pan, dlaczego o to pytam?
  - Nie.
  - Próbujemy ustalić, jakich miała znajomych. Z kim się spotykała.
  - Powinniście porozmawiać z jej mężem. Jovanem.
  - Oczywiście. Pan go zna?
  - Właściwie nie.
  - Co to znaczy?
  - Tylko jako... kolegę z pracy. Ale on prawie tu nie był.
  - Potrafi pan powiedzieć, z kim się spotykała?
  - Tylko jeśli chodzi o ludzi z pracy, ale to może pani powiedzieć każdy.
  - Okej.
  - Boże drogi – powiedział.
  - Co takiego?
  - To takie potworne.
  - Rzeczywiście.
  - To musiał być jakiś szaleniec.
- Nie odpowiedziała.
- Głupio powiedziałem, ale chyba tylko szaleniec byłby zdolny do czegoś takiego, prawda?
- Istnieje wiele odmian szaleństwa, pomyślała. Ten wygląda na normalnego. Jak na tę sytuację zachowuje się normalnie. Może i jest normalny.
- Boże drogi – powtórzył.
- Gerda kiwnęła głową, że się zgadza, choć trudno jej było powiedzieć z czym.
- Chyba schwytacie sprawcę? – spytał.
  - Tak.
  - Ale to może potrwać?
  - Dlaczego pan pyta?
  - Chciałbym, żeby ten... potwór został złapany możliwie jak najszybciej.
  - Wszyscy byśmy chcieli – odparła.
- Przyjrzał jej się. Uważnie. Nie było to bynajmniej

nieprzyjemne. W oczach miał coś zielonego. Niezwykłe.

- Dziwną ma pani pracę – stwierdził.
  - Nie dla mnie.
  - Od dawna... jest pani detektywem?
  - Inspektorem kryminalnym. Właściwie od niedawna.
  - Jak się zostaje kimś takim?
  - Teraz pan mnie wypytuje – zauważyła.
  - Tak – potwierdził. Może z uśmiechem, a może nie.
  - Najpierw idzie się do wyższej szkoły policyjnej
  - powiedziała.
  - Nie da rady na skrót?
  - Nie.
  - I potem trzeba się wykazać sprytem, żeby się dostać do wydziału kryminalnego?
  - Nie w tym rzecz – odparła.
  - Czyli przeciwnie?
  - Z grubsza.
  - Nie wierzę. Nie byłoby pani tutaj.
  - A dlaczego jestem?
  - Bo wykonuje pani swoją pracę – odparł.
  - Na dziś koniec – powiedziała, wstając.
- Likander też wstał.
- Niech pani jeszcze przyjdzie – powiedział.
  - Dziękuję. Na pewno przyjdę.
  - Pracuje pani bez przerwy czy miewa pani wolne?
  - Dlaczego?
  - Mógłbym panią kiedyś zaprosić na drinka? – spytał.
- Kiedy będzie pani miała wolne?
- Szybki pan jest.
- Jeszcze mi się to nie zdarzyło. Słowo. Nie wiem, dlaczego...
- tak wyszło. Przepraszam.
- Nie wydaje mi się, żebym w najbliższym czasie miała wolne
  - odparła.

ZNÓW STAŁ PRZY OKNIE. Był sam w tym pięknym pokoju. Znad gór napłynęły deszczowe chmury. Będzie burza i minie w ciągu kilku minut. Tutaj tak jest. Czasem nawet ziemia się zabieli. We wrześniu burza przyniosła grad wielkości dużych płatków śniegu, twardych jak kamyki. Na Avenida Antonio Belon padały drzewa, uszkadzając samochody. Wszystko było białe, bielutkie. Plaża poniżej Avenida del Duque de Ahumada wyglądała, jakby była na północy, gdzieś w Kullavik, Billdal, Särö, Stora Amundö.

To było chyba w Boże Narodzenie. Odwrócił się. Próbował sobie przypomnieć i zdał sobie sprawę, że to było trzy lata temu. Matka miała przylecieć z Malagi do Göteborga w Wigilię po południu. Na pewno? Czy w Wigilię są jakieś loty? Z Hiszpanii – tak.

Znów usiadł przy łóżku. Rurki w jej nosie się poruszały, ale tylko trochę. Cieszył się, że znów śpi.

Przypomniały mu się tamte święta. Nie chciał ich pamiętać. To wspomnienie było wręcz groteskowe, ale teraz, w tym miejscu, nieuchronne. Tu nie było żadnych wałów ochronnych, jedynie dziwaczne wspomnienie życia i śmierci. Dlaczego do tego wracam? Wyparłem to, tak jak Angela. Nic się wtedy nie stało, nam się nic nie stało, nic groźnego. Ja tego nie wyparłem. Widzę tego cholernego Świętego Mikołaja, jak chodzi po naszej plaży, naszej plaży tu, naszej plaży tam. Wcale nie chcę, ale i tak pamiętam.

Zaczęło się dobrze. Jak zawsze miała to być najlepsza Wigilia ze wszystkich dotychczasowych. Nastrój oczekiwania udzielał się nawet dorosłym, jemu również. Pod tym względem niczym nie różni się od innych, raczej przeciwnie. Przed Bożym Narodzeniem zawsze starał się wziąć kilka dni wolnego, żeby

mieć czas na przygotowanie jedzenia: ugotowanie szynki, zrobienie żeberek, usmażenie pulpecików według własnej sekretnej receptury, zrobienie sałatki z buraków, poszatowanie i ugotowanie z syropem czerwonej kapusty, usmażenie świeżych śledzi i włożenie ich w marynatę z zieleń angielskim i cebulą, przyrządzenie fałszywych raków ze śledzi i pomidorów, zapiekanki z piklinga, śledzi w sosie musztardowo-koperkowym, w sosie sherry, z cebulą, potem łosia marynowanego w soli z cukrem, pieprzem i koperkiem. Wszystko od początku do końca robił sam. Musiał więc zaplanować zakupy i zgromadzić wszystko, czego potrzeba do przyrządzenia potraw podawanych w Wigilię: parówki, wędzony łosoś, frankfurterki, jajka na omlet z kurkami duszonymi w śmietanie, jajka w majonezie z krewetkami i koperkiem, ziemniaki, cebula i sardele na pokusę Janssona, cudowny wynalazek, bez którego nie może się obyć żaden szwedzki świąteczny stół, alchemiczny cud, dowód na to, że wielka sztuka kulinarna powstaje z prostych składników. Tak jest zawsze. Wielkość bierze się z prostoty, a dla niego najwspanialszą chwilą kojarzącą się z Bożym Narodzeniem jest wieczór przed Wigilią, gdy z piecyka wyjmuje zapieczoną po ugotowaniu szynkę, odkrawa gorący i chrupiący kawałek, kładzie go na posmarowaną masłem kromkę żytniego chleba, na to daje mocną musztardę z ziarnami gorczycy, które utłukł w moździerzu, i z oczami pełnymi łez zjada, popijając gorzkim piwem i kieliszkiem kminkówki. *Come what may!*<sup>23</sup> Gotów był na wszystko, byle móc przeżywać tę chwilę.

Tak to jest na tym najlepszym ze światów. Wtedy też. Właśnie stał w Saluhallen, cierpliwie czekając na swoją kolej. Pewnie potrwa to jeszcze kilka godzin. Ludzie tłoczyli się przed stoiskiem mięsny, właściwie przed wszystkimi stoiskami, ale był szczęśliwy, że może tam stać, czuć zapachy i patrzeć na te wszystkie wspaniałości, cieszyć się na to, co go czeka w święta. Do Wigilii zostały tylko trzy dni. Czas oczekiwania nie tylko dla dzieci, dla wszystkich żyjących w kosmosie.

Zadzwoił jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz.

---

23 Ang. Cokolwiek by się działo.

- Cześć, Bertilu.
- Eriku, musisz zaraz przyjść.
- Przyjść? Dopiero co wyszedłem. Od pół godziny stoję w kolejce do Wedberga. Myślisz, że oddam swoje miejsce?
- Dostaliśmy list.
- Jaki list?
- Właściwie kartkę świąteczną. Chciałbym, żebyś na nią spojrział.
- Ale ja muszę kupić zeberka i całe mnóstwo innych rzeczy.
- Nie możesz się wepchnąć w kolejkę? Masz policyjną blachę i tak dalej. Powiedz, że to stan wyjątkowy.

Siedzieli wtedy u Ringmara. Bertil ruchem głowy wskazał na kartkę leżącą przed Winterem, taką większą, z grubego papieru.

– I co powiesz?

Winter spojrział.

Kartka przedstawiała Świętego Mikołaja. Stał przed jakimś domem, gdzieś w świecie, i coś przed sobą trzymał. Winter przytrzymał ją przed oczami, to przysuwając, to odsuwając, żeby złapać ostrość. Nie potrzebował okularów, co samo w sobie było dość niezwykle. Skupił się na tym, co Mikołaj trzymał w rękach. Była to mikołajowa czapka.

– Widzisz, co to jest? – spytał Ringmar.

– To wygląda... jak świąteczna szynka w mikołajowej czapce – odparł Winter.

– I chyba właśnie tak jest – stwierdził Ringmar. – Ale... odwróć kartkę.

Winter przeczytał tekst na drugiej stronie:

**ZGADNIJ GDZIE!**

**TRZY CZASZKI SĄ!**

**ZGADNIJ JAK!**

**WESOŁYCH ŚWIĄT!**

Tekst wyglądał, jakby wyszedł z najzwyczajszej drukarki.

Winter podniósł wzrok.

– Od kiedy zawracamy sobie głowę jakimiś pomyleniami, Bertilu? Przecież wiesz, że przed każdymi ważnymi świętami zawsze ktoś z czymś takim wyskoczy. Im większe święto, tym większy pomylenieć.

– Ja rozumiem, że to pomylenieć, ale należy sobie zadać pytanie o stopień jego szaleństwa – odparł Ringmar.

– Co masz na myśli?

– Wpatrywałem się w ten obrazek dłużej od ciebie, Eriku – ciągnął Ringmar. – Przyjrzyj mu się, daj sobie trochę czasu.

I Winter dał sobie czas.

Nie podobał mu się ten Mikołaj. Minę miał wesołą, ale niemiłą. Bardzo. Wyglądał niesympatycznie.

Wyglądał jak morderca.

– Wiem, co masz na myśli – powiedział Winter, podnosząc wzrok.

– Jest w tym coś upiornego – dodał Ringmar.

Winter przyjrzał się domowi: zwyczajny, jednorodzinny, mógłby stać gdziekolwiek. Pytanie, czy to ma jakieś znaczenie. Czy w ogóle ma jakieś znaczenie.

– Po pierwsze, musimy zdecydować, czy traktujemy to poważnie – powiedział.

– I co w takim razie możemy zrobić – dodał Ringmar.

– Niewiele – zauważył Winter. – Komendant okręgu by nas wyśmiał.

– Tak jak ten Mikołaj z pocztówki.

– Przysłał ją do nas. Do kogo była zaadresowana?

– Nie mówiłem ci? Do ciebie.

Winter smażył śledzie. Odciął płetwy grzbietowe i zamarynował je w sosie z francuskiej musztardy, żółtka i odrobiny śmietanki. Złożył połówki. W środek powkładał trochę koperku. Potem obtoczył w przesianej mące żytniej i usmażył na maśle – obowiązkowo, w tym przypadku nie mogło być mowy o oliwie. To by było, jak naszpikować czosnkiem świąteczną szynkę. Boże Narodzenie to czas na północnoeuropejski cholesterol. Umartwiać się można przez całą resztę roku, jeśli się ma takie skłonności albo nie umie się

wyzwolić z szarego cienia Marcina Lutra.

Do kuchni weszła Angela.

– Jaki piękny zapach – powiedziała.

– Wiem.

– Daj spróbować!

– Boże, Angelo, muszą ostygnąć. Potem zaleję je tamtą zalewą, przecież wiesz o tym. Nie psuj świąt swoim niemieckim brakiem szacunku dla tradycji.

– Swoim niemieckim brakiem szacunku dla tradycji?

– Twoi rodzice pochodzili z Lipska, prawda?

– Cha, cha. Nie wiesz, że właściwie to Niemcy wymyślili tradycję?

– Ale nie tę.

– I dlatego chcę już teraz dostać jedną rybkę!

– Okej, okej. Wiedziałem, że się zaczaisz, więc usmażyłem kilka dodatkowych.

Za nią przybiegły do kuchni pięcioletnia Elsa i półtoraroczna Lilly. Trochę na nogach, trochę na czworakach.

– Co robicie? – spytała Elsa. – My też chcemy!

– Cemy! – zawołała Lilly.

– Przecież muszę je włożyć w zalewę – próbował je przekonywać Winter. Wiedział, że jego córki uwielbiają marynowane śledzie. Niby nie jest to jedzenie dla dzieci, ale tradycja okazała się mocna, skoro marynowane śledzie dawali już małym dzieciom.

– My chcemy usmażone – powiedziała Elsa. – Mama dostała!

Wyszedł z gmachu policji, rozmyślając o kartce z Mikołajem stojącym przed domem, który mógł się znajdować gdziekolwiek. Rozesłali zdjęcie do wszystkich agencji nieruchomości w mieście. Jeśli już ktoś ma wiedzieć, gdzie stoi ten dom, i potrafić go rozpoznać, to tylko agent nieruchomości. Przecież ktoś go kiedyś komuś sprzedał. Przy odrobinie szczęścia ludzie jeszcze ten jeden dzień będą w pracy. Potem wszystko będzie zamknięte, totalnie, cały kraj, z wyjątkiem

oddziału ratunkowego w uniwersyteckim szpitalu klinicznym Sahlgrenska i aresztu w komendzie...

Pytanie, czy dom ma jakiegokolwiek znaczenie. Odniósł wrażenie, że dom służy tylko jako ilustracja, podobnie jak szynka, która jest symbolem czegoś innego, czegoś potwornego. Próbował wyczuć czego, ale mu nie wychodziło, a potem poszedł do domu i zajął się śledziami.

Później, kiedy skończył gotować, usiadł w dużym pokoju i popijając z porcelanowej czarki korzenną nalewkę, opowiedział Angeli o dziwnej kartce świątecznej.

– Jak często taka sprawa okazuje się poważna? – spytała.

– Dobre pytanie.

– Chyba bardzo rzadko. To znaczy rzadko taka sprawa okazuje się poważna.

– Co masz na myśli, mówiąc poważna?

– Że groźba rzeczywiście zostaje spełniona – odparła.

– Zdarzało się – potwierdził Winter.

– Ale wyjątkowo rzadko?

– Ale jeśli już, było to bardzo paskudne – powiedział.

– Chciałabym, żebyśmy w tym roku mieli normalne święta.

– Oczywiście, kochanie.

– Nie chcę spędzać świąt z psychopatycznymi mordercami.

– Ja też nie.

– Nie chcę się z nimi tobą dzielić.

– To się nie zdarzy.

– Nie podoba mi się, że to paskudztwo było zaadresowane do ciebie.

– To pewnie dlatego, że jestem najbardziej znany.

– Eriku, ja nie żartuję. Mogę zobaczyć tę kartkę?

– Oryginał oczywiście jest u techników, ale mam kopię.

– Możesz przynieść? Chcę zobaczyć.

– Zdaje się, że dopiero co mówiłaś o normalnych świątach.

– Ale to nie ja o tym decyduję, prawda? Przynieś kartkę.

Winter poszedł do przedpokoju po teczkę. Stała na kamiennej podłodze w biało-czarną szachownicę. Wszyscy jesteście pionkami w grze, pomyślał, zresztą nie pierwszy raz. Może trzeba wymienić podłogę na jednobarwną, na taką, która



nie będzie budzić żadnych skojarzeń.

Wrócił z teczką do pokoju. Angela uchyliła drzwi balkonowe. Zapachniało śniegiem, żółtym światłem, zimą i mrozem. Cudowny zapach. Całe miasto było rozświetlone. Na północy zima to ciemna pora roku, ale Boże Narodzenie to najjaśniejszy czas, pomyślał, nasłuchując tramwaju. Przetoczył się z dudnieniem przez Vasaplatsen. Całkiem przyjemny odgłos, miły w te przedświąteczne dni. Pomyślał, że powinien dokupić jeszcze cebuli i śmietanki do grzybów i do pokusy Janssona. Potem pomyślał o nieprzyjemnej kartce, która zepsuła mu nastrój oczekiwania na zapiekaną szynkę, zwłaszcza na ten pierwszy kawałek. Był zły z tego powodu. Trzeba to jakoś przewalczyć.

Podał kartkę Angeli. Przyjrzała jej się uważnie. Nie śmiała się.

– Co powiesz o tym Mikołaju? – spytała, podnosząc wzrok.

– O jego wyglądzie?

– Wygląda jak zwykły Mikołaj.

– Ma czarne buty. – Podsunęła mu obrazek. Mikołaj stał na schodach przed domem, miał tradycyjne czerwone spodnie, kurtkę, czapkę i przyczepioną brodę. Wyglądał tak samo jak dziesiątki tysięcy Mikołajów chodzących przed świętami po mieście, ale miał nie takie jak trzeba buty. – Mikołaj nie nosi czarnych butów.

– A jakie mają być, białe?

– Eriku, ja nie żartuję. Ten Mikołaj naprawdę wygląda groźnie, a szynka w jego ręce to nie żart.

– Mnie też się nie podoba.

– Czego on chce?

– Przeczytaj na odwrocie.

Odwróciła kartkę, przeczytała i podniosła wzrok.

– Zgadzam się, to musi być jakiś świr.

– Właśnie.

– Zapowiada, że utnie głowy trzem osobom.

– Dobrze, że dziewczynki już śpią – powiedział Winter.

– Jestem twoją żoną – przypomniała mu. – I jak zapewne pamiętasz, lekarką. Lekarze sporo widzą.

Ale może nie ścięte głowy, pomyślał, ale tego nie powiedział. Bo sam widział. W związku z jedną z najgorszych spraw, okropną. O mało nie kosztowała życia Angeli i Elsy w jej brzuchu. Nie chciał o tym myśleć, żeby nie zwariować.

– Nie podoba mi się, że była zaadresowana do ciebie – powtórzyła.

Ostatnie przedpołudnie w pracy przed Wigilią. Winter przejrzał zeznania świadków strzelaniny w północnych dzielnicach miasta: pięciu rannych, trzy spalone samochody, dwadzieścia zarekwirowanych sztuk broni. Istna wojna. Sytuacja coraz bardziej przypominała wojnę z coraz rzadszymi rozejmami. Ginęli ludzie. Jeśli tak będzie dalej, jego wydział nie wystarczy. Będą musieli wezwać wojsko, a wtedy koniec z demokracją. Na tysiąc lat.

Ktoś zapukał do otwartych drzwi. Winter podniósł głowę. Ringmar miał bardzo dziwną minę. Trzymał coś w ręce.

– Znów kartka świąteczna? – spytał Winter. – I znowu do mnie?

Ringmar bez słowa skinął głową.

– Dawaj – powiedział Winter, wstając.

Podszedł i wziął kartkę. Tekst, tak jak poprzednio, napisano wielkimi literami. Wypełniały całą kartkę:

**NIEFAJNE JEST  
BOŻE NARODZENIE!  
NIE CZUWALI!  
SMUTEK W ŚWIĘTA!**

– Tak... – powiedział Winter, podnosząc wzrok.

– Obejrzyj drugą stronę – powiedział Ringmar głosem, w którym słyhać było napięcie.

Winter odwrócił kartkę. Obrazek. Nie widział, nie chciał widzieć, co na nim jest, to... to... znów spojrzął na Ringmara.

– Co, u diabła?

– Właśnie, u diabła – odparł Ringmar.

Spojrzał jeszcze raz. Szczęrzyący zęby Mikołaj, che, che, che, teraz tylko pół postaci, w zbliżeniu. Mógł to być ten sam co przedtem albo inny. Przebranie było dobre, zasłaniało wszystko, jak przygotowane specjalnie dla mordercy. Mikołaj trzymał w ręku odciętą głowę, idealną maskę pośmiertną. Przerazające. Głowa była w mikołajowej czapce. Trzymał tę głowę przez czapkę, jak za włosy, ale włosów nie było widać. Nie sposób było stwierdzić, jakiej jest płci, rysy były tak wykrzywione, że aż nieludzkie. Szyja poszarpana, ściekała z niej krew. To się działo naprawdę, w jakimś wnętrzu nie do rozpoznania.

– Może to lalka? – powiedział Winter.

– W takim razie perfekcyjnie zrobiona – powiedział Ringmar.

– Oni są wybitnymi specjalistami – powiedział Winter.

– Kto?

– Rekwizytorzy. Charakteryzatorzy. Lalkarze. Ludzie od filmu. Teatru.

– Wciąż masz nadzieję – powiedział Ringmar.

Ringmar już się zdecydował, już wiedział. Pobożne życzenia to nie dla niego.

– Nie czuwali, smutek w święta – powtórzył Winter. – To o nas? Że nie pilnujemy?

– Chyba o to mu chodzi.

– Niefajne jest Boże Narodzenie. – Winter czytał dalej. – Ale Mikołaj wygląda na zadowolonego.

– Może ma na myśli ofiarę, że ofiara nie uważała.

– Jak my mamy ustalić, kto jest ofiarą?

Ringmar nie odpowiedział. Odpowiedzi mogło być wiele, ale żadnej dobrej. Nie w sytuacji, kiedy Mikołaj może ścinać głowę następnej ofierze.

– Gdzie to może być? – powiedział do siebie Winter. – Na pewno w jakimś domu. – Spojrzał na Ringmara. – W tym, który był na pierwszym obrazku? To tam?

Pierwsza kartka leżała na biurku. Domku, domku, powiedz przecie, gdzie ty jesteś na tym świecie. Na pewno nie zostałeś zbudowany w ostatnim dziesięcioleciu, wyglądasz na lata

siedemdziesiąte, może późne sześćdziesiąte. Które rejony Göteborga tak wyglądają? Są zdjęcia lotnicze, mapy, całe mnóstwo informacji, ale tylko jeden dom.

– Zostały mu dwie ofiary – powiedział Winter. – Rodzina?

– Facet się nami bawi, ale jednocześnie chce nam powiedzieć, kim jest – zauważył Ringmar.

– On jest Mikołajem – skonstatował Winter.

– Najlepszym prezentem dla niego będzie złapanie go jak najprędzej. Właśnie tego chce.

Tamtego dnia wracał do domu przez Heden. Chciał odetchnąć świeżym powietrzem. Spotykał wielu Mikołajów. W mieście było ich całe mnóstwo, zapewne wielu szalonych, ale jeden zdecydowanie gorszy od wszystkich innych. Rzucili wszystkie siły, przeszukali wszelkie możliwe rejestry sprawców, zaczęli analizować zdjęcia w Photoshopie i sprawdzili, czy są na nich odciski palców albo ślady DNA, ale poszukiwania mikrośladów musieli zlecić ekspertom z Państwowego Laboratorium Kryminalistycznego w Linköpingu. Musieli ich oderwać od świątecznych stołów. Pozostawało podstawowe pytanie: kim jest ofiara? Sytuacja była niezwykła: mieli morderstwo, ale nie potrafili ustalić tożsamości ofiary. Kto wie o śmierci tego człowieka (to musi być mężczyzna) i czeka na swoją kolej?

Nic nie powiedział Angeli.

Było to dzień przed Wigilią.

Miał mnóstwo roboty w kuchni.

Powinien zapakować prezenty.

Przyrzędzić świeży grzaniec.

Miał rodzinę.

Cisza i spokój panowały w całym domu, w pięknej, stu pięćdziesięcioletniej, zamożnej mieszczańskiej kamienicy w Vasastan, w żadnym tam podupadłym domku na biednym przedmieściu.

W mieszkaniu też było cicho i spokojnie. Właśnie skończył smażyć pulpeciki. Dodał do nich dużo tartej cebuli. O to

chodziło, ale też kosztowało go wiele łez. Wyjął już z piekarnika żeberka. Były mięciutkie jak masło, a wyglądały jak z obrazka.

Zabrał się do zapiekania szynki. Koncentrował się tylko na tym, na niczym innym: zmieszał ubite jajko ze szwedzką musztardą i wysmarował tym ostudzoną gotowaną szynkę, następnie obsypał tartą bułką i wklepał ją na całej powierzchni, potem wstawił do mocno nagrzanego piecyka i wyjął, gdy była pięknie zapieczona, ale odstawiając ją, poczuł, że w tym roku ktoś mu tę przyjemność zepsuł.

– Nie zjemy po kawałku? – spytała Angela.

– Oczywiście, że zjemy – odparł.

– Od powrotu do domu prawie się nie odezwałeś – zauważyła.

– Tak jakoś wyszło.

– Czy w tej sprawie wydarzyło się coś nowego?

– To nie jest żadna sprawa.

– Coś się stało? – powtórzyła.

– Nie – odparł.

Nie mógł usiedzieć w domu. Ukrywanie tego przed Angelą było dziecinadą. W końcu nie musiał jej pokazywać nowej kartki. Nie nadawała się do pokazywania.

– Facet znów się odezwał – powiedział.

Było kwadrans po siódmej rano. Dziewczynki jeszcze spały albo udawały, że śpią. Cieszyły się tym najważniejszym dla nich dniem. Mama i tata wejdą do nich z sokiem i bułkami drożdżowymi, i może nawet z małymi, maleńkimi prezencikami.

– Mógł już kogoś zabić. Nie mamy pewności.

– Dlaczego nie macie?

– Angelo, przynajmniej tym razem nie naciskaj. Nie pytaj mnie o szczegóły.

– Nie będzie cię przez całą Wigilię?

– Ależ będę. Cały wydział przychodzi rano do pracy, musimy to omówić. Wrócę przed dwunastą. Wszystko jest już gotowe, została tylko pokusa Janssona.

- Eriku, jak mus, to mus.
- Dziękuję ci za zrozumienie.
- Ale po dwunastej zmienię zamki.

\* \* \*

Wszyscy stawili się w pracy, jądro zespołu. Każdy z tym samym poczuciem bezradności. Coś się jeszcze stanie, a czas goni, idą długie święta, które wszystko przesłonią.

- Jakies pomysły? – spytał Winter.
- Szukamy igły w stogu siana – powiedział Halders.
- Dziękuję, Fredriku, bardzo to zachęcające.
- A co miałbym powiedzieć?
- Sam nie wiem.
- Wkrótce wyślemy patrole do wszystkich dzielnic
- powiedział Ringmar. – Komendant nie szczędził środków.
- Żebyśmy tylko znaleźli ten dom – powiedziała Aneta.

Usłyszeli, że ktoś biegnie do nich korytarzem. Wstali. Do pokoju wpadł recepcjonista. W rękę trzymał kopertę.

Winter podszedł i odebrał.

- Właśnie przyszła, kurier przyniósł.
- Skąd?
- Nie wiedział.
- Wszystko jedno, potem się tym zajmiemy.

Rozdarł kopertę i wyjął kartkę. Nie przejmował się odciskami palców. Na poprzednich kartkach i tak ich nie było.

Na zdjęciu był tramwaj. Przejeżdżał obok jakiegoś domu. Zdjęcie prawdopodobnie zostało zrobione komórką i niedawno, bo był na nim śnieg i choinki, i świąteczne iluminacje, i wystawy sklepowe, i park. Jego park, Vasaparken. Jego ulica. Jego ulicą jechał tramwaj. Znał jego numer. Miał przystanek przed jego domem. To jego dom.

Odwrócił kartkę.

BOŻE NARODZENIE TO  
CZAS DZIECI  
JEŚLI  
TATA JEST DZIELNY

Dobry Jezu. Podniósł wzrok. Jeszcze raz spojrzął na tekst. Odwrócił kartkę, a potem podniósł wzrok. Wszystko w ciągu sekundy.

– Eriku, co jest?

– On jest u mnie w domu – słyszał, że powiedział to głosem jakby z głębi przepaści. – Chce mnie wyeliminować.

Ringmar wyrwał mu zdjęcie z ręki. Winter rzucił się do wyjścia i zaczął wybierać numer Angeli.

– Wszystkie patrole na Vasaplatsen! – krzyknął Ringmar do słuchawki. Winter już był na korytarzu z komórką przyciśniętą do ucha. Nie odbiera, cholera, odbierz! Zbiegł po schodach. Nie miał czasu czekać na starą reumatyczną windę, już był koło recepcji.

– DZWOŃ DO MNIE DO DOMU, AŻ SIĘ DODZWONISZ!  
– krzyknął do siedzącej za szybą recepcjonistki.

Kiwnęła głową, że rozumie, nie musiała o nic pytać. Winter już był na dworze. Poczul zimny podmuch na twarzy, na całym ciele. Wybiegł w samej koszuli, marynarka została na górze. Angela wciąż nie odbierała. Już był przy samochodzie, otworzył w biegu, światła mercedesa zamrugały. Nie domykając drzwi, z rykiem silnika ruszył przez parking. Lekko zawadził o radiowóz zaparkowany ukośnie na rondzie, wypadł na Skånegatan z włączoną syreną, którą kazał zamontować kiedyś, kiedy był jeszcze młody i zadziorny, żeby tylko ludzie schodzili mu z drogi, żeby rozumieli, że to policyjny samochód na cywilnych numerach, a nie szaleniec. Skręcił w prawo, w Bohusgatan, i nie zatrzymując się, przeciął Sten Sturegatan. Potem prosto ścieżką rowerową przez Heden, z wyjącą na maksa syreną iiii iiii iiii, odbijającą się echem od wielkich starych kamienic okalających Heden. Takich kamienic jak moja, pomyślał. Dobry Boże, o to chodziło, cały czas chodziło mu o mnie, chciał mnie wywabić z domu w Wigilię, wiedział, że dzielny policjant pójdzie do pracy nawet w Wigilię, jeśli zbrodnia będzie dostatecznie przerażająca, jeśli zagrożenie będzie wystarczająco duże, ale dzielny tata by tego nie zrobił. Teraz sukinsyn chce sprawdzić, czy naprawdę jestem dzielny,

czy zdążę go powstrzymać, jeśli nie zdążę...

Wolał o tym nie myśleć. Był już na Vasagatan. Z prędkością stu kilometrów na godzinę minął tramwaj. Cholerne tramwaje, jadą po szynach. Co za idiotyzm, żeby takie stalowe bestie puszczać przez sam środek miasta, między inne pojazdy. Zawsze zawadzają. Minął jeszcze jeden, uniknął czołowego zderzenia z następnym. Właściwie zabrakło kilku centymetrów. Z boku samochodu coś zgrzytnęło, tylko obcierka, nie szkodzi, to dobro doczesne, zawsze można je zastąpić nowym. Dotarł do tchnącego spokojem Vasaplatsen, gdzie od wielu lat znajdował się jego dom, dom jego rodziny. Dom to bezpieczna oaza. Jak ja mogłem zostawić je same w domu, jak mogłem być takim cholernym durniem, żeby zostawić je same, jak ja mogłem, jak mogłem!

Wyskoczył z samochodu przed bramą, była otwarta. Co za idiota ją tak zostawił. Windy nie było na dole. Rzucił się na schody. Zupełnie nie czuł zmęczenia. To z powodu adrenaliny. Nie bał się. Był coraz bliżej, w ręce odbezpieczony sig sauer. Na schodach nie spotkał nikogo, dotarł do trzeciego piętra. Drzwi jego mieszkania były otwarte na oścież. Framuga przy zamku poharatana. Wpadł do przedpokoju z pistoletem w ręce, krzyknął, sam nie wiedział co. To był jakiś ryk z otchłani, sprzed dziesięciu tysięcy lat, ryk człowieka jaskiniowego, który się broni albo wzywa pomocy, a czasem jest bezradny.

Nikt nie odpowiedział.

Przebiegł przez całe mieszkanie.

W dużym pokoju leżał strój Mikołaja.

To wszystko.

Żadnych zwłok, żadnych odciętych głów, żadnej krwi.

Szalał od tej adrenaliny, napięcia, strachu. Szybko wyszedł na balkon, spojrzął w dół. Przyjechał tramwaj. Na przystanku stał jakiś człowiek. Tramwaj odjechał, a człowiek wciąż stał. Zadarł głowę do góry. To nie może być przypadek, to nie jest przypadek. Nagle puścił się biegiem. Obejrzał się, pobiegł na północ, w kierunku targu warzywnego i Saluhallen, nie przestawał biec, a Winter stał bez ruchu, jak zastygły, patrzył za biegnącym w dole mordercą. Odległość była za duża na celny



strzał. Mógłby trafić przypadkowego przechodnia, ale myślał nie o tym, tylko o butach na nogach biegnącego. To były te same buty, na które zwróciła uwagę Angela. Mówiła, że nie pasują do stroju Mikołaja, i miała rację. Strój Mikołaja leży teraz w pokoju za jego plecami, a buty biegną tam w dół. Człowiek w czarnym ubraniu, nie oglądając się, wbiegł w Allén. Z lewej nadjechał tramwaj, kilkanaście ton rozpędzonego żelastwa wpadło na postać przebiegającą na drugą, bezpieczną stronę ulicy. Winter zobaczył, jak po dwudziestu metrach wleczenia przez tramwaj przebrany Mikołaj bez biletu odpada od wagonu na tory i ginie pod nim wśród zgrzytów.

Nigdy więcej ani jednego złego słowa o tramwajach. To była jego pierwsza myśl.

Wciąż stał na balkonie. Wydało mu się, że ktoś go woła. Odwrócił głowę i zobaczył Angelę. Szła z dziewczynkami od strony Vasaplatsens Grill. Pomachała mu, dziewczynki też. On też do nich pomachał. Był tak oszołomiony natłokiem uczuć, że musiał się cofnąć, żeby nie skoczyć z balkonu, nie sfrunąć na dół, żeby je wyściskać i wypowiedzieć ich imiona.

Później, w nocy, gdy siedzieli we dwoje przy lampce najmocniejszego na świecie grzańca, Angela powiedziała mu, że kiedy wyszedł, ubrała dziewczynki. Bała się siedzieć w domu. Miała wrażenie, że jakiś głos każe jej wyjść, więc zrobiły sobie spacer do Saluhallen. Kupiły niemiecki chleb na zakwasie, a potem poszły do kawiarni. Poczytały sobie, pograły w gry i przez okna popatrzyły na snujących się po mieście Mikołajów. Angela patrzyła im na buty. Potem poszły do NK<sup>24</sup> obejrzeć świąteczne wystawy. To było bardzo miłe przedpołudnie.

Wracały już do domu, kiedy zaczęła się zastanawiać, czyby nie pójść jeszcze do parku koło uniwersytetu. Były po przeciwnej stronie Vasaplatsen i wtedy zobaczyła, że do ich bramy wchodzi Mikołaj.

– Ojej, ściskasz mi rękę! – powiedziała Elsa.

Angela powiedziała, że nie bardzo pamięta, co było dalej. Poszła z dziewczynkami do parku i próbowała się do niego

---

24 NK – Nordiska Kompaniet, elegancki dom towarowy działający od ponad stu lat w Sztokholmie i w Göteborgu.

dodzwonić, ale ciągle miał zajęte. Widziała śmierć wchodzącą do ich bramy.

– A potem zobaczyłam ciebie na balkonie – powiedziała.

Znów wstał. Był w pokoju matki w hospicjum, przy ulicy, której nazwy nie znał. Towarzyszyło mu wspomnienie zimnego potu, koszmarne wspomnienie, i śmierci wdzierającej się w jego życie.

Wtedy sprawa dotyczyła dzieci, a w takich przypadkach coś się z nim działo, coś, co poruszało go fizycznie i wykraczało poza jego człowieczeństwo.

Myśłami był w domu nad morzem, niedaleko wyspy. Za nim wznosiła się nieduża górka. Dom stoi w nocy samotnie i tak już zostanie, a on wkrótce też stanie tam po raz ostatni, ale nie będzie sam, i dojdzie do walki.

PRZED POŁUDNIEM SIV WINTER straciła przytomność po raz ostatni. Trzymał ją za rękę. Wydawało mu się, że poczuł jeszcze ostatni, lekki uścisk, i na pewno tak było. Okno było uchylone na toczące się na zewnątrz życie, na słońce, tak jak chciała. Ulicą przejechał samochód na wysokich obrotach. Rozległ się czyjś śliczny śmiech. Brzmiał tak, jakby pokonał długą drogę, a miał przed sobą jeszcze dłuższą, w góry, obok domu, przed którym rosły trzy palmy. Zauważył, że przestała oddychać. Ogarnął go smutek, ale nie było tak źle. Dzieciom, może nawet Angeli, było ciężej.

– Będzie mogła spocząć obok Bengta – powiedział.

– Tak będzie dobrze – odparła Angela.

– Bardzo dobrze.

Po chwili wyszli. Byli tylko we dwoje.

– Chodźmy do kawiarni – powiedział. – Strasznie chce mi się pić.

– Mnie też się coś przyda – odparła.

Wyszli na uliczkę. Było spokojnie, pachniało słońcem i cementem. Po drugiej stronie był plac budowy, ale Winter ani razu nie widział tam pracujących ludzi. Podniósł wzrok, spojrzął na pierwsze piętro. Okno pokoju matki nadal było uchylone. Przypuszczał, że tym razem nastąpi koniec, i miał rację. Został sierotą. Tak już jest, to nie on jest tu najważniejszy.

W przecznicy blisko portu trafili na maleńki bar. Jakoś się uchwalił, mimo modernizacji całego Puerto Banús. Zamówił dwa piwa z beczki. Usiedli na szczebelkowych krzeselkach stojących przy jedynym stoliku, przed barem. Byli jedynymi gośćmi, dopiero co otworzyli lokal. Stojąca za ladą kobieta klóciła się z kimś przez telefon. Mówiła szybko, po andaluzyjsku.

– Chyba z nastoletnią córką – powiedziała Angela. – Nie

poszła do szkoły, wykręciła się bólem głowy.

– Słyszę – powiedział. – *Cabeza*<sup>25</sup>.

Wypił łyk piwa. Angela też.

– Jak się czujesz, Eriku?

– Sam nie wiem – odparł. – Dobrze tak posiedzieć.

– Tak.

– Nie cierpiała – powiedział. – Dobrze i to.

– Oczywiście.

– Siedemdziesiąt lat to trochę młodo – ciągnął. – Ona wcale nie miała ochoty się odmeldować. Kochała życie.

– To prawda.

Minęło ich dwóch panów w średnim wieku. Weszli do baru, zamówili kawę i brandy. Jeden mówił drugiemu coś o pilce nożnej. Malaga dostała pieniądze na zmontowanie drużyny z prawdziwego zdarzenia, ale na dłuższą metę i tak nic z tego nie będzie.

– Dla nas dużo się teraz zmieni – powiedziała Angela po chwili.

– Nie zostajemy tu na dobre – odparł.

– Pewnie musisz wracać.

– Niedługo znów tu będę. Nie tylko ze względu na pogrzeb.

– Nie wiesz tego.

Istotnie, nie wiedział. Ciągle się coś działo i ciągle się czegoś uczył.

W kieszeni na piersi zawibrowała komórka. Spojrzał na wyświetlacz.

– Bertil – powiedział. – Mogę odebrać?

– Oczywiście – odparła. – Jeśli chcesz.

– Tak, słucham.

– Co u was?

– Już po wszystkim, Bertilu.

– Bardzo mi przykro. Współczuję wam.

– Dziękuję.

– Uściskaj ode mnie Angelę.

– Uściskam. Przed chwilą wyszliśmy z hospicjum.

– Bardzo lubiłem Siv.

---

25 Hiszp. głowa.

- Ona ciebie też, Bertilu.
- Potem do ciebie zadzwonię.
- Nie, nie. Co miałaś do mnie poza pytaniem, co u nas?
- Byłem w Tångudden... i ktoś mnie obserwował. Jestem tego pewien, bo kiedy się do niego odezwałem, pomknął jak strzała. To musiał być ten sam osobnik, którego ścigałeś samochodem od Frölunda torg.
- To bardzo prawdopodobne.
- Zastanawiam się, dlaczego on się tak podkłada.
- Może właśnie o to chodzi.
- Nie wierzę, że chce, żebyśmy go złapali.
- Może to jakiś rodzaj przymusu wewnętrznego – powiedział Winter. – Że musi być o krok przed nami.
- Też nie, Eriku. To coś więcej.
- Wiesz o czym niedawno rozmyślałem? O Mikołaju.
- O kurwa.

Winter zauważył, że Angela uniosła brwi. Nie chciał jej przypominać tej historii, ale właśnie to zrobił. Kilka razy sama do niej wracała. Może właśnie dlatego dwa lata temu z entuzjazmem zgodziła się na przeprowadzkę na Costa del Sol. I dlatego entuzjazm jej nie opuszczał.

- Skoro mowa o podkładaniu się – dodał Winter.
- Nie mamy żadnych wiadomości, jeśli nie liczyć tego zdjęcia.
- Robertsson – powiedział Winter.
- Słucham?
- Bert Robertsson. Co on teraz robi?
- Pewnie pije, chyba że jest trzeźwy – odparł Ringmar.
- Sprawdź go jeszcze dziś – powiedział Winter. – Jakoś mnie nie przekonał.
- Czy którykolwiek osobnik związany z tą sprawą potrafił nas przekonać, że jest winny albo niewinny?
- Często używasz określenia osobnik, Bertilu. Dlaczego?
- Może dlatego, że jest dostatecznie bezosobowe.
- Pojedź do Robertssona.

Ringmar i Halders pojechali do Robertssona. Zadzwonili do drzwi, ale nikt nie otwierał. Halders wałnął pięścią. Odczekali chwilę. Ringmar zadzwonił jeszcze raz. Wyraźnie słyszeli dzwonek w mieszkaniu. Robertsson musiałby go słyszeć, chyba że się upił do nieprzytomności. Nie odbierał telefonu, ani stacjonarnego, ani komórkowego.

– Sytuacja jest krytyczna – oznajmił Halders. Potrzebował zaledwie kilku sekund, żeby otworzyć zamek wytrychem. Był prawdziwym ekspertem w tej dziedzinie. Zawsze nosił przy sobie komplet wytrychów. Zresztą to był zamek starego typu.

Sprawdzili w pokojach, Berta Robertssona nie było. Mieszkanie było wysprzątane porządniej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

– Oczekiwałem najgorszego – powiedział Ringmar.

– Erik pewnie też – odparł Halders.

– No to gdzie on jest?

– I z kim?

– Uważał, że ktoś go śledzi. Ale to nie my.

– I rano nie rozniósł gazet. Erik coś przeczuwał.

– Facet się boi. A może jest jeszcze gorzej.

– Co robimy?

– Jedź do Långedrag.

Halders pojechał najpierw Torgny Segerstedtgatan, objechał klin Hinsholm, a potem z Saltholmsgatan skręcił w Sextantgatan.

Egil Torner mieszkał przy Sextantgatan. To oczywiste. Sam, był wdowcem.

W jego stosunkach z córką był jakiś problem. Czy został rozwiązany? Czy w ogóle był rozwiązywalny? Sandra Mars im tego nie powie.

Torner czekał przed domem. Ringmar go uprzedził, zadzwonił z Brottkärr.

Kiedy do niego jechali, zza chmur wyszło słońce. Z każdym dniem nabierało coraz więcej pewności siebie. Niedługo będzie można chodzić bos, pomyślał Halders, kiedy na wysokości

Fiskebäck musiał założyć okulary.

– O tej porze zwykle idę na spacer – powiedział Torner.

– No to chodźmy – odparł Ringmar.

– Może za chwilę będziemy mogli porozmawiać – dodał Torner.

Poszli uliczkami prowadzącymi do portu. Minęli niewielką stocznię, przeszli mostem do budynku klubu GKSS<sup>26</sup>. Restauracja na piętrze była otwarta. To był inny świat, inny niż stocznia w Tångudden, większy i bogatszy, w sam raz do pokazywania turystom, żeglarzom. Nieopodal znajdowała się zmartwychwstała w nowym budynku gospoda Långedrag Vårdshus, szykowna jak cholera i droga. Ale zupełnie nie spełnia oczekiwań, pomyślał Halders. Zeszłego lata był tam raz z Anetą i dziećmi, żeby już więcej nie wrócić.

Wyszli na jeden z pomostów. Cumowało przy nim jeszcze kilka łodzi, reliktyw epoki lodowcowej.

– Mam dość tego miejsca – powiedział Torner, gdy doszli do końca pomostu.

– Chodzi panu o ten port? – spytał Ringmar.

– O wszystko.

– Dlaczego? – spytał Halders.

– Nie da się odpowiedzieć jednym zdaniem.

– To proszę po kolei.

– Już nie czuję się tu u siebie. Okej, mieszkam tu, zresztą pewnie za późno na przeprowadzkę.

– Córka pana tutaj odwiedzała? – spytał Ringmar.

Torner odwrócił się do niego.

– Dlaczego pan pyta?

– Miał pan dobry kontakt z córką?

– Co on wam powiedział?

– Kto?

– Jovan oczywiście.

– A co miał powiedzieć?

– Mnie pan pyta? – odparł Torner.

– Tak.

---

<sup>26</sup> GKSS – Göteborgs Kungliga Segel Sällskap, Królewskie Towarzystwo Żeglarskie w Göteborgu.

- Na pewno coś złego. O mnie.
- Dlaczego miałby powiedzieć o panu coś złego?
- On... do nas nie pasował. Wiedział to. I wykorzystał.
- Co wykorzystał?

Torner nie odpowiedział. W oddali, na wysokości twierdzy Nya Älvsborg, płynął prom do Danii. Torner miał minę, jakby chciał się znaleźć na pokładzie.

– Nastawił ją przeciwko mnie – powiedział Torner, wpatrując się w prom.

- Jak miałby to zrobić?

Torner spojrzał na Ringmara, potem na Haldersa.

- Dla złego człowieka nic nie jest niemożliwe – odparł.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „zły człowiek”? – spytał Halders.

– Mnie pan pyta? – zdziwił się Torner. – To wy się na tym znacie.

- W takim razie wszyscy się znają – odpowiedział Halders.

- Znają się na swoim własnym złu – stwierdził Torner.

- A jak wygląda pańskie zło? – spytał Ringmar.

– Jest bardzo banalne – powiedział Torner. – Kiedy byłem młody, myślałem tylko o sobie. Założyłem rodzinę, ale się nie zmieniłem. Kariera, pieniądze, wszystko to bardzo powierzchowne.

- I to jest zło?

– Ignorancja, arogancja, wszystko to samo. Starszy brat Sandry popełnił samobójstwo, pewnie wiecie o tym, co? Jasne, że wiecie, przecież to fakt. Miał na imię Martin. Mówili, że z powodu depresji. To niby miała być okoliczność łagodząca. Czy ja wiem... Utopił się tu, w tych wodach. Wtedy przeniosłem się z łódką do Tångudden, że niby to inne wody, bo rozdziela je Västerberget. – Spojrzał na Ringmara. – Domyślam się, że ma pan dzieci. Dorosłe?

- Tak.

- Jaki ma pan z nimi kontakt?

- Z córką dzwonicmy do siebie. Z synem nie jest za dobrze.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu jakiegoś banalnego zła – odparł Ringmar.



- Próbuje to odtworzyć w pamięci.
- Możemy już wracać?
- Ma pan jakiś kontakt z zięciem?
- Od pogrzebu nie miałem. Widziałem pana na pogrzebie. Był pan z takim jednym, nie znam go.
- Zgadza się.
- Wypatrzyliscie kogoś, kogo nie powinno tam być?
- Wcześniej ja pytałem o to pana – zauważył Ringmar.
- A teraz ja pytam.
- Nie mogę odpowiedzieć.
- To znaczy, że nie – stwierdził Torner. – Nie było nikogo, kto by wyglądał na mordercę.
- Widział pan wnuczkę?
- Od pogrzebu nie. Między innymi o tym teraz myślę. Chciałbym ją zobaczyć.
- Może teraz? – zaproponował Ringmar. – Moglibyśmy razem tam pojechać.
- Jutro – odparł Torner i ruszył na ład.

Gerda siedziała nad papierami. Rozłożyła je na stole w salce konferencyjnej. Pokrywały cały blat, jak karteczki post it na ścianie. Tak teraz pracowała: rozkładała papiery w porządku chronologicznym. Sama nie wiedziała, skąd jej się to wzięło. Uwieczniała to na zdjęciach. Swoje przemyślenia nagrywała dyktafonem. Mówiła do niego, chodząc po pokoju, w którym nikt jej nie przeszkadzał.

Miała nadzieję, że w pokoju na piętrze w domu Marsów coś znajdzie. Wierzyła, że na gładkiej podłodze został jakiś ślad, choćby cień śladu, ale ludzie Torstena nic nie znaleźli. Mimo to nie pożegnała się z myślą, że ktoś tam był, że miała rację. W końcu wszyscy zrozumieją, że nawet coś takiego da się objąć rozumem.

W altanie był niedopałek, ale śladów DNA nie mieli z czym porównać. Nie mieli również noża ani żadnego innego narzędzia zbrodni. Wolałyby je zobaczyć, choć może to dziwne. Nóż albo coś większego, nieoczyszczone, z nieusunętą rdzą.

Może już leży na dnie morza. Ale nie wierzyła w to. To tak jak z szukaniem klucza: człowiek wie, że gdzieś jest, i czeka.

Zadzwoiła jej komórka, połączenie wewnętrzne.

– Gerdo, ktoś do ciebie, jakiś mężczyzna – powiedziała kobieta z centrali.

– Okej, przełącz.

Usłyszała głos:

– Halo?

– Gerda Hoffner, słucham.

– Cześć, mówi Jens. Jens Likander.

– Cześć.

– Chciałbym spytać, co pani robi dziś wieczorem.

KIEROWCA TAKSÓWKI, KTÓRĄ JECHAŁ DO MIASTA, był z tych milczących. Winter był mu za to wdzięczny. Zrekompensowało mu to zapach papierosów w samochodzie. Był młody, ale raczej nie miał co liczyć na to, że dożyje siedemdziesięciu pięciu lat. Winter widział przed nim paczkę papierosów. Nie powiedział nic o zapachu. Co mu będzie mówił?

Wysiadł przed centralą Swedbanku na Södra Hamngatan i zapłacił. Obszedł róg.

Ringmar czekał przed cukiernią Alströms.

– Już byłem w środku. Nasz ulubiony stolik jest wolny, położyłem tam szalik.

– Dobrze, że tym razem nie musiałeś przeganiać emerytek.

– Jak podróż?

– Długa i nieprzyjemna.

Ringmar zrobił krok i objął go.

– Dziękuję ci – powiedział Winter prosto do jego ucha.

Ringmar opuścił ręce.

– Mają jeszcze napoleonki – powiedział, odwracając się do drzwi.

– Nie możemy znaleźć Robertssona – powiedział Ringmar, gdy już siedzieli przy stoliku pod oknem. – Zawiadomiłem radiowozy. Dzielnicowa policja z Frölundy wszczęła poszukiwania. Może to coś da.

– Nic nie da.

– Dlaczego tak uważasz?

– Robertsson na pewno nie żyje. Poszukiwania mogą nas doprowadzić do kogoś, kto go widział ostatnio, ale nie zwróca go nam. On już jest z Robinem.

- Mówisz o tym z przekonaniem.
- Tak. Ci chłopcy byli bez szans.
- Wobec kogo?
- Wciąż nie widzę jego twarzy – powiedział Winter.
- Chyba że jest ich więcej.
- Chyba że tak.
- Spotkałem się znów z ojcem Sandry.
- Co to za człowiek?
- Dla nas nikt.
- W jakim sensie?
- Nieszczęśliwy niewinny człowiek – odparł Ringmar.
- Niewinny?
- W tej sprawie.
- Jeszcze z lotniska, z Malagi, dzwoniłem do Torstena – powiedział Winter. – Jest materiał do porównania, ale nie ma z czym porównać. Nie był zmartwiony, po prostu stwierdził fakt.
- Chcesz powiedzieć, że nie ma żywych, których można by porównać.
- Tak, nie mamy winnych.
- I tu wkraczamy my ze swoim tropicielskim instynktem – stwierdził Ringmar.
- Będzie mi kiedyś brakowało tych rozmów – zauważył Winter.
- To kiedyś nigdy nie nadejdzie. Aż tak banalni nie będziemy. My się nie zaliczamy do zwykłych zjadaczy chleba, Eriku.
- Teraz mówisz zupełnie jak ja.
- Ringmar dłużej w ciastku. Zjadł tylko połowę. Żaden z nich jakoś nie miał apetytu. Winter prawie nie ruszył swojej filiżanki. W samolocie wypił za dużo kawy.
- Runstig chodzi na spacerze ze szczeniakiem – powiedział Ringmar po chwili.
- I jak, wygląda to naturalnie?
- Chłopcy ze śledczego mówią, że wyglądają na szczęśliwych, zwłaszcza on.
- To bardzo dobrze. Zrehabilitowaliśmy go.

- Jeszcze nie raz się na niego natkniemy. Wydaje się, że polubił Amundön.
- Znów tam byłeś?
- Od twojego wyjazdu nie.
- Jedźmy tam – powiedział Winter, wstając.

Miał wrażenie, jakby bardzo dawno tam nie był. Od kilku dni w jego życiu tyle się działo, tyle było wspomnień, że czuł się tak, jakby to było inne wcielenie. Ale trwało to tylko kilka sekund. Potem wszystko wróciło: obrazy z domu, gdy wszedł tam po raz pierwszy, i to, dlaczego znów tam stał. Na tym polega jego praca.

Niebo miało tego dnia barwę ołowiu i wyglądało jak część dachu domu.

Winter wszedł do pokoju dzieci i stanął przy oknie.

Ktoś mnie widział z zewnątrz, kiedy tu stałem.

Kiedy zamordowałem kobietę i jej dzieci.

Odwrócił się, wyszedł do przedpokoju, wszedł do dużego pokoju, znów do przedpokoju, potem do sypialni, jeszcze raz do przedpokoju i z powrotem do pokoju dzieci. Ringmar był na piętrze. Słyszał jego kroki. Wydawały się... niespokojne.

Znów stanął pod oknem.

Przyszedłem, żeby ją zabić. Żeby z nią porozmawiać. Upomnieć ją. Nie. Zamordować. Ukarać.

Dzieci mnie widziały.

DZIECI MNIE WIDZIAŁY.

Co miałem zrobić?

Widziały narzędzie zbrodni.

CO JA MIAŁEM ZROBIĆ?

Wszedłem.

Wiedziałem, że jest tu małe dziecko.

Byłem tu wcześniej.

Łóżeczko stało tutaj, przy oknie.

Zobaczyłem kogoś na dworze.

Ktoś mnie zobaczył.

W pokoju nie paliło się światło.

Palilo się w przedpokoju.

Wystarczyło.

Ktoś przechodził. Ja stałem tutaj. Ten ktoś mnie rozpoznał.

Po prostu przechodził. Nie było nic do oglądania.

Nie miałem pewności.

– Eriku!

Głos Ringmara doszedł z góry, przewiercił się przez podłogę jak wiertarka.

Winter wszedł po schodach. Nie liczył stopni, już nie czuł potrzeby.

Ringmar wciąż stał przy oknie w pokoju małego Erika.

Kiwnął głową, wskazał na altankę stojącą w połowie drogi na górkę. Ależ to było blisko.

– Widzisz to samo co ja? – spytał.

Winter zobaczył, że ktoś tam siedzi. W obu oknach altany widać było cień.

– Stoję tu od pewnego czasu, ale nie ruszył się.

– Zesztywniał ze strachu – powiedział Winter.

– To nie ze strachu, to od czegoś innego – odparł Ringmar.

Winter zmrużył oczy, spojrział. Rzeczywiście ktoś tam siedzi, sylwetka człowieka, jakiś osobnik.

– Zostań tu, ja pobiegnę.

Zbiegł po schodach. Wybiegł z domu, pobiegł przez działkę sąsiadów, którzy znów wyjechali na południe, do słońca, w górę po zboczach i do altany. Otworzył drzwi, zobaczył plecy siedzącego i już wiedział kto to. W oknie na dole widział twarz Ringmara. On też go zobaczył i natychmiast zniknął. Winter przeszedł po rozsychniętej się podłodze i spojrział na siedzącego Berta Robertssona. Strużka śliny spływała mu z ust aż na pierś. Wyglądało to tak, jakby to była długo ćwiczona sztuczka. Oczy miał zamknięte, w altanie mocno cuchnęło alkoholem. Oddychał równo. Był idealnie usadowiony na zwykłym krześle, co samo w sobie było sztuką, bo był zalany w trupa. Obok niego na podłodze stała pusta butelka blended whisky. Po prostu idylla. Winter usłyszał, jak Ringmar człapie pod górkę. Odwrócił się do niego.

– To rzeczywiście było od czegoś innego, Bertilu. Od jego

lekarstwa.

- Żyje?
- Zalany w sztok, ale żyje.
- Po co tu przyszedł?
- Bo to jedyne miejsce, z którego mógł go obserwować.
- Kogo?
- Tego, kto obserwował jego.

Ringmar stanął obok Wintera.

– Wygląda, jakby mu się śniło coś miłego – zauważył. – Już myślałem, że go straciliśmy, że poszedł do nieba dla roznościcieli gazet.

– Mnie się dzisiaj śniło, że siedzę na jakimś podwórzu, dookoła domy, w jakimś dużym mieście, i piszę – powiedział Winter. – Mogło to być w Kungsladugård, ale miasto było znacznie większe. Przy stole siedziało kilku obcych. Rozmawiali, a ja zapisałem, co powiedział jeden z nich. Pamiętam dokładnie. Nigdy dotąd mi się to nie zdarzało.

– Co powiedział?

– Jest różnica między rzeczywistością a tym, jak ją postrzegamy.

– I zapisałeś to zdanie? W tym śnie?

– Tak.

– Przyda ci się do czegoś?

– Może się wydać banalne, ale wcale nie jestem pewien, że jest.

Gerda spotkała się z Jensem Likanderem w barze w Linné<sup>27</sup>. Nie знаła miejsca, które zaproponował. Raczej nie bywała w barach. Ale ten wyglądał przyjemnie. Duży, przestronny i jasny. Kontrastował z szarówką na dworze. Przyszła za wcześnie, więc weszła i wyszła, pospacerowała po okolicy. Nadal panowało przedwieczorne ożywienie. Niemal czuło się wiosnę, pachniało życiem.

– Przepraszam za natarczywość – powiedział Likander.

---

27 Linné – dzielnica w centrum Göteborga.

– Dla mnie to też nowa sytuacja – odparła.

– Jesteśmy po pracy – dodał.

Nie miała na to dobrej odpowiedzi.

– Nie będziemy rozmawiać o pracy. – Uśmiechnął się.

– Czego się napijesz?

– Czy ja wiem... małe piwo. Przyjemne miejsce.

– Znam właściciela. Drinki powinny być dobre.

– Jednak pozostanę przy piwie.

Dał znak barmanowi, barman skinął głową. Wyglądali na zaprzyjaźnionych. Może Likander stacjonuje tu po pracy. Chociaż nie wygląda na faceta, który by po nocach przesiadywał w barach. Wygląda na kogoś... otwartego jak ten bar. Otwartego i jasnego. Powinna być ostrożna. Nie ma za dużo czasu.

Od bardzo dawna nie była z mężczyzną. W ogóle o tym nie myślała, aż do teraz.

Barman podał jej piwo, nie знаła tego gatunku. Otworzył butelki przy stole, nalał do szklanek i postawił na tekturowych podstawkach w palmy. Powtarzający się dekoracyjny motyw, dyskretnie tropikalny. Przypomniała sobie, że lokal nazywa się Western & Oriental.

– Jesteś z Göteborga? – spytał.

– Można tak powiedzieć. Ty też?

– Tak. Z Guldheden.

– W dzieciństwie mieszkałam w Kungsladugård.

– Ładnie tam.

– W Guldheden też.

– Pod warunkiem że komuś się podoba Doktor Fries torg.

– Mnie się nawet podoba – powiedziała. – Jest taki...

zwyczajny.

– Masz rację – przyznał i podniósł szklankę. – Zwyczajny. No... na zdrowie.

Gerda podniosła szklankę i nic nie mówiąc, wypila łyk. Piwo miało słodkawy smak, tak jak się spodziewała. Stryj Willy ze Stuttgartu wypułby i wymyślał barmana.

– W pracy wciąż wszyscy... są w szoku – powiedział.

– To zupełnie zrozumiałe.



- Ale mieliśmy nie rozmawiać o pracy.
- Czasem trudno tego uniknąć.
- Dużo pytań ci zadają?
- O co? Kto?
- Ludzie. Przyjaciele. O twoją pracę. Jest dość niezwykła.
- Nie ma o czym rozmawiać.
- No tak.

Wypili po łyku.

– Pewnie czasem ci ciężko, kiedy nie masz z kim pogadać – zauważył, odstawiając szklankę. – Na przykład kiedy wracasz do domu.

– Chcesz powiedzieć... jak się nie ma kogoś, z kim można nie rozmawiać?

Uśmiechnął się. Zrozumiał.

– Może jeszcze jedno piwo? – spytał.

– Jeszcze nie.

– Jeśli chcesz, moglibyśmy potem pójść coś zjeść.

– Dokąd?

– Czy ja wiem... na przykład do Pellego. U Pellego zawsze wieczorem mają domową kuchnię. Naprawdę dobrą.

– Pozwól, że się zastanowię – powiedziała.

– Ja się nie zastanawiałem.

Anecie udało się w końcu dodzwonić do drugiej przyjaciółki Sandry Mars.

– Liz Berg, słucham.

Aneta się przedstawiła.

– Trudno się do pani dodzwonić – zauważyła.

– Przecież niedawno rozmawiałyśmy?

– Tak, bardzo krótko.

– Stało się coś nowego?

– Chciałam panią spytać o znajomych Sandry.

– Słucham?

– Z kim się spotykała.

– Z bardzo niewieloma osobami. Tak chciała.

– Spotykała się z jakimś mężczyzną?

W słuchawce zapadła cisza.

Aneta powtórzyła pytanie.

– Chodzi pani o to, czy zdradzała męża?

– Nie wiem, czy tak było. Pytam tylko, czy spotykała się z jakimś mężczyzną. W wolnym czasie. Albo w pracy. Może coś pani o tym mówiła.

– Nie wiem... może i się spotykała.

– Skąd pani wie?

– Nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Dlaczego nie powiedziała mi pani o tym poprzednim razem?

– Bo pani nie pytała.

– O Boże! – wykrzyknęła Aneta.

– Przepraszam, jeśli popełniłam błąd.

Przepraszam, przepraszam. To również moja wina, nawet bardziej moja, pomyślała.

– Mogłaby pani uściślić? Wymieniła jakieś nazwisko?

– Nie.

– Powiedziała, jak wygląda?

– Ja... nie pamiętam.

– Niech się pani zastanowi. Zadzwoń jeszcze.

NA ŁAWCE NA PLACU ZABAW siedział mężczyzna. Był sam. Nawet nie spojrzął, kiedy go mijali.

– Przecież to Krol – powiedział Winter.

Podeszli. Robert Krol odwrócił się do nich powoli. W oczach miał łzy.

– Tak tu teraz pusto – powiedział. – Dzieci już nie przychodzą.

– Naprawdę? – odezwał się Ringmar.

– Niech się pan rozejrzy. Smutne miejsce. Brakuje mi tych dzieci. Jak się ma Greta?

– Słucham? – zdziwił się Winter.

– Ta malutka – wyjaśnił Krol. – Greta.

– Dobrze. Jest u taty.

– Brakuje mi tych dzieci – powtórzył Krol, wstając.

– Widziałem was przy starej altanie Carlbergów.

– Gdzie my nie bywamy w związku z tą sprawą! – odparł Winter.

– Przechodziłem przedtem i widziałem, że ktoś tam siedzi.

– Pijak – powiedział Ringmar. – I nie poszedł pan sprawdzić?

– Nie.

– Dlaczego?

– Zdarza się, że ludzie tam siedzą, niby odpoczywają. Nie moja sprawa.

– Co za ludzie?

– Sam pan powiedział.

– Pijacy? Już się zdarzało?

– Dziwi się pan, że w takiej idylli?

– Można by gdzieś bliżej – zauważył Ringmar.

– Jak on tu trafił?

Ringmar wzruszył ramionami.

– Znacie go? – spytał Krol.

– To wasz roznosiciel gazet – odparł Winter. – Pewnie dlatego wolał dać upust swemu nieszczęściu tutaj.

– Wszyscy się tu zbieramy – powiedział Krol.

– Widział pan, żeby Sandrę odwiedzał jakiś mężczyzna? – spytał Ringmar.

– Tutaj?

Ringmar kiwnął głową.

– Nie – odparł Krol. – Jak miałbym to zobaczyć?

– Sprawia pan wrażenie, jakby pan wszystko widział – powiedział Winter.

– Nie, nie. Zresztą dość się napatrzyłem i nasłuchałem. Więcej nie przyjdę na ten plac zabaw. Lepiej posiedzieć w domu.

Powoli przejechała koło nich karetka. Krol odprowadził ją wzrokiem. Winter poszedł za karetką.

– To do tego pijaka? – spytał Krol.

– My nie moglibyśmy go zabrać – odparł Ringmar.

– Wyrzucacie pieniądze na takiego łachudrę? – powiedział Krol i ruszył przed siebie, w stronę morza.

Gerda podziękowała za zaproszenie na kolację. Było całkiem przyjemnie, ale pora wracać do domu.

– Dziękuję za miłe spotkanie – powiedział Likander, gdy wyszli na ulicę. Podał jej rękę.

– Proszę, jak oficjalnie – powiedziała.

– Uważasz mnie za nudziarza?

– Nie.

Spojrzał na swoją rękę.

– Nie wiem, dlaczego tak z tym wyskoczyłem – powiedział.

– Może to nerwowe.

– A jesteś zdenerwowany?

– Trochę się denerwowałem przed dzisiejszym wieczorem.

– Właściwie to jeszcze nie wieczór.

– A ja już się nie denerwuję – powiedział.

– Ja też nie.

– Takie nerwy to niedobry początek – dodał.

– Początek czego?  
– Nie wiadomo – odparł.  
– Na mnie już pora.  
– Odprowadzę cię do Järntorget.  
– Okej.  
– Odprowadzę cię do samego domu, jeśli chcesz.  
– Za daleko, nie chcę cię mieć na sumieniu. Pojadę tramwajem.

Wciąż nie ruszyli z miejsca. Minęła ich karetka, ale nie na sygnale. Pewnie jechała do Sahlgrenska, albo do SU<sup>28</sup>, jak się teraz coraz częściej mówi. Kiedyś tam leżała. Leczyli ją z kilku rzeczy naraz. Głównie z ciężkiego urazu psychicznego po długotrwałym zamknięciu. Nasłuchiwała wtedy coraz cichszych odgłosów i czekała na śmierć. Myślała, że już sobie z tym poradziła, ale chyba jeszcze nie. Już nigdy nie będzie tak jak przedtem. Ona też nie będzie taka jak dawniej.

– Pojadę tramwajem – powtórzyła niepotrzebnie głośno.

Winter i Ringmar pojechali na Tångudden. Był wieczór, jakoś szybko zapadł. W brudnym świetle dźwigi stoczniowe po drugiej stronie rzeki wyglądały jak potwory, ich chwytaki jak ogromne łapy wydzierały dziury w ciemności.

Winter przystanął w szopie na łodzie.

– Po co ona tu przyjeżdżała? – rzucił, jakby pytał ściany. Potem zwrócił się do Ringmara: – Co mówi Torsten?  
– Potwierdza, że tu była. Innych śladów nie znalazł.  
– Facet był ostrożny.  
– Może to przypadek.  
– Byli tutaj razem – powiedział Winter jakby do siebie. – Tu nie było nic złego.  
– Nie mieli powodu, żeby się ukrywać – powiedział Ringmar.  
– W każdym razie nie tutaj – zauważył Winter.  
– I co poszło nie tak?  
– Między nimi? Hm... – Rozejrzał się, ale nie było na co

---

28 SU – Sahlgrenska Universitetskliniken, Klinika Uniwersytecka im. Sahlgrena.

patrzeć. Zamknięte pomieszczenie, które nie pełni już żadnej funkcji, nie cieszy ani nie daje poczucia wolności. Ojciec Sandry opuścił je na dobre. Zamierzał wyjechać z miasta, za granicę. Najpewniej na Costa del Sol. – Co między nimi poszło nie tak? – powtórzył.

– Zazdrość?

– Kto to jest? – powiedział Winter, stając przed szopą. W mdłym świetle starych latarń żwir pod jego nogami mienił się czerwienią i bielą. – Kto to jest?

Ringmar spojrział w stronę budy, która była jednocześnie szopą i tajską restauracją. Za brudnymi szybami widać było dwie głowy, jak w aureoli, jakby coś się unosiło w zatłuszczonym powietrzu.

– Może byli razem aż do końca – powiedział Winter.  
– Naprawdę razem.

– Coś nie nadażam – odparł Ringmar.

– Kochali się aż do końca – wyjaśnił Winter. – Nic się między nimi nie stało.

– Morderstwo w afekcie – odpowiedział Ringmar.

– To nie tak, jak myślimy, ani tak, jak mieliśmy myśleć – zaoponował Winter. Wskazał na Thai Grand Palace.  
– Idziemy pogadać z naszymi świadkami.

Na ich widok Lan zasłoniła usta ręką.

– Nie będziemy jedli – powiedział Ringmar. – Widzę, że już zamykacie.

Lan zawołała coś po tajsku.

– To on! – powiedziała Peggy.

– Co? – zdziwił się Ringmar.

– Ona mówi, że to on przyszedł wtedy z nią – powiedziała Peggy, wskazując na Wintera. – Ten sam profil.

– To nie ja – powiedział Winter.

– Przecież to mój kolega. Już tu był ze mną – przypomniał.

– Jest pan... podobny – powiedziała Lan po szwedzku.

– *I'm not the one*<sup>29</sup> – powiedział Winter.

---

29 Ang. to nie ja.

Już wsiadali do samochodu, gdy z restauracji wybiegła Peggy. Machała ręką.

– Co się stało? – spytał Ringmar.

– Chodzi o ucho – powiedziała.

– O ucho?

– Poznała go po uchu – wyjaśniła Peggy, ruchem głowy wskazując na Wintera.

– Ale on ma oba płatki – zauważył Ringmar.

– Lan źle się wyraziła. Chciała powiedzieć, że jeden płatek miał dłuższy od drugiego. Rozumie pan?

– Nie.

– Jak jej stryjek. Nie brakowało mu jednego ucha, tylko miał różne uszy.

– Może jeszcze coś pani przekręciła? Jak pani myśli?

– Nie... chyba nie.

– Może na przykład ta kobieta wcale nie była z kimś?

– Nie, nie. Była, na pewno.

– I Lan by go rozpoznała?

– Tak.

– Właśnie przed chwilą go rozpoznała.

– To... trudne – odparła Peggy ze zmartwioną miną.

– Przepraszam, to rzeczywiście trudne – przyznał Ringmar.

– Jeszcze z nią porozmawiam – powiedziała Peggy.

– Ma pani mój numer – przypomniał jej Ringmar.

Peggy wróciła do środka, a oni wyjechali na Hästeviksgatan. Szopa wyglądała jak z bardzo starego filmu.

– Kiedyś rosło tu mnóstwo pięknych drzew – powiedział Winter. – Ani jedno nie zostało.

– Szkoda – odparł Ringmar.

– Okazuje się, że mam sobowtóra – powiedział Winter.

Aneta zadzwoniła do Liz Berg. Odebrała już po drugim sygnale.

– Dzwonię trochę wcześniej – powiedziała Aneta.

- Ona... znaczy Sandra... zwiedzała miasto.
- Tak?
- Przypomniało mi się. Mówiła, że ma teraz więcej okazji, żeby zwiedzać miasto. Tak się mniej więcej wyraziła.
- Co miała na myśli? Jak to zwiedzała?
- Tak powiedziała.
- Które części miasta?
- Nie wiem.
- Sama zwiedzała?
- Nie... właśnie to dała mi do zrozumienia. Nic więcej, ale może kiedyś. Tak to odebrałam, że powie.
- I opowie o mężczyźnie, z którym się spotykała?
- Tak. Może.
- Co powiedziała o nim?
- Nic.
- Jeździliście razem w różne miejsca w Göteborgu?
- Nie.
- Jej ojciec miał szopę na łodzie na Tångudden. Opowiadała o niej?
- Nie.
- A co mówiła o Amundövik?
- Że chce się stamtąd wyprowadzić.
- Tak?
- Czowała się samotna.
- Tak powiedziała?
- Tak to odebrałam.
- Mówiła o Amundövik coś jeszcze?
- Wydaje mi się, że się bała. Od naszej poprzedniej rozmowy ciągle o tym myślę.



WINTER OGLĄDAŁ ZDJĘCIA Z MIEJSCA, gdzie zamordowano Robina Bengtssona. Zdjęcia plam krwi z jego mieszkania.

Narzędzia zbrodni nie znaleźli, ale Öberg był pewien, że to nie było to samo ostre narzędzie co w Amundövik. Lekarz sądowy był tego samego zdania. Kształt ran klutych był inny, bo narzędzie było mniejsze i innego rodzaju, nie tak ostre. Robin umierał dłużej. Morderca musiał mu zadać więcej ciosów, niż początkowo zamierzał. Pod tym względem przebieg morderstwa był inny niż w Amundövik, chociaż według Wintera morderca tego nie planował.

Może morderca Robina nie wiedział, jak wyglądał po zbrodni dom nad morzem.

Nie był tam.

Co łączy te sprawy? Winter podszedł do stojącego na podłodze panasonica i jeszcze raz nastawił *History, Mystery* Billa Frisella. Potem usiadł i spojrział na jedno ze zdjęć.

Robin wyglądał po śmierci tak, jakby się nie spodziewał, że to jego ostatnia chwila. Jakby myślał, że to nie o niego chodzi, albo jakby oczekiwał czegoś zupełnie innego. Kogoś innego. Przyjaciela, uśmiechniętego przyjaciela.

Gdzieś po świecie chodzą dwa potwory. Jeden z nich to mój sobowtór. Włącza się w sytuacjach kryzysowych. Jakoś współdziała. Jeszcze nie umiemy tego współdziałania dostrzec. Potrzebujemy jeszcze czegoś, czegoś gwałtownego, choć inaczej. Inaczej, pomyślał. Nie ma współdziałania. To dwa różne zła, niezależne od siebie.

Zadzwonił telefon na biurku. Klasyczny stary sygnał, który przeraża publiczność w kinie: *Herr Kommissar! Herr Kommissar!* Przeciągly, ostatni krzyk ofiary do słuchawki z *Testamentu doktora Mabuse* Langa. Angela przyniosła ten film pewnego jesienno-wieczoru. Oglądali go do późnej nocy

i po raz pierwszy od dawna był pod dużym wrażeniem. Film był prawie tak straszny jak rzeczywistość, może przez to oddalenie w czasie, a może przez dziwne światło. Twarze groteskowe jeszcze za życia. Nie pomogło to, że sam był komisarzem policji.

– Słucham.

– Cześć, tu Aneta. Słyszałam, że jeszcze jesteś.

– Siedzę nad sprawą Robina.

– Rozmawiałam z Liz Berg, przyjaciółką Sandry.

Powiedziała, że Sandra się bała.

– Ale pewnie nie powiedziała kogo?

– Z tego co zrozumiałam, chodziło o Amundövik.

– Bała się u siebie w domu?

– Tak to odebrałam.

– Jovana?

– Spytałam ją. Przed chwilą dzwoniłam do niej jeszcze raz.

Nie umiała powiedzieć, czy Sandra miała na myśli Jovana.

– I ta Liz się nie domyśla, o kogo mogło chodzić

– dopowiedział Winter.

– Zgadza się. Ma tylko poczucie, że coś się nie zgadza.

– Musisz z nią porozmawiać jeszcze raz – powiedział Winter.

– Niech się jeszcze zastanowi.

Christian Runstig przeszedł przez Opalatorget, nie zatrzymując się. Po dwustu metrach zawrócił, przeszedł jeszcze raz. Starał się nie patrzeć na zamglone światła w oddali. Szybko zszedł w dół Grevegårdsvägen do Näsetvägen, poszedł dalej, na południe, obok starej szkoły, minął boiska do piłki nożnej i zatrzymał się dopiero, gdy doszedł do zatoki Välen. Wiedział, że tak się nazywa. Bawił się tam w dzieciństwie, łowił ryby. Wtedy było inaczej, żadnych czarnuchów straszących człowieka, który wraca do domu.

Historia z Opalatorget napędziła mu potężnego stracha. Było się nad czym zastanawiać. Wszystko rozegrało się tylko i wyłącznie w jego głowie. Naprawdę przerażające. I jeszcze to, co się stało potem... i jeszcze przedtem...

Nachylił się. Z mokrej, rozmięklej ziemi podniósł kamyk i rzucił daleko przed siebie. Usłyszał chlupnięcie, taki spokojny odgłos, jak wtedy, gdy perkoz daje nura pod wodę. Dawniej widywał tu perkozy, nadawał im nawet imiona. To było chyba tego lata, gdy miał dziewięć lat. Ostatniego, najlepszego lata, zanim wszystko się spieprzyło. Zanim wszystko zaczęło go złościć, zanim wszyscy stali się w jego oczach idiotami. Podniósł jeszcze jeden kamyk i rzucił w czerń, tam gdzie była woda, która oczywiście była połączona z Askimsviken i przepływała obok przekłetej Amundön. A wszystko zaczęło się od dobrego uczynku. Chciał kupić żonie pieska, zrobić jej niespodziankę.

Winter zajrzał do aresztu, do Berta Robertssona. Zajrzał. Takie miłe słówko, jakby przyszedł go utulić przed snem.

– Zdaje się, że to było tylko lekkie zatrucie – powiedział do niego.

Robertsson siedział na łóżku, obejmował głowę rękami.

Podniósł wzrok.

– Ale urwał mi się film – odparł. – Jak ja się tam znalazłem?

– Nic nie pamiętasz?

– Pamiętam, że jechałem do domu, a potem już nic.

– Czyli ktoś cię odtransportował do Amundövik, tak?

– Najwidoczniej. – Spojrzał na Wintera. – Miał pan kiedyś taką dziurę w pamięci?

– Nie od alkoholu.

– Prawda, jest pan policjantem, czasem dostaje pan łomot. To wchodzi w zakres pańskich obowiązków. Ale myślę, że pan kłamie.

– Ja kłamie?

– Dobry alkohol też tak działa, wie pan? Nawet bardziej. Albo gorzej. Dobra whisky to najgorsze gówno.

– Diabelski wynalazek – powiedział Winter.

– Co?

– Mówię, że whisky to diabelski wynalazek.

– Okej, okej, niech pan mówi, jak pan chce.

– Powiem ci, Bert, że nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

Gerda zaparzyła sobie herbatkę ziołową, która zazwyczaj lekko ją uspokajała. Tak jak napisano na opakowaniu. Coś ją niepokoiło. Właściwie nie niepokoiło. To było co innego. Nie umiała tego nazwać, ale, rzecz jasna, chodziło o tego faceta. Odtworzyła to w myślach: poznali się, gdy wezwała go na przesłuchanie. Był jedną z wielu osób, które przesłuchiwała. Wcześniej nie pojawił się w tej sprawie, po prostu był jednym z pracowników, jedną z osób, które znały Sandrę Mars, jednym z jej kolegów z pracy.

Nie ma żadnych przepisów, które by zabraniały spotkania się z osobą przesłuchiwaną w ramach wstępnego śledztwa, jedną z tysiąca. To nie było tak, że rozmawiali w areszcie, a potem ona zabrała go do knajpy, a później do domu.

Nie zaprosi Jensa do domu, no skąd.

Nie pójdzie do niego, no skąd.

Napila się herbatki. W tle brzęczało radio. Tworzyło podkład dźwiękowy, który też uspokajał. Zawsze miała włączone radio i nigdy go nie słuchała.

Tramwaj stękał, wspinając się na Sannabacken. Kojący odgłos. Deszcz bębnił o szyby, też kojąco. Nie myślała o Amundövik. Uświadomiła to sobie po krótkiej, może kilkuminutowej przerwie w myśleniu; kojącej.

*Nie można dzielić słuchacza w łeb, skandując tekst już od samego początku – słuchacz musi się najpierw przyzwyczaić, zrozumieć, że w tej niezwyklej strukturze dźwiękowej tkwi metoda – muzyka Coltrane’a nie jest abstrakcyjna, jest częściowo sterowana jęgo przesłaniem.*

Coltrane rozpoczął swoją mantrę poza zasięgiem mikrofonu: ... *supreme... love supreme... a love supreme*. Producent poprawia mikrofon, teraz wszystko słyszemy. Improwizowany recytatyw na tle saksofonu tenorowego, nagle odzywa się głos Coltrane’a, jedyny możliwy i logiczny ciąg dalszy.

Muzyka rozbrzmiewała w całym mieszkaniu, głośno i przejrzyście, odpowiadając na przesłanie, na które Winter czekał, wyęzając słuch. Robił to już kiedyś i kiedyś mu się udawało.

Zamrugnął wyświetlacz komórki. Ściszył muzykę.

– Angelo.

– Jak się czujesz?

– Niedawno wróciłem do domu.

– Nie o to pytałam.

– Jest okej.

– Byłam dziś z dziewczynkami na Virgen del Carmen.

– Dobrze.

– Będzie dobrze – powiedziała. – Cementarz jest dziś tak samo piękny jak... wtedy.

– Więc jesteśmy związani z Marbellą na dobre. Jest już decyzja sądu?

– Będzie jutro.

W Hiszpanii formalną zgodę na pogrzeb wydaje sąd. Nie to co pod koniec lat trzydziestych. Matce będzie dobrze na Cementario Virgen del Carmen, w piniowym gaju na północ od miasta, w pobliżu białej góry.

– Jakbym słyszała Johna w tle – powiedziała.

– Jesteśmy tu tylko we dwóch.

– I jeszcze młody mister Glenfarclas, zaledwie dwudziestoletni.

– Zupełne dziecko – odparł Winter. – Jakbym porwał niemowlę.

– No to daj spokój – powiedziała.

– Absolutnie – odparł.

– Ile palców było dzisiaj?

– Ani jednego. Mówiłem ci, dopiero co wróciłem do domu.

– Będziesz siedział do późna?

– Już jest późno.

– No to nie siedź za długo.

– Czuję, że coś się stanie – powiedział.

– Dziś w nocy?

– Niedługo. Znów jakaś przemoc.

– Nie chcę, żebyś tam był – powiedziała. – Chcę, żeby to się skończyło.

– Już niedługo. Bardzo niedługo.

Pisał scenariusze na laptopie, dokument za dokumentem, plik za plikiem. Nazwiska. Chronologia. Wszystko się zlewało, ale nie dlatego, że się łączyło, że wynikało jedno z drugiego. Widział coraz gorzej.

Huczalo mu coraz bardziej w głowie i nie była to muzyka. To szło ze środka, jeden niekończący się ryk.

Nalał sobie jeszcze whisky, na półtora palca, tyle co nic. Ta odrobina na pewno uciszy ryk w jego głowie. Wypił łyk. Whisky smakowała miodem i sherry, mogła to być Sevilla. Mógłby stać na balkonie w *Semana Santa*<sup>30</sup>, przepelniony miłością do wszystkiego, z matką u boku. Machaliby razem do ludzi, którzy zostali jej krajanami. Ona stała się jedną z nich, z tej samej ziemi, matko, mamó, nie potrafił tego powiedzieć. Prawie nigdy tak o niej nie myślał, jakoś łatwiej było mu mówić Siv, zawsze tak było. Znów wypił łyk. Jeszcze się zobaczą, pożegnanie na cmentarzu to tylko początek, *death is not the end*<sup>31</sup>, jest Bóg, dlaczego miałyby nie być Boga. W Hiszpanii jest nawet większy, tak jak słońce jest większe niż gdzie indziej. Siv niedługo będzie leżeć w ziemi, poświęconej, czerwonej, chociaż czerwień akurat nie należała do jej ulubionych kolorów, zwłaszcza na plakatach wyborczych. Matko. Jesteś jedna jedyna.

Wstał, chciał przestać o tym myśleć, bo od tych myśli miał w głowie jeszcze więcej tego gówna. Huk jak na autostradzie biegnącej brzegiem wzburzonego morza. Kilka tygodni temu, kiedy przejeżdżał koło Shella na Bangatan, widział tablicę z informacją o stowarzyszeniu ludzi cierpiących na szumy uszne. Szum w jego głowie natychmiast się nasilił. Powinni zabronić stawiania takich tablic. Nie jest jednym z nich, nigdy nie będzie i nigdy tam nie pójdzie, samo mu przejdzie.

Podniósł do góry butelkę, było w niej jeszcze trochę. Nie wypił tak dużo, nie było tak późno. Coltrane wołał do niego z pokoju. Nie słyszał co, w głowie miał za duży hałas. Matka coś krzyczała, Angela, dzieci, tamte dzieci, krzyczały do niego.

---

30 Hiszp. Wielki Tydzień.

31 Ang. śmierć to nie koniec.

Nalał sobie. Nie będzie pajacował z tymi palcami. Tylko taka degustacyjna porcyjka. Zaśmiał się. Bardzo adekwatne określenie.

Coltrane mówił do niego, ale jego tak zwany tinnitus odmawiał przyjęcia tego. Podszedł do wieży i zrobił głośniejsze, jeszcze głośniejsze. Teraz lepiej, znacznie lepiej, właśnie tak powinno być. Do tej pory nigdy porządnie nie przetestował sprzętu. W takim ustawieniu dźwięk jest fenomenalny, głośny, czysty, klarowny. Wygasił wszystko inne, wszystko. Usiadł w fotelu. Pił i słuchał. Coś wspaniałego. Jeszcze nigdy nie słuchał saksofonu Coltrane'a tak głośno. Odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Myślał o tym, co będzie jutro, że będzie już blisko, bliżej niż dotychczas, że się dowie, co się stanie, coś równie mocnego jak to, co przeżywa teraz. Słuchał. Odpływał, wracał, znów odpływał. Nagle przez muzykę przedarł się jakiś odgłos. Inny rytm, jakby Elvin Jones nagle zaczął grać inaczej albo jakby w studiu w sposób nadprzyrodzony pojawił się jeszcze jeden perkusista. Wstał. Nieźle. Muzyka nabrała innego rytmu, idiorytmu, buch, buch, buch, to nie było z muzyki, to było z czegoś innego, z innego pokoju. Obszedł duży pokój. To nie stąd i nie z ulicy. Wyszedł do przedpokoju, teraz rytm stał się mocniejszy, twardszy. Dochodził zza drzwi. Powoli podszedł do nich, ktoś się dobijał, buch, buch, buch. Usłyszał dzwonek. Kto, do cholery, dzwoni do ludzi o pół do czwartej w nocy. Sprawdził, która godzina. Zawsze trzeba sprawdzać, czy właśnie teraz zacznie się ta przemoc, którą przewidział, o której wiedział, że nadejdzie?

Stanął przy drzwiach. Ktoś coś do kogoś mówił. Więc jest ich dwóch. Cały czas wiedział, że będzie ich dwóch.

– SŁUCHAM?! – krzyknął przez drzwi.

Walenie ustało.

– O CO CHODZI?! – zawołał, teraz już ciszej.

– Kto tam? – usłyszał zza drzwi.

– CO?! – zawołał.

– Kto tam jest? – spytał męski głos zza drzwi. Dziwna historia.

– ERIK WINTER! – zawołał. – Tu Erik Winter – powtórzył

ciszej.

– Może pan otworzyć drzwi?

– Dlaczego?

– Proszę otworzyć drzwi.

Nie było wizjera, nie założyli, kiedy wymienili drzwi. Kurwa, no pewnie że mogę otworzyć, dlaczego nie miałbym otworzyć własnych drzwi, zobaczymy, co to za ptaszki przyleciały o tej porze.

Otworzył drzwi na oścież.

Dwoje mundurowych, mężczyzna i kobieta. Nie wyglądali na przebierańców, twarze jakby znajome.

– Poznajecie mnie? – spytał. – Nazywam się Erik Winter.

– Tak... przepraszam – powiedział inspektor Vedran Ivankovic. – Mieliśmy kilka telefonów. Chodziło o zakłócanie ciszy nocnej głośną muzyką.

– Zakłócanie muzyką? Przecież to John Coltrane!

– Ale gra bardzo głośno – powiedziała inspektor Paula Nykvist. – Bardzo, bardzo głośno. Dochodzi czwarta.

– Pół do czwartej – sprostował Winter.

– Mimo wszystko jest późno – przekonywała.

– Ja pracuję – powiedział.

Policjant kiwnął głową, że rozumie. Oboje rozumieją.

– Może mógłby pan jednak ściszyć – poprosiła Paula.

– Sąsiedzi się skarżą.

– Dobrze, dobrze – powiedział Winter, łapiąc za klamkę. Uciekła mu, ale natychmiast się wyprostował.

– Ojej, co się dzieje? – spytał Ivankovic.

– Późno już – powiedział Winter. – ...branoc.

I zamknął drzwi.



O WPÓŁ DO ÓSMEJ BYŁ JUŻ NA NOGACH. Słońce świeciło ostro. Wyszedł na balkon, żeby zaczerpnąć powietrza, i poczuł, że bardzo go boli głowa. Zaciągnął mocniej szlafrok. Miedziane dachy połyskiwały w słońcu. Na skałach w oddali zaczynało się zielenić. Dzień powinien być piękny, budujący, napawać optymizmem.

Nigdy więcej.

Glenfarclas to trunek dla dżentelmenów, raczej do wachania niż do picia.

Winter był dżentelmenem.

Zwłaszcza wobec kolegów.

Nigdy więcej.

Jakieś okoliczności łagodzące? I tak, i nie.

Wrócił do pokoju, balkon zostawił otwarty. Wieża błysnęła złośliwą zielenią. Wyłączył ją. Poszedł do kuchni i zrobił sobie mocną latte. Usiadł przy stole i włączył laptopa, którego widocznie zostawił tam w nocy. Począł, aż kawa go oczyści. Właściwie to iluzja, ale poczuł się lepiej. Lęk jakby uleciał pod sufit. Otworzył okno. Dał mu wylecieć na podwórko i ponad miedziane dachy.

Przez godzinę czytał protokoły z przesłuchań. Podkreślał i robił notatki w czarnym notesie.

Potem zamówił taksówkę. Pierwszy i ostatni raz. Nie radiowóz. Wstyd kazał mu zadzwonić po taksówkę. Sam za nią zapłaci, to niewielka kara. W kieszeni jednej z czterech wiszących w przedpokoju marynarek znalazł pudełko z kilkoma tabletkami do ssania. Upewnił się, że w wewnętrznej kieszeni ma okulary słoneczne.

Jens Likander zadzwonił do Gerdy o dziesiątej. Właśnie porządkowała zeznania sąsiadów Robina. Bardzo to cienie.

Pomyślała o trzech małpkach. Jedna zasłania uszy, druga oczy, trzecia usta.

- Muszę się z tobą spotkać – powiedział.
- No daj spokój.
- To nie tak, jak myślisz. Chodzi o Sandrę.
- Co chcesz mi powiedzieć?
- Możemy się spotkać?
- Jens, naprawdę masz mi coś do powiedzenia?
- Wydaje mi się, że tak. Dużo o niej myślałem.
- Możemy to omówić przez telefon.
- Tak...

Wtedy pomyślała, że może robi błąd. Może faktycznie powinna go posłuchać. Przecież nie ma nic złego w tym, że się z nim spotka. Może wręcz c h c e tego.

- Okej, spotkajmy się – powiedziała. – Gdzie proponujesz?

Winter stał przy oknie w pokoju dzieci. Słyszał krzyki, kroki. Kac wyostrzył mu zmysły. Nerw tinnitusa syczał z tyłu głowy, na ukos od prawego ucha, ale już nie było to nieprzyjemne.

W głowie miał więcej krzyków i głosy, dwa dorosłe głosy. I znów kroki.

Ulicą przeszedł Robert Krol. Przystanął przed domem, tak jak Winter się spodziewał. Zobaczył go przy oknie i drgnął. Winter wiedział, że doskonale go widać.

Krol uniósł rękę.

Winter odpowiedział.

Krol ruszył dalej.

Winter wyszedł przed dom.

– Niech pan zaczeka! – zawołał.

Krol się obejrzał, a potem się odwrócił i poszedł dalej.

Winter dogonił go koło placu zabaw.

– Dlaczego pan się nie zatrzymał? Przecież mnie pan słyszał.

Krol stanął bez ruchu.

– Chcecie sterować moim życiem? – spytał.

– Co pan ma na myśli?

– Jedzie od pana wódą.

- Skończyły mi się pastylki do ssania.
- I to ma być odpowiedź?
- Myślałem, że skończył pan ze spacerami – powiedział

Winter.

- Wprowadził się pan na stałe do tego domu?
- Coś pan dzisiaj agresywny.
- Po prostu mam dosyć.
- Czego ma pan dosyć?

Krol nie odpowiedział.

- Czego ma pan dosyć? – powtórzył Winter.
- Tego, że to się nie kończy. Ta sprawa nigdy nie zostanie wyjaśniona.

- Mógłby pan pomóc.

Krol cofnął się o krok, żeby mu było łatwiej spojrzeć Winterowi w oczy. Odwrócił głowę dopiero po dziesięciu sekundach. Długo.

- Po to pan przyjechał? Żeby mi to powiedzieć?
- Tak.

– Przeszedłem wszystkie badania, które mi kazaliście zrobić. Ma pan dowody, to niech je pan pokaże, a nie – to niech pan spieprza.

Krol znów ruszył. Winter położył mu dłoń na ramieniu.

- Robercie.
- Co?
- Ukrywasz coś?
- Nie, nie, nie.
- Przecież znałeś Sandrę. Może coś ci powiedziała?

– Niby co?

– Że się boi.

– Bała się? Kiedy?

– Krótco przed śmiercią.

– Nigdy o tym nie słyszałem. Mnie na pewno nie mówiła.

– Okej.

– Powiem tak: w środku, w tym harmiderze, trudno było cokolwiek wyłapać – powiedział Krol. Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. – Albo powiedzieć.

– Słucham?

– Jak by to powiedzieć... no... było dość hałaśliwie. Może to nieładnie... ale facet latał jak wściekły po schodach, z góry na dół i z powrotem... przecież tam były dzieci.

Winter kiwnął głową.

– Powiedzmy, że na dworze jest spokojniej.

Winter jeszcze raz kiwnął głową.

– Muszę iść. Żona czeka z drugim śniadaniem.

Spotkali się na kawie w barze w hotelu Absalon.

– Trochę za wcześnie na piwo – powiedział. – Zresztą jesteś na służbie.

– Ty chyba też pracujesz?

– Oczywiście.

– O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

– Odniosłem wrażenie, że Sandra... nie była szczęśliwa.

– Skąd to wrażenie?

– Przeczucie. Sam nie wiem.

– A konkretniej?

– Nie potrafię.

– Znałeś ją na tyle blisko, żeby mieć takie przeczucie?

– Pewnie jestem wrażliwy.

– Nie żartujesz sobie ze mnie?

– Nie.

Patrzył na nią z powagą.

– Co ci powiedziała?

– Nic mi nie mówiła.

Gerda pokiwała głową.

– Czy to się może przydać? – spytał.

– Wszystko się może przydać – odparła.

– Powiedz po prostu, że się wygłupiłem.

– Nie wygłupiłeś się.

– Od czasu naszego spotkania dużo o niej myślałem... o tym, co się stało... i o tym, że ty się tym zajmujesz.

– I co myślisz?

– Że to może być niebezpieczne.

– Ja tak nie myślę.

– Naprawdę?

– Prawie nigdy nie jest niebezpieczne.

- Ale odpowiedź! – Uśmiechnął się. – Przejdzie do klasyki.
- Do klasyki? Jakiej, Jens?
- Będziemy to wspominać – powiedział i znów się uśmiechnął.

Winter zobaczył go na parkingu. Pies biegł dziesięć kroków przed nim, ale na widok Wintera zawrócił i jak błyskawica pomknął do pana.

- Zaprogramowany na ucieczkę przed niebezpieczeństwem – powiedział Winter.

Stanąłi naprzeciw siebie.

- Sam miałem ochotę uciekać – odparł Runstig.

– Raz to zrobiłeś.

– Pan też.

- Przychodzę w pokojowych zamiarach – powiedział Winter.

– To znaczy w jakich?

– Nie potrafię tego wyjaśnić.

– A jest co wyjaśniać?

– Choćby dlaczego tu jesteś.

– A co, mam zakaz przebywania na Amundön? Nie wiedziałem.

– Ja się tylko dziwię – powiedział Winter. – Myślałem, że Amundön to ostatnie miejsce, do którego chciałbyś wrócić.

– Niech pan spyta Janę – odparł Runstig, patrząc na szczeniaka.

– Pytam ciebie, Christianie.

– Janie jest tu dobrze. Mnie... to nie przeszkadza. Zresztą ta sprawa mnie nie dotyczy. Już zapomniałem, czego dotyczy.

– Nie wierzę.

– Jeśli chodzi o mnie – zapomniałem.

– Co porabiasz? To znaczy kiedy nie spacerujesz z Janą?

– Nic specjalnego.

– Zły jesteś?

– Niespecjalnie.

– To dobrze.

– Wczoraj spotkałem murzyńską rodzinę i nie poczułem nic

szczególnego.

– Następnym razem może nie powiesz o nich „murzyńska rodzina”.

Jana odbiegła w stronę wyspy. Obejrzała się. Jej spojrzenie było jednoznaczne.

– Chyba pójdziemy – powiedział Runstig.

– Do zobaczenia – odparł Winter.

– Mam nadzieję, że nie.

ZNAJDOWALI SIĘ W NAJWYŻEJ POŁOŻONYM punkcie. Wszystko było stamtąd widać. Nie miał pojęcia, co może widzieć Jana. Obchodziło go tylko, co sam widzi. Nad morzem jest tyle do zobaczenia, złoto i srebro, i żelazo, i wszystko to nietknięte, pomyślał.

Spoglądał na domy stojące niżej. Przejechało kilka samochodów, pełzały jak żuki. Ludzie kręcili się jak mrówki. Oto czym jesteśmy, pomyślał. Nigdy nie staniemy się niczym więcej. To dla nas najlepsza perspektywa.

Jana już pędziła w dół. Poszedł za nią. W pewnej chwili chmury się rozeszły i ukazało się niebo, jak błękitna dziura, błękitna jak zapowiedź czegoś lepszego.

Przeszli przez pastwisko. Wiedział, że wkrótce znów będą tam konie, jak wtedy, kiedy był dzieckiem – oczywiście nie te same co wtedy, ale będą wyglądały tak samo. Konie fiordzkie, najpiękniejsze ze wszystkich. Kiedy był chłopcem, marzył o fiordingu. Myślał wtedy, że będzie się zajmował końmi albo będzie rybakiem, albo jedno i drugie.

Stanął na moście. Jana w podskokach pobiegła na drugą stronę. Pędziła ścieżką rowerową.

– Jana! Jana!

W ogóle nie zwracała na niego uwagi. Może za długo go nie było, akurat wtedy, gdy należało ją nauczyć, co wolno, a czego nie. Liv nie miała siły. Zresztą przez pewien czas psiak był gdzie indziej. Może próbowali ją przesłuchać, cha, cha.

Nie chciał podchodzić do tego domu. Wolałby wrócić na pusty parking i odjechać jedynym stojącym tam samochodem.

Doszedł do ścieżki rowerowej. Widział Janę daleko przed sobą. Trzeba było wziąć ją na smycz. Stała przed domem znajdującym się po lewej, ale odwróciła się i przybiegła. To był nieduży domek. Od frontu rósł żywopłot, pogrążony jeszcze w zimowym śnie. Mógł przez niego zobaczyć kawałek trawnika

i ziemię. Jana miała ziemię na łapkach.

– Chodź, kundlu – powiedział, biorąc ją na rękę. Pachniała ziemią, trawą, morzem i dzikim zwierzęciem. Bardzo mu się to podobało.

Specjalista od portretów pamięciowych siedział przy komputerze z Peggy i Lan. Na ekranie pojawiały się różne twarze albo ich części. Kilka sekund i powstawał obraz.

Kiedy wszedł Winter, Lan zerknęła na niego nieśmiało, jakby to był o n, choćby mówili albo usiłowali jej wmówić co innego. To jest Zachód, tu wszystko jest możliwe.

Peggy powiedziała coś do niej po tajsku. Dla Wintera zabrzmiało to jak *Kun sabai dii ruu, Lan? Garouna poudd cha cha*, ale pewnie było całkiem inaczej. To tylko melodia w jego umęczonych uszach, a Peggy usiłowała jedynie uspokoić siostrę.

Lan coś odpowiedziała, Peggy spojrzała na Wintera.

– Ona mówi, że nie jesteś aż tak podobny.

– Nie musi zmieniać zdania tylko dlatego, że myśli, że ja tak chcę – powiedział Winter. – Jeśli jestem podobny do tego człowieka, to jestem. To może nawet pomóc.

– On był młodszy – powiedziała Peggy.

– Rozumiem.

– Ale ty też młodo wyglądasz. Ile masz lat?

– Jestem po pięćdziesiątce.

– Aż trudno uwierzyć.

– Dziękuję, Peggy.

– W Tajlandii mężczyźni po pięćdziesiątce są już starzy – powiedziała. – Wyglądają staro.

– Czyli miałem szczęście.

Ale już niedługo, dodał w myślach. Czy kiedykolwiek przyszła mi do głowy myśl, że w wieku pięćdziesięciu pięciu lat człowiek ma taką twarz, na jaką zasłużył? Tak czy owak, teraz przyszła. Do pięćdziesięciu pięciu lat zostały mu trzy lata. Trzy lata umiaru.

– To on! – krzyknęła Lan.



Winter spojrział na gotową twarz na ekranie. To był on, Erik Winter.

Torsten Öberg podrapał się po wypielęgnowanej, krótko przystrzyżonej bródce. Wyglądał, jakby się z nią urodził, jakby była częścią jego przyszłej osobowości.

– Ostrze było kiedyś strasznie ostre, ale tu i ówdzie zdążyło się stępić – powiedział. – Jakby sprawca nie naostrzył noża albo jakby o niego nie dbał. Trochę zardzewiał.

Spotkali się w wydziale technicznym. Przypominał futurystyczne laboratorium.

– Długie ostrze – powiedział Winter.

– Tak, to może być długi nóż, ale sądzę, że raczej miecz albo szabla.

– Hm...

– Może jakaś egzotyczna broń?

– Egzotyczna?

– Z jakiejś innej kultury.

– Wybór jest całkiem spory – zauważył Winter.

– Pracujemy nad tym.

– Ale biedny Robin nie zginął od żadnej katany<sup>32</sup>.

– Katana byłaby za długa – powiedział Öberg.

– Wiesz, co mam na myśli.

– We Frölundzie sprawca użył krótszego noża, ostrego jak śmierć. Sądzę, że myśliwskiego. Szerokie, krótkie ostrze. Skuteczna rzecz.

– I żadnych odcisków palców? – dodał Winter.

– Żadnych.

– Ale sprawca mógł być ten sam.

– Oczywiście.

– Trudno byłoby mu chodzić z szablą po rynku we Frölundzie.

– Wcale nie – zaproponował Öberg.

– Czy mikroślad na koszuli Robina mógłby wystarczyć?

---

32 Katana – japoński miecz.

- Tak. Sprawca się zapomniał i odetchnął.
- To mógł być ktoś inny, jakiś kumpel, który wpadł na kielicha.
- Co to, to nie. Jestem dumny z tego mikrośladu – odparł Öberg.
- Wciąż to czekanie. Masz cierpliwość, żeby tak czekać? Bo ja już nie.
- Ja muszę. Przez ten czas pracuję nad tym, co mam i umiem.
- Ja nie muszę czekać – stwierdził Winter, wstając.
- Bądź ostrożny.
- Jestem, na tyle, na ile to możliwe.
- A powinieneś być jeszcze ostrożniejszy, Eriku.

Bert Robertsson zadzwonił na zastrzeżony numer. Nagle uderzyła go myśl, że może ma telefon na podsłuchu, ale to chyba niemożliwe? Odłożył słuchawkę, sięgnął po komórkę na kartę i wybrał numer jeszcze raz.

- Słucham.
  - Gdzieś ty się podział?
  - Nigdzie.
  - Przecież cię słyszałem. Szedłeś za mną.
- Milczenie.
- Nie pamiętam, co było dalej.
  - Zastanów się nad tym.
  - Nad czym mam się zastanowić?
  - Żyjesz, prawda?
  - Sam tam poszedłem – powiedział Robertsson.
- Zaniósłbyś mnie?
- Następnego razu nie będzie. Wiesz, co mogę zrobić.
- Dowiedział się.
- Mogę wszystko ujawnić.
  - I dostaniesz ładnych kilka lat. Na pewno tego chcesz, Bert?
- Robertsson nie odpowiedział. Zaschło mu w ustach. Wiedział, co to znaczy.
- Zawrzyjmy układ – powiedział. – Bo inaczej wejdę w układ

z policją.

– To nie Ameryka.

– Przecież nie dam ci odejść wolno, ot tak.

W słuchawce zapadła cisza. Robertsson słyszał słabe odgłosy, jakby tamten stał na dworze. Jakiś instrument? Ktoś gra na dworze? Słyszał samochody, ktoś wołał, hałasy jak na dużym targowisku.

– Okej, spotkajmy się, żeby to obgadać.

– Dobra, dobra.

– Gdyby mi chodziło o co innego, już byśmy nie rozmawiali, Bert.

– I co proponujesz? Jakiś parking o północy?

– Coś jeszcze lepszego.

Winter zapukał we framugę. Ringmar podniósł wzrok znad monitora.

– *Permesso?*

– Wejdz, Eriku.

Winter wszedł i usiadł na krześle przy biurku.

– Cholera, nie możemy rozesłać tego portretu – powiedział Ringmar.

– To nie portret pamięciowy, to ja.

– Właśnie dlatego.

– Chciałbym wezwać Roberta Krola na przesłuchanie.

– Znowu?

– Jeszcze u nas nie był.

– Nie ufasz mu?

– Coś ukrywa.

– Może własne zagubienie i smutek – powiedział Ringmar.

– W końcu tam mieszka.

– To nie to – odparł Winter.

– Nie lepiej pojechać tam?

– Byłem tam już kilka razy.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą?

– Nie...

– Co się dzieje, Eriku?

- Z czym?
  - Wyglądasz na zmęczonego.
  - Nie powiem „nawzajem”.
  - Samotność może oznaczać długie noce.
  - Hm...
  - Znam to bardzo dobrze.
  - Przykro mi.
  - Wyglądasz na skacowanego.
  - Bo mam kaca, ale już mi lepiej.
  - Uważaj na siebie.
  - Teraz też czerpiesz z własnego doświadczenia?
- Ringmar spojrział na niego.
- Słyszałeś kiedyś o mechanizmie wyparcia?
  - Nigdy.

OBYDWAJ ZAPRAGNĘLI ODETCRNAĆ świeżym powietrzem. Wyszli z budynku policji, a właściwie z miejsca budowy nowego, w odcieniu szarości, podstawowym kolorze futuryzmu, widocznym nawet z księżycą.

– Nowy wspaniały świat – powiedział Ringmar, wyjeżdżając na Skånegatan.

– Podoba mi się twój optymizm, Bertilu.

– Widzisz, ile jest powodów do radości.

– Istotnie.

Puszczał kaczki z ulubionego miejsca na plaży, jedna-dwie-trzy-cztery-pięć-sześć, ha! Morze było spokojne, nieruchome jak lód, chociaż lód już zniknął.

– Spróbuj ty, dziadu!

Ringmar wziął odpowiednio duży kamień i rzucił. Kamień wpadł w wodę i już się nie wynurzył.

– Kiepska technika, Bertilu.

– Mam to gdzieś. Ramię mnie zabolalo.

– Od złej techniki.

Winter wykonał kolejny mistrzowski rzut.

– Mewy cię oklaskują – powiedział Ringmar.

– To moje przyjaciółki.

– Może byś wreszcie zbudował ten dom?

– No...

– Co mówi twoja rodzina?

– To samo co ty.

– Nie będziesz musiał jechać przez pół Szwecji, żeby puszczać kaczki.

– Wiem.

– Możesz tu stać jeszcze długo.

– Stary człowiek i morze.

- Możemy tu stać razem.
  - Do tego jeszcze daleko, Bertilu.
  - Dla ciebie tak.
  - Mamy jeszcze dużo do zrobienia.
  - Niedługo wrócisz do Hiszpanii. To tylko odwiedziny w rzeczywistości.
  - Wrócę, jak to się skończy.
  - A kiedy się skończy?
- Winter spojrział na zegarek.
- Jutro po południu o szesnastej zero zero – odparł.
- Ewentualnie następnego dnia o tej samej porze.
- Okej, skoro tak mówisz. Ale potem stąd pryśniesz, i nie mam na myśli wyjazdu na pogrzeb.
  - Wiesz, Bertilu, chciałbym, żebyś pojechał ze mną.
  - Na pogrzeb? Nie, nie. Pogrzeb to sprawa rodzinna.
  - Należysz do rodziny.
  - Nie do mojej – odparł Ringmar. Podniósł kamień i rzucił powolnym ruchem, jeden-dwa-trzy-cztery-pięć, daleko po czarnej powierzchni wody, aż zniknął im z oczu, wirując w powietrzu, jakby nie mógł się zatrzymać.
- Jedźmy razem – powiedział Winter. – Będziemy tego potrzebowali.
- Podoba mi się twój pesymizm.
  - Potraktuj to jak urlop.
  - Od czego?
  - Od życia – powiedział Winter, podnosząc jeszcze jeden kamyk, idealny, jakby stworzony do puszczenia kaczek.
- Chociaż za krótko żyję, żeby dużo wiedzieć na ten temat.
- Jak długo można puszczać kaczki, tak długo się żyje.
  - Życie to tylko urlop od śmierci, Bertilu.
  - O tym mam rozmyślać podczas pogrzebu?
  - Masz myśleć o życiu.
  - Myślę. Próbuję dostrzec wszystkie jego jasne strony.
  - No to korzystaj z okazji i ciesz się nim.
  - Tak jest. Życie tych kamyków jest wieczne.
  - Bertilu, to są martwe przedmioty.
  - Tak czy inaczej, poruszają się cholernie szybko.

– Potrzebowały dziesięciu milionów lat, żeby się wydostać z wody na brzeg. A i tak do niej wracają.

– Coś mi się wydaje, że już nie masz kaca.

– W życiu się tak dobrze nie czułem, kolego.

Winter idealnym rzutem wypuścił kamyk. Musnął powierzchnię ze trzydzieści metrów dalej, musnął jeszcze raz, i jeszcze, coraz dalej w zatokę, minął najdalej wysunięty punkt południowego archipelagu i dalej w morze, w Skagerrak, na Morze Północne, norweski wielki szelf. Jego ręka to czuła, po prostu wiedział, że tak jest.

Bert Robertsson wyszedł z szeregowca w Brottkärr. Uświadomił sobie, że od lat mieszka po królewsku dzięki spadkowi po matce i że chciałby, żeby tak zostało. Potrzebne mu te pieniądze, prawda? To nie przestępstwo. Nic złego nie zrobił. Ograniczy chłanie, może nawet z tym skończy, czy to takie trudne?

W linii prostej było niedaleko, piechotą prawie tak samo blisko, prosto na zachód. Już na Byvägen poczuł zapach morza.

Kiedy schodził po skałkach na plażę, nie widział nikogo. Słońce świeciło oślepiająco nad wysepkami. Do tej pory najpiękniejszy dzień roku. Pod skałką leżało plastikowe wiaderko. Przed sobą miał ruiny zamku z piasku. Kiedyś musiał być ogromny. W sam raz dla jakiegoś księcia. Widocznie został z zeszłego lata. Nie był na tej plaży od wielu lat. Niewiele osób znało to miejsce. Tamten znał. Może jest nawet właścicielem jednej z szop, właściwie przebieralni. Pewnie kosztują tyle co jego domek. Niech płaci sukinsyn. Może się zaklinać, że jest niewinny, ale niech zapłaci.

Zobaczył wyciągnięty na brzeg kajak. Drewniany czerwonobrzązowy kadłub mienił się w słońcu. Wyglądał na nowy.

Usłyszał skrzypnięcie i odwrócił się. Otworzyły się drzwi jednej z szop. Były pomalowane na niebiesko, ładnie, trochę spłowiałe, zniszczone przez czas i wiatr.

Tamten wyszedł z szopy.

- Witam cię – powiedział.
- Mówisz tak, jakby cała plaża była twoją własnością.
- Jestem jednym z kilku właścicieli.
- Ile osób może się zmieścić w tej przebieralni?
- Nigdy nie sprawdzałem. Równie dobrze mógłbym sprawdzać, ile osób zmieści się w volkswagenie.
- Jesteś jedynym właścicielem tej szopy?
- Oczywiście.
- Ile byś dostał, gdybyś chciał ją sprzedać? – spytał Robertsson.
- Nie mam pojęcia.
- To się dowiedz. Bo tyle masz mi zapłacić.
- Nie to mieliśmy negocjować?
- Przy płynąłeś kajakiem?
- A jest inny sposób? Chcesz popływać?
- Kajakiem? *Nice try.*
- Nie życzę ci źle.
- Ja tobie też nie.
- Pięćdziesiąt tysięcy – zaproponował tamten.
- Pięćdziesiąt tysięcy czego?
- Koron.
- Pięćdziesiąt tysięcy euro – odparł Robertsson.
- Myślałem, że będziemy negocjować. Że chcesz się dogadać.
- Negocjować, ile jest warte życie? W takim razie powiedzmy... pięćdziesiąt milionów.
- Jestem niewinny, wiesz o tym.
- Robinowi też to powiedziałeś?
- W ogóle go nie widziałem.
- Za to on ciebie widział.
- Tak, mówił.
- Ale nie mówił ci, że był u mnie i mnie też powiedział.

Tamten wciąż stał w otwartych drzwiach. Robertsson dojrzał w cieniu drewnianą ścianę i coś, co wyglądało na wieszak. Zresztą nieważne, i tak jest warte sporo pieniędzy.

– Dziady z was – powiedział tamten. – Niby tacy cwaniacy, ale sami nie potraficie do niczego dojść. Oszuści. Okłamaliście policję, bo mieliście w głowie tylko jedno, żeby zarobić na



groźbach i szantażu. Pomyśl o Robinie. Tak się kończy oszukiwanie policji.

– Żyłby do dziś, gdyby cię nie zobaczył w oknie.

– Wyjaśniłem mu, co tam robiłem. Tobie też. Zajrzałem do malutkiej, a kiedy wychodziłem, wszyscy żyli. Wtedy byłem tam ostatni raz.

– I jak wychodziłeś, zobaczył cię jeszcze raz – powiedział Robertsson.

– Wiem.

– Może ja też cię widziałem.

– Widzę, że wśród roznosicieli gazet szantaż jest zaraźliwy.

– My wszystko widzimy.

– Ale z ciebie nędzna kreatura.

– Suma właśnie wzrosła do stu tysięcy euro. To nawet nie jest milion koron. Stać cię na to.

– Potrzebuję pieniędzy na co innego. Ja nic nie zrobiłem.

– Na co innego? Rodzinę zakładasz czy co?

– Dokładnie tak.

Winter czytał materiały ze śledztwa. Rozmyślał o Bogu. Czy jest Bóg? Tak, musi być, przynajmniej w kościołach. Podobają mi się prawie wszystkie, co do jednego. Od powrotu do Göteborga nie byłem w Vasakyrkan. To błąd. W kościele prawie zawsze można liczyć na odpowiedź, zawsze jest wystarczająco cicho, nawet wtedy, kiedy się śpiewa albo modli. Ja się nie modłę, nie modliłem się, gdy umierała Siv. Muszę się pomodlić.

Przeczytał raport Gerdy Hoffner i spojrzał na zdjęcie ogłoszenia przyklejonego do drzewa, które zrobiła: „Cześć. Jesteśmy młodym uczciwym małżeństwem, poszukujemy mieszkania do wynajęcia w tej okolicy, części willi albo mieszkania lokatorskiego. Chętnie pomożemy w pracach ogrodowych. Mamy synka, który jest mały, ale grzeczny. Piękne czteropokojowe mieszkanie w Olskroken. Wyłaczalnia”.

I telefon.

Zadzwoił.

Odebrała kobieta, Eva.

Przedstawił się.

– Widzę, że państwo poszukują mieszkania w tej okolicy. Jak wam idzie?

– Skąd pan wie?

– Powiesili państwo ogłoszenie na drzewie, więc to chyba nie jest tajemnica?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Więc jak wam idzie?

– Słabo, przynajmniej dotychczas.

– Aha. Nic się nie dzieje?

– Niestety nie. Była szansa, chodziło o mały domek, ale właściciel zmienił zdanie.

– Mały domek?

– Z początku chciał nam wynająć na rok, ale potem postanowił się nie wyprowadzać.

– Kiedy to było?

– Chodzi panu o to, kiedy zmienił zdanie?

– Kiedy zaproponował, że wam wynajmie.

– Pod koniec stycznia, wkrótce po tym, jak porozwieszaliśmy ogłoszenia.

– A kiedy zmienił zdanie?

– Dziwna rzecz... zaledwie kilka dni później, najwyżej tydzień. Dokładnie nie pamiętam. Nie cieszyliśmy się długo.

– To było małżeństwo?

– Tak, mąż i żona. Ale rozmawiałem tylko z nim.

– Starszy? Młodszy?

– Nie zdążyliśmy się spotkać, ale sądząc po głosie, starszy.

– A dom zdążyliście obejrzeć?

– Mieliśmy to zrobić w weekend, ale wtedy było już po wszystkim.

– Jak się nazywał?

– Mam to gdzieś na karteczce, chyba że ją wyrzuciłam. Mogę oddzwonić?

WINTER POPROSIŁ GERDE, żeby przysłała do salki konferencyjnej. Na ścianie wisiała mapa zachodniego Göteborga, a na białej tablicy zapisane różnymi kolorami nazwiska. Pod inną ścianą stało kilka tablic z godzinami i miejscami.

Każdy z pracowników wydziału zabójstw bywał tam chociaż raz w ciągu doby, ale rzadko spotykali się tam wszyscy. Winter przychodził codziennie, żeby coś zanotować.

– Rozmawiałem z pewną kobietą, z Evą Jais – powiedział.

– Brzmi znajomo?

– Tak od ręki to nie.

– Rozwiesiła kartki w Amundövik, że szuka mieszkania do wynajęcia, z mężem i grzecznym synkiem.

– A, tak.

– Dobrze, że zwróciłaś na to uwagę.

– Dziękuję.

– Dziś o tym przeczytałem. Domyślam się, że jeszcze tego nie sprawdziłaś.

– Rzeczywiście... miałam na głowie inne sprawy. Zaraz to zrobię.

– Już do niej dzwoniłem – powiedział Winter. – Szuka nazwiska człowieka, który miał im wynająć dom.

– Wynajął?

– Nie, nie doszło do tego.

– Więc ona ma zadzwonić?

– Tak, jak najprędzej.

– Czy to coś wniesie?

Od razu pożałowała, że to powiedziała. Wyglądała się. Facet wygląda na zmęczonego, nie ma czasu uczyć współpracowników najprostszycy, podstawowych rzeczy i na pewno nie chce mu się odpowiadać na głupie pytania.

– Zobaczmy – odparł.

– Ja... – zaczęła, ale on już był w drzwiach. Jeszcze nigdy nikt nie udzielił jej reprimendy tak uprzejmie, i właśnie to było najgorsze.

Bert Robertsson stał w cieniu, koło szopy czy jak ją zwał. Może by ją przejąć od razu?

– Nie przyjmuję zapłaty kartą – powiedział dopiero co.

– Przecież musimy się jakoś dogadać – odparł tamten.

Robertsson dojrzał w jego oczach rozpacz, a może strach człowieka, który stanął na krawędzi przepaści i wie, że nie ma odwrotu. W takim razie musi mnie zabić. Ale nie dałby rady. Myślałem już, że to on zabił Robina, ale przecież to nie mógł być on, to na pewno ten potwór, który wdarł się do tej kobiety i dzieci.

– Okej, okej. Daj mi dwieście tysięcy i będziemy kwita – powiedział. – To śmiesznie mało za ratowanie twojej reputacji. Może nawet życia!

– Wciąż nie rozumiem, skąd mogłeś wiedzieć, że tam byłem.

– Robin cię przedtem widział. Nie wiedziałeś? Wiedział, gdzie mieszkasz.

– Oczywiście.

– Masz te pieniądze? Miałeś przynieść!

– Mam, są w środku.

– Zaczekam tu.

Tamten wszedł do szopy. Słońce się przesunęło i w środku zrobiło się ciemno. Tam, gdzie stał, też było ciemno, i po drugiej stronie cieśniny. Na Lilla Amundö sylwetki drzew i krzewów wydawały się aż czarne. Odwrócił się w tamtą stronę, a jednocześnie miał oko na drzwi, cały zwarty, mógł...

Trafił go prosto w krzyż. To było jak szturchnięcie, popchnięcie albo wstrząs, uderzenie, które nie boli, usłyszał nawet oddech tamtego za plecami. Zdążył jeszcze pomyśleć, że w szopie muszą być też jakieś inne drzwi, od tyłu, coś podobnego, naoliwione i ciche. Wszędzie był miękki piasek, mokry, w sam raz do skradania się. Tamten musi być boso, pobrudzi sobie stopy.

Winter szedł przez Heden i myślał o tym, jakie to brzydkie miejsce, nawet o zmroku. Ile jest brzydoty w Göteborgu, który mógłby być miastem pięknym i wygodnym. Jak paskudnie jest wzdłuż kanałów. Zresztą zawsze tak to wyglądało, a politycy i biznesmeni skupiają się na pucowaniu ciągnącego się przez półtora kilometra tak zwanego traktu rozrywkowego, okolic targów, Gothia Towers i Liseberg, gdzie są korki na pół kilometra. Są gotowi padać na kolana przed korporacjami i bogaczami, czasem przed turystami, gdzieś mają mieszkańców. Ale zrzędcę. Nie obchodzi mnie, a jednak obchodzi. Przecież to również moje miasto, chronię je, moje miasto. Byle głupek sprawiłby się lepiej przy planowaniu miejskiej infrastruktury, ja na pewno, Fredrik, Aneta, Bertil, Christian Runstig.

Zakłuło go w piersi. Sięgnął po iPhone'a.

- Angelo.
  - Gdzie jesteś?
  - Idę sobie przez Heden.
  - Wydarzyło się coś nowego?
  - Tu się stale coś dzieje.
  - W jakim sensie?
  - Może jutro wydarzy się jeszcze więcej. Wtedy to omówimy.
  - Omówimy? Okej. Co robisz wieczorem?
  - Jeszcze nie wiem. Powinienem pójść na zakupy, ale nie mam siły. Może pójdę coś zjeść do Manfreda.
  - To go pozdrów. I Giorgia.
  - Pozdrowię. Co u was?
  - Ostatnie przygotowania.
  - Co mówią dziewczynki?
  - Prawie nic nie mówią.
  - To przyjdzie później. Trzeba będzie z nimi porozmawiać. Długą rozmowę trzeba z nimi odbyć.
  - Jakiś odwrócony szyk.
  - W końcu mam żonę Niemkę, prawda?
- Nie odpowiedziała.

– Musimy porozmawiać – powiedział. – Powinienem być z wami. Już niedługo.

– Uważaj na siebie dziś i jutro, i pojutrze.

– Wszyscy mi mówią, że mam na siebie uważać. Dziś mówił tak Torsten.

– Bo jest powód, żeby tak mówić.

– Ja sam jestem głównym powodem – powiedział. – Wiem.

– Swoim własnym, największym wrogiem, pomyślał, ale to nieprawda. – Jak mógłbym nie uważać?

Nie mogła sobie darować, nie potrafiła sobie odpuścić. Sprawa wydawała się nic nie znaczyć, ale Gerda wiedziała, że wszystko coś znaczy. Nie dopełniła obowiązku służbowego, nie zrobiła tego, co do niej należało, nie doprowadziła wątku do końca. Z drugiej strony to ja zauważyłam tę kartkę, pomyślała. Ale to za mało, Gerdo, to nie wystarczy. Winter miał rację, ale może nie musiał tego mówić. Sam mógłby wyjaśnić tę sprawę, nie musiał mówić, ale gdyby tego nie zrobił, byłby mięczakiem, niczego by się człowiek nie nauczył. Taki był miły, nie musiał być taki poprawny, nie zawsze taki jest, ale to jeszcze gorzej. Zawiodłam go, Boże, powinno się mieć z kim o tym pogadać, choćby przez chwilę, pogadać ze ścianą. Gerdo, idź do domu, pogadaj ze ścianą, z telewizorem, z lodówką. Moja lodówka nie jest milczącym stworzeniem.

Stała na środku Kungssportsplatsen. Przyszła tam zupełnie bezwiednie, jakby była w transie albo jakby spała. Wielkie miejsce spotkań, zwłaszcza o tej porze. Patrzyła na obejmujące się pary. Przedtem ona czekała albo on, potem szli do baru, restauracji, kawiarni, w których już siedzieli ludzie. Przez okna było widać twarze. Wszędzie jasno. To chyba najbardziej rozświetlone miejsce w całym mieście. Gęsto od knajp, nawet aż za gęsto. Wystarczyłaby jedna restauracja lunchowa, danie dnia, rybne albo mięsne, zakaz wychodzenia po szóstej dla par, zresztą dla singli też. I tak nie byłoby dokąd iść, a w domu jest ściana, zawsze jest i zawsze czeka.

Już trzymała telefon w ręce. Nie. Miała go właśnie wrzucić

do torebki, gdy zadzwonił.

– Tak, słucham?

– Cześć, mówi Jens, Jens Likander.

– Więc działa – powiedziała.

– Co działa?

– Miałam na wyświetlaczu twoje nazwisko.

– Cha, cha.

– W czym mogę ci pomóc, Jens?

– Ojej, jak oficjalnie.

– To chyba oficjalna rozmowa?

– Tak... Gerdo, co teraz robisz?

Już mówi jej po imieniu? Nie mogła sobie przypomnieć.

– Właśnie stoję na Kungsportsplatsen.

– Wychodzisz gdzieś?

– Właśnie wyszłam.

– Mam na myśli dzisiejszy wieczór.

– Nie planowałam nic takiego – odparła.

– Może przyszedłabyś do mnie do domu? Na kolację? Jestem doskonałym kucharzem.

– Raczej nie.

– A może moglibyśmy się gdzieś spotkać?

– Przypomniałaś sobie coś więcej? Na temat Sandry?

– Niestety nie.

– Aha.

– To co powiesz na to, żebyśmy się spotkali?

– A gdzie jesteś?

Zorientowała się, że jedzie samochodem.

– Wjeżdżam do miasta. Musiałem zrobić mały wypad do Varbergu. W tej chwili mijam Askim. Za kwadrans mógłbym być przy Kopparmärren.

– Nie zdążysz, nie ma szans.

– Założymy się?

– Nigdy się nie zakładam.

– Już widzę Frölunda torg – powiedział.

– Musisz jeszcze zaparkować – zauważyła.

– To nie wchodzi w rachubę – odparł. – Podjadę pod pomnik.

- To wbrew przepisom. Jestem policjantką.
- To zakład!
- Zakłady nie są wyjęte spod przepisów – powiedziała.
- Minęło półtorej minuty.
- Mijam Flatås.
- Z jaką prędkością?
- Niezbędną.
- Jeśli będziesz jechał za szybko, zakład zostanie unieważniony.
- Dużo tych warunków.
- Trzeba przestrzegać przepisów.
- Ty zawsze przestrzegasz?
- Czy to właściwe pytanie? Pyta się o takie rzeczy policjantkę?
- Absolutnie nie – odparł. – W dziejach ludzkości było mnóstwo złych policjantów, ale ty do nich nie należysz.
- Dziękuję.
- Mijam ogród botaniczny. Następny przystanek Linnéplatsen.
- Może mnie tu nie być, kiedy dojedziesz – powiedziała.
- *You'd better be*<sup>33</sup> – odparł. – Usłyszysz mnie, kiedy będę nadjeżdżał.



JOVAN MARS POJECHAŁ SAMOCHODEM do Amundövik, ale zatrzymał się dopiero przy kąpielisku w Askim. Zaniósł Gretę na brzeg i zanurzył jej rączki w wodzie. Mała aż krzyczała ze strachu i zachwytu jednocześnie. Byli na plaży sami. Nie było nawet ptaków na niebie. Jesteśmy już tylko we dwoje, pomyślał, i tak już zostanie.

Zaniósł córeczkę z powrotem do samochodu, przypiął do fotelika i ruszył na południe. Jechali Fjordvägen. Niedaleko, choć miało się wrażenie, jakby to było bardzo daleko i bardzo dawno temu. Kiedy Greta będzie dużą dziewczynką, on będzie starym człowiekiem. Do tego czasu upłynie jeszcze wiele lat. Nie wolno mu spać w tej podróży, już nigdy nie wolno mu spać. Niedługo mała zacznie mówić, będzie chciała słuchać różnych historii, opowiadaj, opowiadaj, opowiadaj! Erik i Anna domagali się historii o duchach, strasznych historii o złych czarownicach i czarownikach, potworach, mordercach i kanibalach. Musiał uruchomić całą wyobraźnię, ale rzeczywistość zawsze góruje nad literaturą. Wymyśl, co chcesz, a ja i tak zrobię coś jeszcze gorszego.

Zatrzymał się w pobliżu mostu. Na parkingu stał tylko jeden samochód. W zapadającym zmroku wyglądał jak czarny rysunek. Woda między wysepkami była spokojna, nikt tamtędy nie płynął. Na ładzie też nie było ruchu. Nadal byli na świetle sami. Tam ten świat się kończył.

Odpiął pas i wyjął Gretę z fotelika. Spojrzała na niego z zaciekawieniem, jakby się zamienił w kogoś innego, a to przecież tylko on, nie ma nikogo innego.

Plac zabaw był pusty. Jest opuszczony, pomyślał, opuszczony od tamtej pory. Później, wiosną, dzieci wrócą, ale jeszcze nie teraz. Rodzice nie chcą tu przychodzić, nie chcą pamiętać, nie chcą sobie niczego przypominać. Same smutne wspomnienia, nic przyjemnego.

Posadził Gretę na huśtawce i delikatnie pohuśtał. Zaśmiała się. Pohuśtał ją jeszcze raz, tym razem trochę mocniej. Znow się zaśmiała.

Już nie byli sami.

Nie zauważył go.

Nic nie powiedział.

– Więc wróciłeś – odezwał się Robert Krol.

– Tylko na chwilę.

– Byłeś w domu?

– Nie, dopiero co przyjechaliśmy. Nie idziemy tam.

– Rozumiem.

Greta spojrzała na Krola. Patrzył na jej ojca.

– Urosła.

– Teraz to idzie szybko – powiedział Mars.

– Tak jest. Chyba się stąd wyniosę.

Mars kiwnął głową.

– Tak chyba będzie najrozsądniej – powiedział Krol.

– A co na to Irma?

– Jeszcze jej nie mówiłem.

– Czyli został ci ten drobiazg.

– Tak jest.

– Robercie, czy ja ci już podziękowałem?

– Na pewno.

– Nie. Dziękuję ci. W imieniu swoim i Grety. Przekaż Irmie.

– Przekażę.

Mars się rozejrzył. Poza nimi nikogo nie było. Wyglądamy jak troje ocalańców, pomyślał, troje stojących na nogi po wojnie, chociaż akurat Greta siedzi.

– Może byśmy jednak poszli pod dom – powiedział.

– Chcesz, żebym poszedł z wami?

– A ty chcesz?

– Przechodziłem tamtędy wiele razy.

– No to chodźmy.

Na widok domu poczuł pulsowanie w skroniach. Dzieliło go od niego dziesięć metrów, ale jeszcze nie był gotów. Miał wrażenie, jakby wrócił tam po raz pierwszy.

– Masz przy sobie klucz? – spytał Krol.

- No pewnie.
- Przecież to twój dom.
- Robercie, mnie tutaj nie było! – Podniósł głos. Greta drgnęła. – Nie byłem tu – powtórzył ciszej.
- Nie możesz się oskarżać o coś, czego nie zrobiłeś, Jovanie. Myśl raczej o tym, co zrobiłeś.
- Byłbym idiotą, gdybym tego nie robił.
- Teraz zostałeś tylko ty.
- Wiem. Nie musisz mi o tym przypominać.
- Brakuje ci jej?
- Co to w ogóle za pytanie?
- Bo mnie brakuje, codziennie – powiedział Krol.

Podjeżdżając pod Style po drugiej stronie Hamngatan, zatrąbił jak samochód rozwożący lody. Zobaczyła jego uśmiechniętą twarz. W świetle kończącego się dnia wyglądała jak piłka. Podniósł rękę i pokazał palcem na zegarek. Sprawdziła czas, więc wiedziała, że mu się udało.

Przeciskała się do niego między autobusami, tramwajami, samochodami, rowerami i pieszymi. W ciągu pół godziny Kungsportsplatsen stał się w jeszcze większym stopniu centrum wszechświata.

- Dokąd? – spytał, gdy usiadła obok niego.
- Gdziekolwiek – odparła.
- Götaplatsen?
- Cha, cha.
- Nad wodę?
- Bardzo chętnie. Zapowiada się piękny zachód słońca.
- Kochane słońce, pokazuje się na kilka minut przed zachodem.
- Mówi dzień dobry na do widzenia – dodała.
- No właśnie.

Wyjechali na Oscarsleden. Światła z Norra Älvstranden mrugały: chodźcie tutaj, chodźcie tutaj. Dźwig mostowy szczyrzył się szeroko. Pięknie było po drugiej stronie rzeki.

- Może pojedziemy do Röda Sten? – zaproponował.

- Dlaczego nie.
- Dawno tam nie byłem.
- A ja w każdy weekend.
- Tak?
- Jeśli mam wolne. Chodzę tam na kawę albo po prostu przejść się. Mieszkam niedaleko.
- Sama chodzisz na tę kawę? – spytał.
- Nie pytaj.
- Przepraszam. To było głupie.
- Ja ciebie nie pytam, dlaczego jeździsz samochodem sam.
- Tylko kiedy pracuję – odparł.
- Jak dziś.
- Jak dziś.
- Ale nie teraz.
- Nie teraz.

Otoczyły ich budynki fabryczne, stary browar, nowy hotel, szerokie, surowe i piękne zejście do rzeki, skałki, czerwony kamień, graffiti. Ludzie stali na brzegu i obserwowali płynące rzeką statki, mewy w zatoczce koło kawiarni i goniące za nimi dzieci.

- Za nową stoczną wytyczyli ścieżkę rowerową aż do Tångudden – powiedział.
  - Nie wiedziałam.
  - Bardzo ładna – dodał.
  - Przed chwilą mówiłeś, że dawno tu nie byłeś.
  - Cha, cha, uważna jesteś. Nie, przejeżdżam zawsze pod mostem, omijając Röda Sten.
  - Aha.
  - Jeździsz na rowerze? – spytał.
  - Powiedziałeś to tak, jakbyś pytał, czy zatańczę.
  - A zatańczysz?
  - Tylko do Davida Bowie.
- Eva Jais zadzwoniła do Erika Wintera już pod wieczór.
- Nazywa się Robert Krol – powiedziała. – Ten człowiek, od którego mieliśmy wynająć dom.
  - Dziękuję.
  - Czy to... na coś się przyda?

– Jeszcze raz bardzo dziękuję – odparł Winter.

Halders dzwonił do Berta Robertssona przez cały dzień, podobnie jak poprzedniego dnia. Typek cholerny, nie oddzwonił. Z początku odzywała się poczta głosowa, ale potem już się nie włączała.

Pojechał do Brottkärr. Zapukał do drzwi nędznego szeregowca. Nikt nie otwierał. Przydałby się porządny remont, bo niedługo będzie za późno. Nacisnął dzwonek. Najwyraźniej był zepsuty.

Sytuacja była następująca: ważny dla sprawy świadek nie zgłasza się na policję i nie otwiera drzwi. W sprawie będącej przedmiotem wstępnego dochodzenia mamy do czynienia z przemocą, a zaczęło się od morderstwa.

Wszyscy są zdesperowani.

Gdzieś jest odpowiedź. To nie zagadka, tylko układanka, więc da się ją złożyć, bo są wszystkie kawałki. Jeden z nich tu, za tymi drzwiami. Co ma zrobić zdesperowany komisarz?

Otworzył drzwi wytrychem. Zamek należał do tych łatwiejszych.

W środku było ciemno, wszystkie zasłony zaciągnięte. A na dworze zapadał zmrok. Miał już na rękach rękawiczki. Poszukał w przedpokoju przełącznika. Znalazł. Idąc z pokoju do pokoju, zapalał kolejne światła. Pokoje wyglądały na sprzątnięte, jakby ktoś się starał, ale nie do końca. Pewnie tak wygląda życie okresowego alkoholika: na przemian próby udane i porażki. W Amundövik Robertsson był zalany w trupa. Albo ktoś mu zyczył dobrze, albo źle. Nic pośrodku.

W lodówce trzymał piwo, co najmniej trzydzieści butelek niskoalkoholowego piwa marki Hof. Słusznie, gdy się pije wódkę bez umiarkowania, *alcooliques sans frontières*<sup>34</sup>. Cholera, gdzie ty jesteś, co tam leży, zostawił na wierzchu jakieś notatki, widocznie nie wierzy, że ktoś mógłby się włamać do jego domu, zwłaszcza policja. Co my tu mamy, ano cyfry i litery.

---

34 Franc. alkoholicy bez granic.

CHRISTIAN RUNSTIG ZESZTYWNIĄŁ od długiego siedzenia, a przedtem długiego leżenia na pryczy w areszcie. Do tego doszły kłopoty z żołądkiem i próba samobójcza.

Chłopak wkopywał piłkę do pustej bramki. Bez końca. Czasem strzelał gola. Runstig setki razy stał przy oknie i obserwował ten krzyż pański. Właśnie zaczęło padać. Deszcz siąpił na piłkę, na chłopaka i na jego gole.

- Przejdę się trochę – powiedział.
- Pada.
- Nie szkodzi.
- Jana nie lubi, jak pada.
- Nie mogę za każdym razem zabierać jej ze sobą.
- A co będziesz robił?
- Mówiłem, przejdę się.

Halders usiłował odczytać gryzmoły. Robertsson, jeśli to on, no oczywiście, że on, pisał na jednej kartce, potem na drugiej, i następnej, i jeszcze następnej, jakby według jakiegoś systemu, ale to nie był system. Kratkowane kartki formatu A4 zostały wyrwane z bloku leżącego na podniszczonym stoliku koło kanapy. Jak byłem mały, lubiłem pisać na papierze w kratkę, przypomniał sobie Halders. Był fajniejszy od papieru w linie, dawał więcej swobody. Cyfry oznaczały chyba sumy, a może daty. Kilka razy pojawiło się nazwisko Robin Bengtsson, dwukrotnie podkreślone. Za drugim razem obok jakichś cyfr. To na pewno była data śmierci tego gnojka.

Charakter pisma dość chwiejny, nie zawsze, ale przeważnie, jakby Robertsson pisał to po pijanemu.

Na jednej z kartek były dwie strzałki. Wskazywały na... kurde, co to jest... jakiś symbol... inicjały... w tym momencie Halders nie potrafił tego odczytać. Mogło się to okazać równie

bezsensowne jak tłumaczenie czyjegoś pijackiego gadania. Spojrzał na sumy: sto tysięcy czegoś, pół miliona czegoś, może butelek, może pieniędzy, od kogoś dla kogoś, może to tylko nadzieje, coś za coś, jakaś tajemnica, jedna cholerna tajemnica.



To coś znaczy. Przejrzał kartki jeszcze raz. I znów ten symbol, nakreślony tak samo niedbale jak za pierwszym razem. Jakby nazistowski. Dwa symbole: po jednym znak zapytania, po drugim wykrzyknik.

Chłopak strzelił gola, lewą nogą w prawy górny róg. Runstig przyniósł mu piłkę. Przestało padać. Od razu wyszło słońce, jakby niecierpliwie czekało w drzwiach, żeby jeszcze zaświecić po raz ostatni.

- Mogę trochę postać w bramce – zaproponował Runstig.
- Okej.
- Ale strzelaj spoza pola karnego, bo będzie za blisko.
- Okej.
- No to dawaj!

Obronił pierwszą piłkę. Aż go zapiekły dłonie. Chłopak dobrze strzelał. Setki tysięcy godzin treningu zrobiły swoje.

Odrzucił piłkę. Chłopak znów strzelił. Piłka wpadła do bramki koło słupka, ale musnął ją. Odciski palców, pomyślał. Jednak nie zeszywniałem do końca.

- Ładna obrona – powiedział chłopiec.
- Dzięki. Jak masz na imię?
- Miros.
- Aha. Ja mam na imię Christian.
- Mieszkasz tu, prawda?
- Tak, oczywiście.
- Byłeś na urlopie?

- Dlaczego pytasz?
- Bo przez jakiś czas cię nie widziałem.
- Siedziałem.
- W więzieniu?
- Aż tak to nie, musieli mnie wypuścić.
- Widziałem samochody policyjne.
- Tak.
- Więc nic złego nie zrobiłeś?
- Nic.
- To dobrze. Mógłbym kiedyś pospacerować z waszym psem?
- E... oczywiście.
- Jak on się wabi?
- To suka. Jana.
- Co to za rasa?
- Zapomniałem.
- Sprawdzę w domu – odparł Miros. – Mam książkę o psach.
- Nie możecie sobie kupić psa?
- Mama ma alergię.
- Okej, Mirosie Klose. Dawaj jeszcze raz.

Miros przygotował się do strzału. Łydki miał jak dorosły mężczyzna. Mocno kopnął piłkę w środek bramki, ale ponad głową bramkarza. Trudne miejsce, zwłaszcza jeśli bramkarz zmierza w stronę któregoś ze słupków, jak to najczęściej bywa. Ale Runstig stał na środku, widział piłkę. Leciała jak kula armatnia. Wyciągnął ręce w górę i wygiął się do tyłu. Stał na linii bramki. Poczul potworne uderzenie. Piłka walnęła go w ramię, zmieniła kąt i uderzyła w poprzeczkę, i znów wypadła daleko, daleeeko na boisko. Usłyszał radosny okrzyk Mirosa. W przedramionach i dłoniach poczul tępy ból, wszystko w jednej chwili. Najszczęśliwszej w całym jego dotychczasowym życiu.

Przespacerowali się do nowej stoczni i z powrotem. Niebo nad Vingą<sup>35</sup> było rozplomienione. Widzieli prom płynący do

---

<sup>35</sup> Vinga – najdalej wysunięta na zachód wyspa göteborskiego archipelagu.



Niemiec. Do Heimatu. Już tak nie myślała, zresztą chyba nigdy tak nie myślała. To jest jej dom. Sannabacken, Röda Sten, Amundön. Manpower.

– Często jeździsz do Niemiec? – spytał.

– Dlaczego miałabym jeździć?

– Nie wiem. Głupio zapytałem.

– Nie, to ja głupio odpowiedziałam. Niemcy są bardzo przywiązani do rodzinnych stron, ale nie mogłeś wiedzieć, że trafiłeś na Niemkę, która jest inna. Chociaż jestem również Szwedką.

– Masz podwójne obywatelstwo?

– *Natürlich.*

– Chciałbym umieć mówić po niemiecku.

– Naprawdę?

– Chyba tak... – Uśmiechnął się. – Fajnie by było.

– Mogę cię nauczyć kilku słów.

– Już umiem. *Noch ein Bier.*

– To ci wystarczy na długo.

– W każdym razie nie będę musiał chodzić głodny.

– *Bier ist Brot*<sup>36</sup>.

– To chyba też zrozumiałem.

Przeszli jeszcze kawałek. Przed Sofitelem zatrzymał się autokar. Wysypali się z niego głównie starsi ludzie, bo głównie oni podróżują. Wiek sześćdziesiąt pięć plus. Słyszę, co mówią, rozumiem każde słowo, Hannover, aha, z Hanoweru, *Liebe auf den dritten Blick*<sup>37</sup>.

Winter znów poszedł do wydziału technicznego. Czegoś nie dokończyli, nie domknęli, on i Torsten. Robili, co się da, ale wciąż za mało. Same domysły to za mało, żeby pokonać cały dystans. Gdzieś tam przebiegała delikatna granica, poza którą była już tylko niebezpieczna prostoduszność.

Öberg stał na środku pokoju, w samym centrum

---

<sup>36</sup> Niem. *Noch ein Bier* – jeszcze jedno piwo, *Bier ist Brot* – piwo to chleb.

<sup>37</sup> Niem. miłość od trzeciego wejrzenia.

rzeczywistości.

– Czy ta próbka DNA z mikrośladów naprawdę jest niewystarczająca?

– Naprawdę.

– X w tym równaniu.

– Może to ktoś, kogo już poddawaliśmy badaniom – powiedział Öberg.

– To jeszcze bardziej frustrujące, nie uważasz?

– Nie, pod warunkiem że wyciągniesz od niego przyznanie się do winy.

– Mógłbyś je sprawdzić jeszcze raz?

– Pokoje na piętrze?

– Tak.

– Już za pierwszym razem wiedzieliśmy bardzo dokładnie, co robić – odparł Öberg. – Za drugim razem też.

– Wiem, wiem.

– Od tej pory było tam kilku spacerowiczów.

– Właśnie to mam na myśli.

– Poza tobą i kolegami?

– Tak. X też tam był.

– To brzmi tak, jakby ci chodziło o jej męża. O Marsa.

– On tam był, ale nie jego mam na myśli, tylko człowieka, który tam wrócił. Popęłnił wtedy błąd i właśnie ten błąd musimy znaleźć.

– Chodzi ci o kogoś konkretnego?

– Wiem tylko, że wygląda jak snob.

Ale nie był pewien. Facet nie musi wyglądać jak snob i nie musi być snobem. Miał na myśli Iksa.

– Pojadę tam – powiedział Öberg. – Do trzech razy sztuka.

Ani śladu Robertssona. Halders sfotografował znalezisko i zarządził dyskretną obserwację szeregowca. Robertssona nigdzie nie było.

– Spoczywa na dnie morza – powiedział Halders.

– Możesz mieć rację – przyznał Winter.

– Ja zawsze mam rację.

- Morze jest głębokie.
- Ukrył się gdzieś – odezwał się Ringmar. – Robi w gacie ze strachu.
- Ale nie na tyle, żeby nie spróbować zarobić paru groszy
- zauważył Halders. – Co powiecie na te gryzmoły?  
Zabrał ze sobą oryginały. Ostrożność też ma granice.
- Jeśli to symbol, to powinien być jeszcze gdzieś
- powiedział Winter. – Na przykład u niego w domu.
- Nie miałem czasu szukać – powiedział Halders.
- Trzeba to zrobić oficjalnie. Pogadam z Moliną.
- Wygląda jak inicjały – stwierdził Ringmar. – Jak dwie wielkie litery.
- Zawsze coś! – zauważył Halders.
- Dwie zachodzące na siebie litery – uzupełnił Winter.
- Facet był pijany – powiedział Halders.
- To znaczy, że był nieostrożny – dodał Winter.
- Musiał mieć powód, żeby nie napisać nazwiska. Jeśli to nazwisko.
- Strzałki na niego wskazują – ciągnął Winter. – Jeśli to nazwisko, to na pewno chcemy je zobaczyć.
- Już je widzieliśmy – odezwał się Ringmar. – Jest gdzieś w materiałach ze wstępnego dochodzenia.
- Czy to przypadkiem nie jest J? – spytał Halders. – To pierwsze albo to drugie z lewej?
- Może.
- Mamy w Biblii kogoś na J? – spytał Ringmar.
- Józef – odparł Halders.
- Jovan – powiedział Winter.
  
- Chciałbym zaprosić cię na kolację do Sjömagasinet
- powiedział, gdy zatrzymali się przed restauracją.
- Nie jestem odpowiednio ubrana – odparła.
- Ależ jesteś.
- To takie miejsce, że trzeba się starannie, elegancko ubrać.
- Tym razem się wywinęłaś.
- Nie chcę, żebyś mnie zapraszał.

– Okej, w takim razie ty mnie zaproś.

Przed wejściem zatrzymała się taksówka. Wsiadły cztery osoby, dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Wszyscy elegancy i starannie ubrani, nie za starzy. Ktoś się zaśmiał. Kobiety miały za wysokie obcasy. Są granice. Gerda była z tych, co chodzą na płaskich. Uśmiechnął się porozumiewawczo. Chodziło mu o grupkę z taksówki. Już byli w środku, całuski w policzki. Ona tam dzisiaj nie wejdzie, może nigdy.

– Ja... mogę cię zaprosić na herbatę i kanapki – powiedziała.

– Będzie mi miło. Dokąd pójdziemy?

Nie wyglądał, jakby żartował.

– Może do mnie.

– To jeszcze lepiej.

– Ale musimy kupić ser. W Coop koło sadzawki jest jeszcze otwarte.

– Sadzawka – powiedział.

– Masz stamtąd jakieś wspomnienia?

– Niestety nie.

– Wszyscy, którzy dorastali w tej okolicy, mają stamtąd jakieś wspomnienia.

– Staram się porządkować wspomnienia – powiedział.

– Inaczej robi się ich za dużo.

– Ja mówię o dzieciństwie – zauważyła Gerda.

– Ja też.

– Tak... no cóż, okej.

– Kiedyś może o tym porozmawiamy. Ale nie teraz. Teraz będziemy jeść ser.

– I grzanki – powiedziała. – Mam w domu dżem.

– Jestem gotów – odparł.

Winter zadzwonił do Roberta Kroła, żeby go spytać o planowaną przeprowadzkę, a może żeby go zaprosić do komendy przy Skånegatan. Przygotować na to, że Öberg jest w Amundövik, na wypadek, gdyby się zdziwił, przechodząc koło domu.

Nikt nie odebrał. O tej godzinie ludzie zazwyczaj są w domu, w każdym razie ci trochę starsi. Jego żony też nie było. Nigdy jej nie widziałem, pomyślał Winter. Zajęła się Gretą, i dobrze.

Zawsze chodzi na spacery sam. Może jego żona jest niepełnosprawna. Muszę ją spytać. Nie, tego, rzecz jasna, nie należy robić. Zobaczę się z nią u nich w domu. Muszę go spytać o dwie rzeczy.

Po pierwsze, dlaczego ktoś kłamie, mimo że wszyscy wiedzą, jaka jest prawda.

Znów spojrział na zegarek. Pora iść do domu. Zadzwoił jeszcze raz. Nikt nie odebrał. Zadzwoił do Öberga: i tak nie mam nic do roboty, będzie ciekawie popracować przy twojej lampie.

– Tak?

– Stoisz przy oknie?

– Można tak powiedzieć.

– Czy przed domem ktoś stoi?

– Od pewnego czasu.

– Sam?

– Tak.

– Okej – powiedział Winter.

– Kto to jest?

– Robert Krol.

– Wiesz na pewno, chociaż cię tu nie ma?

– Na sto procent.

– Widać facet cierpi na natręctwa.

– Na coś cierpi na pewno.

– Nie zostaniemy tu długo, Eriku. Krol będzie mógł odpocząć.

– Mhm...

– Zupełnie jak ty, przyjacielu.

– Już mówiłeś. Do widzenia.

Winter zadzwonił do Krola do domu. Nikt nie odebrał. Siedział ze słuchawką w ręce i słuchał sygnałów, aż do chwili gdy ustały, jakby ze zmęczenia.

WIECZÓR BYŁ WYJĄTKOWO DŁUGI. Światło dnia jakby nie chciało opuścić tego skraju świata, jakby nie chciało zejść do morza albo wtopić się w niebo. Tym razem trzymał Janę na smyczy. Lepiej, żeby już nie było takich wypadków.

Przed chwilą przejechał samochód, ale to cały tutejszy ruch.

Dom był pogrążony w ciemnościach. Żadnego światła. Nie widział go od tamtego razu, nie był tam od tamtej pory. I po co tu przyszedł? Przecież nie tu mieli iść, mieli przejść na wyspę, Jana uwielbia wyspę. Zachowywała się, jakby wiedziała, że idzie wiosna. Może zwierzęta wiedzą takie rzeczy, nie potrzebują meteorologa, który stoi przed mapą w telewizji i próbuje coś zgadywać, macha na ślepo przed obrazkami z komputera, które są z boku, i gada o wyspie Öland, chociaż wskazuje na Norrlandię, kurde.

Był sam na ulicy, czy też uliczce, albo na wąskiej ścieżce odchodzącej od szerszej ścieżki. Ładnie oświetlone domy. Wtedy nie zwrócił na nie uwagi. To mogłoby być gdziekolwiek, ale nie było i nigdy nie będzie.

Wieczór był piękny, a na dworze i tak nikogo. Tak się porobiło teraz, po tych morderstwach. Minął plac zabaw. Trudno mu było sobie wyobrazić, że mógłby być pełen dzieci. Tak właśnie myślał. Przypomniał sobie Mirosa. Może zostanie gwiazdą polskiej reprezentacji, bo wzgardzi szwedzką.

Szwedzka nie jest znowu taka atrakcyjna, pomyślał. Zresztą co jest atrakcyjnego w tym, co szwedzkie?

Wieczorem dom wyglądał jak czarna dziura, przywodził na myśl piekło. Od czerwieniejącego na zachodzie nieba odcinał się inny mały domek. Stał na górcie. Wyglądał jak dom dla lalek, zabawka zostawiona przez dzieci, gdy wieczorem wróciły do domu.

*A love supreme, a love supreme, a love supreme, a love supreme.* Winter siedział bez ruchu i wpatrywał się w pustą

przestrzeń. Przez otwarte drzwi balkonowe wpadały znajome wieczorne odgłosy. Głos Coltrane'a jak pozdrowienie sprzed kilku dziesięcioleci, 1964, miałem wtedy cztery lata, a trzy lata później Coltrane już nie żył. Umarł na raka wątroby. Rok wcześniej powiedział: wyznaję wszystkie religie świata.

Komórka zaczęła pełzać po stoliku jak skorpion. Jej oko mrugało do niego.

– Słucham?

– Mówi Torsten.

– Wyświetliłeś mi się.

– Właśnie stamtąd wyjechaliśmy. Mamy coś. Musiałem tylko sprawdzić kilka rzeczy w samochodzie.

– Co to jest?

– Odcisk palca pod parapetem w pokoju chłopaka. Na piętrze. Chyba da się go zidentyfikować.

– Odcisk palca?

– Zeszyłem razem go nie było. To chyba nie twój? Pod parapetem?

– Nie.

– Zbadaliśmy mikroślady, ale jak wiesz, trochę to potrwa. Odcisk palca możesz mieć jutro po południu. To palec środkowy, tak jest zazwyczaj. To najbardziej bezmyślny palec.

– Dzięki, Torsten.

– Miałeś dobre przeczucie.

Winter nie odpowiedział. Myślał o oknie, o oknach. Stał tam już za pierwszym razem. I pomyślał, że kiedyś mu odpowiedzą.

– Spotkałem faceta z psem – powiedział Öberg.

– Tak?

– Naszego przyjaciela z aresztu, twojego kolegę Runstava.

– Runstiga.

– Właśnie. Spacerował z psem. Przeprowadził się tam?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Powinieneś wiedzieć.

– Dokąd szedł?

– Nie wiem, ale zmierzał tam, skąd ja przyszedłem.

– Ciekawe.

– Więc można powiedzieć, że ja również pracuję w wydziale

zabójstw – stwierdził Öberg.

– Ale nie płacą ci podwójnie. Dzięki za wszystko. Do usłyszenia jutro.

Kupiła ser, najlepszy, jaki mieli w małym sklepie Konsumu. Nie tak dobry jak w hali targowej, ale całkiem niezły.

– Masz ochotę na kielbasę? – spytała. – Mają smalandzką.

– Dziękuję, ale prowadzę – odparł.

– Cha, cha.

– Przepraszam – powiedział.

– Zdarza się.

– Czujesz się już lepiej? – spytał.

– Jak... co masz na myśli?

Stali przy ladzie chłodniczej. Wydawała dziwne odgłosy, jakby wzdychała.

– Kiedy się spotkaliśmy na Hamngatan, odniosłem wrażenie, że jesteś... przygnębiona.

– Praca, nic takiego.

– Niezbyt przyjemnie jest zabierać pracę do domu.

– Fakt.

– Teraz lepiej?

– Tak.

Rzeczywiście poczuła się lepiej. Mniej więcej wtedy, kiedy kupowała ser, albo wcześniej, kiedy szli wzdłuż rzeki, a może jeszcze wcześniej, na Hamngatan, koło pomnika, kiedy już miała z kim porozmawiać.

– Gdybyś chciała o tym porozmawiać, to... – zaczęła.

– Nie ma o czym – odparła. – Zresztą większość i tak jest poufna.

Wtedy, gdy przyjechał, była zima. Otworzyła mu. Były dzieci, szczeniak, krzyczało niemowlę. Zaprosiła go do środka. Dzieci były gdzie indziej, coś powiedziała, co ona takiego powiedziała... Ja tylko poszedłem za Janą, ona wie, że jest stąd, zwierzęta wiedzą takie rzeczy, trafiają do domu nawet



z drugiego końca świata, i to bez sekstantu.

Już nie był sam. Ktoś stał na krańcu posesji. Jakiś cień. Wyrósł jak spod ziemi i stał bez ruchu. Policja? Firma ochroniarska? Czy dom nadal jest pilnowany?

Ktoś go śledzi, chodzi za nim. Nadal mi nie ufają i mają rację, pomyślał. Sam sobie nie ufam.

Cień się poruszył.

Jana zaczęła szczekać. Jej szczekanie wtargnęło w zacisze, szarpnęło za wiatr, za drzewa.

– Cicho, Jana. Cicho!

Suka ucichła i – kurde – cofnęła się przed cieniem. Psem obronnym to ona nie jest. Ale nie bał się. Tam już nie było czego się bać.

Tamten ruszył pod latarnię, pod jej zasrane, zaszczane światło. Jakiś dziadek, sporo lat na karku.

– Coś ty za jeden? – spytał. – Czego tu szukasz?

Nie było to przyjemne. Miał alergię na ludzi, którzy nie są uprzejmi, a wręcz od pierwszej chwili nieuprzejmi. Dusilo go wtedy, nie mógł oddychać.

– Chyba widzisz, spaceruję z psem.

– Nie znam cię.

– Ja ciebie też.

– Tu ludzie są nieufni wobec obcych.

– Czy to prywatny teren?

– Nie.

– No właśnie.

– Dlaczego tu sterczysz?

– Bo co?

– Dlaczego stoisz przed tym domem?

– A ty dlaczego? – spytał Runstig. – Coś ty za jeden? Co tu robisz?

– Ja tu mieszkam.

– I jesteś z miejscowej gwardii obywatelskiej?

– Lepiej stąd idź.

– Chyba jeszcze zostanę.

– Mogę zadzwonić na policję.

– Mnie nie nastraszysz, dziadu.

– Jesteś nie w tym miejscu co trzeba.

– Wiem wszystko o tym miejscu – odparł Runstig.

Tamten zamilkł. Miał się nad czym zastanawiać. Wokół panowała cisza. Jana też była cicho. Schowała się za nim.

– Nie jesteś stąd – powiedział. Cofnął się kilka kroków i znów znalazł się w cieniu.

– Tak, wiem – odparł Runstig.

– Znam tę suczkę, ona jest stąd.

– Boi się ciebie.

– Wiem, jak się wabi.

– Wabi się Jana.

– Wcale nie.

– Skąd wiesz?

Cień odwrócił się i poszedł. Z każdym krokiem coraz bardziej zlewał się z ciemnością.

– Skąd wiesz? – powtórzył Runstig, zwracając się do ciemności. – Skąd wiesz, że to suka?

Gerda pozapalała lampy. Całe szczęście, że poprzedniego dnia posprzątała. Żadnych majtek na krześle w kuchni, żadnych porozwieszanych pończoch. Czysta deska klozetowa. Żadnych zacieków w wannie, zaschniętej kaszy w zlewie. To ostatnie i tak było nieprawdopodobne, bo nigdy nie gotowała kaszy.

– Ładnie – powiedział.

– Kłamczuch – odparła.

Później, kiedy już zjedli ser i chleb, usiedli w dużym pokoju i w półmroku słuchali tramwajów.

– Chcesz posłuchać muzyki? – spytała.

– Nie, jest przyjemnie, jak jest tak cicho.

– No to będziemy siedzieć cicho.

– Nie to miałem na myśli.

– I tak by ci się nie podobała moja muzyka – powiedziała.

– Niemieckie techno. Kraftwerk, Marcus Schmickler.

– Brzmi interesująco. Żartujesz?

- Nie do końca.
- Jesteś bardzo interesującą osobą, Gerdo.
- Pod jakim względem?
- Nie chodzi mi o to, że jesteś policjantką – ciągnął.
- Okej, słucham.
- Jesteś interesująca – powiedział. – Na razie wiem niewiele więcej.
- Może nie ma wiele więcej. Interesująca... to już sporo.
- Tak. Chciałbym, żeby mnie ktoś uznał za... choć trochę interesującego.
- Ależ jesteś, Jens, jesteś bardzo interesujący.
- Lepiej być interesującym niż spiętym – powiedział.
- A ty jesteś spięty?
- Miałem na myśli ciebie...
- Ja nie jestem spięta.
- Ale byłaś wcześniej, kiedy się spotkaliśmy.
- Chyba już to sobie wyjaśniliśmy?
- Owszem...
- Nie zadowala cię to?
- Chciałbym, żebyś się dobrze czuła.
- I tak się czuję.
- To dobrze.
- Wszystko jest dobrze – powiedziała.
- Może być jeszcze lepiej – odparł. – Teraz wstanę, usiądę koło ciebie na kanapie, obejmę cię i uściskam.

Pozwoliła mu usiąść obok. Objął ją, ale luźno, z szacunkiem. Poczowała jego zapach, słabą woń dezodorantu albo wody kolońskiej, może wody po goleniu, i jeszcze czegoś kwaskowatego, jakby... wodorostów. Morze, więcej soli niż kwasu.

Odwróciła głowę w jego stronę, wpatrywała się w jego profil. Patrzył przez okno, na poddające się podmuchom wiatru znad cmentarza latarnie.

- Kogoś mi przypominasz – powiedziała.
- Oby kogoś miłego.
- Jesteś trochę podobny do mojego szefa.
- Mam nadzieję, że jest przystojny.

– Obaj jesteście przystojni.  
– Jak on się nazywa?  
– Co to ma za znaczenie?  
– Czy to tajne?  
– Erik Winter.  
– Aha.  
– Znasz go?  
– Ze słyszenia. Facet nie jest w Göteborgu anonimowy.  
– Fakt.  
– Czy byłaś zdenerwowana dlatego, że czepiał się mojej małej Gerdy?  
– Proszę, żebyś tak o mnie nie mówił.  
– Ale spieraliście się.  
– Głupio wyszło – powiedziała. – I nawet nie z mojej winy.  
Raczej z powodu zasługi.

– O co poszło?  
– Nie mogę ci powiedzieć, ale to niesprawiedliwe.  
– Często tak jest – powiedział, obejmując ją.  
Nie było to nieprzyjemne. Przez bluzkę poczuła lekki dotyk jego palców, mocnych, żylastych, długich.  
Załaskotało ją w brzuchu, to też nie było nieprzyjemne. Poczuła się trochę onieśmielona. Znów ten dotyk jego dłoni.  
– Ale był bardzo miły – powiedziała, odwracając do niego twarz.

Jens siedział bokiem do niej. Raczej się nie spodziewała, że Sannabacken wyda mu się ciekawszy od niej.  
– Oni często są mili – powiedział.  
– Chodzi ci o szefów?  
– Tak.  
– To chyba dobrze.  
– Czasem to tylko gra – wyjaśnił. – A tak naprawdę nie należy nikomu ufać.

– Coś ty nagle taki bezkompromisowy, Jens?  
Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Przysunął do niej twarz. Poczuła jego dłoń na plecach. Znów się uśmiechnął.  
– Czasem jestem bezkompromisowy.  
Nie odpowiedziała. Niechby i był, ale w przyjemny, miły

sposób. Położyła dłoń na jego ramieniu. Twarde jak stal. Był bardzo spięty. Może jest mniej doświadczony, niż się zdaje. Ona też nie jest w łóżku jakąś rutyniarą. Trochę sapał, to w końcu naturalne. Ona pewnie też sapie.

– Winter zachował się w porządku – powiedziała. – Mimo że czasem niewiele trzeba, żeby się rozzłościł.

– Winter jeździ szybko jak... – powiedział i urwał.

– Co?

– Nic takiego.

– Owszem, powiedziałaś o Winterze, że jeździ szybko jak... co?

– Nie, nie, powiedziałem, że tylko zimą<sup>38</sup> jeżdżę szybko jak... skurczybyk, ale nie chciałem przeklinać. Nie lubimy tego, prawda, Gerdo?

Winter wciąż trzymał w ręku skorpiona. W tym, co powiedział Öberg, było coś więcej, ale ciągle nie potrafił na to wpaść. To nie Runstig. On by nie zniknął. On chciał zobaczyć, wszyscy chcieli zobaczyć, ale odcisk w pokoju na piętrze nie należał do Runstiga. To niemożliwe.

Miał przed sobą papiery, które Halders zwędził z mieszkania Robertssona. Teraz Halders tam wracał, żeby przeprowadzić oficjalne przeszukanie, może nawet już był na miejscu. Winter spojrzał na symbole, a może to były inicjały. Pierwsze... to mogło być J albo odwrócone C, chyba że to zwykły bazgroł. Drugie mogło być L, jakby ten, kto to pisał, stracił ciepłość, bo litera jakby ściekła w dół.

Trzeba tylko trochę wyobraźni, desperackiej wyobraźni.

JL.

Jakich my tu mamy JL?

Przeglądał pliki w komputerze, sprawdzał nazwiska w porządku chronologicznym. Nie, nie przesłuchiwali żadnego JL, zresztą protokołów z ostatnich przesłuchań nie było, trzeba je uaktualnić.

---

<sup>38</sup> Gra słów: zima to po szwedzku vinter, wymawia się tak samo jak nazwisko Winter.

A roznosiciele gazet? Uczestnicy spotkań AA? Mieszkańcy okolicy?

Koledzy Sandry z pracy?

Kliknął w stronę Manpowergroup, stworzoną dla ludzi szukających wymarzonej pracy. Experis. Tam znalazł pracodawcę Sandry, członka grupy, nazwisko, nazwisko, kierownictwo, nazwisko, nazwisko, p.o. wicedyrektor do spraw komunikacji korporacyjnej Jens Likander.

Potem ją pocałował. Kącikiem ust poczuła jego wargi, nie trafiły na miejsce. Spróbował jeszcze raz.

Cofnęła twarz, poczuła jego dłoń na potylicy, odsunęła ją.

– Jens, o czym ty mówisz? Co za jeżdżenie zimą? Co to za brednie?

Nie odpowiedział, nie patrzył na nią. Spojrzała na jego ręce. Nie ruszały się.

– Coś ty powiedział? Że jak Winter jeździ?

– Jeździ jak wariat – odparł z uśmiechem.

– A skąd ty możesz o tym wiedzieć?

– Widziałem raz, jak prowadził samochód.

– Raz go widziałeś prowadzącego samochód?

– Gerdo, ciągle po mnie powtarzasz.

Wyciągnął rękę i musnął jej ramię. Odsunęła się.

– O, jak nieprzyjemnie. To było niepotrzebne – stwierdził.

– To ty coś powiedziałeś. Nie wierzę ci.

Znieruchomiał i nagle wydał jej się taki samotny. Spojrzał na nią.

– Nie rozumiem – powiedział.

– Kim ty jesteś? – spytała. – To ciebie Winter ścigał swoim samochodem?

– Nie, nie, nie.

– To byłeś ty! – powiedziała, wstając.

– Nie mógł mnie dogonić, pajac jeden – odparł Likander i również wstał. Uśmiechnął się porozumiewawczo, że niby myślą o jej miłym niemłym szefie to samo. O snobistycznym pajacu, który ich rozdzielił, ale tylko na krótką chwilę.

– I dlatego tu jesteś... Dlatego u mnie jesteś! To ty siedziałeś wtedy w samochodzie na Frölunda torg. To ty....

– Gerdo, ja cię kocham. Jestem o tym przekonany. Dlatego tu jestem. Razem założymy rodzinę.

– Chyba w piekle! – Cofnęła się o trzy kroki. – Likander, jesteś zatrzymany! Wszystko, co...

Rzucił się na nią z wyciągniętymi rękami. Miał duże dłonie, mocne palce, już się nie uśmiechał, twarz wykrzywił mu grymas odsłaniający jeszcze więcej pięknych białych zębów. Coś mu uwięzło w krtani, jakieś słowo, dwa, nie mogły się z niej wydostać. Złapał ją za ramiona, tym razem mocniej, bardziej zdecydowanie. Teraz wie, czego chce, pomyślała. Udało jej się uwolnić z jego rąk na tyle, żeby mogła mu wymierzyć kopniaka prosto w krocze. Wcześniej nie zdążyła zawędrować myślami w to miejsce, doszła najwyżej do swoich piersi. Jak się będzie z nimi obchodził na tej kanapie. Ale romantyzm i erotyka ulotniły się jak kamfora. Jeszcze jeden kopniak w krocze. Miała twardą stopę, wyćwiczoną w rozmaitych sportach walki. Jej stopa była dużo twardsza niż jego fiut. Krzyknął, słowa wydobyły się z jego krtani, ale nie słuchała. Kopnęła go w pierś, gdy już osuwał się na podłogę, potem w podbródek. Rozległo się plaśnięcie. Odgłos ohydny, fantastyczny. Stopa nie zabolęła. Leżał koło kanapy. Wiedziała, że będzie tam leżał, dopóki go nie wyniosą.

LIKANDER ZOSTAŁ OPATRZONY. Przyłożono mu lód do podbrzusza i do rozkwaszonej dolnej wargi. Niewiele więcej. Pobrano od niego odciski palców i próbki DNA i w końcu mógł odpocząć w celi. Gerda zorganizowała transport. Wśród policjantów, którzy przyjechali po jego ścierwo, był Vedran Ivankovic, funkcjonariusz wyjątkowo wysokiego wzrostu.

– Dałaś mu radę sama? – zdziwił się.

Gerda zadzwoniła do Wintera.

– Właśnie o nim rozmyślałem – powiedział.

– Tak?

– Nie wiedziałem, co to za jeden.

– No to teraz już wiesz – powiedziała. – I ja też.

Było już po północy, gdy przyprowadzili Likandera do pokoju przesłuchań, do pokoju o ścianach w martwym kolorze.

Winter zadzwonił z domu do Haldersa. Halders był jeszcze w domu Robertssona, z dwoma technikami. Przeszukanie polegało głównie na wyciąganiu z różnych kątów butelek.

– Fredriku, chciałbym, żebyś tu był.

– Oczywiście.

– Postaram się słuchać.

– Złapię go mocno za jaja – odparł Halders.

– Niestety nic z nich nie zostało.

Likander mógł jednak chodzić i siedzieć. Właśnie siedział naprzeciwko nich. Wyglądał jak wyrwany ze snu, a właściwie jakby wciąż spał. Niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w stojącą na stole aparaturę. Postanowił sam bronić swego honoru.

– Jak się czujesz, Jens? – spytał Halders.

Likander nie odpowiedział.

– Nieźle ci dosunęła – powiedział Halders.



– Gdzie ona jest? – spytał Likander, podnosząc wzrok.  
– Gównu cię to obchodzi – odparł Halders.  
– Fredriku, Fredriku – odezwał się Winter. – Jest na debriefingu – powiedział, zwracając się do Likandera.  
– Zawsze tak postępujemy, kiedy kobieta ważąca sześćdziesiąt kilogramów rozkłada na łopatki faceta, który waży dziewięćdziesiąt – wyjaśnił Halders. – Dla badaczy to ciekawe zjawisko.

Likander mruknął coś niezrozumiałego.

– Przepraszam, co powiedziałaś, Jens? – spytał Winter.  
– Nie byłem na to przygotowany.  
– Co za obrzydliwe tchórzostwo! – zauważył Halders.  
– Dlaczego cię kopnęła, Jens? – spytał Winter.  
– Nie wiem. Oszalała.  
– Oszalała? Z miłości? – spytał Halders.  
– Tak myślałem.  
– Może ona też tak myślała?  
– Co pan chce przez to powiedzieć?  
– Może jej się podobałeś? Dopóki się nie zorientowała, kim jesteś.

– Ja nic nie zrobiłem.

– Może z początku miała wobec twoich jaj inne zamiary?

Likander spojrział na Wintera, jakby szukał u niego pomocy, jakby chciał, żeby go obronił przed Haldersem. Winter uważnie mu się przyglądał.

– Dlaczego w środku nocy siedziałeś w samochodzie na Frölunda torg?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Kilka godzin temu sam powiedziałeś o tym inspektor Gerdzie Hoffner.

– Źle mnie zrozumiała.

– Wymieniłeś moje nazwisko.

– Kurde, mówiłem o zimie!

– Denerwuje cię to?

– Niby co?

– Że byłeś wtedy w tym samochodzie.

– Denerwuje mnie, jak ktoś nie rozumie, co się mówi,

a potem kopie mnie w słabiznę – odparł Likander.

– Ładne stare określenie: w słabiznę – odezwał się Halders.

– Nie mógł mnie dogonić, pajac jeden. To twoje słowa?  
– spytał Winter.

– Które?

– Słyszałeś.

– Nie, nie moje.

– A ten pajac to kto?

– Nie mam pojęcia.

– Może ty?

– Co?

– To ty jesteś pajacem, Jens. To ty nie doganiasz.

– Nie jestem pajacem.

– Nie dogoniłem cię, bo nie chciałem.

– Ha.

– Tak było.

– To i tak nieprawda. Jej słowo przeciwko mojemu.

– Od kilku godzin głos masz jakby cieńszy – zauważył Halders. – Trudno będzie rozróżnić, kto co mówił.

– Czy on musi tu być? Czy takie przesłuchiwanie w ogóle jest dopuszczalne? – spytał Likander Wintera.

– Jeśli byłeś w mieszkaniu Robina, wkrótce się o tym dowiemy – powiedział Winter. – Zostawiłeś ślad. Zawsze zostawiacie za sobą ślady.

– Jakiego Robina?

– Wiesz, o kim mówię. Słuchasz mnie, Jens?

Wyglądał, jakby słuchał, ale wzrok miał spuszczone. Winter zamilkł, czekał. Halders też czekał, ściany czekały. Godzina duchów. Winter spojrzął na zegarek, zostało jeszcze kilka minut. Akurat tyle, ile trzeba, żeby duch się ukazał.

Likander podniósł wzrok.

– Ja ją kochałem – powiedział.

– Ona nie jest o tym przekonana – odparł Halders.

– Miałem na myśli Sandrę – dodał Likander.

Halders spojrzął na Wintera. Winter poczuł na potylicy znajomy dreszcz. Już nie słyszał szumu w uszach, tylko oddech Likandera.

- Mów – powiedział.
- Ona mnie kochała – ciągnął Likander.
- Co się stało tego dnia, gdy zginęła? – spytał Winter.
- Co?
- Co się stało, kiedy zginęła? – powtórzył Winter.
- Mnie tam nie było!
- Co się stało?
- Uwierzcie mi, nie mam nic wspólnego z jej śmiercią.
- Nie zapominaj o dzieciach – wtrącił Halders.
- Boże, to nie ja!
- No to kogo zabiłeś? – spytał Winter.
- Ja nikogo nie zabiłem!

Winter kiwnął głową, zachęcając go do mówienia.

- Dlaczego miałbym kogoś zabić?
- Właśnie tego chcemy się od ciebie dowiedzieć.
- Nie mam nic do powiedzenia.
- Opowiedz nam o Robinie – powiedział Winter.

Halders pochylił się do przodu:

- Likander, nie uda ci się wyjść z tego cało.
- Lepiej pomyśl o przyszłości – dodał Winter.
- Co?

– Kto mówi prawdę, zawsze ma przed sobą jaśniejszą przyszłość – powiedział Halders.

- Możesz nam wierzyć – wtrącił Winter.

Likander zaśmiał się nerwowo i oblizal wyschnięte wargi. Przydałaby się jakaś maść zmiękczająca, ale w pokoju przesłuchań jej nie było.

- Zrób to dla siebie, będzie ci lżej – powiedział Halders.

Winter nie potrafił zrozumieć, jak ktoś mógł go pomylić z Likanderem. Nie znajdował żadnego podobieństwa, jeśli już, to najwyżej uszy. Faktycznie jeden płatek miał trochę dłuższy od drugiego. Zauważył zmianę w jego oczach. Najwyraźniej postanowił zrobić coś dla siebie.

- Zauważyli mnie, kiedy tam byłem – powiedział.
- Tak.
- To było przed... przed morderstwami.
- Tak.

- Szantażowali mnie.
- Tak.
- Dlaczego ciągle pan powtarza „tak, tak”?
- Słucham, co mówisz.
- Nie chciałem być w to zamieszany.
- Aha...
- Przecież nie mam z tym nic wspólnego.
- Aha.
- Musiałem myśleć o swojej karierze. Nie chciałem, żeby została zniszczona.
- Aha.
- Wiem, że to było tchórzostwo.
- Tak – przyznał Halders.
- Ale jak mogliście pomyśleć, że to ja zabiłem Robina?  
Nikt nie odpowiedział.
- Ja bym nigdy... nigdy czegoś takiego nie zrobił.
- Ale to ty siedziałeś w samochodzie na rynku – powiedział Winter.
- To zupełnie co innego!
- Obserwowałeś mnie.
- Musiałem wiedzieć, co się wokół mnie dzieje.
- Jakie to ma znaczenie, skoro jesteś niewinny?  
Likander nie odpowiedział.
- Nie musisz niczego ukrywać – powiedział Halders.
- Zabijając tę gnidę, wyświadczyłbym przysługę ludzkości – odparł Likander, podnosząc głowę, jakby poczuł się dumny na samą myśl o tym. – Mogę już iść?
- Jeszcze nie – powiedział Winter.
- Choćbyśmy tu siedzieli do pojutrze, i tak mnie nie zmusicie, żebym się przyznał. Przykro mi. Przecież chodzi wam tylko o prawdę, tak?
- Gdzie jest Bert Robertsson? – spytał Winter.
- W oczach Likandera tliło się jeszcze światełko prawdy. Niezbyt mocno, ale jednak. Zgarbił się.
- Na Järkholmen.
- W którym miejscu?
- Między półwyspem a przystanią jest mała plaża, jakby

prywatna.

– Wiem, gdzie to jest – powiedział Winter.

– On tam jest. To był wypadek.

– Oczywiście.

– Szantażował mnie. Był zatwardziały, bezczelny, żądał ogromnych sum.

Winter kiwnął głową, zachęcał go, żeby mówił dalej.

– Przyłożyłem mu. Przyznaję. On... stracił przytomność. Zaciągnąłem go do mojej budki kąpielowej i poszedłem. Chciałem go trochę nastraszyć. Nie wiedziałem, co robić. Wróciłem i wtedy się okazało, że... zszedł. Za mocno mu przyłożyłem, ale nie miałem takiego zamiaru. Naprawdę.

– Gdzie go znajdziemy? – spytał Winter.

– Wciąż siedzi w mojej budce kąpielowej. Nie wiedziałem, jak go stamtąd zabrać. W końcu ją przejął.

Zrobili sobie przerwę. Winter i Halders poszli na kawę. Likander dostał kawę do pokoju przesłuchań. Gerda weszła do pokoju Wintera.

– O, jesteś jeszcze, Gerdo.

– Jak wam idzie?

– A ty jak się czujesz?

– Nigdy nie czułam się lepiej.

– Jesteś w szoku.

– Jeśli nawet, to bardzo mi się to podoba.

– W szoku, że ci kochaś nie sprostał – wtrącił Halders.

– Fredriku – powiedział Winter.

– Fredriku, jeśli chcesz dostać manto, to uprzedzam, że nadal jestem w szoku – powiedziała Gerda.

– Świetnie się spisałaś, Gerdo – odparł Halders. – Ze wszystkim.

– Więc co on mówi? Likander?

– To on...

– Wszystkich? Boże! – przerwała mu.

– Nie, tylko Berta. Przynajmniej tak mówi.

– Przyznał się?

- Tak.
- A Sandra? Dzieci?
- Kochał ją. Nie zabił ani jej, ani dzieci.
- Wierzymy mu?
- Jeszcze nie skończyliśmy – odparł Halders. – Nie wierzymy mu.
- Winter wstał.
- Czuję się trochę otępiały, a ty jak, Fredriku?
- Późno jest. Albo wcześniej.

Wrócili do pokoju przesłuchań. Likander dostał kawę z mlekiem. Może kiedy ich nie było, przemyślał to i owo.

Usiedli. Likander już siedział.

– Czy to ty przysłałeś nam zdjęcie? – spytał Winter.

– Jakie zdjęcie?

Spojrzeni na niego, a ich spojrzenia mówiły: Jens, Jens...

– Jakie zdjęcie? – Jego głos przeszedł w falset. – Nic nie wiem o żadnym zdjęciu! Zdjęcie czego?

– Przystani – powiedział Winter.

Likander nie odpowiadał. Namyślał się.

Winter i Halders czekali.

– To on – powiedział w końcu Likander.

– On, czyli kto?

– Jej ojciec, Egil. To przez niego nie chciała przyjeżdżać na przystań. Mówiła, że bardzo lubiła tam bywać, ale kiedyś.

– Opowiadaj – powiedział Winter.

– Pojechaliśmy tam. W końcu się zgodziła. Chciałem, żeby się przełamała. Udało mi się ją rozbawić. Widzieliście?

– Tak – odparł Winter.

Halders kiwnął głową.

– Stary molestował ją w dzieciństwie. Przypomniała sobie. Nagle sobie przypomniała. Byłem wtedy z nią. – Mówiąc to, patrzył w stół. Potem podniósł wzrok. – To on to zrobił, prawda?

– Czy Sandra z nim o tym rozmawiała?

– Próbowiła. Oczywiście zaprzeczył. Domyślam się, że oni

zawsze zaprzeczają.

– Uwierzyłeś jej?

– Oczywiście. – Likander spojrział na Wintera. – Pan w to nie wierzy, prawda? Widzę to po panu.

– Rozmawiałeś z nim?

– Nie. Gdzie on jest? Zatrzymaliście go? Jeśli tak, to dzięki mnie.

– To ma być sarkazm?

– Nawet nie próbuję.

– Nie lubimy tego – zaznaczył Halders.

– Tak naprawdę jestem w rozpaczach – powiedział Likander. Halders skinął głową.

– Zblamowałem się. Kochałem tę kobietę.

– W jakim sensie się zblamowałeś? – dopytywał Winter.

– Nie powinienem był... naciskać na nią.

– Naciskać?

– Tak... przecież ona myślała, że na nią napadam.

Winter i Halders spojrzeli po sobie.

– Na kogo napadasz? – spytał Winter.

– Na Gerdę oczywiście. Waszą koleżankę. Mieliśmy założyć rodzinę, nie mówiła wam? – Spojrział na Wintera, jakby oczekiwał od niego odpowiedzi. – Może nadal byśmy mogli? Czy ona tu gdzieś jest?

Wyszli z pokoju przesłuchań. Winter stał bez ruchu i patrzył w noc. Niedługo będzie rano. To może być już ostatnia noc. W głowie kłębiły mu się różne pytania, ale jeszcze nie potrafił ich sformułować. Jest tylko człowiekiem. Halders też. Tylko Gerda jest nadczłowiekiem. A może po prostu jest młoda, młodsza od nich, przed nią jeszcze wiele takich nocy.

– Damy mu kilka godzin. Niech sobie porozmyśla o tym, co zrobił, a czego nie – powiedział Winter. – Nam też sen przyniesie dobrą radę. Spotykamy się rano o ósmej.

– A ten jej ojciec? – spytał Halders.

– Nie teraz – odparł Winter.

– Mogłabym być przy przesłuchaniu? – spytała Gerda.

Niewłaściwe pytanie. Winter dostrzegwał jeszcze szok w jej oczach, w jej ciele. Do niej to wszystko dotrze dopiero rano albo następnego dnia.

– To nie jest dobry pomysł.

Szedł do domu przez Heden i czuł, że nadchodzi świt. O tej porze na dworze był tylko on i kilku złodziei samochodów. Minęła go jadąca na południe taksówka. Wiedział, która godzina, ale nie pamiętał, jaki to dzień i jaki miesiąc. Chyba marzec, połowa marca. Data pogrzebu matki już ustalona, tak czy inaczej niebawem. Jutro będzie długi dzień, dzisiaj też jest długi dzień. Spojrzał na zegarek. Dwie i pół godziny snu, a potem będzie jak nowy przed najdłuższym, ostatnim dniem.

\* \* \*

Runstig usłyszał ją nad ranem. Zachowywała się tak, jakby chciała wyjść i zapolować razem ze swoimi dzikimi krewniakami.

Zastał ją koło jej koszyka, w przedpokoju.

– Co jest, Jano? Coś cię zaniepokoiło?

Spojrzała na niego czarnymi oczami. Błyszczały w nieprzyjaznym świetle lampy.

– Chcesz wyjść? No dobrze.

Otworzył drzwi. Jana wyszła za próg, ale natychmiast wróciła.

– Jednak nie chcesz?

Położyła się z powrotem w koszu. Chciała tylko, żeby ją uspokoić. Żebym ja ją uspokoił, pomyślał.

– Jutro pójdziemy na długi spacer, kochana – powiedział.

– Aż na wyspę, co ty na to? Z samego rana, obiecuję.

Jana pomachała ogonem.

Tamten dziad powiedział, że miała inne imię. To kłamstwo, a w każdym razie teraz to już nieprawda.

Pakował się, śpieszyło mu się. Statek miał niedługo



odpłynąć, nie, to był samolot, więc pakował się, a rzeczy wylewały się z walizki, wylewały, kiedy je pakował, noże, wiaderka, smoczek, jeszcze jeden smoczek, klucz. Podniósł go, wiedział, do czego jest ten klucz, dostał go dawno temu, dała mu go stara kobieta. Zaopiekuj się, powiedziała, ostatnia komora na samym końcu. Zajrzał do grobu, Siv tam nie było. Też się dziwię, powiedziała. Odwrócił się i zobaczył, że zapaliła ritza. Tu jest za płytko, powiedziała. Spojrzał na morze i wtedy dzieci przyplęły kajakiem, w rączkach miały kwiaty, ktoś miał odjechać, to było pożegnanie. Obudził się, gdy machał na pożegnanie komuś, kogo nigdy nie witał. Wciąż tkwił na plaży, w połowie drogi ze snu. Witała się z dziećmi, zaopiekowała się dzieckiem, szum w głowie ścigał się o lepsze z łoskotem morza. To się nie skończy, dopóki nie wyjdzie ze snu.

Budzik na nocnym stoliku wskazywał siódmą. Poszedł do toalety, przytrzymał penisa pod właściwym kątem i przez sekundę myślał z ulgą o tym, że jeszcze działa sam z siebie. Niewesoło byłoby chodzić z cewnikiem. Likander nie narzekał więcej niż trzeba. Da radę normalnie sikać, ale to wszystko.

Winter umył ręce, wrócił do sypialni i wziął komórkę.

Dodzwonił się na pogotowie szybciej, niż się spodziewał. Podali mu nazwiska. Miał je wprawdzie gdzieś w papierach z dochodzenia, ale tak będzie szybciej. Zostali przesłuchani na samym początku, uzupełniającego przesłuchania jeszcze nie było. Tamtego dnia w załodze karetki była kobieta, Lisa Sjölander. Jest teraz na dyżurze. Przełączyli go do karetki, która akurat wracała do szpitala i nie jechała na sygnale.

– Słucham.

Przedstawił się, powiedział, w jakiej sprawie dzwoni.

– Tak, byłam tam...

– Widziała pani kobietę? Jego żonę, Irmę Krol?

– Nie, nie było żadnej kobiety. Był tylko on.

– I to on oddał wam dziecko?

– Tak. Powiedział, że zaopiekowała się nim jego żona. Chyba tak było?

– Tak mówił. Ale pani jej nie widziała? A pani kolega?

– Też nie, byliśmy razem. Szybko zabraliśmy dziecko.

Uznaliśmy, że stan jest krytyczny. I rzeczywiście taki był.

– Więc nie było jego żony?

– Nie wiem, czy była. My jej nie widzieliśmy.

Wyjechał o świcie i pokonując świt, słuchał Coltrane'a. Razem przejechali obok kąpieliska Askim, przynajmniej takie odniósł wrażenie.

Parking był pusty. Jeszcze przez dwa miesiące tak będzie. Zostawił mercedesa niedaleko mostu. Na niebie świecił jeszcze księżyc, jak kawałek zimnego metalu, nieobecny, jak pieniążek z innego świata, dla niego bez żadnej wartości. Przeszedł przez most. Kiedyś zbiegł z niego i popędził po lodzie. Wydawało mu się, że to było bardzo dawno temu. Gdyby znów miał kogoś tutaj ścigać, musiałby płynąć wplaw. Albo kajakiem. Kajak Likandera leżał tuż przy budce. W środku siedział Robertsson, czekał bez ruchu na patrol z Frölundy. Policjanci zadzwonili, gdy Winter zrobił krótką przerwę w przesłuchaniu Likandera. Tym razem Likander powiedział prawdę. Chciał tu przyjechać, ale później, za jakąś godzinę, dwie, kiedy już będzie po wszystkim. Pojedzie na swoją własną plażę, polecą samolotem na plażę Fontanilla. Będzie się cieszył życiem i wiosną, i słońcem.

Minął plac zabaw. Szedł dalej, najpierw drogą, później ścieżką, nie zatrzymywał się. Minął dom, ze skrzynki nie wystawały już gazety. Przeszedł następne pięćdziesiąt metrów, dotarł do ścieżki rowerowej. Zobaczył narożny dom i okalający go żywopłot z niewielką dziurą od ulicy. Nikogo nie spotkał, wciąż było wcześnie. Dzień nadchodził po wodzie, od wschodu. Ostrożnie, pomyślał, bądź ostrożny.

Zapukał do drzwi szarego domku, zniszczonego przez wiatr i niepogodę, jakby osadzonego częściowo w morzu. Do domu marynarza. Nie było dzwonka. W środku się nie świeciło. Zapukał jeszcze raz. Pchnął drzwi, otworzył. Nie były zamknięte, jakby Krol poszedł na spacer i zapomniał zamknąć na klucz. Nie, to taki typ, co nigdy nie zamyka na klucz, nie boi się złodziei, bo ich tutaj nie ma.

Na parterze znajdowały się duży pokój i kuchnia. To wszystko. Na ścianach w pokoju wisiały różne rzeczy, głównie pamiątki z morza.

Zdjęcia.

Winter podszedł do ściany naprzeciwko okna wychodzącego na morze. Nad szafką z czerwonego drewna wisiał portret małżeństwa, Irmy i Roberta, z lat młodości. Żadnych zdjęć dzieci. Winter spojrział w okno. Światło dnia wreszcie dotarło i tutaj, do pomostów i jeszcze dalej.

Krol powiedział, że nigdy nie był w tamtym domu.

Ale potem sam się wsypał: *W środku, w tym harmiderze, trudno było cokolwiek wylapać.*

I jeszcze to:

*Jak by to powiedzieć, no... było dość hulaśliwie. Może to nieładnie... ale facet latał po schodach z góry na dół i z powrotem... przecież tam były dzieci.*

To on wszczął alarm. Wiedział, jak dom wygląda od środka.

Ale mówił, że nigdy tam nie był. Zaczekał, aż przyjedzie policja. Policjantka wyniosła dziecko, a on zaniósł je żonie.

Wypytam go o wszystko. Powinien niedługo wrócić.

Winter podszedł do schodów. Pod nimi były drzwi. Zajrzał, było pusto.

Na piętrze były tylko dwa pokoje. W każdym łóżko, może mają osobne sypialnie. Starsi ludzie często tak mają, już nie wytrzymują chrapania.

Nie miał wątpliwości, który pokój zajmuje kobieta, a który mężczyzna.

Wszedł do pokoju mężczyzny. Wyjrzał przez okienko wielkości bulaja. Zobaczył morze i skałki, zaledwie kawałeczek ogrodu na dole i może metr drogi przed domem. W ogrodzie ziemia, trawa i piasek, jakby go dopiero założono, ale przecież to wczesna wiosna, jeszcze nie sezon. Nie znał się na ogrodnictwie, ale tyle akurat wiedział.

Na podłodze leżała kupka gazet, tylko kilka. Były suche i pomarszczone, jakby rozmiękły od śniegu, a potem wyschły.

Pod oknem stała komódka. Wyglądała, jakby została wyciągnięta ze średniowiecznego wraku gdzieś w okolicy

Vrångö.

Wysunął górną szufladę. Chyba kalesony. Wysunął następną, skarpetki. Nachylił się i otworzył trzecią: koszule. Podniósł tę leżącą na wierzchu i przez następną coś wymacał. Podniósł ją i zobaczył smoczek.

Błękitno-biały.

Jeden jedyny.

Sam nie wiem, co teraz czuję. Na pewno nie jest to obezwładniająca radość. Mógł zabrać ze sobą smoczek, kiedy ratował małą, ale zaprzeczył, gdy go o to spytałem. Mógł powiedzieć prawdę, nie musiałby nawet nic wyjaśniać.

Zdenerwował się wtedy, gdy skończył mordować. Uspokajając dziecko, zostawił ślad. Nie był w stanie wybiec myślą w przód, ciągle tylko do tego wracał.

Ja będę teraz myślał wyłącznie o tym, co będzie. Mogę tylko czekać. Wyszedł do małego przedpokoju i zszedł na dół. Raz-dwa-trzy-cztery-pięć-sześć-siedem-osiem-dziewięć-dziesięć-jedenaście-dwanaście-trzynaście-czternaś...

Cios w rękę był tak silny, jakby spadł na nią kamienny blok. Po dwóch sekundach poczuł potworny ból, przed oczami miał krwawy blask. Prawa ręka była do czegoś przykuta, lewa powędrowała do kabury. Cios w ramię, chwyt przez pierś, potworny ból w prawej ręce, w ramieniu przez szyję aż do głowy. Zniknął za czerwoną zasłoną, która zesłała mu na oczy. Myślał tylko o bólu, o tym, żeby się trzymać od niego jak najdalej.

Wyruszyli skoro świt. Jana rozradowana jak szczeniak, chociaż właściwie ten etap miała już za sobą. Nie wiadomo, kiedy to się stało. W każdym razie pies na pewno nie pójdzie od razu do szkoły, cha, cha.

Czuł, że jest w dobrej formie. Coś się zmieniło. Liv poweselała, zresztą może to też dzięki niemu. Już nie była taka zmęczona, zboląła.

Cieszę się, że wyszedłem wcześniej, pomyślał. Tak wcześniej nie wychodziłem od dzieciństwa. Nawet Mirosa jeszcze nie ma.

Zwykle przed szkołą wpada, żeby postrzelać do bramki. Dlaczego po szkole nikt z nim nie przychodzi? Cholera, to niesprawiedliwe.

Był już na wzniesieniu i patrzył, jak świt skrada się nad zatoką. Może to będzie ładny dzień. Mogliby długo pobycć na dworze. Nie zabrał z domu nic do przegryzienia, ani dla siebie, ani dla psiaka, ale mieli niedaleko do pizzerii. Jest taka budka w połowie drogi do Hovås<sup>39</sup>. Tam to raczej nie da rady, nie ta krew. Zresztą oni pewnie mają strażników. Czy nie tego zawsze chciałem? – pomyślał. Strażników błękitnej krwi. Stałem się mięczakiem? W życiu!

W głębi parkingu stał jakiś samochód. Rozpoznał mercedesa komisarza. Nie będę marudził. To ja go pierwszy zaatakowałem, idiotycznie. On jest wyćwiczony, kurde, to jego praca, mógł mnie oskarżyć. Zostawić mnie wiszącego w celi. Pozwolić mi wisieć. A teraz jest tu od bladego świtu, chodzi po tym domu. Co on, kurde, robi w tym domu, co on robi nad tym morzem. Wydaje się, że jest tu codziennie. Węszy jak pies, wyczuwa winnych. Czy on ma szósty zmysł, czy kopie na ślepo? Może stracił rozeznanie, stracił rozum, utknął w tym świństwie i nie może się wydostać.

Szerokie ostrze z potworną siłą przebiło prawy przegub Wintera w najgrubszym miejscu. Krol widocznie przyczał się pod schodami. Wrócił do domu i usłyszał coś na górze albo już wcześniej go zauważył, kiedy parkował. Rzucił się na niego od tyłu i przygwoździł mu rękę z potworną siłą. Umiał wykorzystać moment zaskoczenia. Wszystko rozegrało się w sekundę, może dwie, zresztą to już nieważne. Winter został przygwoźdzony do stopnia z masywnego drewna. Nóż wbił się w drewno na głębokość kilku centymetrów. Żeby się wyrwać, musiałby urwać kawałek schodów.

Każdy ruch sprawiał mu niewyobrażalny ból. Ktoś krzyczał, to on, nigdy jeszcze nic go tak nie bolało.

Tracił przytomność. Budził się, znów mdlał na kilka sekund

---

39 Zamożna dzielnica willowa.

i odzyskiwał przytomność. Widział mężczyznę. To zniknął, to wracał. Mówił coś, milczał, znów coś mówił.

– Nie trzeba było wścibiać nosa – powiedział. – I po co ci to było?

– Taka... praca – odparł Winter.

Ja to powiedziałem? Na pewno ja. Nie ruszaj się. Przenieś ciężar od strony tej ręki. Nie ruszaj się.

– I niestety twoja praca doprowadziła cię tutaj – stwierdził Krol. – Nie zwalaj winy na mnie. Ja tego nie planowałem.

– Ty ich wszystkich za... zabiłeś – powiedział Winter. Nie był pewien, czy jego słowa dotarły do mordercy.

– Co takiego? – spytał Krol.

– Zabiłeś ich wszystkich.

– Nie, nie wszystkich.

– Wszystkich poza Gretą.

– A co miałem zrobić?

Winter nie odpowiedział. Usiłował trzymać ramię w stałym położeniu. Przegub, dłoń. Czucie wyciekało z nich powoli jak samo życie, moje życie, nawet nie ma tak dużo krwi, może ścieka pod spód, może w stopniu jest szczelina, nie widziałem żadnej szczeliny, ostrze zatyka ranę, siła uderzenia była tak wielka, że zapiekła brzegi rany, nigdy czegoś podobnego nie widziałem, nigdy...

– A CO JA MIAŁEM ZROBIĆ? – powtórzył Krol głośniejszym głosem.

– Nie wiem – odparł Winter. – Pomóż mi się uwolnić, to ja ci też pomogę.

– Nic z tego. Zresztą powiem ci. Widziały mnie. Dzieci mnie widziały. To co ja miałem zrobić?

Podtrzymuj gadkę, podtrzymuj gadkę do końca, aż umrzesz z upływu krwi.

– Nie zostało ci wiele czasu, Winter. Może godzina, dwie, mógłbym to przyspieszyć. Ty nic nie wiesz. Mogę ci opowiedzieć, żebyś przynajmniej w chwili śmierci wiedział, jak było. Co ty na to?

– Do... dobrze.

– Na twoim miejscu odpowiedziałbym tak samo. Nie biadolisz. To mi się podoba.

Winter kiwnął głową. Spokój, tylko się nie ruszaj, nie ruszaj się. W kieszeni zawibrowała komórka. Nie sięgnął po nią. Umarłby, gdyby próbował. Nie udałoby mu się, nawet gdyby nie był unieruchomiony. Krol podszedł bliżej, wpatrywał się w jego lewą rękę. Wyjął komórkę z wewnętrznej kieszeni jego marynarki i spojrział na wyświetlacz.

– Angela – powiedział. – To jakaś znajoma?

– Moja żona.

– Mhm...

– A gdzie... gdzie jest twoja żona?

– Wyszła. – Krol rzucił komórkę na podłogę. Potoczyła się po niej, odbijając się ze dwa, trzy razy. Znowu spojrział na Wintera.

– Poszedłem tam tylko po to, żeby jej to wyperswadować. Znaczą Sandrze.

– Dlaczego?

– Przecież wiesz.

– I... co mogłeś na to poradzić?

– Chciałem jej wytłumaczyć, że źle postępuje. Chodziło o tego mężczyznę. On już trzymał u niej swoje ubrania. Wprowadzał się. Tłumaczyłem jej. Wiele razy, a ona nie słuchała! Chociaż tłumaczyłem!

– No rzeczywiście, tłumaczyłeś!

– To nie tak miało być!

Winter słyszał go, ale nie był w stanie odpowiadać. Próbował radzić sobie z szokiem, z przytomnością, która to przychodziła, to odchodziła, bo już nie należała do niego. Niedługo będzie należała do wszystkich. Wkrótce będzie większa od życia i tak dalej, i tak dalej.

Krol znowu coś powiedział. Winter usiłował zobaczyć jego twarz wyraźniej.

– Poszedłem tam, żeby pokazać Erikowi nóż – powiedział.

– Od Inuitów z Nunavut, z północnej Kanady, z Ziemi Baffina. Byłem tam. Cokolwiek większa od Amundön.

Erik. Mimo późnej pory jeszcze nie był w piżamie. Czekał, że przyjdzie pan Krol i pokaże mu nóż. Winter jakby to widział.

Znowu dobiegł go głos Krola:

– To bardzo daleko stąd. Chciałem, żeby zobaczył.

Opowiadałem mu o tym nożu. Chciał go zobaczyć.

– Rdza – powiedział Winter.

– Rdza? A tak, w jednym miejscu. Już była, gdy go kupowałem. Zostawiłem tę rdzę na pamiątkę. Mówili, że to krew. Ona nie schodzi. Więc to nie jest rdza.

– Krew – powtórzył Winter.

– To najostrzejszy nóż na świecie, pod warunkiem że się o niego dba. Nie wiem, jak oni sobie z tym radzą. Katana samurajów to w porównaniu z nim łyżka. Zresztą sam możesz się o tym przekonać. Masz go przed oczami. – Podszedł bliżej.

– Halo! Halo! Coś blady jesteś. Nie umieraj, jeszcze nie skończyłem się spowiadać.

Nie jestem księdzem odcisk palca pod tym parapetem w pokoju Erika na piętrze należy do Krola ja tylko czekam na telefon od Torstena i potwierdzenie to wszystko czego nam potrzeba mogę oddać słuchawkę Krolowi niech odbierze.

Winter stracił przytomność.

Kiedy ją puścił, pomknęła jak strzała, jak kula wystrzelona z armaty. Co jest, CHOLERA.

– Jana! Jana! – Pobiegł za nią. Samochód postawił koło merca, czemu nie. – Jana! Wróć, Jana!

Ale Jana nie wróciła. Nie pobiegła przez most na wyspę, tylko w górę, do ścieżki rowerowej. Nawet się nie obejrzała, tylko znów tam pobiegła. Niemożliwe, przecież miał ją wziąć na smycz, teraz go ochrzani ten stary dorsz.

Pognał za suczką. Nie było jej widać. Biegł drogą i wrzeszczał: Jana! Żeby wszyscy słyszeli. O, zobaczył ją. Znów wleciała przez tę zasraną dziurę w żywopłocie. To chyba jakaś odmiana barwinka. Szara chałupa, to pewnie tego dziada, już nie pamiętał. Poprzednim razem po powrocie miała na łapkach i na pyszczku ziemię. Nie chciał, żeby kopała w tym cholernym ogrodzie, niechby stamtąd wyszła.

Winter słyszał jakiś głos, nie było szumu. To musi być



złudzenie. Niemożliwe, żeby nie było szumu. Krol gadał. Widział go teraz wyraźniej. Ciągnął swoją historię. O tym, że widział nieruszone volvo Sandry, więc dzwonił i dzwonił, ale nikt nie otwierał. O tym, jak mu się wydawało, że słyszy krzyk dziecka. Że klamka była zimna. Że wołał. Że śnieg przestał padać. Że poszedł do domu i zawołał do żony, żeby zadzwoniła na policję. Tam jest jakoś dziwnie, tak powiedział, gdy przyjechał pierwszy radiowóz. Dziecko krzyczy. W środku jest dziecko i krzyczy, ale nikt nie otwiera.

– Słyszysz mnie? – usłyszał jego głos. – Winter, słyszysz mnie?

– Tak.

– Przyniosłem ci wody. Stoi przed tobą.

– Nie mogę... boję się ruszyć.

– Zaraz ci pomogę. Chciałem tylko powiedzieć, że nie byłem w stanie nic zrobić tej małej. Ona nic nie widziała. Nic nie wiedziała. Nie mogła mi zaszkodzić.

– Tak.

– Rozumiesz?

– Tak.

– Sandra mnie ofuknęła!

– Tak.

– Próbowałem do niej przemówić, przekonywać. Cały się w to zaangażowałem! A ona powiedziała, żebym się zajął swoimi sprawami. Wyobrażasz sobie? Tak nie wolno, nie wolno. Ona... w końcu mnie zmusiła. Rozumiesz?

– Tak.

Wymówienie tego maleńkiego słowa sprawiło mu nieopisany ból. Powinien ustąpić, a może przeciwnie. Pomyślał, że przeciwnie. Gotów był powiedzieć cokolwiek, byleby tak nie bolało.

Krol znów coś mówił.

– Tak... tak... nie słyszę.

– Nikt nie przychodził – powiedział Krol. – Nikt nic nie zauważył. Musiałem tam pójść, pomóc małej, dać jej pić. A dni mijały. W końcu musiałem sam uderzyć na alarm. Nikt ich nie znalazł, a ta mała była bliska śmierci.

Winter zamrugał oczami, co miało znaczyć: tak.

– To ja zaalarmowałem policję! – powtórzył Krol.

– Wiem.

– A gdzie w tym czasie był on? Ja tylko pytam. Gdzie był jej... kochanek?

– Gdzie jest twoja żona? – spytał Winter. Dłużej nie dam rady, to już koniec.

– Mówiłem już, wyszła.

Christian Runstig przeczołgał się przez dziurę w żywopłocie i wstał. Zobaczył Janę przy żywopłocie po drugiej stronie ogrodu. Dokopywała się do środka ziemi. Już miał na nią krzyknąć, ale przypomniał sobie, gdzie jest, która godzina i tak dalej. Wiedział, że Jana go widzi, ale nie przychodziła. To coś, co ją przyciągało do ziemi, było tak silne, tak dzikie... powonienie obudziło w niej dzikie zwierzę.

Od tej strony dom nie miał okien. Tylko krótka ściana pokryta spękany tynkiem. Runstig przeszedł dziesięć kroków dzielących go od dołu. Był niedbale zasypany ziemią. Jana też zrobiła swoje.

Nagle Jana odskoczyła. Myślał, że zaraz zacznie szczekać, ale nie, była zwarta i gotowa, jak dzikie zwierzę. Podszedł do rozkopanego dołu i zobaczył wystającą z ziemi i piasku rękę. Najwięcej było piasku, potem kwiecisty rękaw, kawałek szyi i pęk włosów, siwych jak ten dom za nim.

– Irma mnie zobaczyła, kiedy wróciłem – powiedział Krol.

– Myślałem, że nie ma jej w domu. Miało jej nie być. Tak czy inaczej, zobaczyła mnie.

Winter nie odpowiedział, nie poruszył się.

– Tak to było – podsumował Krol.

Ktoś zapukał do drzwi.

Winter zobaczył, że Krol drgnął. Sam nie mógł drgnąć, nie mógł się przesunąć nawet o milimetr. Zsuwał się już po równi pochyłej, *down, down, down*. Krwi było coraz więcej, spływała na niższe stopnie. Dotrze do podłogi i wtedy umrę.

Krol coś powiedział, ale Winter nie usłyszał. Zobaczył jakiś cień. Cień wstał, poruszył się przed nim, a potem rozplynał się jak w słonecznej mgie.

Krol otworzył drzwi. Nikogo nie było. Przekroczył próg i zrobił kilka kroków po kamiennych płytach, ale nic niezwykłego nie zauważył.

Może to dzieciaki dzwonią albo pukają dla kawału, to się już zdarzało. Jest jeszcze wcześniej, ale może chcą się zabawić, zanim pójda do szkoły.

W domu rozległ się brzęk, jakby ktoś stłukł szkło.

Uwolnił się? Niemożliwe, jest za słaby, żeby sam mógł sobie odciąć rękę. Może to dzieci albo jakieś zwierzę, pomyślał, pędząc przez przedpokój do pokoju. Zobaczył rozbite okno, zwiniętego w kłębek zakrwawionego Wintera i psiaka. Siedział na środku i szczyrzył żółte kły, jakby chciał go ugryźć. Teraz był większy, silniejszy. Nie zauważył tego czegoś, co go trafiło w czoło. Nawet nie zdążył pomyśleć. Padł na podłogę.

KROL NIE NADAWAŁ SIĘ do przesłuchania. Długo był nieprzytomny. Runstig zwał go z nóg polanem, którym chwilę wcześniej rozbił szybę.

– Wystarczyłoby, gdybyś od razu zadzwonił na policję – powiedział Ringmar, kiedy karetki zawiozły Wintera i Krola do szpitala Sahlgrenska.

Runstig istotnie zadzwonił, ale dopiero potem.

Zaśmiał się głośno. Jego śmiech odbił się echem w ogrodzie. Technicy wykopywali szczątki Armii Krol. Runstig trzymał na rękach Janę. Suczka nadal była zdenerwowana tym, co się dzieje w świecie ludzi, ale też dumna z siebie i swojego pana.

Winter został zoperowany, na chirurgii. Miał cholerne szczęście – nóż przebił głównie mięśnie, nie uszkodził kości ani ścięgien. Okazało się, że miał sporo mięśni. W dodatku stracił mniej krwi, niż się wydawało. Długotrwały ból wywołał szok, który nadal się utrzymywał i był prawie tak samo silny, silniejszy niż wspomnienie.

Następnego ranka udało mu się załatwić, żeby pogrzeb w Marbelli został przesunięty o dwa dni. Krążył po mieszkaniu, chodził po przedpokoju, potem po dużym pokoju. Zatrzymywał się, szedł dalej i robił kolejne kółko. Na dworze było już naprawdę widno. Marzec. Nastąpił prawdziwy przełom. Teraz będzie tylko lepiej. Marzec, pomyślał. Mars.

Usiadł przy kuchennym stole i włączył laptopa, mógł pracować lewą ręką. Przeglądał po kolei wszystkie materiały z dochodzenia. Przesuwał je na pulpicie jak pionki szachowe i myślał o tym, co powiedział Krol. Wczoraj jego słowa brzmiały w jego uszach coraz słabiej, jak ściszona płyta.

Krol w roli mordercy był przekonujący.

Dlaczego tak pomyślał?

Powtórzył to sformułowanie w myślach: Krol był przekonujący w roli mordercy.

W roli?

Mamy niesłychane przyznanie się do winy, podpisane krwią. Mamy też drugie przyznanie się, Likandera. Oprócz tego jest kilka luźnych wątków, ale Krol pomoże nam je połączyć: zdjęcie, śmierć Robina i jego morderca, przypuszczalnie Krol, i jeszcze to małe słówko dlaczego, na które prawie nigdy nie dostają odpowiedzi. Nawet Bóg jedynie z rzadka potrafi jej udzielić.

Miał przed oczami sylwetkę Krola, ale jej zarys był coraz słabszy. Rozpływał się, nie pomagało nawet ostre wspomnienie. Nigdy nam nie pomoże, pomyślał, chwytając słuchawkę, żeby zadzwonić do wydziału technicznego.

Öberg odebrał po trzecim sygnale.

– Erik! Jak tam?

– Ech, można powiedzieć, że czuję się tak, jak sobie zasłużyłem.

– Nie mów tak.

– Dobrze się czuję.

– Okej. Fajnie.

– Sprawdziłeś rzeczy z domu Krola?

– To co zwykle, rutyna. Chyba już nie ma pośpiechu.

– Nie byłbym taki pewien, Torsten.

– Nie?

– Mam na myśli jego nóż.

– Ciekawe, że o nim wspomniałeś. Właśnie go badamy w laboratorium. Jeszcze nie skończyliśmy, ale mógł być narzędziem zbrodni.

– Według Krola to jest narzędzie zbrodni – powiedział Winter.

– Może.

– Ja też tak sędzę – ciągnął Winter. – Ale nie dlatego dzwonię.

Musi sam to zobaczyć. Radiowóz zabierze go sprzed domu. Błękitne pancerze tramwajów na Vasaplatsen mieniły się w blasku słońca. Lewą ręką sięgnął do kieszeni na piersi po

okulary słoneczne. Szklą stłumiły ostre światło. Było jak o zmroku nad Morzem Śródziemnym. Wkrótce się tam znajdzie, żeby położyć mamę w ziemi. Pomyślał o dzieciach. Podczas dochodzenia, zwłaszcza na niektórych etapach, próbował tego nie robić, ale mu się nie udawało. Dzwonił prawie co wieczór, z wyjątkiem tych, gdy był zbyt pijany. Jadąc przez miasto, nadal myślał o swoich córeczkach. Niedługo będzie prawdziwa wiosna, zupełnie inne światło. Zobaczysz je w twarzach ludzi, będzie chciał się do nich zbliżyć.

Öberg wyszedł mu na spotkanie.

Nóż leżał na stole w laboratorium. Dziwny przedmiot: surowy, piękny, okrutny, nierzeczywiście rzeczywisty, jakby z innego świata.

– Tu coś może być – powiedział Öberg. – W każdym razie jest pewien ślad, jakby... krople. – Pokazał palcem. – Tu i tu. Tu, na ostrzu, i tam. I kilka tu, na trzonku.

– Może to jakieś stare brudy – powiedział Winter.

– To ty do mnie zadzwoniłeś – zauważył Öberg.

– Wcielam się w adwokata diabła.

– Warto to sprawdzić – uznał Öberg.

– Dobrze.

Öberg znów spojrział na nóż, jakby go widział po raz pierwszy.

– Wygląda raczej jak miecz niż jak nóż – stwierdził Winter.

– To mogą być ślady potu.

– Z potu nie da się wyizolować DNA – przypomniał mu Öberg.

– Wiem.

Öberg wpatrywał się w nóż. Znów pokazał coś palcem.

– Na spodzie jest zabrudzenie. Dzięki temu łatwiej dostrzec taki zaschnięty, okrągły ślad.

– Nie bardzo widzę – powiedział Winter. – Gdzie?

Öberg nie odpowiedział.

– Torsten, przedtem mówiłeś o jakichś kroplach.

Öberg bez słowa skinął głową.

– Co to może być, jeśli nie pot? – spytał Winter.

Po chwili sam na to wpadł. DNA jest w śluzówce, nie

w wydzielinach. Ślina zawiera DNA ze śluzówki w ustach.

Gałki oczne też są pokryte śluzówką, pomyślał. Nośnikiem dla DNA ze śluzówki oka jest ciecz łzowa.

Öberg patrzył na niego. Widział, że pomyślał o tym samym.

– Łzy – powiedział.

Winter kiwnął głową.

– Przyszło mi to do głowy – dodał Öberg.

– Mnie też.

– Kanaliki łzowe.

– Krople łez – powiedział Winter. W jego świecie mogły to być łzy, ten świat mógł być również światem Torstena.

– Czyich? Kiedy się dowiemy? Powinniśmy się szybko dowiedzieć. Postaraj się, żebyśmy dostali szybką ścieżkę w Państwowym Laboratorium Kryminalistycznym.

– Pogadam z Ronnym. Może się uda w dwa dni.

– Dobrze.

– Ale nie obiecuję na sto procent.

– Wystarczy dziewięćdziesiąt osiem.

– Nigdy nie uda się stwierdzić, czy to łzy – zauważył Öberg.

– Najwyżej że to ślad wydzieliny ze śluzówki, ale z jakiej – tego się nie dowiemy.

Ale Winter wiedział swoje. To z oczu, oczy są zwierciadłem duszy i całego tego gówna. Najpierw jest gówno, potem są łzy, i nawet morderca nie jest w stanie zapanować nad łzami.

– Nie wierzysz, że to Krol, prawda? – powiedział Öberg.

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że to nie on. To nie jego łzy.

– W każdym razie odcisk palca w pokoju na piętrze jest jego.

Rano dostaliśmy odpowiedź.

– To i tak nie on – powiedział Winter. – Morderca dał mu klucz.

Radiowóz zawiózł Wintera do Amundövik. Czuł się całkiem dobrze, jakby świeża krew z transfuzji dała mu dodatkowego kopa. Może to była krew Lance’a Armstronga, kolarza na koksie.

Na schodach wciąż była krew, jego własna, drogocenna.

Przeszedł nad nią bez emocji. Może to szok, doping, profesjonalizm albo zwykła ucieczka od rzeczywistości.

Stojąc w sypialni Krola, słyszał dochodzący z zewnątrz ochrypy śmiech mew. W tym mizernym pokoiku brzmiał jak ścieżka dźwiękowa filmowego horroru. Winter poczuł, jak jego tętno przyspiesza. Usiadł na łóżku, szumiało mu w uszach. Spróbował się skupić na półce z książkami na przeciwległej ścianie, tuż przy oknie. Po kilku minutach podszedł. Było tam może ze trzydzieści książek, kilka segregatorów z grzbietami przypominającymi książki i jakieś albumy, chyba ze zdjęciami. Wziął jeden i położył na stoliku. Lewą ręką zaczął przewracać kartki ze starannie poprzyklejanymi czarno-białymi zdjęciami, pamiątkami z dawnych czasów. Przypomniał sobie zdjęcie Sandry z przystani. Likander powiedział, że to nie on je przysłał. Ile jeszcze osób wiedziało o przystani? I o tym, co znaczyła dla Sandry?

Oczywiście jej ojciec.

I mąż.

Powoli przekartkował pierwszy album. Rozpoznał na zdjęciach młodego Krola, poza nim nikogo. Wyglądało na to, że zdjęcia zostały wklejone w porządku chronologicznym. Pod każdym był króciutki opis, zaledwie kilka słów.

Co mnie tu przywiodło? Oczywiście przeszłość. Nie zdążyliśmy prześledzić ich przeszłości. Wszystkich!

Dotarł do ostatniej strony pierwszej części życia Roberta Krola. Zdjęcie na samym końcu przedstawiało niemowlę na rękach mężczyzny. Dziecko mogło mieć kilka tygodni, nie więcej. Głowa mężczyzny była ucięta na czole. Był w garniturze, dziecko w białej sukience. Sukience do chrztu, pomyślał Winter. Podpis był taki: „Mój chrześniak”. Dziecko najwyraźniej spało.

Winter zamknął oczy. Znów usłyszał śmiech mew, może coś jeszcze. Podniósł album, bo wypadł mu z ręki.

Spojrzał na zegarek. Jest tam dłużej, niż sądził, a zostanie jeszcze dłużej.

W połowie drugiego albumu zobaczył ich znowu.

Obejmowali się, stojąc na pokładzie statku. Starszy



i młodszy, obaj uśmiechnięci. Starszym był Krol, młodszym Jovan Mars.

Stali przy relingu, za nimi widać było kawałek morza, magazyny portowe, kilka dźwigów, ciężarówkę. Statek stał przycumowany w porcie.

Winter przeczytał podpis: „Syn odwiedza chrzestnego”.

Przesłuchał Krola po południu. Siedział przy jego łóżku. Zamieniliśmy się rolami, pomyślał. Krol trochę bełkotał. To nie będzie długie przesłuchanie.

– Jednak z tego wyszedłeś – stwierdził Krol.

– Ktoś mi pomógł – odparł Winter.

– W samą porę.

– Tak bywa.

– Czego chcesz? Chyba już wszystko jasne?

– Niezupełnie.

– Nie potrafię myśleć, panie władzo. Przyjdź kiedy indziej.

Przecież i tak jest po wszystkim.

Winter nie odpowiedział.

– Jeśli chodzi ci o gazety, owszem, trochę zamotałem. Pomyślałem sobie... no, że będę miał alibi, więc zabrałem kilka gazet, żebyście nie mogli ustalić... kiedy to się stało.

Winter przytaknął. Z napięcia łupało go w głowie. Żeby tylko Krol się nie zorientował.

– Trochę to zagmatwałem – dodał Krol.

– Na co ci było alibi? – spytał Winter.

– Co?

– Słyszałeś.

Krol nie odpowiedział.

– Może potrzebowałeś alibi dla kogoś?

Krol nadal nie odpowiadał.

– Kogo chronisz? – spytał Winter.

– Ja... siebie – odparł Krol.

– Przed kim? Przed żoną?

– Widziała mnie – powiedział Krol.

– Wcale nie.

– Jak to nie?

– Widziała, ale nie ciebie – powiedział Winter.

– Nie mam... siły. Panie doktorze...

– Zamordowano dwoje dzieci! – przerwał mu Winter. Podniósł głos. – Dwoje dzieci!

Krol już nie słuchał. Zamknął oczy. A potem otworzył i spojrzał na Wintera.

– Wzięłeś na siebie ciężką zbrodnię – powiedział Winter, teraz już ciszej.

– To był... – Krol urwał.

Winter wstał i pochylił się, zbliżył twarz do twarzy Krola. Poczuł ból w ręce. Szedł przez łokieć, ramię, szyję, głowę – aż do mózgu. Oczy Krola patrzyły prosto, mówiły mu, że zmierzał do tego punktu przez całe swoje życie, że czekał, aż go dopadną te koszmary.

– Słucham cię. Powiedz to. Obiecuję, że potem sobie pójde.

– I tak było już za późno – powiedział Krol. – Ale Gretę uratowałem.

Winter siedział w domu i słuchał *A Love Supreme*. Balkon był otwarty na zapadający zmrok. W powietrzu unosił się zapach szwedzkiego przedwiośnia. Chyba tak, tak go dawno nie czuł, że ledwo rozpoznał.

Muzyka grała cichutko, jak szept. Dopiero co szeptali sobie z Angelą. Powiedział, że ją kocha. Potem szeptał z córkami, mówił, że je kocha. Angeli powiedział, że już go tak nie boli. Chyba nie popijasz whisky, spytała. Odpowiedział, że nie, i powiedział prawdę.

Nie powiedział jej, co zamierza teraz zrobić.

Nie chciał czekać na wyniki z Państwowego Laboratorium Kryminalistycznego. Pomyślał, że wtedy może być za późno. Na co za późno? Za późno, żeby wiedzieć, pomyślał. Za późno, żeby się dowiedzieć dlaczego. Za późno, żeby to zrozumieć.

Do tej pory nie udawało im się udowodnić ani że Mars jest niewinny, ani że winny.

On mógł to zrobić, pomyślał Winter, wkładając płaszcz. Zaczął się już przyzwyczajać do tego, że ma tylko jedną sprawną rękę. Okazuje się, że do wszystkiego można się

przyzwyczać.

Do niemal każdego wyjaśnienia, ciągnął w myślach. Niektórych aż się nie chce słuchać, są zbędne. Ja chcę tylko wiedzieć, ale nie muszę wiedzieć dlaczego.

Prowadził Ringmar. Winter cieszył się, że tym razem nie jest sam. Zjechali z Torgny Segerstedtskatan, pojechali dalej Krokebacksgatan i skręcili w lewo, we Fullriggaregatan.

Ringmar zaparkował przed domem Lotty. W kilku oknach paliło się światło. Zapadł już wieczór, niebo było raczej granatowe niż czarne. Może da się wypatrzeć gwiazdy.

– Chcesz najpierw wejść do Lotty? – spytał Ringmar.

– Później – odparł.

Wysiedli i weszli do domu siostry Marsa.

Winter zadzwonił do drzwi.

Otworzył mężczyzna. Winter go nie znał.

Przedstawili się i pokazali legitymacje, on i Ringmar.

Mężczyzna również się przedstawił: Peter, mąż Louise. Powiedział, że Jovana nie ma w domu.

– Od jak dawna go nie ma?

– Od kilku godzin, odkąd zaczęło się ściemniać. Powinien już wrócić.

– Był sam?

– E... w jakim sensie?

– Zabrał dziecko? Grete?

– Nie. Jest tutaj. Śpi.

– Pojechał samochodem?

– Nie, poszedł piechotą. Samochody są na miejscu. Nie było mnie wtedy w domu. Żona jest w tej chwili w kinie. Nie wiem, czy jej powiedział, dokąd idzie. Czy to ważne?

– Proszę do niej zadzwonić – powiedział Winter.

– Jest w kinie.

– Ale chyba ma włączoną komórkę? Na wszelki wypadek.

– Tak. Okej, już dzwonię.

Słyszeli, jak rozmawia w kuchni. Poszedł tam zadzwonić. Dom był jasny, rozświetlony ponad miarę, wszędzie

pozapalane światła. Nie liczyli się z kosztami.

– Zamierzasz z nią porozmawiać? – spytał Ringmar.

– Zobaczymy – odparł Winter.

– Powiedział jej, że idzie na spacer – przekazał Peter.

– W jego zachowaniu nie było nic dziwnego. Nawet spytałem. No... wiecie.

– Niby co? – spytał Ringmar.

– Po tym wszystkim.

– Czy on ma tu swój pokój? – spytał Winter.

– Tak, oczywiście. Obok pokoju małej.

– Nie śpią w jednym pokoju?

– Nie... nie chciał. Zresztą mamy dość miejsca.

– Zaprowadzi nas pan?

– Tak... naturalnie.

Weszli po schodach. Winterowi wcale się to nie podobało. Nie miał ochoty chodzić po żadnych schodach.

Minęli otwarty pokój. Przystanął, zobaczył zarys małego ciała w dużo za dużym łóżku. Greta ma tutaj swój dom, pomyślał z niezachwianą pewnością. To jej dom i tak już zostanie.

Pokój Marsa też był otwarty.

Weszli. Peter zapalił lampę podłogową stojącą obok ławy. Nad nocnym stolikiem przy łóżku paliła się lampka. Pod nią lśniła biała koperta formatu A5.

– Co to jest? – spytał Winter.

– Nie wiem – odparł Peter. – Przedtem jej tu nie widziałem, ale od dość dawna tu nie wchodziłem.

Winter podszedł. Na kopercie nie było żadnego napisu, była biała, czysta. Przez krótkie, straszne mgnienie oka myślał, że będzie na niej jego nazwisko, że wiadomość, ewentualne wyjaśnienia będą skierowane do niego.

Koperta nie była zaklejona. Wytrząsnął z niej trzy kartki, zapisane ręcznie, dużymi literami. Czytał jedno słowo tu, drugie tam, jak urywki opowiadania: były tam już jego ubrania, jechałem całą noc, nie wierzyłem, nie mogłem przestać! Krol nie dał mi... próbowałem się zatrzymać, moja rodzina! Nie wiem nie wiem nie wiem nie wiem.

Nie chciał czytać dalej. Już wiedział. Wynik badania DNA przyjdzie po śmierci. To też wiedział. Jovan Mars nie zdołał uchronić swojej rodziny przed sobą samym.

Podniósł wzrok.

– Co to jest? – spytał Ringmar. – Przyznanie się do winy?

– Tak.

– Do zabicia Robina również?

– Prawdopodobnie. Nie doczytałem. Krol albo Mars. Robin bał się obu. Prawdopodobnie widział ich koło domu. I w domu. Sprawa nagle zrobiła się poważna. Potrzebował naszej pomocy.

– Co robimy? – spytał Ringmar.

– Jedziemy na przystań – odparł Winter.

Znaleźli Jovana Marsa w szopie na łodzie. Wisiał tam od pewnego czasu. Drzwi były zamknięte, ale nie na klucz. Klucz tkwił w zamku. A więc miał klucz do szopy. Jego popękane gałki oczne wpatrywały się w nicość, nicość, *nadały nada y nada*, pomyślał Winter.

– Wiedział – odezwał się Winter. – Już wczoraj.

– O Krołu?

– Tak. Że byłem u niego. Pewnie on też był w pobliżu i widział, jak przyjechałem. I potem jak odjeżdżałem.

– W karetce.

– Tak.

– Mars pojedzie karawanem, nie karetką. Już nie ma pośpiechu – zauważył Ringmar.

– Długo z tym żył – powiedział Winter. – W końcu musiał to zrobić.

– Ja nie dałbym rady przeżyć nawet dnia – stwierdził Ringmar.

– Bertilu, nigdy nie byłbyś zdolny do czegoś takiego.

– No, nie wiem...

– Nie wiesz?

– A ty wiesz?

Winter nie odpowiedział. Co tu mówić. O tym, jak mogą się zachowywać ludzie, da się powiedzieć wszystko i nic. Lepiej nie mówić nic więcej.

CMENTARZ ZNAJDOWAŁ SIĘ NA CARRETERA A OJEN, w należytej odległości od kompleksu handlowego La Cañada.

Urna wraz z zawartością była wszystkim, co zostało z Siv. To wszystko, co zostało, pomyślał Winter, ale cała reszta jest.

Słońce świeciło prosto na nich. Cmentarz był tak blisko białej góry, że prawie dało się dotknąć szczytu. W dole półkolisty horyzont. Spokojne morze.

Przed kaplicą pachniało słońcem i igliwem, zapach towarzyszył im również w środku. Większość ludzi znał. Kilka osób przyleciało ze Szwecji tym samym samolotem co Bertil.

Góry rzucały cień na cmentarz. Angela ostrożnie trzymała go za ramię. Zdrową dłońią złapał ją za rękę. Jakiś mężczyzna zaśpiewał po hiszpańsku, a potem po szwedzku. To był ten sam śpiewak co na pogrzebie ojca.

Potem poszli na kawę do kafejki w Puerto Banús, blisko plaży.

– To było ulubione miejsce ojca, matki zresztą też – powiedział Winter. – Po pogrzebie ojca też tu byliśmy.

– Co to za pomnik? – spytał Ringmar, wskazując na wysoki postument i stojącego na nim anioła, zwróconego w stronę morza.

– Un Canto de la Libertad.

– Słucham?

– Pieśń o wolności. – Winter kiwnął głową w stronę pomnika. Stał sto metrów dalej. – Ulubiony pomnik mojego starego.

– Piękny – powiedział Ringmar.

– To prawda.

Winter lekko zeszywniał, poruszył ramieniem. Rękę miał na temblaku.

– Jak tam? – spytała Angela.

– Jest okej. Tu nie o mnie chodzi.

To tylko ból, pomyślał, tylko głęboki ból. *A pain supreme*, pomyślał w samolocie. Owszem, zrobili mu transfuzję, ale formalnie rzecz biorąc, życie uratowali mu Runstig i jego pies. Zaprosił Runstiga, żeby z nim poleciał do Hiszpanii, ale facet powiedział, że jest zajęty organizowaniem klubu piłkarskiego dla dzieciaków z okolicy.

– Piękna uroczystość – powiedział Ringmar. – Naprawdę piękna.

– To Angela wszystko zorganizowała.

Angela spojrzała na niego. Dziewczynki poszły na plażę razem z córkami Lotty, Bim i Kristiną, ale właśnie wróciły. Słońce przesunęło się po niebie w stronę Portugalii. Winter wziął Angelę za rękę. Lotta patrzyła na morze, w stronę Afryki płynął żaglowiec. Bertil spojrzał na niego. Spojrzeli po sobie. Winter uściskał rękę Angeli. Przejeżdżająca taksówka zatrafiła na motorower. Przy barze zaśmiała się kobieta. Minął ich mężczyzna z pustą tawką. Przy sąsiednim stoliku usiadła para młodych ludzi. Przejechała ciężarówka z beczkami sherry.

– A teraz wracamy. Wypijemy drinka w Bar Ancha – powiedział Winter. – Tanqueray z tonikiem. Ulubiony drink Siv i Bengta.

## **podziękowania**

Dziękuję następującym osobom: Stephenowi Farranowi Lee, Elisabeth Watson Straarup, Ricie Lejtzén-Edwardson, Martinowi Kaunitzowi, Hannie Lejtzén, Perowi Planhammarowi, Ulfowi Dageby, Kristinie Edwardson, Stigowi Hansénowi, Ashleyowi Kahnowi, Davidowi Gilmourowi, Siv Bublitz, Magnusowi Krepperowi, Johnowi Coltrane'owi, Larsowi Norénowi, Lindzie Altrov-Berg, Jonasowi Axelssonowi, Katherine Hepburn, Göranowi Wibergowi, Willy'emu Vlautinowi, Johannie Kinch, Martinowi Ahlströmowi, Evie Bredin, Katarinie Arborelius, Christianowi Wikanderowi.

Specjalne podziękowania należą się Torbjörnowi Ågrenowi, komisarzowi policji kryminalnej z Göteborga.




Po dwóch latach rekonwalescencji komisarz Winter wraca do służby, gdzie spotyka dawnych kolegów. Wszystko jest prawie tak samo jak dawniej. Zaraz po powrocie trafia mu się sprawa wyjątkowo makabrycznego morderstwa. W domu na jednej z licznych wysepek w południowej części Göteborga znaleziono ciała trzech ofiar brutalnego mordu: matki i dwojga dzieci. Okazuje się, że w domu było jeszcze niemowlę, które morderca zostawił przy życiu. Kim jest morderca? Dlaczego oszczędził dziecko? Chciał, żeby żyło, czy miało umrzeć powolną śmiercią? Przed Winterem kolejna trudna zagadka do rozwikłania...

Komisarz Winter ponownie wkracza do akcji! "Dom na końcu świata" to kolejny jedenasty już tom z bestsellerowej serii o przygodach detektywa z göteborgskiego wydziału zabójstw.

**Åke Edwardson** (ur. 1953 r.) znany i ceniony autor kryminałów. Jako pisarz zadebiutował w 1995 r., przedtem pracował jako dziennikarz i wykładowca uniwersytecki. W latach 1981–1982 był oficerem prasowym przy ONZ na Bliskim Wschodzie. Obecnie jest jednym z najchętniej czytanych szwedzkich autorów.

Edwardson od wielu lat cieszy się międzynarodowym uznaniem, a jego książki zostały przetłumaczone na ponad dwadzieścia języków. Otrzymał liczne nagrody i wyróżnienia, w tym trzykrotnie prestiżową nagrodę Szwedzkiej Akademii Pisarzy Kryminalnych.

Dostępna także jako 

Cena: 39,90 zł

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

 [deckare.pl](http://deckare.pl)

ISBN978-83-7554-856-3



9 788375 54 8563 >

lesiojot